

chris  
bohjalian

sekrety  
edenu

*SECRETS OF EDEN*

Z języka angielskiego przełożyła  
Ewa Penksyk-Kluczkowska

**SONIA DRAGA**



*Dla Davida Reeda Wooda  
i dla Victorii, raz jeszcze*

*Na smutek jednak natura nie wynalazła lekarstwa.  
Często się on przytrafia przez wypadki nieodwracalne  
i rozpamiętuje przedmioty, które przestały istnieć lub się zmieniły.  
Wymaga tego, na co nie ma nadziei, żeby prawa świata zostały  
zniesione, żeby martwi powrócili, a przeszłość się cofnęła.*

SAMUEL JOHNSON

*Dlatego to mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją  
i łączy się ze swoją żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem.  
Chociaż mężczyzna i jego żona byli nadzy,  
nie odczuwali wobec siebie wstydu.*

KSIĘGA RODZAJU, 2, 24-25

**CZEŚĆ I**

**STEPHEN DREW**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIEDZIELNE NABOŻEŃSTWO RZADKO mnie, kapłanowi, wydawało się przytłaczające. Ale w niektóre poranki wierni sprawiali wrażenie nasiąkniętych chorobą i rozpaczą niczym worki z piaskiem wodami powodzi, a jedyne osoby powstające w chwili, gdy dzieliliśmy się radościami i troskami, to te gruntownie zaznajomione z domami spokojnej starości, OIOM-ami i miejscowym hospicjum. Smutki zawsze licznie przewyższały radości, ale w niektóre niedziele nękały nas pogromy absolutne i można było odnieść wrażenie, że ludzie powstający z ławek, by zabrać głos, potrzebują prozaku o wiele bardziej niż modlitwy. Czy też - nie bójmy się tego powiedzieć - potrzebują prozaku bardziej niż mnie.

W takie niedziele, ilekroć ktoś wstawał i prosił o modlitwy w intencji stosunkowo mniejszej wagi - awansu, szczęśliwej podróży, wyleczenia złamanej nogi - ja, stojąc na ambonie, przyłapywałem się na myślach: „Jak ci nie wstyd, niewdzięczniku cholerny! Weź się w garść! Mąż kobiety siedzącej za tobą niedługo umrze na raka trzustki, a ty stękasz na szefa? Litości!”. Nigdy nic takiego nie powiedziałem na głos, ale chyba tylko dlatego, że pochodzę ze szczególnie zmanierowanego przedmieścia Nowego Jorku, a członkowie mojej rodziny zdobywają się na uszczypliwość wyłącznie po pijaku. Naprawdę kochałem swój zbor, ale wiedziałem jednocześnie, że zdecydowanie za dużo w nim jęczycuszy.

Niedzielne nabożeństwo, które poprzedziło chrzest i śmierć Alice Hayward, wyjątkowo obfitowało w prawdziwą ludzką tragedię, wręcz pękało pod jej naporem. Jedną długą balladą nieustającej lamentacji i bólu. Co więcej, nauka dla dzieci i solo członka chóru uczyniły je także nadzwyczajnie poruszającym. Jęczycusze wiedziały, że nie mogą konkurować z autentyczną, niewyobrażalną udręką, której doświadczyło wielu członków zboru, nie oderwali więc tyłków od siedzisk, a swoje prośby zatrzymali dla siebie.

Tamtego dnia słuchaliśmy trzydziestoczteroletniego prawnika chorego na raka mózgu. Przetrzymał już dwunastotygodniowe naświetlania i właśnie przechodził drugi tydzień chemioterapii. Przyjmował sterydy, więc na domiar złego musiał znosić nagłe i upokarzające

fizyczne podobieństwo do rozdymki. Tamtej niedzieli wygłaszał naukę dla dzieci i tym dzieciom - rocznym, przedszkolakom i starszym, dziesięcio-, jedenastoletnim - które otoczyły go przed kościołem, opowiedział, jak to w ciągu ostatnich trzech miesięcy przekonał się, że o ile niektóre anioły rzeczywiście mają aureole i skrzydła, to w jego życiu pojawiło się mnóstwo aniołów o wyglądzie zwyczajnych ludzi. Zaczął opisywać napotkane anioły - opisując de facto członkinie parafialnego Koła Kobiet, które wozily go do szpitala i z powrotem, albo osoby, które napełniały lodówkę w jego domu świeżymi warzywami i własnoręcznie przygotowywanym sokiem z marchewki, albo ludzi, którzy prawie go nie znając, przysyłali kartki i listy - ja zaś dostrzegłem, jak oczy zgromadzonych wilgotnieją coraz bardziej. A że doskonale się orientowałem, jak fatalnymi kierowcami są niektóre z tych półślepych staruszek z Koła Kobiet, uznałem, że to kolejny znak anielskiej obecności.

Potem, kiedy już starsze dzieci wróciły do ławek, w których siedzieli ich rodzice, a młodsze zostały odprowadzone do sali zabaw w pomieszczeniach dodatkowych, tak aby im oszczędzić drugiej połowy nabożeństwa (w tym mojego kazania), kolega w chórze donośnym, silnym tenorem zaśpiewał *It is well with my soul* bez akompaniamentu naszego organisty. Spafford napisał ten hymn po śmierci swoich czterech córek, które zginęły, gdy ich statek „Ville de Havre” zatonął po zderzeniu z inną jednostką. Tenor po raz ostatni wznosił głos w refrenie, z rękoma wyciągniętymi przed siebie i długimi palcami złożonymi na wysokości klatki piersiowej, a wówczas wierni spontanicznie doń dołączyli. Gdy skończyli, zapadła cisza, a potem przez świątynię poniosło się z ławek głośnie śmiałe „uch”, kiedy członkowie naszego zboru jak jeden wypowiedzieli w zadziwieniu „Amen...”

I tak nim nadeszła kolej na naszą chwilę wzajemnej troski i umiłowania (których to słów używam bez ironii, chociaż przyznaję, że brzmią trochę kiczowato i niuejdżowo), ludzie przygotowali się już do otwarcia swoich serc. I otworzyli je. Sięgając do notatek, które sporządziłem przy ambonie tamtego ranka - a spisałem nazwiska ludzi, za których mieliśmy się pomodlić, oraz ich dolegliwości - stwierdzam, że wedle wszelkiej obiektywnej miary tamtego dnia pojawiło się naprawdę dużo potworności. Rak, mukowiscydoza i choroba, która pewnego noworodka kosztowała prawe oko. Wypadek samochodowy. Pożar domu. Bomba w ciężarówce w dalekim kraju. Modliliśmy się za ludzi umierających w domu, w szpitalach, w hospicjum w sąsiednim mieście. Modliliśmy się o powrót do zdrowia, modliliśmy się o śmierć (choć używaliśmy cudownego eufemizmu „wytchnienie”), modliliśmy się o pokój. Modliliśmy się o spokój dusz nękanym niepokojem i o pokój w zakątku świata pogrążonym w ogniu wojny domowej.

W chwili gdy zacząłem kazanie, mogłem być równie porywający jak księgowy, a

ludzie ani by na to nie zwrócili uwagi, ani by się tym nie przejęli. Mógłbym być okrutnie nieudolny - chociaż de facto nie byłem; moje słowa co najmniej wykraczały poza pustkę tego poranka - a i tak byliby poruszeni. Łaknęli natchnienia tak, jak ja łaknę światła słonecznego w styczniu.

Niemniej jednak na tej niedzielnej mszy usłyszeliśmy całą litanię przyczyn śmierci i katastrof, które mogą nas dotknąć. Kto wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie? (Oczywiście, ja teraz znam odpowiedź, ale nie pójdziemy tą drogą. W każdym razie jeszcze nie teraz). Od tej dokładnie tragedii, która miała zapewnić naszemu miasteczku makabryczną sławę, dzieliło nas jeszcze dwanaście godzin. Rozegra się dopiero, kiedy późnym popołudniem i wieczorem nadejdzie ciepły front, a my wszyscy zaczniemy się zlewać potem nad kolacją. Tyle nas jeszcze czekało do tej chwili: zrzutkowy posiłek, chrzest, słowo.

Nie TO słowo, chociaż nadal je postrzegam jako początek i koniec wszystkiego: Na początku było Słowo...

„Już”. O to słowo chodzi w tym wypadku. Już.

- Już - powiedziała do mnie Alice Hayward, kiedy ją ochrzciłem w stawie tamtej niedzieli. Na twarzy miała uśmiech, który mogę nazwać w najlepszym wypadku ponurym. Już.

Chrzest nastąpił od razu po niedzielnej mszy. Rzetelne, staromodne, doroczne baptystyczne zanurzenie w stawie Brooknerów. Za sobą słyszałem wiernych oklaskujących Alice, w tym członkinie Koła Kobiet, przy czym co najmniej jedna, tak jak ja, miała świadomość, co się czasami dzieje w domu, który Haywardowie zbudowali na wzniesieniu.

Nikt z nich, teraz już to wiem, nie słyszał, co Alice powiedziała. Ale nawet gdyby usłyszeli, wątpię, czy usłyszeliby w tym konkretnym słowie to, co usłyszałem ja, ponieważ ta jedna sylaba nie była przeznaczona dla nich. Była przeznaczona wyłącznie dla mnie.

- Już - odrzekłem Alice. Kiwnięcie głową. Zgoda. Potwierdzenie jej wiary. Jedna sylaba wypowiedziana przez moje usta. To właśnie słowo dało Alice Hayward wsparcie duchowe niezbędne w wędrówce ku śmierci, którą mąż szykował dla niej - może nawet dla nich obojga - od lat.

NASTĘPNEGO RANKA ZASTĘPCA prokuratora stanowego, kobieta może pięć lat młodsza ode mnie, z rzadkim, acz zachwycającym połączeniem niebieskich oczu i kruczoczarnych włosów, będzie próbowała mnie przekonać, że za dużo chciałem wyczytać z tej jednej sylaby. Nazywała się Catherine Benincasa i to nazwisko zapamiętam na długo - choć nasze ścieżki nie zbiegną się już do końca lata ani przez jesień - bo nazywała się tak również święta, która

nakłoniła Grzegorza XI, by w 1376 roku, po siedemdziesięciu latach rezydowania zwierzchników Kościoła w Awinionie, przeniósł siedzibę papieżstwa z powrotem do Rzymu. Wytknąłem Catherine, że nie była obecna przy chrzcie. Gdyby była, gdyby wiedziała to wszystko, co ja wiedziałem, o pielgrzymce Alice do wody - gdyby spędziła tyle czasu co ja, wysłuchując jej i w miarę możliwości udzielając porad - zrozumiałaby, że mam słuszość.

Kiedy Alice wynurzyła się ze stawu obok krzewu dzikiej róży wciąż obsypanego subtelnymi kwiatkami, na chwilę skupiła wzrok na grupce ludzi, zebranych w półokręgu na brzegu. Ich zbiorowe spojrzenie rzucało blask zgoła słoneczny. Moi parafianie ubrali się na piknik, opanował ich radosny nastrój. Widziałem, jak Alice delikatnie pomachała do córki. Katie latem skończyła piętnaście lat i nagle, niemal nadnaturalnie, przemieniła się z dziewczyny w kobietę (albo - jak to głosem pełnym miłości ujęła jej matka, kiedy byliśmy kiedyś sami - w kokietkę). Zniknęły bejsbolówki, poza, która kiedyś stanowiła element jej garderoby równie obowiązkowy jak tenisówki czy buty, no i zapuściła ciemne włosy. Ogrodniczki i T-shirty zamieniła na spódniczki i krótkie letnie sukienki, jak również obcisłe dżinsy, które zdawały się opinać jej długie nogi niczym lycra. Nosila klapki i baletki, a nie tenisówki czy czarne skórzane lakierki z jaskrawymi cekinami, które zakładała do kościoła jako mała dziewczynka i nazywała swoimi „pantofelkami szczęścia”. Miała mały kolczyk w nosie i wielkie koła w uszach. W niczym nie przypominała dziecka, które pamiętałem, jak jadło niebieskie lody na schodkach sklepu w naszym miasteczku, ani rezerwowego zapolowego, którego trenowałem przez dwa lata w naszej drużynie małej ligi, zawodniczki, która raczej ścinała dmuchawce w trawie, niż goniła piłki. Była rozbijająco nad wiek rozwinięta, i to od zawsze. Teraz pisała do szkolnej gazetki i szkolnego magazynu literackiego, i należała do dzieci przeczących prawom genetyki: moim zdaniem bystrością przewyższała swoich rodziców. Była dobrym dzieckiem, które wyrosło na dobrą nastolatkę - zbyt inteligentną na narkotyki i zbyt ambitną, by zająć się ciążą. Przetrwiała najgorsze, co mógł zaserwować człowiek pokroju jej ojca. Za dwa lata, powiedziałem sobie, ucieknij z Haverill albo na niewielki uniwersytet stanowy w zapadłym zakątku Vermontu, albo do jakiegoś przybytku bardziej imponującego, w Massachusetts, Maine czy Nowym Jorku. Obstawiałem to ostatnie. Miałem nadzieję, że planuje Ivy albo Little Ivy.

W zasadzie już się nie pojawiała w kościele ani na spotkaniach Grupy Młodzieżowej, ale tamtego ranka przyszła na chrzest swojej mamy, a ja się ucieszyłem. Też kiwnęła ręką do Alice, może trochę zakłopotana, ale zapewne również szczęśliwa, przez wzgląd na matkę, która najwyraźniej bardzo tego chrztu pragnęła. W miarę jak Katie dorastała - dojrzewała, nabierała pewności siebie - wyczuwałem, że zaczyna wstawiać się za matką, kiedy ojciec jej



groził. Wiedziałem, że co najmniej raz krzykami i złością zapobiegła ciosowi, a Ginny O'Brien, najlepsza przyjaciółka Alice w Kole Kobiet, zapewne wiedziała o wielu takich wypadkach.

Alice spojrzała na mnie, starła wodę z oczu i zagiętymi kciukami odgarnęła za uszy oberzynową grzywę, która spadła jej na twarz. Potem ruszyła na brzeg, podciągając długi mokry T-shirt tak samo jak wszystkie kobiety, przytrzymując materiał z dala od klatki piersiowej, żeby nie przywarł do piersi. Pod T-shirtem miała kostium jednoczęściowy Speedo w tureckie wzorki, kojarzące mi się z tapicerką na kanapie w mieszkaniu mojej matki w Bronxville. Stopy miała bosc. Paznokcie u nóg pomalowała na słodki róż. Większość kobiet przystępowała do chrztu w pełnym ubraniu, w najbardziej rozciągniętych spodniach i dresach, jakie zdołała znaleźć. Mimowolnie pomyślałem, że gdyby stał się tu jej mąż, to pewnie nie wystąpiłaby w samym kostiumie i T-shircie. Nie pozwoliłby jej, mimo że koszulka momentami sięgała jej do połowy uda. Ale zastanawiałem się też, czy to może swoisty bunt, wyzwanie, bo jednak on mógł się dowiedzieć i jednak istniało prawdopodobieństwo, że zobaczy któreś ze zdjęć robionych przez Ginny. Gdybym nie znał szczegółów udreki, której Alice Hayward zaznawała w domu, uznałbym widok jej wynurzającej się ze stawu Brooknerów postaci, mokrej jak morska nimfa, za niestosowny, przyziemny, ale niewątpliwie erotycznie przyjemny. W chwili śmierci miała trzydzieści osiem lat, w Kole Kobiet była tylko jedna młodsza od niej członkini. Natura obdarzyła ją oczami okrągłymi i głębokimi niczym kręgi stopionej czekolady.

Kiedy dotarła do trawy, niemal żarówiaście zielonej tego ranka po tygodniu letnich deszczy, Ginny, najbliższa przyjaciółka, ją uściskała. Chmury w końcu przesunęły się na wschód w ślad za nocą, a słońce rzuciło promienie na dwie kobiety, teraz siostry w Chrystusie, tulące się do siebie.

Przed laty Ginny dołączyła do Kościoła prostym wyznaniem wiary. Niespełna pięć minut w trakcie niedzielnej mszy, jakiś dokument, uścisk dłoni, grzecznościowe oklaski. Bez wody.

Ale nie Alice. Nie w tym momencie swego życia. Ona nie chciała absolutnie niczego zostawiać przypadkowi, pragnęła więc chrztu, i to przez zanurzenie. Pełne zanurzenie. Dotarła do Chrystusa i chciała mieć pewność, że prawa wstępu do Jego królestwa nie odbierze jej jakieś uchybienie formalne.

Tak więc po zwyczajnej mszy poszliśmy nad staw Brooknerów, a woda tego niedzielnego ranka po lipcowym deszczu była wysoka i czysta.

- Wierzysz w Pana Jezusa Chrystusa jako twojego Zbawiciela? - spytałem ją.

- Wierzę.

- Chcesz podążać za nim przez całe swoje życie?

- Chcę.

Lewą dłoń podłożyłem jej pod głowę, prawą przytrzymałem jej złączone palce niczym uchwyty torby na zakupy, a potem odchyliłem ją do tyłu pod powierzchnię zimnej, karmionej górami wody, chrzcząc ją w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Już.

Tak jak Chrystus, została pochowana i odrodziła się. Powstała, została wskrzeszona. Wyrazisty symbolizm, klarowny jak każda biblijna metafora. Chrzcząc Alice, zastanawiałem się, dlaczego tak niewielu członków naszego zboru wybiera zanurzenie. Woda znaczy więcej niż słowa.

NOGA JEJ MĘŻA, George'a, nie powstała w świątyni co najmniej od czterech czy pięciu lat. Na chrzest żony również nie przyszedł. Później zadawałem sobie pytanie, czy to by coś zmieniło, gdyby zobaczył żonę w trakcie chrztu. Będę widział w myślach głębokie, niebieskawe siniaki, które jego kciuki zostawiły na jej szyi, jak również ślady na jego twarzy w miejscach, gdzie ona wydłubała paznokciami całe kawałki policzków. (Wcześniej spodziewałem się, że prawa strona jego twarzy całkowicie przestała istnieć, ale nie. Była nieco obrzęknięta, trochę zniekształcona, ale daleka od ruiny, jaką sobie wyobrażałem. Wszyscy zauważyliśmy ślady zadrapań). Może i w niedzielny poranek Alice weszła do wody z rezygnacją, ale niedzielного wieczoru twardo walczyła o życie - nawet jeśli tylko odruchowo. Nawet jeśli tylko dlatego, że pomyślała o swojej córce i doświadczyła ostatniego, przesywającego ukłucia matczynej opiekuńczości. Nawet jeśli tylko dlatego, że zabił ją w sposób tak brutalny, że nie mogła zrobić nic, tylko walczyć z bólem. Tak więc dręczyło mnie pytanie, czy obecność George'a na widowisku (a uwierzcie mi, zanurzenie jest widowiskiem) ocaliłaby życie Alice. To pytanie, podobnie jak bezlik innych, które podążały za nim bezustannie niczym rytmy kazania - Czy zmieniłby się pod wpływem wiary swojej żony? Czy rozważyłby terapię? Czy przestałby ciągnąć za włosy Alice pochwycone pełną garścią niczym czarne sznury? Czy przestałby szarpać jej głowę jak kościelny dzwon? Czy dzisiaj oboje by żyli? - unosiło się na falach obrazów, przetaczających się przez moje myśli.

Wyszedłem z wody w ślad za Alice, czułem na biodrach ciężar granatowych dzinsów, które tak bardzo nasiąkły stawem Brooknerów. Niektórzy ze znanych mi pastorów, zwłaszcza opiekujący się zborami na Południu, wkładali obciążone czarne szaty, które pozwalały im brodzić w wodzie bez lęku, że materiał będzie ich opływać jak glony. Ja nie. Obciążanie szaty

w moim wyobrażeniu przeradzało głęboki rytuał w pretensjonalne przedstawienie. Poza tym lubiłem wkładać granatowe dzinsy do wody, podobało mi się, że w chwili, gdy ofiarowujemy się Bogu, reprezentują zwyczajność naszego codziennego życia. A prawdę mówiąc, celebrowałem niewiele chrztów przez zanurzenie. To Vermont. Nasz Kościół, unia dawnych baptystów i kongregacjonistów rozkwitła w dziewiętnastym wieku za liczebniejszej wspólnoty, nie miał nawet zbiornika chrzcielnego, Alice była zaś jedyną osobą, którą chrzcilem tego lata przez zanurzenie, jedynym parafianinem, który wstąpił do Kościoła w ten sposób.

- To było takie przejmujące - powiedziała Ginny do przyjaciółki. - Nie cieszysz się, że to zrobiłaś? - Kiedy oderwały się od siebie, przód koszuli Ginny był niemal równie mokry jak koszulka Alice.

- Cieszę się - odparła Alice i zobaczyłem, że płacze. Katie też to zauważyła i zrobiła to, co robiła zapewne często, kiedy widziała, że oczy jej matki wypełniają się łzami. Poklepała ją po plecach jak ich Springera, Lulę. Delikatne klepnięcia dla piętnastolatki z kolczykiem w nosie stanowiły najznośniejszą formę tulenia się z matką na oczach ludzi.

Brooknerowie, rodzina, z której stawu korzystaliśmy, należeli do bogatych letników. Pod koniec maja, gdzieś około Dnia Pamięci, opuszczali obrzeża Manhattanu i ruszali na północ do Haverill. Mieszkali na jednym ze wzgórz otaczających miasteczko. W każdym razie Michelle Brookner i trójka dzieci. Mąż Michelle, Gordon, prawnik, przyjeżdżał na weekendy i dwutygodniowy urlop w sierpniu. Ze stawu Brooknerów nie dało się zobaczyć samego miasteczka ani nawet wieży kościoła, ale widzieliśmy zielone zagłębienie, w którym leżało Haverill, jak również cmentarz na szczycie wzgórza w oddali. Spojrzałem w tamtym kierunku, żeby odwrócić wzrok od łez Alice.

Członkinie Koła Kobiet zebrały się wokół przyjaciółek, po kolei obejmując Alice tak, jak wcześniej zrobiła to Ginny, a ja doszedłem do wniosku, że nieobecność George'a jest niecodzienna i ostentacyjna, nie można bowiem na nią spojrzeć jak na zwyczajną nieobecność na mszy w niedzielny poranek. Zastanawiałem się chwilę, czy może powinienem był go odwiedzić przed chrztem i zaprosić osobiście. Przekonać. Później, oczywiście, będę się obwiniał, że nie nalegałem na jego uczestnictwo, tak jak będę się obwiniał za to, że nie pojąłem, jakie znaczenie Alice przypisuje rytuałowi - za to, że rozumem zaprzeczałem temu, co w głębi serca musiałem wiedzieć.

Kiedy lekarz sądowy przeprowadził autopsję ciał Haywardów, wpisał w raporcie, że na pośladkach Alice i jej plecach znajdowały się świeże siniaki, co oznaczało, że George ją zbił w piątek albo w sobotę wieczorem przed chrztem, a nikt z nas o tym nie wiedział. W

każdym razie ja nie wiedziałem. Nerki miała tak strasznie obite, że mogła wręcz sikać krwią, zanim tamtego ranka przyszła do kościoła.

Ale chyba nie ta wiadomość okazała się decydująca, ponieważ ten akurat szczegół poznam o wiele później. A uważam, że odszedłem z Kościoła w chwili, gdy Ginny zadzwoniła do mnie nazajutrz po chrzcie, w poniedziałek rano, płacząc jak bóbr, z wieścią, że George i Alice nie żyją i wygląda na to, że on ich oboje zabił. Pośród lamentów Ginny - a ona naprawdę lamentowała, to był istny lament w wymiarze biblijnym - usłyszałem w głowie ostatnie słowo, które Alice skierowała wyłącznie do mnie, tamto jedno słowo „Już”, i zasiane zostały ziarna, z których wyrosnie moje zerwanie z powołaniem.

Już.

Kiwnąłem głową, kiedy Alice to powiedziała. Powtórzyłem jej słowo. Wiedziałem dokładnie, co ma na myśli. Nie odnosiła się do Rzymian ani do Kolosan, do listów Piotra ani Pawła. Nie myślała o żadnym ustępie z Biblii objaśniającym chrzest, omawianym przez nas przy stole przed moją zakrystią albo w salonie jej domu, kiedy nadchodził dzień jej zanurzenia.

Myślała o Janie i o słowach, które padły z ust Chrystusa na koniec jego męki na krzyżu. Wyobrażała sobie dokładnie tę chwilę, gdy głowa opadła mu na piersi i oddał ducha.

Wykonało się, powiedział Chrystus. Już.

I Alice Hayward była gotowa na śmierć.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W VERMONCIE RZADKO ODNOTOWUJE się więcej niż dziesięć, góra piętnaście zabójstw rocznie, a o ile większość z nich zaczyna się od kłótni rodzinnych, morderstwa połączone z samobójstwem na szczęście należą do rzadkości. Zazwyczaj mąż albo były mąż, chłopak albo były chłopak, zwyczajnie zabija biedaczkę, z którą miał szansę zbudować życie, z broni palnej albo dusi ją własnymi rękoma, po czym resztki swojego życia spędza w więzieniu. Często sam się oddaje w ręce policji. Jesteśmy przyzwyczajeni, że na miejscu tutejszych zbrodni znajdujemy jedno ciało, nie dwa. Tak więc przypadek Haywardów - łączący morderstwo i samobójstwo - był przerażający i wyjątkowy.

George Hayward przybył do południowego Vermontu z Buffalo jako ambitny młody sprzedawca, który zrozumiał, że Manchester to nie tylko designerskie outlety i sklepy sprzedające syrop klonowy oraz urokliwe gadżety z Gór Zielonych. On pierwszy dostrzegł, że sklepy z ciuchami dla nastolatek i młodych kobiet, wzorowane na Abercrombie & Fitch\* - ale z naciskiem na naturalne włókna i sprzedaż produktów wytwarzanych w Vermoncie - mogą się ulokować przy najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu w mieście i świetnie prosperować nawet w otoczeniu przybytków ogólnokrajowych sieci, które sprzedają ciuchy szyte po niższych kosztach w krajach trzeciego świata. Turyści, miejscowi i - kiedy wieść przedostała się na południe do Bennington, odległego o półtorej godziny jazdy samochodem - studenci college'u przybywali na tyle licznie, żeby sklep zachował płynność finansową przez pierwszy rok, a w ciągu drugiego trwale umocnił swoją pozycję. Wręcz stał się celem podróży dla młodych ludzi aż z Albany, Rutland i Pittsfield. W końcu nadprzyrodzone umiejętności George'a zaowocowały też założeniem restauracji barbecue w stylu południowym (tym trafił zwłaszcza w gusta zjeżdżających do Vermontu zimą narciarzy) i ekskluzywnego sklepu z

---

\* Marka odzieżowa kojarzona z tzw. amerykańskim stylem życia, znana z ubrań typu „casual luxury” przeznaczonych dla młodych osób (w wieku 18-22 lat) - głównie licealistów i studentów college'ów (przyp. tłum.).

zabawkami, który dzięki chwytowi marketingowemu w postaci zabawek retro przyciągał ludzi urodzonych w wyżu demograficznym, a gadżetami elektronicznymi usidlał ich dzieci i na nich zarabiał prawdziwe pieniądze. Przedsięwzięcia George'a długo przynosiły owoce. Oprócz domu, który zbudował w Haverill, kupił coś, co wraz z Alice określał mianem chaty, nad jeziorem Bomoseen - smukłym pasie wody o długości może dziewięciu mil, nad którym bywali między innymi bracia Marx, Alexander Woollcott i Rebecca West. Ze zdjęć można wnosić, że chata była całkiem elegancka: drewniany dom z jedną ścianą niemal całkowicie przeszkloną, wychodzącą na zachód, by właściciele mogli rozkoszować się widokiem słońca zachodzącego ponad rozkołysanymi lasami sosnowymi.

W Buffalo jako nastolatek George był modelem, a wyrósł na niesamowicie przystojnego mężczyznę. Nawet nosił obrączkę, zanim się ożenił z Alice, by zminimalizować liczbę kobiet, które przystawiały się do niego na ulicach najpierw w Buffalo, a potem w Manchesterze i Bennington. Kiedyś po pijaku powiedział kumplom - zasłynął tym, bo tu jest Vermont, stan, w którym próżność i egocentryzm wciąż są postrzegane jako wady charakteru współmierne do obżarstwa, chciwości i lenistwa - że dzięki urokowi osobistemu miał gwarancję, że znajdzie bankierów i inwestorów prywatnych niezbędnych do sfinansowania swoich wielkich pomysłów, mimo że nie miał jeszcze na koncie żadnego osiągnięcia. Jeden z moich parafian zauważył, że George wygląda jak Księżę Waleczny, tylko z lepszą fryzurą: jego włosy miały kolor o ton bardziej terakotowy niż blond i dopiero zaczynały się przeredzać, choć dobiegał już pięćdziesiątki, a po cerze ledwie było znać lekkie zużycie wiekiem czy też ryzykowną pracą. Przez kilka lat nosił wąsy, które miały kolor wyblakłej wejmutki, ale zgolił je tego lata, kiedy zamordował swoją żonę. Gdyby nie zaczął tyle pić, mając trzydzieści parę lat, pewnie dzięki dyscyplinie i ćwiczeniom uniknąłby niewielkiego brzuszka wieku średniego. Przystojny i silny, potrafił być uroczy i charyzmatyczny, kiedy chciał. Miał pretensje do całego świata (całkowicie nieuzasadnione) i był bardziej zmysłny niż inteligentny, ale nie można mu było odmówić poczucia humoru. Stał się osobą bardzo znaną w biznesowych kręgach południowego Vermontu. Wielu ludzi żyło w głębokim przekonaniu, że Alice, chociaż śliczna, miała dużo szczęścia, że go złapała. Prawie nikt nie wiedział, że tamtej ostatniej zimy swego życia wystąpiła o czasowy zakaz zbliżania się i dostała takowy, a kiedy żyli w separacji, wielu ludzi podejrzewało, że od niej odszedł.

Ale to ona się zbuntowała i wykopała go z domu do tej chaty nad jeziorem, żeby posmakował życia bez niej. Zaatakował ją o jeden raz za dużo i teraz ona zamierzała spróbować samodzielnego życia.

Pracowała jako ekspedientka w jego pierwszym sklepie odzieżowym, a jednocześnie

robiła dyplom z zarządzania, tam właśnie się poznali i zakochali w sobie. Ślub wzięli niedługo po tym, jak awansował ją na kierownika restauracji. Zanim jednak on uruchomił sklep z zabawkami, ona znalazła ciepłą posadkę szefa działu obsługi klienta w filii banku w Bennington. Ze względu na fakt, że mieli małą córkę, nawet fanatycznie wszystko kontrolujący George Hayward rozumiał, że jeśli się prowadzi własny sklep w świecie bogatych domów towarowych i sklepów sieciowych, to dodatkowo, nawet niewielki, stały przychód na pewno się przyda.

Kiedy z nadejściem Dnia Pamięci przyjęła go z powrotem, wierząc w zapewnienia, że pójdzie na terapię i że teraz będzie inaczej, niektórzy z naszych sąsiadów powitali jego powrót do Haverill z radością: rodzina się pogodziła, małżeństwo się nie rozpadło.

Łatwo sobie więc wyobrazić ich zdumienie na wieść, że w jeden z katastrofalnie pijanych niedzielnych wieczorów udusił żonę, po czym wziął pistolet - nie strzelbę myśliwską kalibru trzydzieści, jak sugerowały wcześniejsze plotki - i zastrzelił się.

Tamtego niedzielnego wieczoru Heather Laurent przyjechała do Manchesteru na półtoradniowe spotkania: dokładnie tego wieczoru, kiedy Haywardowie zginęli i jakieś dwanaście godzin przed tym, jak w naszej małej miejscowości odkryto ich ciała. Haverill to niewielkie miasteczko mniej więcej w połowie drogi między Bennington a Manchesterem. Sklep wielobranżowy znajduje się niemal dokładnie osiem mil na wschód od granicy ze stanem Nowy Jork. Dopiero więc we wtorkowy poranek Heather mogła przeczytać w gazecie o ponurym odkryciu. Jadła wówczas śniadanie w swoim pokoju hotelowym w Equinox, a przed księgarnią w Manchesterze rosła kolejka wielbicieli, czekających, aż sklep otworzy podwoje. Planowano jej obecność owego ranka od dziesiątej do jedenastej, a potem miała przemawiać w porze lunchu na kweście na rzecz Centrum Sztuki Południowego Vermontu. Poprzedniego dnia, w poniedziałek, odwiedziła oddział NPR\* w Albany i wygłosiła mowę w Bennington College. Kiedy przeczytała o tej historii w gazecie, do ekspozycji w witrynie z jej książką dodano ostatnie akcenty: kaskadę różowej satynowej wstążki nad schludnym stosem broszurowego wydania *Aniołów i aur* oraz wazon niebieskich irysów i żółtych liliowców wokół *Uświęconej chwili* w twardej oprawie, wydanej przed miesiącem.

W gazetach ukazały się dwa artykuły o zbrodni, i w tym drugim pojawiłem się ja. Poprzedniego popołudnia opowiadałem reporterce - kobiecie, którą oszacowałem na jakieś dwadzieścia pięć lat, piętnaście lat młodszą ode mnie i może dziesięć lat młodszą od Heather

---

\* National Public Radio - amerykańska niekomercyjna sieć radiowa znana z wysokiej jakości programów informacyjnych i kulturalnych (przyp. tłum.).

Laurent - o tym, co C. S. Lewis pisał o cierpieniu. Z niemal piętnastominutowego bełkotania walebnego Stephena Drew ona wyciągnęła dwa cytaty.

„Czasami wydaje się, że nic nie kieruje tym światem. Albo że jeśli coś jest gdzieś tam, to bezsilne albo nami niezainteresowane - albo po prostu wredne. Wręcz złe” - sparafrazowałem to, co Lewis uważał za pesymistyczne widzenie kosmosu. Niewykluczone, że doszedłbym do podsumowania Lewisowej bardziej optymistycznej perspektywy chrześcijanina - na pewno to zamierzałem zrobić w ramach grzeczności względem moich parafian, nawet jeśli sam już nie podzielałem tego poglądu - ale bardzo możliwe, że nie. W grę wchodzi też taki wariant, całkiem prawdopodobny, że odbiegłem od tematu i zacząłem tymczasem zwracać się ku innemu pytaniu, które mi zadała: Jak nasze miasteczko radzi sobie z tą tragedią?

„Alice była członkiem naszego zgromadzenia - odparłem. - Należała do mojego Kościoła. Wiedziałem doskonale, że on robi jej krzywdę. Powinienem być coś zrobić”.

Dziennikarka może nawet nie zauważyła, że przeszedłem z liczby mnogiej na pojedynczą, ale Heather Laurent zauważyła na pewno. Tak więc kiedy już wygłosiła mowę w centrum sztuki w tamto wtorkowe popołudnie, przyjechała się ze mną spotkać - przyjechała spotkać się z nami, ze mną i Katie, i naszym osłupiałym miasteczkiem - albo marionetką poruszaną przez wszechwiedzącego Boga w teatrze lalek, albo zwyczajnie uczciwy zbiór komórek napędzany przez coś zdumiewająco głęboko ukrytego w jej DNA. Gen. Mem. Jej jedyna świadoma myśl? Trzeba pomóc tym biednym, smutnym, żalonym ludziom w Haverill. Trzeba pomóc temu pastrowi.

HEATHER LAURENT W ZASADZIE wyglądała tak samo jak na zdjęciach zdobiących tylne okładki jej książek, chociaż z tego zdałem sobie sprawę dopiero po jakimś czasie, kiedy kupiłem je w księgarni w Bronxville. Miała krótkie włosy profesjonalistki, łatwe i szybkie do ułożenia rano, ledwie odcień bliższe blond niż brązowym. Owalną, dziewczęcą twarz i zadziorny nos chochlika - chociaż w jej sylwetce nic nie kojarzyło się ze skrzatem. Niemal dorównywała mi wzrostem, a mam metr osiemdziesiąt. W przeciwieństwie jednak do mojej siostry, również dość wysokiej, wydawała się dobrze z tym wzrostem czuć: ani się nie garbiła, ani nie uciekała wzrokiem, które to zachowania przez lata zauważałem u siostry. Później się dowiem, że z wykształcenia jest tancerką klasyczną. Miała na sobie białą rozpinaną jedwabną bluzkę, złoty łańcuszek ze skromnym krzyżykiem i okulary, które przesunęła na czubek głowy jak opaskę do włosów, kiedy tylko zaczęła ze mną rozmawiać. Wydawała się niemal żenująco uszczęśliwiona moim widokiem, a ja tę swobodę - ze względu na kir okrywający



Haverill - przypisałem niezgłębionej nadziei, która w niej rozkwitała, jej wierze (to jej słowa, nie moje) w anioły i aury. Słowo honoru: Heather Laurent wierzyła w każde napisane przez siebie słowo.

Kiedy pojawiła się w drzwiach wejściowych plebanii we wtorkowe popołudnie, uznałem, że jest dziennikarką telewizyjną z wiadomości. Wyciągnąłem szyję, żeby zerknąć ponad jej ramieniem, oczekując, że zobaczę za nią furgonetkę i młodego człowieka przytłoczonego ciężką kamerą. Ale zobaczyłem tylko saaba. Był bladoniebieski i miał na bokach trochę zaschniętego błota.

- Pastor Drew to pan? - spytała, kiedy otworzyłem siatkowe drzwi. Było parno, nawet jak na lipiec, i słyszałem małe dzieci bawiące się w cieniu nad płytką rzeką po drugiej stronie ulicy.

- Tak. A pani reprezentuje...?

- Siebie.

- Nie jakiś magazyn? Albo gazetę?

- Jestem Heather Laurent. Pomyślałam, że zobaczę, czy mogę w czymś pomóc.

Kiwnąłem głową. Zastanawiałem się, czy powinienem wiedzieć, kim ona jest. Wyobrażałem sobie, że to Katie Couric z telewizji rozrywkowej albo felietonistka ilustrowanego tygodnika, którego nie czytuję.

- Mogę wejść? - ciągnęła. - Nie chcę się narzucać.

Wzruszyłem ramionami i poprowadziłem ją przez kuchnię do salonu, a stamtąd na tylną werandę. Zwykle o tej późnej porze we wtorek kończyłem pierwszy szkic swojego niedzielnego kazania. Do tego właśnie służyło wtorkowe popołudnie. Około południa wychodziłem z biura i szedłem do sklepu, gdzie kupowałem kanapkę, zjadałem ją na miejscu, gawędząc z kimś, kto tam wtedy przechodził w środku dnia. Mogłem nad tym spędzić nawet godzinę, zwłaszcza jeśli lekcjonarz sugerował fragmenty, które nie należały do moich ulubionych, a ja szukałem natchnienia. Często w tym czasie pomagałem ludziom w sposób raczej prozaiczny niż doniosły, ale niebywale dla nich ważny: i tak w owych godzinach lunchu pomagałem już wydoić lamę, pilnie szukałem szambiarki (prawdziwa sytuacja awaryjna, wierzcie mi) i naprawiałem huśtawki w przedszkolu spółdzielczym, zanim dzieci się obudziły z drzemki. Potem szedłem do domu, ponieważ zawsze łatwiej mi się pracowało na plebanii, gdzie nikt mi nie przerywał, niż w zakrystii. Latem zabierałem laptopa na tylną werandę i tam mogłem się skupiać bez ograniczeń. Do piętnastej trzydzieści czy do szesnastej uzyskiwałem zwykle piętnaście, dwadzieścia minut całkiem pokrzedającego komentarza biblijnego. Jeśli nie było zbyt późno, odwiedzałem szpitale w Bennington i Rutland, gdzie

moi sąsiedzi - nie tylko członkowie mojego zboru - leczyli się albo umierali, albo leżeli niezdecydowani na łózkach na kółkach. Przeciętnie jeździłem do chorych dwa, trzy razy w tygodniu. Ale wizyty w szpitalu we wtorki zawsze wiązały się z popisem ekwilibrystycznym, bo tuż po dziewiętnastej musiałem wrócić na odbywające się tego dnia zebrania zarządu, Rady Edukacji Chrześcijańskiej czy Komitetu Relacji Duszpasterskich (na szczęście jednak nie wszystkie w ten sam wtorkowy wieczór), a mojej obecności oczekiwano na wszystkich tych spotkaniach. I chciałem w nich uczestniczyć. Zwykle nieprzekraczalny moment zakończenia spokojnej pracy stanowiła piętnasta trzydzieści. Jeśli moje kazanie do tego czasu nabierało sensownego kształtu, szedłem do któregoś ze szpitali. Jeśli nie, rezygnowałem z odwiedzin u chorych tego popołudnia i przekładałem je na środę.

W ten wtorek, kiedy Heather Laurent przyjechała do Haverill, nawet nie próbowałem pisać kazania. I nie wybierałem się do żadnego szpitala. Zamiast kazania - które tego dnia byłoby za ciężkie, zarówno intelektualnie, jak i emocjonalnie - musiałem znaleźć w duszy kilka pocieszających słów na pogrzeb Alice Hayward, zaplanowany na czwartkowy poranek w naszym zborze. (Pogrzeb George'a miał być dyskretnym rodzinnym wydarzeniem na północy stanu Nowy Jork). I poniosłem porażkę: wszelkie pocieszające słowa zniknęły.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że jestem niezdolny, w każdym razie chwilowo, do napisania mowy pogrzebowej, zacząłem wystukiwać coś, co zasadniczo miało postać e-maila, który w swoim mniemaniu mogłem - ale nie musiałem - wysłać różnym przyjaciołom w całym kraju. Przyjaciołom z seminarium i przyjaciołom z college'u. Przyjaciołom, którzy pozostali na przedmieściu Nowego Jorku, gdzie dorastałem, i przyjaciołom, którzy tak jak ja zdecydowali się stamtąd wyjechać i żyć w innych, odległych zakątkach kraju. Wszystko prócz drugiego akapitu każdego z e-maili - tego akapitu, w którym sięgałem po wybrane, specyficzne szczegóły naszych wspólnych historii - było identyczne. Listy obfitowały w gniew, posępność i poczucie winy. Dwóm przyjaciołom dałem znać, że wkrótce do nich przyjadę. Jeden to przyjaciel z seminarium prowadzący zbór w Illinois, a drugi to przyjaciel z college'u, który wzbogacił się w Dallas. Wyobrażałem sobie tygodnie spędzone samotnie w samochodzie i wszystkie te jajecznice, które będę mógł zjeść w knajpach typu U Denny'ego, lekkie błaty, jaskrawe oświetlenie. Powiadomiłem wszystkich, że odchodzę z Kościoła - żaden urlop naukowy, żadna przerwa czy rekolekcje - ponieważ nie mogę już znieść rzucania tonącym ofiarom rozumu i urodzenia, moim wiernym, kamizelek ratunkowych z długą liną nieprzymocowaną do niczego.

Dave Sadler, diakon z rakiem trzustki, miał teraz guza tak wielkiego, że nie mógł trawić jedzenia. Umierał z głodu w hospicjum, a ja, tak się złożyło, miałem go zapewnić, że

wszystko będzie dobrze. Trzyletnia Caroline Pearce widziała, jak jej małą nóżkę odcina blacha pikapa wdzierającego się w bok samochodu jej matki, kiedy wracała z nią z przedszkola. Przy jej łóżeczku w dziecięcym skrzydle szpitala - w pokoju nieskończenie weselszym niż oddział intensywnej opieki medycznej, gdzie spędziła pierwsze dni po wypadku, ale i tak okropnie ponurym jak dla takiego malucha - miałem się uśmiechać. Miałem pocieszać Nathana Bedarda, trzecioklasistę z wyjątkowo zjadliwą postacią białaczki, który umrze za dwa, trzy lata, i miałem podnosić na duchu jego ciotkę i wuja, niepracujących od niemal roku i właśnie sprzedających przyczepę, w której mieszkali. Kiedy przyczepy już nie będzie, będą nocować u przyjaciół i krewnych - w tym u rodziców Nathana - przez jakiś czas, ale nie mieli pojęcia, gdzie zamieszkają na dłuższą metę.

I miałem znaleźć pokrzepiające słowa dla piętnastoletniej Katie Hayward. Miałem pomóc dziewczynce, która na moich oczach dojrzewała do roli młodej kobiety - mądrej i całkiem rozsądnej młodej kobiety, jak mi się wydawało, pomimo wszystkiego, co widziała i zniosła - znaleźć sens w fakcie, że gniew jej ojca był bezkresny i że ów ojciec zdołał zamordować jej matkę w sposób jednocześnie intymny i brutalny.

Z tych listów, których wysyłem do przyjaciół rozważałem, większość (choć nie wszystkie) wyrzuciłem i skasowałem, ale pamiętam doskonale jeden akapit: „Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał skłonności do depresji, ale w tej chwili czuję się tak, jakby przyjaciel, który zawsze zapewniał mi pocieszenie i radę, odszedł. Nie wiem już, co właściwie powinienem mówić innym, i nigdy wcześniej nie czułem się tak samotny, osobiście i duchowo”.

Raczej jednak wątpię, czy Heather Laurent zauważyła to zdanie, ponieważ kiedy się pojawiła w moich drzwiach, laptop nadal znajdował się na werandzie, i chociaż później staliśmy obok niego i słuchaliśmy szmeru płytkiej rzeki, nie należała ona do osób, które ukradkiem czytają słowa, zresztą częściowo przynajmniej zasłonięte blaskiem parnego, zachmurzonego nieba. A kiedy przybyła, początkowo siadła na krześle przy kutym stole, naprzeciwko miejsca, które zajmowałem podczas pisania e-maili.

- Piękne miasteczko - powiedziała.

- Dziękuję.

- Tragedia nic tu nie zmienia, wie pan. Przez nią nie staje się ani trochę mniej urocze.

- Proszę przyjechać w połowie stycznia. Robi się dość ponure.

Uśmiechnęła się i przesunęła dwoma palcami po łańcuszku na szyi, zatrzymując je na chwilę na krzyżku.

- Wie pan, o czym mówię - powiedziała. - Ludzie rozumieją aurę takich miejsc jak to.

Przemknęło mi przez myśl, że ta kobieta jest zakonnica. To możliwe - uznałem, że po prostu pomyliłem katolicką zakonnice z gwiazdą kablówki.

- Pani jest z Kościoła? - spytałem.

- Kościoła? Jest tylko jeden?

- No, dzisiaj po południu wszystkie są równie podejrzane.

- Sprawia pan wrażenie okropnie rozczerwanego.

- Po prostu mam okropnie dość.

- Cóż... nie jestem z żadnego Kościoła. Jestem tylko pisarką.

- I nie jest pani... znikąd?

- Piszę książki - powiedziała, a z łagodności jej głosu jasno wynikało, że fakt, iż nie mam pojęcia, kim jest, w ogóle jej nie obszedł.

- Chce pani napisać książkę o tragedii?

- Raczej nie.

- Nie z tego powodu pani tu przyjechała?

Wzruszyła ramionami.

- Może przyjechałam tu z pańskiego powodu. Z powodu tej dziewczyny. Tego miasteczka.

Mój gniew wciąż był w fazie embrionalnej, jeszcze po prostu nie wyszedł poza etap macicznej furii - niechęci do świata poczętej jakieś dwadzieścia dziewięć godzin temu. Gdyby Heather przybyła do mojego domu kilka tygodni czy choćby dni później, pewnie nie zdołałbym ugryźć się w język. Może wyrzuciłbym ją z domu. Z drugiej strony, gdyby przybyła kilka tygodni albo chociaż dni później, może już bym wyjechał. Nie mam pojęcia, gdzie bym wylądował - najpewniej w Teksasie albo w południowym Illinois - ale myślę, że jest spora szansa, że wcisnąłbym „wyślij” na jednym lub więcej) z tych e-maili i wyniosłbym się w cholerę z Vermontu. Gdyby Heather przyjechała nawet w sobotę albo w niedzielę tamtego tygodnia, zastałaby może pusty dom oraz osłupiałego diakona i gosposię pomrukujących: „Wyjechał. Tak po prostu wziął i wyjechał”.

Ale tamtego popołudnia byłem w stanie zaspokoić swój gniew nieszkodliwymi w gruncie rzeczy kęsami sarkazmu.

- Hm - odezwałem się w końcu. - Pewnie powinno mi to pochlebiać.

- Niekoniecznie. Proszę mi nie ufać aż tak. Ma pan jakąś rodzinę, pastora Drew?

- Nie, jestem sam.

- Żadnej żony?

- Nie.

- A partnerka?

- Spotykam się z kimś czasami. - Zazwyczaj nieco więcej odkrywam przed ciekawskimi, ale tamtego popołudnia nie miałem nastroju do omawiania historii i osobliwości moich wyborów życiowych. W przeszłości miewałem kobiety, ale żony nie.

- Pochodzi pan z okolicy? - spytała.

- Nie.

- A od dawna jest pan w Vermoncie, w tym zborze? Czy też jest pan tymczasowym pastorem?

Przez siatkowe drzwi spojrzałem tęsknie na dzban z mrożoną kawą na kuchennym stole.

- Te pytania to wstęp do bardziej rozbudowanego śledztwa, pani Laurent, czy to po prostu próba rozmowy?

- Proszę do mnie mówić Heather. Bardzo bym chciała.

- Następnym razem - zgodziłem się. Pierwsza Heather, jaką znałem, specjalnie dla mnie zdarła z siebie wszystkie ciuchy. Miałem pięć lat, może sześć. Mieszkała dwa domy obok. Działo się to na piętrze w jej pokoju w letnie popołudnie, ona obiecała, że się rozbierze, jeśli znajdę jej czerwony strój kąpielowy. To nie były trudne poszukiwania: znalazłem go w trzeciej otwartej szufladzie komody, zwinięty w kłębek na wierzchu bielizny i T-shirtów. Była pierwszą istotą płci żeńskiej, którą widziałem nago.

- A te pytania? - przypomniałem.

- Nie mam pojęcia. Z ręką na sercu. Po prostu kiedy mnie nachodzą, wypowiadam je na głos.

- W takim razie przyniosę jeszcze mrożonej kawy, chociaż stoi już na wierzchu tak długo, że teraz to zwyczajnie rozwodniona chłodna kawa. Niemniej jednak chętnie panią poczęstuję. W moim obecnym stanie umysłu to akt uprzejmości, który wymaga herkulesowego wysiłku. Jeśli stanę na wysokości zadania, powie mi pani, dlaczego do mnie przyszła?

- Piję herbatę.

- No to ma pani pecha. Ja nie piję herbaty.

- Czy przyszłam w złym momencie?

Pochyliłem się na krzesło i spojrzałem jej badawczo w twarz. Krawędzie warg, ozdobionych szminką tak połyskliwą i czerwoną, że skojarzyły mi się z ornatem, który wkładałam w Zielone Świątki albo Niedzielę Palmową, wydeły się w uśmiechu, i zdałem sobie sprawę, że ona uważa to za żart. Rozumiała, że w moim życiu było niewiele gorszych

momentów.

- Myślę, że można ten moment tak nazwać, owszem.

- Niech pan sobie naleje tej kawy - powiedziała. - Ja nie muszę nic pić. Ale chciałabym zostać na dłużej. Mogę?

W Haverill rzadko widywałem taką szminkę. Rzadko widywałem jedwabną bluzkę.

- Nie muszę nigdzie iść - odparłem.

- Żadnych spotkań? Żadnych parafian?

- Zawsze są jakieś spotkania. Zawsze są parafianie.

- Ale ma pan trochę czasu?

Kiwnąłem głową, wstając, i słuchałem jej, kiedy otwierałem drzwi siatkowe i szedłem po dzbanek.

- Ja dzisiaj w kalendarzu nie mam zupełnie nic ani na popołudnie, ani na wieczór - powiedziała. - I coś mi się wydaje, że pan rozumie, ile swobody daje takie poczucie. Właśnie zakończyłam jedną z najdłuższych na świecie tras promocyjnych ze swoją książką. - Nagle wstała i podążyła w ślad za mną do środka.

- O czym jest pani książka?

- Nowa?

- Tak. Pani... nowa książka.

- O aurze świata i o tym, jak ją osłabiamy naszym podejściem do środowiska i ekologii.

- Domyślam się, że w tym wypadku aura nie jest po prostu kolejnym określeniem pogody. Nie chodzi o atmosferę, lodowiec ani lasy deszczowe?

- Nie. Ale na pewno jakieś powiązanie istnieje.

- A inne pani książki?

- Inna książka, jedna. Napisałam tylko dwie.

- O czym więc jest ta druga książka?

Uśmiechnęła się, jakby wiedziała, że nie potraktuję poważnie tego, co mi powie.

- O aniołach, aurach. O jakości wibracji, które emitujemy, o tym, jak one wpływają na nasze relacje z istotą boską.

- Jestem pewien, że te wibracje są ważne.

- Wcale nie jest pan pewien, ale nic nie szkodzi.

- Pozwolę sobie zgadnąć. Wczoraj wieczorem była pani w księgarni w Manchesterze?

- W zasadzie dzisiaj rano. Potem miałam pogadankę w tym pięknym centrum sztuki na wzgórzu. Wczoraj byłam w Bennington College i oddziale NPR w Albany.

- A teraz kończy pani dzień pojawieniem się w malowniczym kameralnym Haverill.

- Pan przeżywa teraz naprawdę trudne chwile, prawda?

- A pani zajżdza do każdej miejscowości, która zyskuje taką sławę jak nasze Haverill?

- Nie.

- Tylko do nas?

Kiwnęła głową, a potem skierowała wzrok na otwarte półki i kuchenne blaty, wypełnione pozostałościami życia samotnego mężczyzny - samotnego pastora. Dziwne, przypadkowe bibeloty ofiarowywane mi nieustannie przez znikowane parafianki: porcelanowe słoje na ciasteczka (pierwotnie oczywiście wypełnione świeżo upieczonymi ciasteczkami o śmiesznych nazwach typu ślimianki albo czekoliczki), jeden w kształcie brzuchatego elfa i jeden podobny do pulchnego, siedzącego beagle'a (ten, niestety, z wiekiem stracił ucho). Gliniana maselniczka, której nigdy nie używałem, przypominająca okręt podwodny, prezent od pewnej pary. Otrzymałem go po tym, jak wygłosiłem kazanie z odniesieniami do telewizyjnego programu z lat sześćdziesiątych o nazwie *Podróż na dno morza*, który widziałem w poprzednim tygodniu na TV Land. Blaszany pojemnik na słomki, pusty, wykonany z puszki po coca-coli. I plastikowy serwetnik o kształcie raczej płaskiej, dwuwymiarowej chaty drewnianej. Poza tym znajdowały się tam garnki i patelnie, niegdyś należące do mojej matki, a teraz zwisające - trochę poplamione, trochę powgniatane - niczym stare mięso na hakach nad kuchenką, jak również szklanki do soku i wody z jej ślubnego serwisu, jeszcze nie na tyle stare, żeby wzbudzać zainteresowanie, ale już wyblakłe ze starości. (Po śmierci mojego ojca matka wolała sprzedać dom i przeprowadzić się do ceglanej kamienicy w miasteczku - wobec takiego zmniejszenia powierzchni mieszkalnej zostaliśmy z siostrą obdarowani sporą częścią zawartości kredensów i szafek kuchennych). Były tam kubki do kawy, dwa rzędy, przy czym wiele pokrytych brązowymi plamami i niektóre z widocznymi pęknięciami. I był komplet czterech pojemników na mąkę, cukier, kawę oraz ryż. Miały wyglądać jak miniatury zabytkowych beczulek, które można było kiedyś znaleźć w każdym wiejskim sklepie - a w każdym razie w wiejskim sklepie na planie filmowym - ale teraz wyglądały tylko na pękate, wzdęte i podniszczone. Czułem zawsze lekkie zakłopotanie, kiedy jakaś kobieta wchodziła do mojej kuchni po raz pierwszy. Nie zdarzało się to często, ale niezmiennie zostawało mi odczucie, że albo mam uderzająco fatalny gust, albo wiele do wyjaśniania.

Ponadto rzadko gotowałem, ponieważ dostawałem mnóstwo jedzenia od parafian i przyjaciół i ponieważ oczekiwano ode mnie uczestniczenia w licznych wieczornych

spotkaniach. Poza tym mieszkalem sam, a stosunkowo niewielu ludzi lubi gotowac tylko dla siebie. W rezultacie mialem zamiast kuchni aseptyczne i bezwonne wnętrze, roztaczające aureę zbawienego nieuzywania. Normalnie w ciągu roku musiałem w tej kuchni przygotowywać dwadzieścia parę obiadów.

Gdyby przez otwarte drzwi zajrzała do pokoju, zobaczyłaby deskę do prasowania strategicznie umieszczoną przed telewizorem i stos moich koszul oraz spodni, zawsze wielkości sporego worka sako. Prasowałem tyle, żeby nadażać, ale niezmiennie zbyt rzadko, żeby stos się zmniejszył. Zobaczyłaby płyty dvd bardziej pasujące do sypialni piątoklasisty niż kapłana wchodzącego w wiek średni: relacja ze zdobycia World Series przez Red Soxów, dwie trzecie *Gwiezdných Wojen*. Może by zauważyła książki, które czytam, część na podłodze, część na stoliku, a część na telewizorze. Były tam książki o natchnieniu i interpretacje biblijne, jak również powieści, których akcja rozgrywała się w sądach, na posterunkach policji i w kancelariach prawnych - zagadki, którymi się rozkoszowałem tak, jak niektórzy ludzie science fiction.

Wydało mi się to, jak zawsze gdy ktoś widział wnętrze mojego domu, dość żałosne. I o ile domy większości samotnych mężczyzn są dość żałosne - w niektórych wypadkach stanowią świadectwa zaburzonego dzieciństwa, smutne, małe muzea samotności - moje wydawało mi się jeszcze żałośniejsze. W końcu byłem kapłanem. Uważałem, że powinienem wykroczyć poza godne politowania kurioza samotniczego życia. Zwykle się pocieszałem, że w moim domu przynajmniej nie ma porno i magazynów NASCAR, ale tamtego popołudnia wydało mi się to mizernym pocieszeniem.

- Jak się pani o nas dowiedziała? - spytałem. - Z gazet?

- Najpierw z gazet. A potem z wiadomości w telewizji. A potem jeszcze z Internetu.

- Ach, pięć minut sławy Haverill. Nasz rozgłos medialny. Cudownie.

Podniosła maselniczkę w kształcie fantastycznego okrętu podwodnego. Trochę przypominała płaszczkę z gimbussem na ogonie.

- Można by pomyśleć, że jest pan bardzo zły na media - mruknęła, przyglądając się okrętowi. - Z lektury gazet wywnioskowałabym coś innego.

- A mianowicie?

Podniosła wzrok na mnie, jej usta minimalnie się rozchyliły.

- Nie mam tyle pewności siebie - odpowiedziała. - Nie jestem też aż tak arogancka, przynajmniej mam taką nadzieję.

- Może mi pani powiedzieć. Bardzo mnie to interesuje.

- Naprawdę?



- Naprawdę.
- Pomyślałam, że to siebie obwinia pan za śmierć Alice i George'a Haywardów.
- To prawda.
- I pomyślałam, że obwinia pan swojego Boga.
- Obwinałbym, gdybym jakiegoś miał.
- Tak właśnie pomyślałam - powiedziała Heather Laurent. - I chyba dlatego tu przyjechałam.

**Z Przedmowy do**  
*Uświęconej chwili Heather Laurent (str. VI)*

Pewien gospodarz programu radiowego zapytał mnie kiedyś bezceremonialnie: „Naprawdę wierzy pani w magię? Tak z ręką na sercu?”.

„Z ręką na sercu - odparłam. - Naprawdę”.

„A myśli pani, że ludzie, którzy kupili pani książkę, też w tę magię wierzą?”.

Odparłam, że nie mogę się wypowiadać w imieniu ludzi, którzy kupili moją książkę. Ale było oczywiste zarówno dla mnie, jak i dla jego słuchaczy, że ta radiowa gwiazda uważa moją rozbudowaną dyskusję o magii w *Aniołach i aurach* za wariacki bełkot.

Więc go skarciłam.

„Większość osób na tej planecie wyznaje jakąś religię, do której podchodzi z pewną dozą powagi. A czym jest religia, jeśli nie wiarą w niewidzialne i niemożliwe? Pamiętaj pan, co mówi Jezus do Marka? „Dla Boga wszystko jest możliwe”. Magia to właśnie rozmaite sposoby czynienia możliwym niemożliwego - takie jak religia. Religia w gruncie rzeczy jest zrytualizowaną magią”.

Doświadczyłam już życia z magią i bez magii, i mogę powiedzieć z absolutnym przekonaniem, że życie z magią jest lepsze...

## ROZDZIAŁ TRZECI

W TAMTEN PONIEDZIAŁKOWY PORANEK po telefonie Ginny O'Brien poszedłem do domu Alice i George'a Haywardów. Na własne oczy zobaczyłem ciała. Kiedy już odjechało objazdowe stanowe laboratorium kryminalistyczne, wielu z nas pomogło w sprzątaniu domu - usuwaniu krwi ze ścian, szczątków czaszki i mózgu, które utkwiły w siatce drzwi przy kanapie, na której w chwili śmierci siedział George - tak że ani rodzina Alice, ani rodzina George'a nie musiały przyjeżdżać. Wszyscy chcieli mieć pewność, że Katie nie zobaczy najmniejszego choćby fragmentu szczątków swoich rodziców.

W ciągu kilku dni po tragedii poznaliśmy drobne szczegóły z ostatnich godzin małżeństwa - wówczas zdawało się, że mają wielkie znaczenie. Ginny O'Brien, chociaż wstrząśnięta, zachowała niezawodną pamięć i pozostała naszym źródłem wiedzy o chronologii wydarzeń.

Późnym popołudniem w niedzielę, tego samego dnia, w którym ochrzciłem jego żonę, widziała George'a Haywarda pijącego na werandzie. W czasie kolacji najprawdopodobniej był już pijany. Najwyraźniej był też pijany po kolacji: w kuchni i salonie naliczyliśmy trzydzieści otwartych, opróżnionych butelek po piwie, z których tylko kilka wypłukano, a dom - jak również ciało George'a Haywarda - cuchnął alkoholem. Śledczy z biura lekarza sądowego, łysiejący sierżant z policji stanowej z jajowatą czaszką, każdą butelkę pokrył proszkiem na odciski palców. Ostatni posiłek Haywardów na tym świecie składał się z purée z groszku i delikatnej fasoli strączkowej z ich ogródka warzywnego, sałatki z kurczaka, którą Alice zapewne przygotowała po południu, łyżki sałatki coleslaw, którą kupiła w sklepie w miasteczku kilka sekund przed zamknięciem, co w letnie niedziele następowało o piątej, a w pozostałe niedziele o trzeciej. Takie menu sugerowały stojące w zlewie naczynia, jak również resztki schowane do lodówki i (tego dowiedzieliśmy się później) rozpoznawalna, niestrawiona treść żołądka Alice.

Tamtego popołudnia Katie pojechała na koncert rockowy do Albany, a potem spędzała

noc u swojej koleżanki, Tiny Cousino, bliżej centrum Haverill. Większość ludzi uważała, że gdyby Katie była w domu tej nocy, nie powstrzymałoby to George'a od zamordowania Alice. Obecność nastolatki zwiększyłaby tylko liczbę ciał, które Ginny O'Brien znalazła następnego dnia.

W pewnym momencie, już po tym jak dwa ciała wyniesiono z domu, a furgonetka ze stanowego laboratorium kryminalistycznego odjechała, kiedy wielu z nas wciąż sprzątało w gumowych rękawiczkach - trochę z obrzydzeniem, trochę z otepieniem - przeszła mi przez głowę myśl. Obraz. George duszący Alice, kiedy ona już nie była w stanie z nim walczyć. Czy ich oczy się spotkały, zanim ona straciła przytomność? Czytałem gdzieś kiedyś, że aby kogoś udusić, nie można zwolnić uścisku długo po tym, jak ofiara straci przytomność i przestanie się szamotać. W przeciwnym wypadku ofiara złapie oddech i ostatecznie się ocknie. A co z tą dwójką, tak długo żyjącą w małżeńskim stanie? Co zobaczyli w swoich oczach, kiedy się mocowali? Najwyraźniej George nie zwolnił chwytu na jej szyi, kiedy już zwiotczała. A może jednak? Czy to możliwe, że ją uwolnił, zakładając, że nie żyje, ale potem ona zdołała się ocknąć, więc on musiał poprawić fuszerkę? Byłem w stanie to sobie wyobrazić, kiedy tamtego popołudnia podczas sprząwania przystanąłem na chwilę.

W każdym razie, zanim George zamordował swoją żonę, spił się tak, że siedząc przed telewizorem, na jakiś czas stracił przytomność. Około siódmej trzydzieści Alice przyciskała do ucha telefon bezprzewodowy, kiedy już zaniósła do zlewu naczynia po kolacji swojej i męża, i gadała z Ginny. Najwyraźniej Alice nierzadko czekała, aż jej mąż zaśnie, zanim się ośmieliła zadzwonić do którejś przyjaciółki - zwłaszcza do Ginny - chociaż uparcie nazywała zbiegiem okoliczności to, że George na ogół śpi albo jest nieobecny, kiedy ona rozmawia z pastorem albo, o wiele częściej, z różnymi miejscowymi kobietami.

- No, ktoś tu odpłynął - szepnęła do przyjaciółki tamtego wieczoru, niemal jakby miała na myśli półrocznego niemowlaczka, zdaniem ogółu naprawdę uroczego. Potem rozmawiały o sklepie z zabawkami George'a, który, jak powiedziała Alice, walczył o przetrwanie, kiedy z powodu wysokich cen paliwa zmniejszył się zwykły letni ruch turystyczny. Martwiły go też mniejsze obroty w jego restauracji z żeberkami - nowość dawno przejrzała - ale kiedy jedli, był raczej milczący niż wrogo nastawiony. Według relacji Ginny, rozmawiały też o chrzcie Alice tamtego dnia, o dwóch synach Ginny, uczniach szkoły średniej, i różnych obozach letnich, w których brali udział, a także o matce Ginny, u której zdiagnozowano alzheimera dwa lata temu, a której stan chyba znacznie się pogorszył. O ironio, Ginny nie powiedziała, że albo George pójdzie na terapię - czyż nie obiecywał, że pójdzie? - albo Alice powinna od niego odejść, albo jedno i drugie. Często to robiła. Ale

tamtego wieczoru nie. Nigdy nie rozmawiały o tym, jakie rozczarowanie przeżyła Ginny, kiedy jej przyjaciółka nie pojawiła się na przesłuchaniu po tym, jak w lutym uzyskała tymczasowy zakaz zbliżania się, ani później, kiedy w maju postanowiła pogodzić się z mężem.

Później Ginny powie policji, że zamierzała omówić swoje obawy z Alice raz jeszcze następnego ranka - przypominając jej, że nie powinna mu ustępować tylko dlatego, że zaklinał się, że się zmieni - podczas spotkania w Kole Kobiet.

Ludziom, którzy znali Haywardów tylko powierzchownie, do głowy by nie przyszło, że on ją bije. Alice dobrze ukrywała swoje rany i siniaki, a on rzadko tykał jej twarz. Niewykluczone, że ludzie wyczuliby między nimi napięcie, pochwyciliby to, co Heather Laurent może opisać jako aurę niepokoju (albo jawne niezadowolenie), ale założę się, że przypisywali to napięcie faktowi, że George borykał się z różnorodnymi przedsięwzięciami handlowymi w niepewnej sytuacji gospodarczej.

Prawda wyglądała tak, że od lat był agresywny i nadmiernie kontrolujący, winił Alice za wszelkie przeszkody, które napotykał na drodze do należącego mu, jego zdaniem, lekkiego życia. Od chwili ślubu zaczął ją odsuwać od rodziny mieszkającej w New Hampshire, a później od współpracowników w banku. Przy każdej okazji bez umiaru krytykował jej kuchnię i porządkę, a także nieudolne rozciąganie wąskiego budżetu, który jej przydzielał według swego widzimisie. Mówił jej, co powinna nosić, a czego nie: spodnie biodrówki i obcisłe dżinsy nie wchodziły w grę, podobnie jak rowerowe spodenki z lycry (wykluczone nawet na zajęciach gimnastyki), kuse bawełniane sukienki i także koszulki na stanikowych ramiączkach z klamerkami, modne tego lata. Mimo że jego sklepy sprzedawały nastolatkom niestosownie obnażające koszulki i mikroszpódniczki dżinsowe, ona miała się ubierać jak belferka.

Kiedy pewnego razu zaprezentowała mi ubrania, których nie wolno jej było nosić, westchnąłem po trochu z pasterskiej troski, a po trochu ze zmysłowej tęsknoty: ja bym chętnie ją zobaczył w każdej z tych rzeczy. Tymczasem Alice miała przywdziewać sukienki i spódnice nieeleganckie i smutne. Kiedy jednak po raz pierwszy zobaczyłem ją nagą, bez zdumienia stwierdziłem, że jest łakomym kąskiem. Była o rok ode mnie młodsza. Miała nogi gibkie i długie, brzuch twardy jak u tancerki.

Haywardowie mieszkali (i umarli) w okazałym Cape Cod, który zbudowali na dwóch akrach łąki, niegdyś stanowiącej część największej fermy mlecznej miasteczka. Nieruchomość wystawiono na sprzedaż właśnie w czasie, gdy rozważali wyprowadzkę z czteropokojowego mieszkania w Bennington, które wystarczało im w okresie niemowlęctwa

Katie, ale potem, kiedy miała ona sześć lat, wydawało się ciasne. Większość nieruchomości, w tym największe działki, trafiły do synów i córek farmera mlecznego, pokazań część dostał prawnik i jego żona z Westchester - Brooknerowie - a dwa akry z imponującym widokiem i niewielkim jarem, zwykle bagnistym w kwietniu i maju, kupili Haywardowie. Postawili tam śliczny i nowoczesny trzysypialniowy dom; George wiele prac wykonał w nim sam.

Mieszkali w nim niespełna dziewięć lat.

ALICE MIAŁA NA sobie koszulę nocną, ale nie poszła jeszcze do łóżka, kiedy George zacisnął ręce na jej szyi i zmiażdżył tchawicę, a także mięśnie podgnykowe. Lekarz sądowy ocenił, że gdzieś pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem George rzucił nią o ścianę przy oknie w salonie, najprawdopodobniej podniósł ją z podłogi i walnął tak mocno jej głową, że wgniół płytę kartonowo-gipsową. I zabił ją, kiedy ona wściekle i zajadle szarpała jego ciało. Tak podejrzewam, że musiała pojawić się tam wściekłość i zajadłość, choć sam nigdy nie widziałem, żeby Alice przejawiała jakąś wściekłość czy zajadłość.

Chociaż nikt poza Alice nie widział się z George'em w dniu jego śmierci, wszyscy przyjęliśmy, że cały czas miał na sobie ubranie, w którym go znaleziono: niebieskie dżinsy i granatowy T-shirt z kieszonką na piersi. Był boso, leżał osunięty na poduszki na kanapie, z jednym ramieniem rozłożonym na poduszce dekoracyjnej, drugim przewieszonym przez podłokietnik. George był praworęczny, a kula weszła w jego głowę tuż nad prawym uchem, niespełna trzy cale powyżej punktu, w którym szczęka stykała się z szyją, i wyłupała spory odłamek czaszki. Na palcach wisiał mu smith & wesson kaliber.357 ze stali nierdzewnej z kanciastą rękojeścią. Kula wyszła z czaszki trochę po lewej od jej szczytu i wbiła się głęboko w ścianę przy oknie.

Nikt nie słyszał strzału. Najbliższy dom należał do rodziny tego prawnika z Westchester, a w tamten weekend nie było ich w Haverill. Nikt też nie słyszał, jak tych dwoje walczyło, i tak samo nikt nie miał pojęcia, co dokładnie spowodowało wybuch George'a ten ostatni raz. Ginny O'Brien domniemywała następnego ranka, że pewnie uderzył Alice, a ona albo zareagowała jakoś niezwyczajnie, coś powiedziała, na przykład, że lepiej, żeby tego już nie robił, albo - a nawet bardziej prawdopodobne - że znowu go wyrzuci. Tym razem na dobre. Może wyprostowała się i powiedziała, żeby pakował się i znikał. Niewykluczone też, że to tylko niespełnione marzenia Ginny.

W każdym razie któregoś dnia po tym, jak Alice została zamordowana, pewna pastor, którą znałem od czasów seminarium - kobieta, która udzielała porad sporej liczbie ofiar (i sprawców) przemocy domowej - próbowała mnie przekonać, że rzeczywiście tak to właśnie

wyglądało. George pewnie uderzył Alice, a ona powiedziała mu, że dość tego, że koniec z nimi. Miała dość. George z kolei ostrzegł ją, że lepiej, żeby nie próbowała się ubrać. A kiedy ona krzyknęła, że jej nie powstrzyma, zabił ją. To klasyczny przebieg wypadków, powiedziała moja przyjaciółka.

Jej punkt widzenia? Alice Hayward chciała żyć. Nie spodziewała się śmierci, a ja nie przegapiłem żadnego oszałamiająco oczywistego sygnału na chrzcie. To nie była moja wina. Oczywiście, mojej koleżanki kapłanki nie było tamtego dnia w stawie. Nie знаła też - a używam tego słowa zarówno ze szczerością, jak i z poczuciem winy - historii Alice i mojej. Może gdyby Alice zostawiła walizkę, myślałbym inaczej. W mojej wyobraźni ta walizka leży po jej stronie ich łóżka, w środku jakieś pospiesznie spakowane ubrania. Ale nie było żadnej walizki. Nigdzie w sypialni nie było nawet małego stosu ubrań: żadnej koszuli, dzinsów, spodni, skarpetek. Nie potrzebowałem walizki na miejscu zbrodni, żeby wskrzesić swoją wiarę, ale potrzebowałem znaku, że tamtego wieczoru Alice przynajmniej zamierzała opuścić dom.

I JESZCZE TO. Jej matka powie mi, kiedy w poniedziałkowy wieczór siądziemy w kościele na składanych metalowych krzesłach, że Alice chciała umówić się na spotkanie z prawnikiem w Bennington i z adwokatem w schronisku dla kobiet. Twierdziła, jej matka, że Alice chciała się dowiedzieć, co musi zrobić, żeby chronić swoją córkę przed George'em na wypadek, gdyby przydarzyło się jej coś takiego - i tu jej matka machnęła ręką raz, jakby pacnęła muchę, a potem wybuchnęła szlochem. Alice nauczyła nawet swoich rodziców nowych wyrażeń: pozbawienie i ograniczenie praw rodzicielskich. Chciała, twierdziła jej matka, mieć pewność, że George nie miałby wpływu na Katie, gdyby morderstwo uszło mu na sucho.

- Mówiłam jej, żeby się wyprowadziła, ale... ale ona nie słuchała - wyjąkała przez łzy, kiedy siedzący na sąsiednim krześle mąż niezgrabnie pocierał jej ramiona i kark.

I gdybym potrzebował jeszcze jakiegoś dowodu na słuszność swoich podejrzeń, to spoczywał on w czerwonym filcowym pudełeczku na biżuterię, o którym Katie powiedziała nam tamtego popołudnia: dwa dni przed swoją śmiercią, w piątek, Alice wzięła kolczyki z rubinem i brylantem i perłowy naszyjnik, które kiedyś należały do jej babci - prababci Katie - i dała je swojej córce, nakazując je schować.

DO KOŚCIELNEGO KOŁA Kobiet należało jakieś piętnaście członkiń naszego zgromadzenia. Spotkania miały w poniedziałkowe poranki o siódmej, aby uczestniczyć w nich mogły także te z nich, które pracowały poza domem, za każdym razem w salonie, na tarasie czy kuchni

innej pani. Rzadko stawiała się cała piętnastka; zwykle przychodziło jedenaście, dwanaście. Spotkania na ogół trwały do dziewiątej trzydzieści albo do dziesiątej, przy czym członkinie, których rozkład zajęć wymagał wcześniejszego wyjścia, opuszczały spotkanie, kiedy musiały. Na przykład w trakcie roku szkolnego Ginny zostawała w poniedziałki tylko do siódmej czterdzieści pięć, ponieważ tuż przed ósmą musiała się stawić w szkole. Alice z kolei pracowała w banku od wtorku do soboty, więc nigdy nie wychodziła przed czasem. Słyszała z tego, że zostaje do samego końca, ze starszymi paniami, które były już na emeryturze, dzieci miały dorosłe i nigdzie już nie musiały chodzić. Kiedy zasugerowałem Koło Kobiet Alice - podsunąłem jej ten pomysł pewnego wieczoru, gdy byliśmy sami na plebanii - myślałem, że miną tygodnie albo nawet miesiące, zanim ewentualnie zbierze się na odwagę, by skontaktować się z którąś z nieformalnych przewodniczących grupy. Widziałem, jak gruntownie George zniszczył jej pewność siebie i poprzecinał więzy z tyłoma jej przyjaciółkami - z taką wielką częścią świata. Rozważałem, czy nie lepiej, by do niej zwróciła się któraś z pań. Ale myliłem się. Po kilku dniach Alice skontaktowała się z kobietą najbliższą jej wiekiem, Ginny O'Brien, i spytała, czy mogłaby przyjść na najbliższe spotkanie. Fakt, że grupa spotykała się właśnie w ten dzień, kiedy Alice miała wolne, wydawał się dobrym znakiem.

I nie mam wątpliwości, że nowe koleżanki dały Alice wytchnienie - a także, owszem, lepsze wsparcie niż ja. Niemniej jednak tylko Ginny знаła ogrom brutalności George'a, a Alice zakazała jej wspomnienia o tym w Kole Kobiet.

Po śmierci Alice wielu dorosłych członków Kościoła czerpało wielkie pocieszenie z przynależności Alice do tej grupy. Parafianie często mi mówili w ciągu czterech dni przed moim wyjazdem, że gdyby Alice nie należała do Koła, ciała Haywardów pewnie znalazłaby następnego ranka albo popołudnia ich córka, po powrocie od Tiny Cousino. Tymczasem to Ginny O'Brien zaalarmowała świat, że małżeństwo nie żyje. Tego dnia koleżanki gościła Joanie Gaylord, a gdy Alice nie przyszła, Ginny do niej zadzwoniła. U Haywardów, oczywiście, nikt nie odbierał. Kiedy więc spotkanie się zakończyło około dziewiątej trzydzieści, Ginny zdecydowała, że zajrzy do domu przyjaciółki. Wtedy po południu powiedziała mi, że miała złe przeczucie, kiedy jechała podjazdem do zwykle nieskalanego zielonego Cape i zobaczyła, że pies Haywardów, Lula, śpi na ganku. W zasadzie jeszcze zanim otworzyła frontowe drzwi, wiedziała, co się wydarzyło.

Wiedziała, jak mówiła, ponieważ salon znajdował się zaraz po prawej, przy holu, tak więc ze schodków wejściowych widziała ciało, kości i mózg, niegdyś należące do George'a Haywarda, po wewnętrznej stronie drzwi siatkowych.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

NIE MA ŁATWEGO, a jednocześnie szczerego wyjaśnienia dla mojej decyzji o wstąpieniu do stanu duchownego. Każde wyjaśnienie jest albo łatwe, albo szczerze.

Łatwa odpowiedź - i tej udzielałem najczęściej wyjątkowo gorliwym albo zasadniczym wiernym (których nie brak, nawet pośród baptystów w Nowej Anglii) - to anegdota, którą mi opowiedział jeden z moich bardziej uczonych wykładowców w seminarium. Jako młody absolwent miał objąć posadę w biednej wiejskiej parafii w Wirginii Zachodniej. Pewnego niedzielnego poranka wygłosił kazanie w tamtejszym kościele. Nawet on sam uznał je za raczej intelektualne niż natchnione, raczej rozwlekłe niż mądre. Nie było najlepsze. Po mszy stary diakon - górnik węglowy, który jakimś cudem dożył siedemdziesiątki, nie zapadając na żadną z żalonych chorób płuc, które zwykle znaczą koniec życia górnika - podszedł do niego i spytał głosem ociekającym ironią: „Was to Bóg do nas zesłał czy tylko przyjechaliście?”. Mój wykładowca zrozumiał w lot, co diakon sugeruje: jemu, młodemu pastelowi, jakby brakowało pasji i przekonania. Wydawał się zwyczajnie stwarzać pozory posługi. Tak więc kiedy ludzie mnie pytają, dlaczego zostałem kapłanem, a ja widzę po pytaniu, że chcą odpowiedzi wyśpiewanej z zielonoświątkową żarliwością, opowiadam tę historię, zawsze kończąc niewierzącym we własne siły wzruszeniem ramion i uwagą: „Mogę tylko wyrazić nadzieję, że zesłał mnie Bóg”.

Szczera odpowiedź jest bardziej skomplikowana. Pod pewnym względem zostałem zesłany. Albo natchniony. Albo powołany. Ale samo moje powołanie nie miało postaci jednego grzmiącego zaproszenia z góry (czy naprawdę komukolwiek to się zdarza?) ani nawet jednego ewidentnego doświadczenia Chrystusa żywego. Kiedy miałem lat dziesięć i jedenaście, przejawiałem raczej typowe dla chłopca zainteresowanie wszystkim, co straszne i przerażające, wszystkim, co powoduje, że serce bije trochę szybciej: zabójcy-rzeźnicy, seryjni mordercy i te upiory, które czają się pod naszymi łózkami. Brzydactwa, ale całkiem typowe. A potem oczywiście pojawił się łatwy do przewidzenia szeroki wybór wilkołaków,

wampirów, mumii, obcych, zabójczych robotów, psychotycznych cyborgów i rozmaitych zombie i dziwolągów, gęsto zaludniających przedstawienia i filmy produkowane licznie ku mojej rozrywce i ku wywołaniu niespokojnych, gorączkowych koszmarów. Moi przyjaciele w Bronxville i ja rozkoszowaliśmy się filmami z potworami, ilekroć w lecie wyświetlało je kino naprzeciwko stacji kolejowej, i w pojedynkę lub grupowo śledziliśmy wygenerowane komputerowo okaleczanie, które teraz kojarzy mi się ze staroświecką i prymitywną grą wideo. Moja fascynacja tego rodzaju jatką i przemocą nie była nadzwyczajna ani nie świadczyła o potencjalnie groźnych zaburzeniach osobowości. Biorąc pod uwagę zawsze chwiejny stan małżeństwa moich rodziców, nie opisałbym swojego dzieciństwa jako nieskazitelnego czy błogiego. (Kilka lat później, kiedy oznajmiłem swoją decyzję o wstąpieniu do szkoły teologicznej, moja siostra zauważyła, że przechodzę od sporu do zboru). Ale też moje dzieciństwo nie było przesadnie bolesne czy przerażające. Wiosną grałem w bejsbolowej lidze młodzieżowej, jesienią w footballowej. Zimą grałem w hokeja na lodzie i jeździłem na nartach. Mój ojciec był głównym kadrowym w wielkim banku inwestycyjnym i wraz z wieloma rodzicami moich przyjaciół dojeżdżał na dolny Manhattan. Co rano zbierali się jak gołębie na stacji przy kinie. Matka pracowała w magazynie podróżniczym, ale po trzydziestce porzuciła redakcję, żeby zostać w domu i wychowywać moją siostrę i mnie. Ojciec był od niej o dziesięć lat starszy. Ich małżeństwo na pewno nie uniknęło osobliwości charakterystycznych dla lat siedemdziesiątych, ale pojawiające się w nim konflikty miały więcej wspólnego ze specyfiką charakteru moich rodziców niż z naturą ich przyjaciół. O ile wiem, nikt w tym towarzystwie nie zamieniał się małżonkami na basenowych przyjęciach w lipcu i sierpniu. I chociaż ja od czasu do czasu popalałem marihuanę, używką z wyboru był przejrzysty, brązowy alkohol: dorośli zachęcali siebie nawzajem do picia szkockiej tak, jak namawiali dzieci do picia mleka.

Jako nastolatek słuchałem dużo muzyki heavymetalowej i punkowej, wytapetowałem ściany swojego pokoju plakatami sportowców oraz gwiazd rocka. Miałem dziewczynę, ale zgodnie z wzorcem, który stosowałem również w latach college'u i w życiu dorosłym, wycofywałem się, gdy tylko stawało się oczywiste, że związek osiąga to, co piloci cywilni nazywają punktem  $V_1$ , punktem decyzji: albo odrywamy się od ziemi i stajemy się parą na poważnie, albo rezygnujemy ze startu i rozchodzimy się każde w swoją stronę. Niezmiennie podejmowałem decyzję o zwolnieniu obrotów, jeśli moja dziewczyna sama wcześniej nie okazała chęci zmniejszenia prędkości.

W pewnym momencie w liceum, kiedy na lekcjach historii omawialiśmy imperium rzymskie, moje rozmiłowanie we wszystkim, co makabryczne i sensacyjne, znalazło nową

fiksację: ukrzyżowanie. Mój ojciec wychował się jako baptysta w południowym Vermoncie - to zapewne jeden z powodów, dla których tu trafiłem - a mama była prezbiterianką z pobliskiego przedmieścia w Westchester. Do siódmego roku życia wraz ze starszą siostrą uczęszczałem do szkółki niedzielnej w miejscowym kościele baptyistów, ale kiedy byłem w drugiej klasie, przestaliśmy regularnie chodzić do kościoła. Rodzice zmęczeni swoimi kłótniami, ciągłymi zarwanymi nocami w piątki i soboty, pracą ojca i zwykłym wychowaniem dwójki dzieci. Staliśmy się chrześcijanami wielkanocno-bożonarodzeniowymi, pojawiając się w kościele ledwie dwa razy do roku, a moje duchowe poszukiwania chrześcijanina utknęły w martwym punkcie gdzieś pomiędzy drugą klasą a moim młodzieńczym pragnieniem, by spać do południa w niedzielne poranki.

Ukrzyżowanie to zmieniło. Zahipnotyzowała mnie cała idea, że imperium tak cywilizowane jak Rzym - w filmach, które kształtowały moje pojęcie o świecie antycznym, Rzymianie zawsze charakteryzowali się nienaganną ogładą i bez trudu wtopiliby się w środowisko Bronxville albo Pelham - postrzegało ukrzyżowanie jako sensowną i stosunkowo powszechną formę wymierzania sprawiedliwości. Byłem zbulwersowany, ale również zafascynowany. Nigdy się nie dowiemy, ilu dokładnie ludzi ukrzyżowano, kiedy wreszcie stłumiono powstanie niewolnika Spartakusa, ale według jednej z relacji przy drodze z Kapui do Rzymu stanęło sześć tysięcy krzyży. Oczywiście to nie same liczby uczyniły ukrzyżowanie równocześnie odrażającym i hipnotyzującym, to makabryczne szczegóły egzekucji. Gwoździe grube jak markery i długie na jakieś pięć cali wbijane przez kości dłoni albo - kiedy już Rzymianie udoskonaliли technikę - przez kości nadgarstka. Kolejny, jeszcze dłuższy gwoździec, niemal siedmocalowy w wypadku szkieletu ukrzyżowanego wykopanego w Givat HaMivtar - wbijano w piąty stóp. Albo w kostki. Albo w kości śródstopia. (Przespacerujcie się równie pół godziny przez galerię Uffizi we Florencji: niemal przez tysiąclecie wielkich europejskich artystów ciągnęło do tych gwoździ). Ciało wieszano na krzyżu w śródziemnomorskim upale na godziny albo - nierzadko - na dwa i trzy dni, przestępcy albo więźniowie byli w pełni świadomi, w niewymownej agonii.

A jednak nie te gwoździec zwykle zabijały ofiarę. Umierała ona w wyniku uduszenia. Koniec końców ani ramiona, ani nogi ofiary nie mogły już choćby chwilę dłużej podtrzymywać klatki piersiowej i ciężar własnego ciała sprzysięgał się z grawitacją, by zdusić płuca.

To była tortura najmakabryczniejszego rodzaju, przemoc wymierzona w ciało, taka, że moim zdaniem pisarze i filmowcy rzadko potrafią ją przedstawić. Jedynie ludzie (i pod tym pojęciem rozumiem zarówno jednostki, jak i grupy jednostek działające w porozumieniu jako

tłum i - niestety - jako naród) z uderzająco złym usposobieniem są zdolni do takiego szaleństwa. Takiego okrucieństwa. Takiego zła. Myśl, że ktoś, Jezus Chrystus, wystawił się na to dobrowolnie, nie dawała mi spokoju. Pamiętam, że w pewien wielkanocny weekend wypożyczyłem wszystkie biblijne eposy, które wypożyczalnia wideo miała na składzie, i oglądałem je całymi godzinami. Tamtego miesiąca ślęczałem nad różnymi relacjami z dnia, w którym umarł Chrystus. Bishop, Bouquet i William, Morton i Zeitlin i pisarze - czterech czy czterdziestu, czy czterystu ich było, nigdy się tego nie dowiemy - kryjący się za ewangeliami synoptycznymi i tą wyjątkowo mistyczną czwartą Ewangelią według św. Jana.

W college'u, rodzaju niewielkiej szkoły nauk humanistycznych, do której chodziło wielu z nas z Bronxville, niejako naturalnie, w bardziej zorganizowany sposób kontynuowałem swoje samotne i niedookreślone studia. Specjalizowałem się w religii. Zacząłem chodzić do kaplicy. Potem, w starszej klasie, kiedy zastanawiałem się nad wyborem zawodu, wciąż wracałem do prawdy, że od ośmiu lat najbardziej mnie interesuje religia, i dlaczego jeden człowiek - człowiek, który według mnie bez wątpienia rzeczywiście chodził po tej ziemi dwa tysiące lat temu, bez względu na to, czy naprawdę był tym, kim mówił, że jest - miałby chcieć umrzeć na krzyżu. Złożyłem podania do wielu szkół duchownych i seminariów i wybrałem to znane ze swojej liberalnej teologii i światowości, blisko Bostonu. Kiedy przybyłem do seminarium, nie czułem jakiejś wybitnej żarliwości, i przez jakiś czas żałowałem, że nie wstąpiłem po prostu do Korpusu Pokoju albo nie zostałem nauczycielem w (zakreśl jedną możliwość) podupadłej części śródmieścia albo w Appalachii, albo w rezerwacie Indian Navajo: każda z tych dróg, Korpus Pokoju czy nauczyciel w szkole państwowej, wydawała mi się o wiele lepszym sposobem na istotne zmienienie świata. Niewątpliwie miałem słuszność, ponieważ początkowo wyobrażałem sobie, że po studiach w szkole teologicznej najprawdopodobniej pewnego dnia zostanę nauczycielem religii w dokładnie takim college'u, który sam skończyłem. Taki z grubsza miałem plan.

Ale rzeczywiście wierzyłem, że Chrystus umarł na krzyżu, a potem zmartwychwstał. I z coraz cieplejszym uczuciem - niezupełnie żarem, ale na pewno zaabsorbowaniem - zacząłem dostrzegać możliwość poświęcenia życia służbie kapłańskiej. Wyobrażałem sobie większą parafię w Nowej Anglii, zgromadzenie trochę takie jak zbór baptystów, do którego należeli moi dziadkowie w Vermoncie. Pod koniec trzeciego i ostatniego roku potrzeby zgłoszone przez radę zboru z niewielkiego kościoła w Haverill w Vermoncie dobrały się z moimi skonkretyzowanymi pragnieniami. Rada trochę się troskała, że nie jestem żonaty: podobnie jak wiele kościołów, chcieli, żeby ich pastor miał żonę, choćby dlatego, że małżonka kapłana, szczerze mówiąc, wykonuje sporą część obowiązków związanych z

funkcjonowaniem parafii. Instynkt podpowiadał im jednak, że nie narażę ich na skandal ani nie zawiodę ich zaufania, i że odpowiednio szybko znajdę sobie żonę. Nieco ponad godzinę jazdy od Haverill znajdował się kościół moich dziadków, a tamtejszy pastor zapewnił diakonów i zarządców w Haverill, że rodzina Drew to porządni ludzie, w gruncie rzeczy rękując za mój charakter, chociaż znał mnie - delikatnie mówiąc - pobieżnie: jako wnuka Fostera i Amy Drew, którzy niedawno właśnie zmarli, oraz syna Richarda Drew, który wyjechał z Vermontu jakieś czterdzieści pięć lat temu.

Instynkt, oczywiście, zawiodł ich w obu przypadkach. Ale wtedy ten wybór wydawał się stosunkowo dobry i zdaniem większości świata czternaście lat mojej służby to potwierdzało.

- GDZIE JEST TERAZ Katie? - spytała mnie Heather Laurent w tamto czwartkowe popołudnie, kiedy siedzieliśmy na ganku. Słońce wreszcie przepaliło się przez mleczny całun na niebie i właśnie zaczęło chylić się ku zachodowi. Cienie drzew rozsiewały się niczym mech po moim podwórku.

- Z przyjaciółką Alice, Ginny O'Brien. Tak samo jak rodzice Alice, dziadkowie Katie przyjechali z Nashua w poniedziałek rano, kiedy tylko się dowiedzieli. I cały czas tu są.

- Będą w Haverill w trakcie pogrzebu?

- Och, zdecydowanie tak. I pewnie później też.

- A rodzina George'a?

- Pochodzą gdzieś spod Buffalo. I zatrzymali się w Albany.

- Trzymają się z daleka?

- Tak.

- Rozmawiał pan z rodzinami?

- Tak, z obydwoma.

- Wie pan, nabożeństwo żałobne za Alice zamieni się w cyrk - mruknęła i po raz pierwszy zauważyła jaskółki, które gnieździły się pod okapem ganku nad moim ramieniem. Matka wydawała się zadowolona, że dzieli się ze mną przestrzenią - w końcu właśnie tutaj zbudowała gniazdo - ale samiec rzadko zostawał u jej boku, kiedy wychodziłem na ganek. Diakon, który kochał zwierzęta, przezwał je Lil i Phil.

- Będzie to wielkie przedsięwzięcie - zgodziłem się. - Ale najgorsza będzie obecność przyjaciółek Katie. Tych wszystkich nastolatków z Koła Młodych. Wiem, że płakać też będą przyjaciółki Alice, ale to łzy nastolatka najtrudniej mi będzie oglądać z ambony. Cyrku bym się jednak nie spodziewał.

- Przyjadą media.
- To prawda.
- Dla pana to będzie trudne, prawda?
- Powiedziałbym, że raczej nieprzyjemne.
- Na kiedy zaplanowano uroczystości?
- Na czwartek. Pojutrze.
- Zapewne w waszym kościele.
- Oczywiście.

Westchnęła. Potarła ramiona, jakby było jej zimno, ale w to akurat popołudnie chłód raczej nie wchodził w grę. Po raz pierwszy zauważyłem, że ma palce pianistki: smukłe i długie, ze starannie wypielegnowanymi paznokciami. Pokryła je bezbarwnym lakierem, który odbijał słońce, kiedy trzymała dłonie pod odpowiednim kątem.

- Biedne dziecko - powiedziała łagodnie. - Biedne, biedne dziecko.
- Młoda kobieta - poprawiłem ją. - Ma piętnaście lat.
- Zna ją pan dobrze?

- Tak. Jest bystra. Zabawna. Bywa tu i ówdzie. Już się w zasadzie nie udziela w Kole Młodych. Chciałbym, żeby się udzielała. Ale to dobre dziecko, dobrze się uczy. Zwykle występuje w przedstawieniach teatralnych. W tej chwili jej największym przejawem młodzieńczego buntu jest mały kolczyk w prawym nozdrzu.

- Ojciec jej na to pozwolił?

- Oboje rodzice byli zaskoczeni. Ojciec nie przyjął tego dobrze - dodałem, chociaż wiedziałem, że ukarał tylko Alice.

- Pamiętam, jak ja sobie przekłułam uszy.
- Bunt?
- Emancypacja.
- Katie sobie poradzi. Przejdzie przez to.

- Tak, przejdzie. Ale i tak z obrzydzeniem wyobrażam sobie, co widziała w tym domu przez lata.

- Była w domu od tamtego czasu?

- Nie. Kilkoro z nas, mama jej przyjaciółki Tiny, Ginny i ja, spakowaliśmy ubrania, które uznaliśmy za najbardziej potrzebne. Buty. Tenisówki. Koszulę nocną. Kosmetyki, trochę biżuterii. Ale nie mam pojęcia, czy przynieśliśmy rzeczy, które naprawdę były dla niej ważne. Właściwą bluzę, na przykład. Właściwego misia. Proszę sobie przypomnieć swoje dorastanie i jak wyglądała pani pokój, kiedy pani miała piętnaście lat, ile

ubrań pani pewnie przymierzyła, zanim znalazła to, co naprawdę chce włożyć. Stosy rzeczy na podłodze były wręcz niewiarygodne. Kupy ciuchów. Stosy płyt dvd i cd, książek. Kable do iPodów, komórki i laptopa, sam laptop też. Nie miałem pojęcia, która muzyka jest dla niej ważna, a która nie - którą już wrzuciła do iPodów, a którą dopiero zamierza załadować w wolnej chwili. Szufladę biurka wypełniały same trolle, pudełka biżuterii i zmywalne tatuaże. Może ich nie tknęła, odkąd skończyła siedem lat. Ale może to było dla niej w tym pokoju najważniejsze. Po prostu nie miałem pojęcia. Żadne z nas nie miało. Pewnie więc w którymś momencie Katie wróci do domu. Nigdy już nie będzie w nim mieszkać, ponieważ ma dopiero piętnaście lat. Ale będzie musiała wejść do środka.

- O, nie zgodzę się. Może chce wrócić. Ale oczywiście każdy zrozumie, jeśli nie będzie chciała, jeśli odmówi powrotu. Jestem pewna, że pan albo jej przyjaciółki, albo inni rodzice chętnie spakują dla niej wszystko.

- Pewnie ma pani rację.

- Gdzie będzie mieszkać? - Wydawało się, że zadaje to pytanie z wielką ostrożnością, może dlatego, że bała się, że mnie uraziła, nie zgadzając się ze mną. A prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodziło. Mówiła sensownie.

- Są różne możliwości - odparłem. - Jedna to dziadkowie w Nashua. Ale może będzie mieszkać tutaj, w Haverill z rodziną Cousino, rodziną swojej przyjaciółki. Może będzie chciała skończyć liceum w Vermoncie i zostać z dziećmi, które zna od szóstego roku życia.

- A tym Cousinom to odpowiada?

- Tak zrozumiałem.

- Rozmawiał pan z Katie?

- Tak. - Tym razem rzeczywiście poczułem się trochę urażony. Jako jej pastor odwiedziłem Katie i wczoraj, i dzisiaj, tak więc moja odpowiedź mogła zabrzmieć trochę szorstko. Później miałem nadzieję, że sprawiłem wrażenie tylko zaskoczonego.

- Jak by pan określił jej stan?

- Jest zdruzgotana, oczywiście. W szoku. Ale robi to, co musi. - To była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy. - Przettrzymała przesłuchanie przez policję stanową, która zbierała informacje o jej rodzicach, jak również pytania kuratora i terapeuty, i dobrowolnie udzieliła wszelkich informacji, jakich od niej zażądano.

- Jest strasznie zła na ojca?

- A pani by nie była?

Kiwnęła głową.

- Ale jestem pewna, że ma też żal do matki.
- Że się nie wyniosła?
- Że dopuściła do tego. Że była ofiarą.
- Wyobrażam sobie, że coś takiego również czuje.
- Chciałabym z nią porozmawiać. To między innymi z jej powodu tu przyjechałam.

Myśli pan, że to byłoby możliwe?

- To na pewno możliwe. Ale nie jestem pewien, czy stosowne. Katie ma już do dyspozycji małą armię terapeutów od bólu, amatorów i zawodowców.

- Czy dom ma jeszcze status... jak to się mówi... miejsca zbrodni?

- Nie. Policja stanowa i śledczy z laboratorium kryminalistycznego zakończyli prace na miejscu już w poniedziałek. Było dość oczywiste, co się stało. Wiele z wczorajszego dnia mi się zamazuje, ale chyba większość urzędników zniknęła około czwartej trzydzieści, może piątej.

- Ach, urzędników.

- Wie pani, co mam na myśli. Lekarz sądowy. Detektywi.

- Mogę zobaczyć dom? Czy to też jest niewłaściwe?

- Drzwi są zamknięte. Ale chyba Ginny ma klucz, więc jeśli ma pani ochotę...

- Ochota to może nie jest najwłaściwsze słowo - poprawiła. - Ale rzeczywiście chcę zajrzeć do domu.

- Wizyta w składnicy książek podczas pobytu w Dallas?

- Coś w tym rodzaju.

Wzruszyłem ramionami.

- Zadzwoń do Ginny. Możemy razem pójść z wizytą.

- Mogę pana o coś zapytać?

- Od pół godziny zadaje mi pani pytania.

- Dlaczego wini pan siebie za śmierć George'a i Alice Haywardów?

- Nie winię siebie, tak w zasadzie - odparłem, bardzo uważając, żeby mówić równym głosem, z monotonią rozsądku. - Ale obawiam się, że dałem Alice pozwolenie.

- Żeby umarła.

- Tak.

- Na chrzcie, o którym mi pan mówił.

- Właśnie.

- To pan udzielał im ślubu?

- Nie. Pobrali się w Bennington, zanim się poznaliśmy.



- Chciał pan, żeby ona od niego odeszła? Dała mu kopa albo żeby się wyniosła w cholerę z tego domu i nigdy nie wróciła?

„Tak - pomyślałem. - Z perspektywy czasu wiem, że chciałem, żeby się wyniosła z tego domu. Przez chwilę może nawet chciałem, żeby się wprowadziła do mojego. Na tę plebanie”. Ale oczywiście nie powiedziałem tego. Bo nikt o tym nie wiedział. Bo Alice i ja ledwie skradaliśmy się wokół takiego wyobrażenia, nawet kiedy byliśmy sami w jej domu, zadowoleni w oparach postkoitalnego odrętwienia - kiedy zwykle wszystko wydaje się możliwe i wszyscy kochankowie są optymistami.

- Tak - odparłem tylko. - Niezmiennie miałem nadzieję, że zabierze Katie i ucieknie. Wyjedzie dokądkolwiek. Wprowadzi się do rodziców w Nashua. Wprowadzi się do Ginny. Może znajdzie sobie mieszkanie w Bennington.

- To nie takie łatwe. Emocjonalnie i finansowo.

- Wiem. Poślubiła złego człowieka. Potrzebowałaby kogoś, kto by ją chronił. Ale i tak żałuję...

- Czego pan żałuje?

- Nie lubię patrzeć na klęskę małżeństwa. - Nie to zamierzałem powiedzieć, ale coś powiedzieć musiałem.

- Co Bóg złączył, niech człowiek się nie waży rozłączać?

- Coś w tym rodzaju. I czasami obawiam się, że ona próbowała zachować to małżeństwo ze względu na Katie.

- To śmieszne, wie pan?

- Wiem. I czasami obawiam się, że tak się trzymała tego małżeństwa, bo się bała, bo nie wiedziała, co się z nią stanie, jeśli tego nie zrobi.

- Z dwojga złego lepsze to, co się zna.

- Właśnie.

- A jej przyjaciółki? Czego one chciały?

Rozumiałem, do czego zmierza, i miała rację.

- Wiem, że Ginny chciała, żeby ona się rozwiodła. Nienawidziła George'a. Uważała, że jest absolutnie nikczemny. Bardzo się cieszyła, kiedy Alice uzyskała tymczasowy zakaz zbliżania się, po którym on na kilka miesięcy zamieszkał w ich domku nad jeziorem Bomoseen.

- Kiedy to było?

- Tuż przed walentynkami. Wrócił krótko przed Dniem Pamięci.

- Niezbyt dawno.

- Nie.

- Więc uzyskała zakaz zbliżania się...

- Tymczasowy. Policja doręczyła go George'owi do biura w poniedziałkowe popołudnie. Tydzień później było wyznaczone przesłuchanie. Ani Alice, ani George się na nim nie pojawili.

- Typowe.

- Tak przypuszczam. Proszę mi powiedzieć, jest pani mężatką? Pewnie nie, bo nie nosi pani obrączki. - Myślę, że dopytywałem się głównie dlatego, że potrzebowałem wytchnienia od jej pytań. Ale jest też możliwe, że na pewnym poziomie wciąż czułem się duszpasterzem - chciałem dać jej szansę, by przez chwilę opowiedziała o sobie. Może byłem już duszpasterzem na pół gwizdka - może byłem na pół gwizdka od miesięcy - ale ciężko się pozbyć starych nawyków.

- Nie jestem. Ale pewnego dnia będę, ponieważ na punkcie ślubów mam obsesję godną sześciolatki - odparła i potrząsnęła głową, jakby przeżywała jakąś drobną, chwilową ekstazę. - Ze wszystkich rytuałów przejścia, które tworzy kultura, śluby są chyba najpiękniejsze. I może najbardziej tajemnicze.

- No, ja na pewno wolałem odprawiać śluby niż pogrzeby.

- Wolałem? Dlaczego czas przeszły? Czyż to nie trochę melodramatyczne?

- Nie.

- Pan naprawdę uważa, że jest skończony? - uśmiechnęła się. - Niech pan da spokój, pańska wiara jest aż tak krucha?

Westchnąłem. Po drugiej stronie ulicy szemrała rzeczka, piszczały nad nią jakieś dzieci. Jaskółka poprawiła się na jajach, dzióbkiem chwytając na skrzydle coś dla mnie niewidocznego. I gdzieś niedaleko zaszczekał pies. Przed laty, przypomniałem sobie, kiedy zaczynałem college i należałem do czegoś, co niektórzy uczniowie lekceważąco nazywali Bożym Szwadronem, zapytał mnie - może raczej należałoby powiedzieć, że to nie było pytanie, lecz wyzwanie - kolega z klasy, który postrzegał siebie jako ateistę, jak wyjaśnię Auschwitz i raka, i tajfuny w Bangladeszu, które utopiły dziesiątki tysięcy ludzi. Kiedy siedziałem na ganku tamtego pierwszego popołudnia z Heather Laurent, zastanawiałem się, co powiedzieć; mój świat skurczył się do takiego stopnia, że nie umiałem sobie przypomnieć, jak zareagowałem. Nie byłem pewien, co czułem - oprócz, oczywiście, sporego smutku normalnej rozumnej osoby - przy tych wszystkich pogrzebach, na których odprawiałem nabożeństwo, i w tych wszystkich przypadkach, kiedy siedziałem przy łóżkach w szpitalach i domach opieki i trzymałem ludzi za rękę w chwili śmierci. Kiedy mój ojciec wydał ostatnie

tchnienie w sali szpitalnej i wypowiedział ostatnie słowa, zanim stracił przytomność: „Idźcie. Idźcie sobie”. (Nie poszedłem. Moja mama, siostra i ja zostaliśmy do końca). Patrzyłem na ich odejście z czymś, co musiało im się wydawać pewnością i spokojem, wiarą trwałą i niewzruszoną jak ciężki garnek do makaronu wiszący na haku nad kuchenką na plebanii. Ale teraz coś się zmieniło: zupełnie jakby czas albo rdza wyżarły wielką dziurę w dnie tego garnka i moja wiara wyciekła nią niczym ciepła woda. Nie było tu wysłuchanych modlitw. Zamiast więc odpowiedzieć na pytanie Heather, zauważyłem:

- Tyle rzeczy w tej chwili dzieje się w twoim życiu, a ty przyjechałaś tutaj?

- I to cię dziwi.

- To mnie wprawia w osłupienie.

- Nie powinno - powiedziała.

- Nie?

Pokręciła głową.

- Ani trochę. Mój ojciec straszliwie bił moją matkę.

Na to wyznanie żołądek mi się ścisnął, ale po latach pastorskiego trzymania za rękę zachowałem pozorny spokój i wypowiedziałem słowa, które prawdopodobnie wypowiadałem setki razy każdego roku swojego kapłańskiego życia:

- Bardzo mi przykro. Bardzo, bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie. Nie ty ją biłeś.

- Niemniej jednak... przykro mi.

- Nie, nie, nie. To mnie jest przykro. Nie powinnam zasuwać ci takiej bomby.

Przyzwyczaiałam się, że większość ludzi wie.

- Wie?

- Sporo o nich napisałam w *Aniołach i aurach*.

- Rozwiedli się?

Spojrzała na mnie, na klony za moim domem i znowu na mnie, prosto w moje oczy.

- Nie żyją. Kiedy miałam czternaście lat, kilka miesięcy po tym, jak wyjechałyśmy z siostrą do szkoły z internatem, ojciec zabił moją matkę. A potem siebie.

## Heather Laurent, *Anioły i aury*, s. 51-52

...a potem siebie.

Dyrektor szkoły, który przez ostatnie pół godziny zdawał się na szkolnego psychiatrę, w końcu się odezwał. Spytał moją siostrę i mnie, co chcemy robić, ale żadna z nas nie odpowiedziała. Nie mogłyśmy, ponieważ żadna z nas nie potrafiła udzielić mu takiej odpowiedzi, jakiej potrzebował. Co chciałam robić? Mój Boże, miałam czternaście lat. Chciałam, żeby moja mama wróciła. Chciałam cofnąć się w czasie. Chciałam wiedzieć, gdzie będę mieszkać - kto się o mnie zatroszczy. Chciałam się nauczyć prowadzić samochód. Te rzeczy przychodziły mi na myśl w odpowiedzi na jego pytanie, takie pierwsze potrzeby mnie naszły. A czego chciała moja siostra? Miała szesnaście lat, pewnie chciała mniej więcej tego samego i poznać te same odpowiedzi. A dyrektor nie mógł spełnić absolutnie żadnego z naszych pragnień ani odpowiedzieć na nasze najbardziej podstawowe pytania.

Rozumiałam, oczywiście, że cofanie się w czasie i odzyskiwanie mamy to życzenia nieprawdopodobne i nigdy się nie spełnią. Ale kiedy siedziałyśmy w gabinecie dyrektora, wyobrażałam sobie dość konkretnie, co bym zrobiła, gdybym umiała prowadzić - czego, żeby powrócić do jego początkowego pytania, chciałam.

I rozumiałam, że chcę tego: chciałam pojechać do domu mojej babci na północy stanu Nowy Jork i wyjaśnić jej, że nieodwołalnie skończyłam z tą świetną szkołą w Nowej Anglii. A potem chciałam pojechać do jednego z tych wielkich centrów handlowych w pobliżu starej bazy wojsk lotniczych w Plattsburghu, tych, które utrzymywały się dzięki Kanadyjczykom, i kupić te wszystkie ubrania, których noszenia zabraniał mi ojciec, a matka mówiła, żebym nie śmiała przynosić ich do domu. Chciałam, tak konkretnie, nosić bluzkę w prążki, z nagimi ramionami i obcisłe szorty zrobione z granatowych dżinsów wyblakłych niemal do błękitu. Chciałam przekłuć sobie uszy w budce w korytarzu przy stoisku z oprawami obrazów, a potem chciałam kupić kolczyki, szminkę, tusz do rzęs.

Chciałam zaprosić przyjaciół do domu i chciałam, żeby wszyscy siedli ze mną na ganku od frontu, i żebym się nie bała, że ojciec narobi mi wstydu swoim złym humorem albo moja matka swoim piciem.

Zdałam sobie sprawę, że tego właśnie chcę.

I na szczęście te wyobrażenia niezupełnie niekonwencjonalnego gustu nastolatki przyćmiły to, co dokładnie ojciec zrobił mojej matce.

Niemniej jednak żadnej z tych rzeczy nie powiedziałam na głos, nie odpowiedziałam na pytanie dyrektora. Wreszcie, po jakiejś konwersacyjnej ciszy, która jest grzeczna tylko po tym, jak ktoś umrze, on odwrócił się do mojej siostry Amandy i spytał ją, czego ona chce.

- Chcę do domu - usłyszałam głos Amandy, stosownie przygaszony. Marzyła wówczas o karierze malarki i nawet wtedy rozkoszowała się swoją samotnością.

Dyrektor kiwnął głową i uśmiechnął się grzecznie. To była właściwa odpowiedź, nawet jeśli dom - technicznie rzecz biorąc, nadal ten zimny i potężny wiktoriański, który pomimo zasobów rodzin obojga moich rodziców rozpaczliwie potrzebował solidnego malowania - miał się stać dość niekonkretnym miejscem.

- A ty, Heather? - spytał raz jeszcze. - Czego ty byś chciała?

- Bluzkę w prążki - odparłam. - I przekłuć uszy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

TAMTEGO POPOŁUDNIA HEATHER opowiedziała mi skróconą, ale i tak wstrząsającą historię ohydneho, a wreszcie i przerażającego małżeństwa swoich rodziców. Pod pewnymi względami jego trajektoria przebiegała wstrząsająco podobnie jak ta w małżeństwie Haywardów. Ale oczywiście pod innymi względami miało ono własne osobliwości i objazdy. Tolstoj miał rację w kwestii rodzin. Najistotniejszą cechą małżeństwa jej rodziców były pieniądze: zarówno Alex, jak i Courtney Laurent pochodzili z rodzin, które moja matka nazywała majątnymi, chociaż nie jestem pewien, czy to określenie dobrze oddaje prawdziwe bogactwo Laurentów. Najwyraźniej Alex i Courtney dorastali przyzwyczajeni, że dostają wszystko, niczego im nie brakuje i zachowują się w sposób sugerujący, że nie biorą pod uwagę odpowiedzialności, która wiąże się ze wszystkimi tymi przywilejami. W rezultacie, zdaniem Heather, jej ojciec był samolubny i rozpuszczony, a matka utytułowana i bezradna. W wypadku jej matki była to niemal wyuczona bezradność. I tak chociaż Courtney Laurent dysponowała zasobami finansowymi, których brakuje większości kobiet doznających przemocy, brakowało jej kogoś, kto by jej przypomniał o tym, że ma wybór. Opcje. Ale Alex, tak jak większość maltretujących, dopilnował, żeby jego żona niejako pogrzebała się w tym małżeństwie: odciął ją od rodziny, trzymał z dala od najbliższych przyjaciół. Laurentowie mieli więcej pieniędzy i byli bardziej ustosunkowani niż Haywardowie (choć Haywardowie żyli, według barometru finansowego, wygodnie), kiedy więc Alex Laurent zastrzelił swoją żonę w salonie, a potem sam się zabił, powstał o wiele większy szum medialny, ale poza tym szkielety obu tragedii były aż nadto do siebie podobne.

Później Heather i ja wyprawiliśmy się do Ginny O'Brien po klucz do domu Haywardów. W przeciwieństwie do mnie, Ginny wiedziała, kim jest Heather Laurent, i w jej obecności, do tej pory wstrząśnięta i smutna, stała się wręcz upojona. Nagle zaczęła przypominać nadaktywnego szczeniaczka, a ja przypominałem sobie o czułym, ale biednym Springerze Haywardów. Ginny czytała *Anioły i aury*, więc kiedy je sobie przedstawiłem,

powiedziała autorce, ile ta książka dla niej znaczyła - i że już zaznaczyła *Uświęconą chwilę* jako „do przeczytania” na wszystkich forach książkowych i grupach dyskusyjnych, i zasugerowała kościelnej grupie czytelniczej, żeby jej członkinie zabrały się za tę nową książkę tej jesieni. (Moim zdaniem, teraz gdy już przeczytałem obie książki Heather, Ginny czuła się głęboko niezręcznie z powodu rozdziałów o „aurze śmierci”, ale uznawała za logiczną i ważną konieczność udania się raz na jakiś czas na długi spacer do lasu z aniołem). Nie zastaliśmy ani Katie, ani jej dziadków, ale tego się spodziewałem. Spędziłem z całą trójką część poranka w moim biurze w kościele i wiedziałem, że po południu muszą załatwić mnóstwo spraw, od zwyczajnie nieprzyjemnych, po zdecydowanie makabryczne. Spotykali się z przedsiębiorcą pogrzebowym w Bennington, na przykład, by odebrać urnę, i podejmowali decyzję, czy Alice pochować na cmentarzu w Haverill, czy też z pozostałymi członkami rodziny w Nashua. Wiedziałem, że jej rodzice wolą Nashua i po prostu próbowali oszczędzić emocji przyjaciółom Alice i jej pastorowi w Vermoncie. Ale i tak zadali sobie trud odwiedzenia cmentarza, w akcie należytej staranności, który na pewno wiele ich kosztował.

Ciało George'a - miejsce jego wiecznego spoczynku bardzo interesowało matkę i ojca Alice - zamierzano pochować w Buffalo, co było istotne, ponieważ rodzice Alice chcieli być pewni, że ich córka nie znajdzie się w pobliżu mężczyzny, który ją zabił. Ginny też. Ginny jednak zalecała skremowanie ciała George'a Haywarda: „bo dusza tego bezwzględego łajdaka i tak już się smaży w piekle”.

Ale po opuchniętych oczach Ginny widziałem, że tego popołudnia znowu płakała, co zasugerowało mi, że jej gniew przeradza się w o wiele zdrowszy ból. Znalazła siłę, żeby przeciągnąć grzebieniem po włosach i włożyć czystą, choć pogniecioną koszulkę polo. Zza domu dobiegał warkot kosiarki, który niemal w hipnotyczny sposób wzbierał i słabł falami.

- Jak chłopcy? - spytałem, kiedy stanęliśmy w korytarzu.

- Dan radzi sobie trochę lepiej niż Walter. Wysłałam Waltera do kina ze wszystkimi - odparła.

- To świetny pomysł. - Obydwaj jej synowie chodzili do gimnazjum. Dan miał jedenaście lat, a Walter trzynaście. Obu dobrze znałem i nie zdziwiłem się, że Walter ciężko przeżył tragedię Haywardów. Był bardziej zbliżony wiekiem do Kate i z natury także bardziej wrażliwy niż większość nastolatków płci męskiej. Zastanawiałem się, jak ja bym zareagował w wieku trzynastu lat na wieść, że najlepsza przyjaciółka mojej matki została uduszona przez męża.

- Tak, każdy pomysł jest dobry, żeby go stąd wyciągnąć na jakiś czas - powiedziała Ginny. Po czym dodała: - Z tyłu jest Dan. Mówił, że chce coś zrobić, więc Walter pokazał

mu, jak kosić trawę. Pierwszy raz w życiu to robi.

Wzięliśmy klucz, po czym Heather podpisała dla Ginny egzemplarz *Aniołów i aur*. Na obwolucie widniała zamazana fotografia nagiej kobiety z rozwianymi włosami, wynurzającej się z morza. Za plecami miała coś, co uznałem za wielką parasolkę plażową. Dopiero na drugi rzut oka zorientowałem się, że ta parasolka to muszla wielkości żaglowca, a sylfida jest nowoczesną Wenus. Przy wyjściu Heather powiedziała Ginny, że zajdzie później porozmawiać z Katie i z jej dziadkami, jeśli się na to zgodzą. Pewnie powinienem się czuć zagrożony. Ale głównie byłem zakłopotany.

Potem pojechaliśmy z Heather do domu, w którym niespełna dwa dni wcześniej umarli George i Alice. Wsiadliśmy do mojego amerykańskiego kompakta z żółtobrazowymi siedzeniami, które wydawały się straszliwie sfatygowane w porównaniu z tymi w jej saabie, i ruszyliśmy w górę kręgiem wokół miasteczka Haverill, tworzącym jakby amfiteatr. Minęliśmy bibliotekę, farmę i siedzibę ochotniczej straży pożarnej, gdzie grupka chłopców w szortach i ochraniaczach jeździła na łyżworolkach i deskach po nachylonym asfalcie przed trzymiejscowym garażem. Minęliśmy cukrownię uśpioną od pierwszego tygodnia kwietnia, gdzie dwa atrakcyjne, ale nieco wyblakłe labradory należące do rodziny o nazwisku McKenna obszcze kiwały resztki padłego drzewa, jakby sękaty, gnijący pień był krokodylem. Od czasu do czasu, pomimo zdenerwowania i bólu, zerkałem ukradkowo na nogi Heather, siedzącej na miejscu pasażera obok mnie. Spódniczka podsunęła się jej wysoko na udach. Pończochy miała w kolorze cielistym, takie jak Alice nosiła do pracy wiosną i zapewne wczesną jesienią - chociaż żadną wczesną jesienią nie patrzyłem, jak Alice się ubiera.

Minęliśmy staw Brooknerów, w którym ochrzciłem Alice, płytką nieckę brązowej wody niespełna czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od drogi. Kiedy dokonywałem tych nielicznych chrztów, czasami przejeżdżał tędy samochód. Te pojazdy zawsze sprawiały, że zanurzenie stawało się dla mnie bardziej poruszające, ponieważ one przekształcały je w potężne wyznanie publiczne: przemykający nieznajomi za szybą, może niewierzący, świadkowie krótkiego, ale niezgłębionego wyznania, które każda dusza robiła w tamtej chwili w wodzie - „Wierzę”. Teraz połączony z Jezusem Chrystusem przez chrzest, tak jak Chrystus wstał z grobu, pewnego dnia i ja zmartwychwstanę.

Już.

I minęliśmy cmentarz na szczycie wzgórza, z jego tablicami, kamieniami nagrobnymi i zakopanymi urnami, duszami, o których tego popołudnia pomyślałem, że nie poszły do nieba, tylko po prostu się rozsiały.

- To naprawdę śliczny zakątek Nowej Anglii - powiedziała Heather, kiedy



prowadziłem, a jej głos wyciągnął mnie z rozmyślań pełnych uzalania się i mroku. Odwróciłem wzrok od cmentarza i skierowałem na nią. Zauważyłem, że w uszach ma proste złote sztyfty z jakimś niebieskim kamykiem. - Mam nadzieję, że doceniasz aurę zażyłości, która go spowija.

Nie miałem absolutnie pojęcia, co na to powiedzieć, kiwnąłem więc tylko głową i skierowałem wzrok na drogę.

- I BYŁEŚ TUTAJ w poniedziałek rano? - spytała mnie Heather. W jej głosie pobrzmiewała lekka apatia, ale oczy poruszały się jak wahadło w metronomie, kiedy uważnie oglądała salon.

- W poniedziałek po południu. - Śledczy z laboratorium stanowego zabrali, co trzeba, i odjechali. I chociaż w trakcie swojej pracy usunęli sporą część chaosu, i tak sporo zostało dla tych z nas, którzy chcieli pomóc. Przy oknie obok miejsca, gdzie wcześniej znajdowała się kanapa, na której znaleziono ciało George'a, stał mały kredens na porcelanę z szybkami z ciętego szkła. Ręką w grubej gumowej rękawicy za pomocą gąbki starłem czaszkę i mózg z jednej z długich szyb. Potem ściągnąłem odłamki kości i włosy z parawanu powyżej. Kulę, która przeszła przez czaszkę i puszkę mózgową, jeden z techników wyciągnął ze ściany niedaleko okna.

- I to się stało właśnie w tym pokoju? - ciągnęła. Fakt, że musiała pytać, stanowił świadectwo jakości naszej pracy.

- Tak.

- Wie pan, w książkach i filmach do awantur zawsze dochodzi w sypialni. Ciekawe, prawda? Zupełnie jakby pisarze i filmowcy chcieli oszkalować domowy ośrodek miłości. Ale moim zdaniem to jedna z tych wielkich konwencji artystycznych absolutnie mylnych.

- Tę wiedzę ma pani z historii rodziców czy z rozmów z czytelnikami?

Podniosła stosik płyt kompaktowych, który stał na podłodze obok szafki z płyty wiórowej. Rozpoznałem artystów, których Alice lubiła najbardziej, i domyśliłem się, że pozostałe płyty to wybór George'a. Zdałem sobie sprawę, że wiem, które przegrała na iPod'a.

- Jedno i drugie - powiedziała Heather, przeglądając płytki tak, jak ja kiedyś przeglądałem karty bejsbolowe.

- Jeśli ludzie nie awanturują się w swoich sypialniach, to gdzie?

Niczym delikatne antyczne talerzyki, Heather umieściła płyty z powrotem na podłodze, tam skąd je wzięła.

- Pan naprawdę żyje pod kloszem. Nigdy z nikim pan nie mieszkał, prawda? Nigdy? -

spytała żartobliwie, jakby śmiała się z przebrania, które wybrałem na Halloween, albo z T-shirtu, który przywiozłem z Cape Cod. Jakby wypowiadała się na temat czegoś, co dla mnie jest naprawdę mało ważne.

- Nigdy - odparłem po prostu. Po czym niejako na swoją obronę dodałem: - O ile sobie przypominam, moi rodzice nie mieli specjalnego pokoju na załatwianie swoich spraw. Klócili się wszędzie, gdzie im się spodobało.

Na półce stał rząd albumów fotograficznych, niczym tomy encyklopedii, tych najbardziej niepotrzebnych książek w epoce cyfrowej. Heather wpatrywała się w nie dłuższą chwilę, wyraźnie pragnąc sięgnąć po któryś i otworzyć.

- Więc gdzie się awanturuje większość ludzi? - spytałem ponownie.

- W kuchni. W następnej kolejności w pomieszczeniach, w których znajduje się telewizor. W niektórych domach jest to salon, w innych pokój wypoczynkowy.

- Telewizja wywiera zły wpływ?

- No, nie sędzę, żeby wywierała dobry. Ale nie dlatego. Tak się po prostu składa, że w tych pomieszczeniach ludzie najczęściej przebywają.

W końcu uległa pragnieniu zobaczenia zdjęć George'a i Alice Haywardów, które ukazywałyby coś więcej niż niewielki portret od dwóch dni obecny w gazetach, telewizji i w sieci. Wyciągnęła z półki album stojący najbliżej i zaczęła go przeglądać. A potem, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, z jej ust dobyło się kwilenie, niewiele głośniejsze od westchnienia, i siadła na krześle naprzeciwko miejsca, gdzie stała kanapa, na której znaleziono ciało George'a. Jakby nogi się pod nią ugięły, niczym nóżki przenośnego stolika karcianego. Wytarła oczy, ale było za późno. Płakała, i to było oczywiste.

- Przepraszam - powiedziała, kręcąc głową. - Chyba nie wiem, co mi się stało.

Zwykle jestem dość kompetentny, jeśli chodzi o płaczące kobiety, o płaczących mężczyzn zresztą też. Kapłan, nawet stanu wolnego, obejmuje bezkarnie. Ale w tych dniach nie byłem sobą. Prawdę mówiąc, jeszcze teraz nie rozumiem, kim się stałem. Tak więc pozwoliłem jej odzyskać pozory zwykłego jej opanowania - która to postawa, doszedłem do wniosku, z początku była tak niewzruszenie spokojna (powiedziałbym „nieziemsko”, ale ze względu na jej zainteresowanie aniołami to by sugerowało, że nakładam na jej książki warstwę autobiograficzną, co nigdy nie było jej zamierzeniem) i tak całkowicie szczerza, że zacząłem rozumieć jej popularność. Na pewno była piękna, ale na świecie roi się od pięknych kobiet. Rzecz w tym, że była telegeniczna: osoba, której kompetencja jest oczywista, a szczerłość promieniejąca. Emanowała charyzmą w dużej rozdzielczości. Była doskonałą akwizytorką zachęcającą do wiary w niebiańskich strażników w cyfrowym świecie.

W końcu się pochyliłem i spojrzałem na zdjęcia, które ją wytrąciły z równowagi. Przedstawiły Katie, samą i z Alice.

- Ona będzie taka śliczna - pociągnęła nosem, mówiąc o osieroconej teraz piętnastolatce.

- Już jest - poprawiłem, ale głównie skupiałem się na Heather. Na tym, jak pomimo rozpaczki i poczucia winy, i niezliczonych porażek w roli kapłana i mężczyzny, umiem docenić, jak piękna jest ta kobieta. Uznałem, że może być trochę szalona. Ale czułem też, że niewątpliwie ciągnie mnie do niej, a ta ciągota jakby podskakiwała bezpiecznie w malstromie innych emocji, które wzięłyby górę u osoby z charakterem - albo przynajmniej u osoby odcumowanej - i posłały ją ruchem spiralnym, powolnym, ale nieprzerwanym na samo dno oceanu.

Przyglądała się grupie zdjęć, z których część już widziałem na Facebooku i MySpace, na stronach nastolatków w Grupie Młodzieżowej. (Powinienem dodać, że odwiedzałem te strony tylko w towarzystwie owych nastolatków, kiedy chciały się ze mną podzielić albumem cyfrowym na spotkaniu Grupy Młodzieżowej albo, z tego czy innego powodu, po szkole). Była tam Katie z kilkoma przyjaciółkami, robiły miny pod broadwayowskim afiszem na Manhattanie; była Katie z matką - i znowu robiły głupie miny - w kostiumach kąpielowych gdzieś w pobliżu ich domku nad jeziorem Bomoseen. Katie z dziadkami z Nashua, cała strona zdjęć zrobionych w czasie ostatniego Bożego Narodzenia. Seria zdjęć Katie na kościelnej furgonetce: tak, dosłownie - siedzi na dachu z grupką członkiń Grupy Młodzieżowej, w czapeczce Red Soxów ocieniającej większość jej twarzy. O ile sobie przypominam, wtedy po raz ostatni wyjechała z Grupą Młodzieżową.

- Mówiła pani, że nigdy nie była zamężna - powiedziałem. - Zapewne nie ma pani dzieci.

- Nie, nie mam, ale kiedyś bym chciała.

- Myśli pani, że tak się stanie?

- Może, jeśli znajdę właściwego mężczyznę. Ale nie jestem zainteresowana rolą bohaterskiej samotnej matki.

Przerzuciła jeszcze kilka kart i znalazła Katie z wiekowym szarym koniem rasy Appaloosa należącym do jej przyjaciółki Tiny Cousino. Koń był już ślepy, kulał i uśpiono go jakiś rok temu, po czym pogrzebano na polu za domem Cousinów. Tina i Katie pokierowały niewielkim nabożeństwem, które mnie wzruszyło i zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Poprosiły, bym wygłosił mowę, i zrobiłem to. Na innym zdjęciu Katie i Alice podchodziły pod szczyt Mount Equinox, którą to wspinaczkę odbyły z kobietą z banku Alice pod koniec

okresu separacji Alice i George'a. O ile sobie przypominam, w połowie maja.

- Nie za dużo wspólnych zdjęć Alice i George'a, prawda? - mruknęła.

- No w każdym razie nie w tym albumie.

- Założę się, że niewiele jest zdjęć George'a, i już. Jeśli sytuacja w tej rodzinie nie odbiega od określonego wzorca, to na początku małżeństwa on kontrolował aparat, więc zrobił większość zdjęć. Potem, w miarę jak ich małżeństwo się psuło, spędzali mniej czasu razem w takich sytuacjach... w których ktoś by chciał fotografować.

- To pewnie prawda. Przez kilka ostatnich lat mało kto widział ich razem. Może na paradzie. Może na dorocznym barbecue ochotniczej straży pożarnej. Może na jakimś święcie firmowym w Manchesterze.

- George był członkiem ochotniczej straży pożarnej?

- Przez jakiś czas. Rzucił to kilka lat temu, kiedy otworzył trzeci sklep. Ale ciągle miał tam kumpli.

W pokoju unosił się zapach środków czyszczących i dezynfekujących. W tamtej chwili źle znosiłem tę woń, niemal mnie mdliło, otworzyłem więc kolejne okno.

- Kto zajmował się ogrodem?

- Alice.

- To zdjęcie pomidorów powinno być na opakowaniach nasion.

- Była świetnym ogrodnikiem, co do tego nie ma wątpliwości. Powinna pani przed wyjściem zajrzeć do jej ogrodu.

Heather już miała kiwnąć głową, ale się wstrzymała. Wpatrywała się w stare zdjęcie z Wielkanocy, na którym widniał George. Siedział pomiędzy Katie a Alice na tej samej kanapie, na której umarł, i przez ułamek sekundy przyjąłem, że przestała przewracać karty, bo w końcu dotarła do zdjęcia George'a Haywarda. Ale nie o to chodziło, zrozumiałem to niemal natychmiast. Chodziło oczywiście o kanapę. Wpatrywała się w ścianę naprzeciwko, gdzie jeszcze dwa dni temu znajdował się ten mebel. Teraz został tylko stolik do kawy - przepchnęliśmy go pod ściankę, żeby wypełnić pustkę.

- Wynieśliście kanapę - powiedziała i wydawało się, że ta myśl ją przeraża.

- Nie mogliśmy jej doczyścić - odparłem. - Ginny zasugerowała więc, żeby wrzucić ją na pikapa i wywieźć na wysypisko.

PÓŹNIEJ POKAZAŁEM JEJ sypialnię Alice i George'a, pokój trochę mi znajomy, i pokój Katie, dla którego byłem niemal nikim. Znałem jego usytuowanie niewiele więcej, ponieważ Alice szanowała prywatność córki. Po raz pierwszy w zasadzie stanąłem w nim wczoraj, kiedy

zbieraliśmy te różne rzeczy, których naszym zdaniem potrzebowała Katie.

A potem zawiozłem Heather z powrotem na plebanie, gdzie ona wsiadła do swojego saaba i wróciła do domu Ginny, by czekać na Katie. Później dowiem się, że została na kolację i poszły z Katie na taki długi spacer o zachodzie słońca, co to je w swoich książkach wychwała jako bardzo uzdrawiające. Ginny powie mi - i dopiero po fakcie zda sobie sprawę, że takie wieści mogą być bolesne - że kontakt z Heather nieomal przeobraził Katie. Najwyraźniej Heather dokładnie wiedziała, jak pocieszyć dziewczynę; powiedziała to coś, czego Katie potrzebowała, żeby nabrać pewności, że poradzi sobie z tym, że przetrwa, że nigdy nie będzie sama. Będą ją wspierać anioły, jej upadającą duszę podtrzymają w górze skrzydła, które choć niewidzialne, są równie silne i konkretne jak skrzydła orłów.

- Oczywiście ty też pomogłeś Katie! - zapewniła Ginny, kiedy już doszła do wniosku, że palnęła coś niezręcznego, choć miała dobre intencje. - Heather po prostu... no wiesz, sama przez to przeszła. Może odnieść się do tego, czego doświadcza Katie.

- W porządku - zapewniłem Ginny, bo rzeczywiście tak uważałem. Ginny miała słusność. Heather mogła zapewnić Katie o wiele lepszą terapię niż ja, i nie tylko dlatego, że tak jak ona była sierotą, której ojciec zamordował matkę. W przeciwieństwie do mnie Heather dostrzegała poezję w chmurach burzowych i boskość w zbiegu okoliczności. Dla niej świat wciąż miał obietnicę. - Cieszę się, że Heather tu jest, ze względu na Katie - dodałem. - I ze względu na ciebie też.

PO WYJŚCIU OD Ginny Heather wróciła do swojego loftu na Manhattanie. Tamtego popołudnia twierdziła, że to całkiem skromne mieszkanie, że wybrała kamienicę, która miała niewiele udogodnień i nie należała do stylowych, ale obfitowała we wspomnienia i aurę. Czułem, że przemawia przez nią skromność: znałem tę część SoHo. Musiała dotrzeć do domu po północy.

Zdecydowałem, że pozostanę w Haverill na czas pogrzebu Alice. Przez najbliższe czterdzieści osiem godzin będę wypełniał swoje obowiązki jak najlepiej, pomagając w mieście tak, jak tego oczekiwano. Będę więcej rozmawiał z Katie i jej dziadkami, jak również z matką i ojcem George'a, którzy zostawali w Albany i południowym Vermoncie bodajże jedną noc dłużej. Powitam przybywających do domu pogrzebowego na wystawienie zwłok w środowu wieczór. Będę się modlił z ludźmi, którzy chcieli, żebym się z nimi modlił, i odwiedzę chorych i umierających, i parafian pogubionych w masakrze, która zdarzyła się pośród nas. Będę służył pociechą i poradą.

Gdy tylko samochód Heather zniknął na drodze do Ginny, sam ruszyłem do zakrystii i

siadłem z sekretarką parafialną, niezwykłą kobietą, Betsy Storrs, która pracowała w kościele całe dziesięć lat przed moim przybyciem i miała aparycję babci (którą zresztą była), a sprawność sekretarki prezydenckiej. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat nauczyła się projektować witryny internetowe i strona naszego kościoła stanowiła obiekt zazdrości wszystkich zborów baptystycznych w naszym zakątku Nowej Anglii. Razem z Betsy zdecydowaliśmy, w których spotkaniach powinienem wziąć udział w najbliższych dniach, a które mogę sobie darować, jak również którzy parafianie są najbardziej potrzebujący w tej chwili - najbardziej wzburzeni tym, co się zdarzyło, najbardziej wstrząśnięci - a którzy to zwyczajne beksy wietrzące okazją do odrobiny dodatkowej opieki.

Powinienem odnotować, że chociaż Betsy pomagała w selekcji rannych, nigdy nie postrzegała innych parafian w taki całkiem mizantropijny sposób, zwłaszcza w tamtych dniach przed moim zniknięciem. Powinienem też odnotować, że nie zawsze byłem takim ponurym, nieempatycznym osobnikiem. Czy nigdy się nie nadawałem na prowincjonalnego pastora? Może. Może nie. Straciłem swoje powołanie, ale nie musiało to oznaczać, że droga ta była niewłaściwa. W każdym razie na początku. W każdym razie przez jakiś czas. Prawda jest taka, że dużo czasu minęło, zanim kogokolwiek z mojego stada zacząłem postrzegać jako beksę.

Kiedy już miałem opuścić kościół, zajrzałem do prezbiterium i zobaczyłem samotną Joanie Gaylord, jak modli się na klęczkach przed ogrodzeniem chóru. W moim kościele nie klęczymy w czasie modlitwy, ale Joanie - siedemdziesiąt trzy tego lata, jej datę urodzin znałem doskonale, ponieważ Joanie była bojownikiem modlitwy i nie ominałem ani jednego z jej przyjęć urodzinowych - tego wieczoru klęczała. Uznałem to za frapujące, podszedłem i uklęknąłem obok niej. Członkinie Koła Kobiet w tym tygodniu spotykały się w jej domu.

- Pomodli się pastor ze mną? - spytała.

- Ależ oczywiście - odparłem łagodnie i ująłem jej artretyczną dłoń, podczas gdy ona modliła się w ciszy obok mnie. Zostaliśmy tak przez dobre dziesięć minut, mój umysł błędził po swoich bardziej zrozpaczonych zakątkach pomimo moich wysiłków, by się skupić, zanim ona odchrząknęła, a ja otworzyłem oczy.

- Szkoda, że nie wiedziałam - powiedziała.

- O George'u?

- Tak. Szkoda, że nam nie powiedziała. Szkoda, że Ginny nam nie powiedziała. Zrobiłabym coś.

- Myślisz, że mogłoby się to skończyć inaczej?

Chwyciła się poręczy i z wielkim wysiłkiem, jak mi się zdawało, wstała, więc i ja

wstałem.

- Tak myślę. Naprawdę.

- Pomogłaś jej pod tyloma względami, że nawet sobie nie wyobrażasz - zapewniłem ją. - Wiele dla niej znaczyłaś.

- Tak myślisz?

- Wiem to - odparłem, przeciągając słowa z wyćwiczoną duszpasterską emfazą. Ostatnia rzecz, której Joanie Gaylord potrzebowała czy na którą zasługiwała, to dźwigać na barkach takie poczucie winy, które ja będę dźwigał do końca życia.

W PORZE KOLACJI, kiedy uznałem, że Ron Dobson i Illa Gove wrócili do domu po pracy z Bennington i Manchesteru, zadzwoniłem do każdego z nich. Ron zasiadał w Radzie Zboru i od chwili przyjazdu do Haverill miałem w nim najbliższego przyjaciela. Był moim pomocnikiem w latach, gdy trenowałem Małą Ligę, a jego starszy syn - teraz łącznik w drużynie licealnej i aktywny działacz w kościelnej Grupie Młodzieżowej - był naszym jedynym jasnym punktem sportowym. Dobry napastnik, dobry łapacz, szybki. Nasza drużyna nigdy nie należała do specjalnie dobrych i nigdy nie wygrywaliśmy więcej niż cztery, pięć rozgrywek w sezonie, ale moim zdaniem zawsze mieliśmy mnóstwo zabawy. Illa była przewodniczącą Rady Zboru, która zbierała się w kościele w środowe wieczory, a na co dzień wychowawczynią w schronisku dla trudnej młodzieży w Bennington. Powiedziałem Ronowi, że chciałbym do niego wpaść po kolacji, gdyby to nie sprawiło mu kłopotu, a potem spytałem Illę, czy miałyby coś przeciwko, żeby poprowadzić beze mnie spotkanie rady. Wyjaśniłem, że w tym czasie będę witał gości w domu pogrzebowym. Odparła, że bardzo chętnie.

Później, kiedy żona Rona na górze czytała na głos ich synowi i córce, powiedziałem mu bez ceregieli, że zamierzam wyjechać z Haverill. Że mam pewnego rodzaju załamanie - niezupełnie nerwowe, lecz duchowe. A w moim zawodzie załamanie duchowe było osłabiające w równym stopniu, co nerwowe. Może bardziej. Tak więc wybrałem wyjście awaryjne, wyjeżdżam. Może na tydzień, może na miesiąc. Może na zawsze. Ale zniknę zaraz po tym, jak w czwartek ostatni żałobnicy opuszczą świątynię.

Z początku Ron po prostu słuchał i kiwał głową, od czasu do czasu pocierając wydatną szczękę i poprawiając potężną oponkę, rozciągającą się pod cienką tkaniną letniej koszuli z krótkim rękawem. Spytał, bardziej jako mój przyjaciel niż przedstawiciel zarządu, czy zamierzam się zgłosić do szpitala albo na rekolekcje, a potem, kiedy mu powiedziałem, że nie, chciał wiedzieć, jak się ze mną skontaktować. Jasne było, że zмага się ze swoją podwójną rolą przyjaciela i kierownika kościoła i zaczyna się martwić konkretnym

problemem, który będzie miał zbór.

- Dopilnuję, żeby w niedzielę stawił się zastępczy kapłan - powiedziałem. - I dopilnuję, żeby już w przyszłym tygodniu pojawił się ktoś bardziej na stałe.

- Stałe?

- Tymczasowo, przypuszczam. Ktoś, kto może tu być... przez jakiś czas.

- A co z Kenem? - spytał o diakona umierającego na raka. - Co jeśli on umrze pod twoją nieobecność?

- Jeśli niebo istnieje, tam się z nim spotkam. A jeśli nie istnieje? No to w takim wypadku to nieważne, prawda?

- Miałem na myśli pogrzeb. Rodzina będzie cię potrzebować. Ciebie, a nie jakiegoś obcego zastępcy.

Miał rację i nagle stwierdziłem, że zastanawiam się, czy gdyby do tego doszło, znalazłbym w środku siłę, by zrobić to, co zrobić muszę, i nie zawieść tej miłej i pobożnej rodziny.

- Zobaczymy - odparłem tylko.

- To nie na wiele się przyda.

- Przepraszam. Jest mi bardziej przykro, niż sądzisz. Ale o to właśnie mi chodzi. W tej chwili nie na wiele się przydam. W ogóle na nic się nie przydam.

- Słuchaj, ja po prostu nie chcę, żebyś palił za sobą jakieś mosty. Nie chcę, żeby tu były jakieś urazy, kiedy się zdecydujesz na powrót.

- A jeśli nie wrócę?

- Nie wszystko naraz - odparł, wzruszając ramionami. Dobson był księgowym, prowadził własną niewielką firmę. „Nie wszystko naraz” to jego mantra marcowo-kwietniowa, kiedy jego i partnera zatapiały kolejne fale zeznań podatkowych, raportów. - Pewnie nie obsadzimy nikogo na probostwie, kiedy cię nie będzie.

- Zrozumiem, jeśli obsadzicie.

Pokręcił głową.

- Ta sprawa Haywardów jest ciężka dla wszystkich. Na ile cię znam, jesteś po prostu zmęczony.

- Może.

- Założę się, że jeśli to przemyślisz, zrozumiesz, że czujesz się w zasadzie tak samo, jak po śmierci każdej innej osoby.

- Przegrałbyś ten zakład - odparłem, i w chwili gdy słowa te wypłynęły z moich ust, słowa ostre, niepotrzebne, bezceremonialne, wiedziałem, że czas na mnie. Przeprosiłem, ale



było za późno. Wstaliśmy niemal w tej samej sekundzie, uścisnęliśmy się niezgrabnie, a kiedy wyszedłem na nieruchome, balsamiczne wieczorne powietrze, czułem wyłącznie ulgę, nic więcej.

JEŚLI KOMUŚ SIĘ wydawało, że nie byłem w najlepszej formie przez resztę tamtego tygodnia, to miał rację. Wykonywałem swoją pracę. Po wystawieniu zwłok w domu pogrzebowym znalazłem czas, żeby spotkać się z kilkorgiem nastolatków z Grupy Młodzieżowej, którzy chcieli porozmawiać, i chociaż byli przygnębieni i zakłopotani, zanim wyszliśmy z mojego salonu około jedenastej wieczorem, ich wiara miała o wiele pewniejsze podstawy niż moja. W czwartkowy poranek byłem obecny na dwóch śniadaniach, najpierw z diakonami, żeby się upewnić, że gładko nawiążą współpracę z tymczasowym pastorem, a potem z Katie Hayward, jej dziadkami, Ginny i Harrym O'Brienami oraz z rodziną Cousino. Cel posiłku? Pociecha, związek i łączność duchowa bardziej świeckiego rodzaju.

W tamten czwartkowy poranek ciało Alice leżało w trumnie w kościele, chociaż nie miała być pochowana w Haverill. Tak jak podejrzewałem, Alice wracała do New Hampshire. I chociaż miejscowy przedsiębiorca pogrzebowy, ekscentryczny starszy dżentelmen, którego zakład słynął z obecności egzotycznych ptaków, zdołał doprowadzić jej ciało do przyzwoitego stanu, rodzina Alice podjęła decyzję o zamknięciu trumny. (Twarz George'a, wyznał mi później, można było zrekonstruować, tak żeby nadawała się do okazania, ale on po prostu nie zdołałby dać z siebie wszystkiego, jak to ujął, więc i George leżał w zamkniętej trumnie).

Tak jak przewidziała Heather, na pogrzeb Alice przybyły takie tłumy, że jeden z zarządców musiał zorganizować transmisję wideo dla morza żałobników w świetlicy pod świątynią; posadziliśmy też ludzi na galerii dla chóru za moimi plecami. Świątynia była tak przepełniona, że nasze dwa ociążałe wentylatory pod sufitem zupełnie sobie nie radziły, i widziałem, jak ludzie się pocą w swoich koszulach z krótkim rękawem (a inni zapewne w swoich marynarkach), i patrzyłem, jak krople potu spływają po niektórych twarzach i mieszają się ze łzami. Myślę, że w kościele musiało być ze czterdziestu uczniów z liceum, wielu po raz pierwszy, i na ich twarze - tak szczerze i słodkie, chociaż dziewczęta miały za mocno umalowane oczy i usta, a chłopcy uparcie walczyli o swój wizerunek zbyt twardej na łzy - najtrudniej mi się patrzyło. Na widok Katie oczywiście czułem wyjątkowy smutek. Miała na sobie nieco zmysłową czarną sukienkę bez rękawów, może bardziej odpowiednią na koktajl niż na pogrzeb matki, ale ile czarnych sukienek posiada nastolatka na vermonckiej wsi? Zdziwiłem się, że w ogóle jakąś ma - miałem przeczucie, że w przeszłości nosiła ją

potajemnie. George Hayward pewnie w ogóle nie miał pojęcia o jej istnieniu, chociaż była to jedna z tych rzeczy, które sprzedawał nastoletnim dziewczętom i studentkom college'u w swoim sklepie w Manchester Center. Włosy miała zaczesane, wydawała mi się blada i trochę obojętna. Otepiała. Jej przyjaciele płakali, ale ona nie, a potem zrozumiałem, że to dlatego, że Ginny dała jej wcześniej środki uspokajające. Siedziała niewzruszenie, kiedy przemawiałem ja i potem siostra Alice, a następnie śpiewał chór i rozmaici ludzie wstawali, żeby wygłosić wspomnienie o zmarłych, większość o Alice, tylko dwa o George'u. Ojciec Alice, słabowity z wyglądu starszy pan o skórze, która skojarzyła mi się z rybą - była upstrzona starymi plamami wielkości dziesięciocentówki - wzdrygnął się, kiedy jeden ze strażaków przypomniał nam o niezliczonych godzinach, które George poświęcił firmie, i wyraził nadzieję, że jego dusza może w końcu zaznać spokoju. Sekretarka George'a, smukła i silnie zbudowana młoda kobieta, która mogła dorabiać na boku jako instruktorka fitnessu, powiedziała, że zawsze był dobrym szefem i że nikomu w jego małym królestwie nigdy przez myśl by nie przeszło, że może być zdolny do takiej przemocy. (Nagle uderzyło mnie sprośne i bezpodstawne wyobrażenie, że ona i George byli kochankami). Nikt moim zdaniem nie próbował popisywać się przed mediami.

A pośród wielkiego tłumu żałobników w kościele? Heather Laurent. Tak, wróciła. Dotarła do domu po północy we wtorek, ale zaraz w czwartkowy poranek ruszyła z powrotem do Vermontu.

Ale kiedy wyjechałem z Haverill w czwartkowy wieczór - nie jak złodziej po nocy, trzeba przyznać, ponieważ diakoni oraz Ron Dobson i ja dopilnowaliśmy, żeby tymczasowy pastor stawiał się, by potrzymać za rękę zbór, którego pastor rzekomo doświadczał załamania nerwowego - to nie z Heather. Chociaż później pojawią się takie plotki, z całą pewnością nie ulotniliśmy się razem. Wiedziałem, jak by to wyglądało. A nie wiedziałem, że ona wróci na pogrzeb. Do sobotniego poranka już się nie widzieliśmy, wtedy zaś pojawiłem się w ciemnym, jakby magazynowym holu jej domu na Greene Street i wdusiłem kremowy guzik domofonu obok jej nazwiska. Na górze miała mi powiedzieć, że liczyła na moje odwiedziny, ale nie oczekiwała ich. Powiedziała mi, że naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że wciąż tak bardzo pragnę ofiarować się swojemu aniołowi.

**Heather Laurent, *Anioły i aury*, s. 79-80**

Mój ojciec zabił matkę pewnego wieczoru, w dniu kiedy się dowiedział, że wynajęła inny dom, dość duży, dla mojej siostry i dla mnie, kiedy wrócimy ze szkoły. To był ewidentny, niezbędny mu sygnał, że tym razem naprawdę od niego odejdzie. Tak więc późną nocą zastrzelił ją, a potem sam się zabił. Ale nie z tej samej broni. W ogóle nie użył broni palnej, żeby odebrać sobie życie. Po zamordowaniu mojej matki poszedł do naszych sąsiadów i zostawił im kartkę za wycieraczką samochodu, którym sąsiad jeździł rano do pracy. Prosił, by sąsiad natychmiast zadzwonił na policję i skierował ją do domu Laurentów. Nie miał iść tam sam ani pod żadnym pozorem nie miał dzwonić do Heather i Amandy w internacie. Zostawiwszy więc kartkę za wycieraczką, poszedł do domu, wszedł na poddasze i powiesił się na środkowej belce biegnącej przez szczyt naszego dwuspadowego dachu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ owa zastępca prokuratora stanowego z tymi cudownie niebieskimi oczyma i nazwiskiem świętej powie mi, że w chwili gdy się spotkaliśmy w poniedziałkowy poranek po tym, jak ochrzciłem Alice Hayward, uznała mnie za niezłego sztywniaka. Może tylko udawała, by sprowokować mnie do jakiejś reakcji, ale niewykluczone, że tak właśnie wyglądało jej szczere i uzasadnione pierwsze wrażenie. Na pewno tamtego dnia znieczuliło mnie poczucie winy i rozpacz: poczucie winy, że nie zdałem sobie sprawy, dlaczego chrzest był tak ważny dla Alice, i rozpacz po jej śmierci. Przy czym rozpaczałem jako jej były kochanek i jako jej kapłan.

Ale trudno się dziwić Catherine Benincasie - wiem, że niektórzy parafianie uważali mnie za chłodnego. Albo uważali, że mam tajemnice. Karty, których ślubowałem nie odsłonić. Przed moim wyjazdem nikt się takimi myślami nie podzielił na głos, oczywiście. Dopiero kiedy wyjechałem, te sekretne wątpliwości ludzi stały się pogłoską, plotką i aluzją.

Pierwszy przyznam, że pastor w małym miasteczku ma ogromną władzę nad ludźmi, którzy chodzą do kościoła, a nawet sporą nad tymi, którzy nie chodzą. Dyrektorzy i koordynatorzy, lekko licząc kilkunastu organizacji z całego kraju - kliniki stomatologicznej, na przykład, hospicjum, kryzysowego centrum pomocy kobiet - prosili, żebym wstawił się za nimi na posiedzeniu rady miejskiej w pierwszy wtorek marca i tym samym dopilnował, by Haverill przyjęło w głosowaniu ich raporty budżetowe.

I mamy też władzę przejawiającą się inaczej, w sposób bardziej krzywdzący. W zborze czyhają pokusy, kobiety - nawet o połowę ode mnie młodsze - których wzrok napotykam, kiedy przemawiam w niedzielne poranki i których spojrzenie wytrzymałem sekundę dłużej, niż zapewne wypadało. Znałem samotne parafianki, które chętnie by się ze mną umówiły i by mnie poślubiły, znałem i takie, które zaryzykowałyby gniew naszego małego miasteczka, gdybym okazał im jakiegokolwiek zainteresowanie. Jak każdy kapłan - nie tylko powieściowi Dimmesdale'owie - w swoim małym stawie mogłem być albo wielką

moralną rybą, albo bardziej złożonym typem drapieżnika. Często doradzałem parafiankom, i to w stanie, który można nazwać tylko bezbronnym lub podatnym. A ponieważ jestem mężczyzną, niezmiennie pojawiała się głęboko zakorzenione pragnienie, by je chronić. Niemniej jednak w większości swoich kontaktów kierowałem się bezpiecznym kompasem moralnym. Z niektórymi kobietami flirtowałem bardziej bezwstydnie niż z innymi, ale zawsze chodziło o parafianki, szczęśliwe mężatki, rozumiejące, że nasze flirtowanie nigdy nie przekroczy granicy niejasnego przecucia. W ciągu czternastu lat w Haverill na poważnie spotykałem się z trzema kobietami, z których żadna moim zdaniem nie nadawała się do roli żony wiejskiego pastora. Żadna nie pochodziła z Haverill. Jedna była z Albany, jedna z Manchesteru, a jedna mieszkała aż na północ od Burlington. Ta z Manchesteru zżyła się z moimi wiernymi i chyba poczuli się urażeni - i było im przykro ze względu na mnie - że nie stanęliśmy przed naszym ołtarzem.

Owszem, oświadczyłem się jej, pomimo braku przekonania, że nadaje się do roli, którą będzie musiała grać, jeśli się zgodzi. Odmówiła, i oto po raz pierwszy w moim życiu kobieta zakończyła związek ze mną, zanim ja zdążyłem to zrobić.

Ale jedynym członkiem Zjednoczonego Kościoła w Haverill, z którym spałem, była Alice Hayward, i to przeważnie (aczkolwiek, po prawdzie, nie tylko) w okresie, kiedy George przeprowadził się do domku nad jeziorem, a mieszkał tam nieco ponad sto dni: dorosły mężczyzna odseparowany od swojej żony i córki, ale mieszkający sam w drugim domu pełnym ich pozostałości i zapachu. Nie rzuciłem się na Alice, jak to ujęła później jedna z gazet, w chwili gdy jej mąż zniknął. Ale bezsporny pozostaje fakt, że wykorzystałem jej chwiejny stan emocjonalny. Masowałem plecy obite skórzanym pasem - pręgi zmieniające kolory od szkarłatnych po siarczane. Przystawiałem usta do brzucha, który kiedyś nosił dziecko jej męża, a potem był bity pięściami tego samego mężczyzny, przynajmniej dwukrotnie do tego stopnia, że wymiotowała w toalecie.

I owszem, potajemna natura naszych zajęć - to, że w jednej chwili mogliśmy stać w pełni ubrani, gawędząc leniwie na dywanie w jej salonie, a już w następnej byliśmy nadzy na tej podłodze, a mój język zanurzał się między jej uda z głodem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem - pobudzała moje poza tym spokojne życie.

Ale faktem też jest, że nigdy nie zamierzałem wykorzystać Alice Hayward. Przez jakiś czas myślałem nawet, że jesteśmy zakochani.

JEST MARZEC, PONIEDZIAŁKOWE popołudnie, Alice i ja leżymy w jej łóżku, kiedy śnieg uderza wściekle o zachodnie okno, a wycie wiatru zakłóca tylko sporadyczny łoskot gminnego pługu

i piaskarki. Ta burza nadchodzi trochę wcześniej, niż się spodziewaliśmy.

Za godzinę Katie wróci do domu, a więc za chwilę Alice i ja rozbudzimy się, weźmiemy razem prysznic i ubierzemy się. Zamierzam zniknąć na długo przed tym, nim autobus jej córki zatrzyma się powoli na końcu podjazdu Haywardów.

- Wiesz - mruczy Alice, z głową na mojej piersi - on też niejedno przeszedł.

Wiem, o czym mówi, ale przez krótką chwilę i tak muszę przewinać w głowie w tył dyskusję, którą odbyliśmy, ponieważ w takie popołudnia jak to zwykle pozwalamy sobie na długie, okazałe przerwy w rozmowie. Czasami przysypiamy i podejmujemy wątek całe pięć czy dziesięć minut później.

- George - odpowiadam.

- Jego życie w dzieciństwie nie było sielanką. Ci wszyscy bracia. Mój teść potrafi być straszny.

- No, on też nie zapewnia ci sielankowego życia.

- Nie. Ale nie zawsze było takie... takie burzliwe. I...

- Tak, słucham.

- Zabrałam mu córkę. Tęskni za nią.

Chcę powiedzieć, że zapracował na tę stratę. Ale tylko słucham. Chyba wiem, do czego to zmierza, ale chcę być pewien.

- Wiesz, nie czuję się z tym dobrze - ciągnie. - Ale nie miałam wyboru, prawda?

Moje ramię śpi, ale i tak jestem w stanie przyciągnąć ją do siebie.

- Nie - zapewniam ją. - Absolutnie nie miałaś wyboru. - Ale tak jak podejrzewałem, jak się obawiałem, ona po raz kolejny zamierza się ukarać i wyliczyć, co swoim zdaniem źle zrobiła w małżeństwie, a także niezliczone sytuacje, w których sprowokowała męża, by ją skrzywdził. A ta litania zakończy się, jak to często się już działo, jej samobiczowaniem za niewierność. Przypomni sobie - i mnie też - że może i George popełnił straszliwe czyny, ale zawsze, o ile wie, był wierny.

W CZWARTEK WIECZOREM po pogrzebie pojechałem do Bronxville odwiedzić matkę, chociaż zanim dotarłem na miejsce, chyba zdażyła zasnąć. Było po północy. Ale że wiedziała o moim przyjeździe, to zupełnie jakbym miał dziewiętnaście lat, a nie trzydzieści dziewięć - student wracający do domu z college'u - załadowała lodówkę piwem, mlekiem i babeczkami Hostess, które jako chłopiec wolałem na zimno. Przy piątkowym śniadaniu zadała mi wszystkie należyte pytania o przyszłość i o to, czy (i tu wykazała się delikatnością) śmierć dwóch członków mojego zboru oznacza dla mnie kryzys bardziej osobisty czy kapłański.

Odpowiedziałem wymijająco, wyjaśniając, że tylko jedno z nich było moim parafianinem i że zresztą staram się w żadnym wypadku nie używać tego określenia. W piątek niebo było ciemnoniebieskie i godzinami chodziłem sam po ulicach, na których mieszkałem jako dziecko i nastolatek, marudząc kilka chwil przed nieco okazalszym Tudorem, w którym dorastałem. Znajdował się niedaleko klubu pływackiego i tenisowego, gdzie moja starsza siostra spędzała długie letnie dni z przyjaciółkami. Mnie nigdy do niego jakoś nie ciągnęło i zwykle go unikałem. Minałem szkołę, elegancki długi budynek georgiański, wyglądający, jakby należał do kampusu college'u, potem boisko piłkarskie i bibliotekę. Ta biblioteka, boisko i samo miasteczko bardziej już mi się kojarzyły z letnimi zajęciami niż klub pływacki i tenisowy. Miasto rozciągało się na kilku wzgórzach, drogi bieły bezładnie wzdłuż dziewiętnastowiecznych krowich ścieżek, drzewa były wysokie i posągowe, domy stateczne. W liceum zrozumiałem, że większość moich sąsiadów ma pieniądze i wpływy, ale jako chłopiec przeważnie nie zwracałem uwagi ani na jedno, ani na drugie. Bardziej na przykład docierała do mnie ogromniasta kolekcja kart bejsbolowych Mike'a Ferrisa, i że czułem się zadowolony i bezpieczny, wymieniając się z nim kartami i gadając o bejsbolu na osłoniętym ganku jego domu rodzinnego, kiedy od zachodu nadciągała burza z piorunami.

W tamten piątek szedłem chodnikiem w miasteczku i zboczyłem do księgarni, gdzie kupiłem *Anioły i aury* oraz *Uświęconą chwilę*.

Przywiozłem ze sobą laptopa, więc po południu, jakbym świadomie wciąż próbował podsunąć interesującą pożywkę śledztwu, które wkrótce miało się rozpocząć, znowu przeszukałem Internet pod kątem informacji o Alice Hayward (nie znalazłem nic, czego bym już nie wiedział), o przemocy domowej i śmierci przez uduszenie czy od strzału z broni palnej. Niektóre z tych witryn zaszkodzą mi w trakcie śledztwa, ale to wszystko było bardzo niewinne. Przeczytałem w Internecie recenzje książek Heather, odwiedziłem jej stronę www i spędziłem zadziwiająco dużo czasu na jej blogu. Wieczorem, po tym jak zabrałem swoją matkę na kolację do jej ulubionego francuskiego bistro, czytałem sobie obie książki Heather.

A potem, w sobotni poranek obudziłem się i zastanawiałem się, dokąd się udać w następnej kolejności. Miałem inne opcje niż Heather Laurent, w tym znajomych, którzy pozostali w Westchester County. No i miałem przyjaciół z seminarium - jednego w Illinois, drugiego na północy stanu Nowy Jork, trzeciego w Pensylwanii. Miałem też przyjaciela w Teksasie. Mnie jednak ciągnęło w stronę dolnego Manhattanu: skręciłem gwałtownie w Saw Mill River Parkway, potem na Henry Hudson i na West Side Highway. Zjechałem na Canal Street i skręciłem w Greene. Naprawdę nie miałem pewności, czy nacisnę dzwonek w budynku Heather Laurent, czy tylko rzucę okiem na jej okolicę przez kilka minut. Cienkie są

granice pomiędzy zainteresowaniem a obsesją i nękaniami, ale myślę, że ciągle pozostawałem w obrębie zwykłej intelektualnej ciekawości. I może również eksperymentowałem na pewnym poziomie z zalotnym coś za coś: ona wpadła do mnie nieoczekiwanie we wtorek, a oto ja odwzajemniałem się w sobotę. Nie zdecydowałem jeszcze, co zrobię, jeśli nie będzie jej w domu. Zaczekam czy zostawię liścik, czy po prostu odejdę. Przez kilka chwil każda z tych opcji miała w mojej głowie równe szanse.

Ale wcisnąłem guzik, a ona była w domu, i poczułem lekki przypływ przyjemności na dźwięk jej głosu dobiegającego przez poskrzypujący domofon. Zaprosiła mnie na górę i uprzedziła, że gdy drzwi windy się rozsuną, zobaczę wejście do czterech loftów, przy czym jej będzie najdalszy po lewej. Okazało się, że w ogóle nie potrzebuję aż tylu informacji, bo kiedy winda dojechała na górę, Heather stała już w otwartych drzwiach, a loft za nią był oświetlony słońcem, które wpływało kaskadą z wychodzących na zachodnią stronę okien.

- W NOCY POCZYTAŁEM SOBIE twoje książki - powiedziałem, popijając miętową mrożoną herbatę, którą trzymała w szklanym dzbanku w lodówce. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni piłem herbatę, czy to gorącą, czy zimną. Ale tak jak ja nie trzymałem w swojej kuchni herbaty, tak ona w swojej nie trzymała kawy. Wtedy wydało mi się to bardzo znaczące, kolejne wskazanie, że nie ma przyszłości dla pastora pogrążonego w kryzysie wiary i zaradnej pisarki z wyraźną fiksacją na punkcie aniołów. - Podobały mi się.

- Ale... - uśmiechała się.

- Ale dużo tam o cherubinach i serafinach. O poświęceniu i blaskach.

- I modlitwie. I medytacji.

- To też.

Jej loft, tak jak mi wcześniej powiedziała, wcale nie był taki ekstrawagancki: wysoki blaszany sufit, oryginalne płytki z fleur-de-lis, ale żadnych powierzchni typu boisko do koszykówki, jak sobie wyobrażałem. Ciepła drewniana podłoga z szerokich sosnowych desek, pewnie leżących tu od pokoleń, pokrytych gdzieś tam pluszowymi orientalnymi dywanikami. Rząd wysokich okien wychodzących na Greene Street, każde z nich wielkości połowy witrażowych okien kościoła w Haverill, i cztery żyrandole pod sufitem, które początkowo sprawiły mi w zamieszaniu i zakłopotaniu. Myślałem, że kłęby spiralnego szkła to węże wyrosłe z głowy Meduzy. Potem jednak zrozumiałem, że jestem w błędzie: macki, zobaczyłem z bliska, były po prostu ramionami, trąbkami i małymi, delikatnymi stopami aniołów. Szkło było białe jak gotowany ryż. A na solidnie wyglądającym postumencie przy biblioteczkę, umieszczonym pod ścianą tak, że goście mimowolnie czuli się przezeń



obserwowani, stał rzeźbiony ptak wielkości przedszkolaka. Był to jakiś ptak drapieżny, może rybołów, całkiem udany, pomyślałem, oprócz skrzydeł - rozwiniętych, jakby miał rzucić się z wysokiej gałęzi - przypominających anielskie. Układały się równoległe do ciała ptaka i u szczytu były wygięte jak harfa.

- W rzeczywistości prawdopodobnie widzę anioły tak samo jak ty - powiedziała. - Fakt, że tu przyjechałeś, sugeruje, że nie uważasz mnie za kompletną pozerkę.

Siedzieliśmy na eleganckiej kozetce z kutego żelaza, z czarnymi wałkami. Stała pod ścianą z oknami, w pobliżu rzędu ciężkich stalowych urządzeń kuchennych: same drzwi lodówki sprawiały wrażenie tak szerokich, że mogłyby służyć za wejście do garderoby. W innym kącie loftu stała normalna kanapa, lustrzany stolik kawowy i dwa głębokie fotele bez poręczy, z nową tapicerką, wyglądające, jakby pochodziły z lat pięćdziesiątych. Spała w łóżku na antresoli wysoko nad kącikiem - głównie składającym się z biurka i komputera - w którym pisała. Na ścianie naprzeciwko tych wszystkich okien znajdowały się drzwi wejściowe i długi rząd nowoczesnych drzwi do garderoby: jak powiedziała mi później, ona dokonała tej decydującej przebudowy, ponieważ loft był całkowicie pozbawiony szaf. Doliczyłem się po pięć szaf po obu stronach wejścia. A na ścianach - ani okiennych, ani szafowych - wisiły w ramach okładki jej książek obok szczegółowych list bestsellerów, jak również kilku grafik z aniołami: dorosłymi aniołami, zauważyłem z radością, nie pulchnymi dzieciaczkami z gołymi golonkami zamiast ud. Zobaczyłem niewielki obrazek przedstawiający anioła w zagajniku cedrów, wyglądający trochę jak Botticelli, ale zapewniła mnie, że to dzieło pomniejszego malarza ze Sieny i że liczy sobie niespełna dwieście lat.

- W ogóle nie uważam cię za pozerkę - powiedziałem.

- Może za trochę szurniętą - podsunęła. - Ale nie za pozerkę.

- Ja nic takiego nie mówię - upierałem się. - Właśnie ostatniej niedzieli facet w moim kościele, który jest ode mnie pięć lat młodszy, a umiera na raka, przemawiał do dzieci, i mówił o aniołach pośród nas. Mówił dzieciom, że anioły nie zawsze mają skrzydła.

- Ma rację.

- Tłumaczył, że jego anioły to kobiety, które wozily go na chemioterapię. I robiły mu sok z marchewki.

Kiwnęła głową.

- Mam oczywiście czytelników, którzy widzieli anioły w dość dosłownym znaczeniu. Kiedy byłam niedawno w Vermoncie, jedna czytelniczka powiedziała mi, że szczególnie zadziwiający anioł złapał samolot jej męża, kiedy zapalił się w nim silnik, i powstrzymał go przed rozbiciem.

- Jak?

- No wiesz, rękoma.

- Po prostu sprowadził go bezpiecznie na ziemię?

- Bo anioł miał skrzydła - powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało. O dziwo zacząłem sobie wyobrażać, niewątpliwie tak jak ta czytelniczka, anioła w białej szacie, jak leci na ciesznie, trzymając kadłub dłońmi, i jednocześnie macha skrzydłami, żeby utrzymać w powietrzu siebie i maszynę. - Jak zapewne możesz sobie wyobrazić, moje książki do jednych czytelników przemawiają mocniej, do innych słabiej.

Nosiła czarne dzinsy i białą płócienną bluzkę, wypuszczoną na wierzch. Stopy miała białe; podwinęła je pod pupę. Paznokcie u nóg pomalowała na śliwkowo.

- Co byś robiła, gdybym się nie pojawił? - spytałem.

- Brnęłabym przez stopy poczty, którą asystentka pod moją nieobecność uporządkowała według ważności. Czytałabym e-maile. Robiłabym zakupy spożywcze. Spodziewałam się czarującej soboty.

- Jak długo tu mieszkasz?

- O, chwila. Dzisiaj jest pierwszy sierpnia. Prawie dwa lata. Nazywam to mieszkanie „Loftem zbudowanym przez anioły”. - Zrozumiałem, że Heather nawiązuje do swojej pierwszej książki.

- I zawsze mieszkałaś tu sama?

- Tak.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Wydaje mi się, że cały czas mnie o coś pytasz. Śmiało.

- Modlisz się? - Nie chciałem, żeby było to wyjątkowo wyzywające albo nieprzyjazne pytanie, chociaż słyszałem w głowie homonim „gnębić” i ta część mnie, która okazała się zdolna do nieoczekiwanych napadów brutalności i gniewu, mogła przydać ostrości mojemu głosowi. Ona się rozsiadła i wydawała się rozważać pytanie, w jej oczach odmalowała się pewna surowość, jej czoło się zmarszczyło. Nagle wyobraziłem ją sobie jako dziecko walczące z równaniem matematycznym, które przerasta jego możliwości pojmowania.

- Wszyscy się modlą - odparła wreszcie. - Nawet jeśli nie używają tego słowa. Nawet jeśli nie są całkowicie pewni, kogo lub co błagają. Dlaczego pytasz? Przestałeś się modlić?

- Na to wygląda. - I opowiedziałem jej, jak bardzo w minionym tygodniu starałem się połączyć z Bogiem żywym, i jak nawet udawałem to we wtorkowy wieczór przed ołtarzem z Joanie Gaylord. Prawdę mówiąc, spędziłem w kościele większość środowego popołudnia. Albo byłem sam w swoim gabinecie w skrzydle przy pomieszczeniach szkoły niedzielnej,

albo w świątyni i próbowałem się modlić. Pozwoliłem Betsy albo automatycznej sekretarce zająć się telefonami z gatunku zwyczajnych - prośba o wygłoszenie inwokacji na wyjątkowym spotkaniu masońskim w łoży w Bennington, zmiana daty najbliższego zebrania Rady Zboru, coraz pilniejsza, w miarę jak zbliżał się wrzesień, potrzeba, by znaleźć nauczyciela szkółki niedzielnej dla trzecio- i czwartoklasistów - jak również zalewem telefonów bezpośrednio powiązanych ze śmiercią Haywardów i nadchodzącym pogrzebem: przedsiębiorca pogrzebowy. Diakon. Dyrektor szkoły. Ginny.

Teoretycznie wiedziałem sporo o modlitwie, więc modlenie się nie powinno być aż takie trudne. Uczyłem się tego w seminarium, przeczytałem wszystkie odpowiednie książki. Prowadziłem grupy modlitewne w swojej niewielkiej świątyni, prowadziłem seminaria dla pastorów i osób laickich w naszym regionie. I chociaż nigdy nie oczekiwałem cudu, kiedy ktoś leżał na łożu śmierci, w pewnym okresie swojego życia wierzyłem gorąco w uzdrawiające moce modlitwy. Przez ponad dwadzieścia lat modliłem się każdego dnia swojego życia.

Niemniej jednak kiedy padałem na kolana w dniach zaraz po śmierci Alice i George'a Haywardów, modląc się na różne sposoby o wybaczenie, uzdrowienie i zrozumienie, doszedłem do wniosku, że gówno wiem o modlitwie - w każdym razie nie wiem o niej nic pożytecznego. Kiedy musiałem znaleźć Pana najbardziej rozpaczliwie, nie miałem pojęcia, gdzie go szukać.

- Możesz mi powiedzieć dlaczego? - pytała Heather. - Kapłan musi mieć powód, żeby przestać się modlić.

- Nie miałem już pewności, że ktoś mnie słucha.

- W takim razie w czwartek rano dałeś cholernie dobre przedstawienie.

- Na nabożeństwie żałobnym?

- Tak.

- Dziękuję.

Pokręciła głową - ubawiona, pełna niedowierzania, nie umiałem tego dokładnie określić - i kosmyk włosów zsunął się jej na oczy. Była to chyba najbardziej pobudzająca rzecz, jaką widziałem od chwili, gdy po raz ostatni znalazłem się sam na sam z Alice Hayward i pozwoliłem sobie rozkoszować się widokiem jej pleców, kiedy wstała z łóżka, by się ubrać. Poczucie, że nikt nie słucha - nikt nie patrzy, nikt się nie przejmuje - stawało się nieoczekiwane wyzwajające od chwili, gdy wsiadłem do swojego samochodu i opuściłem Vermont. Pierwotnie czułem tylko samotność i rozpacz, uświadamiając sobie, że tam w górze może nikogo nie ma. Już nie.

- Zawsze wiedziałeś, że twoja wiara jest taka słaba? - spytała.

- Nie. Wręcz myślałem przez ostatnie dwadzieścia lat, że jest silna. Wierz mi, wytrzymała sporo chorób. Mnóstwo zgonów. Modliłem się z rodzicami, którzy stracili dzieci, klęczałem przed bardzo starymi ludźmi kilka chwil przed ich śmiercią. Odprawiałem pogrzeby nastolatków i młodych matek. Znam wnętrza hospicjów równie dobrze jak każdy, kto tam pracuje.

- Ale twoja wiara nie wytrzymała śmierci Haywardów. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Najwyraźniej.

- Czym ich śmierć się różni?

- Winą. Gniewem.

- Winę rozumiem. A skąd gniew?

- A to nie jest oczywiste?

- Nie.

- Chodzi o George'a. O to, że ją zabił. Wydaje się, że wiara, w każdym razie moja wiara, jest doskonale pocieszająca przy łagodnym oburzeniu, ale absolutnie się nie nadaje do gniewu.

- Chodź ze mną. - Wstała i zaniósła swoją szklanekę mrożonej herbaty do wyspy kuchennej z czarnym marmurowym blatem. - Wychodzimy.

- Dobra.

- Musisz zrobić coś całkowicie odmiennego. Musisz zmienić krok.

- Idziemy na tańce? - spytałem żartobliwie.

- O, wątpię, czy umiałbyś ze mną tańczyć. Kiedyś byłam niezłą tancerką.

- Tak czytałem w *Aniotech* - powiedziałem. - I masz rację, nie dałbym rady. Napytałbym sobie biedy.

- Stephen, ja żartowałam - odparła cierpliwie. - Żadnej biedy byś sobie nie napytał.

- Owszem. Wierz mi. To nie byłoby ładne.

Już się wsuwała w czarne baletki i gestem wskazała mi, żebym zostawił mrożoną herbatę na stoliku przy sofie.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziała.

- Niedaleko?

- Na mieście.

- Powiesz mi, co to jest, czy mam być zaskoczony?

Wzruszyła ramionami.

- Nic tajemniczego. Pokażę ci anioła.

- Myślałem, że ty jesteś moim aniołem - odrzekłem. To była pierwsza optymistyczna uwaga, jaka mi się zdarzyła od niemal tygodnia. I uśmiechnąłem się.

- Jestem. - I ku memu zaskoczeniu wspięła się na palce i delikatnie pocałowała mnie w usta.

JESZCZE TEGO SAMEGO dnia potężna burza przetoczyła się nad Manhattanem i krople deszczu wielkości dziesięciocentówki tańczyły na chodniku. Powietrze było naelektryzowane, niebo miało kolor szaroniebieski. Staliśmy w samych T-shirtach przed oknami jej loftu i patrzyliśmy, jak przechodnie na dole suną po Greene Street, przeskakując wielkimi susami przez rzeki, które nagle zachlupotały przy krawężnikach, a jednocześnie usiłując uniknąć opryskania przez żółte taksówki i wozy dostawcze. Ale wcześniej, po południu chmury znajdowały się daleko na zachodzie, a my poszliśmy do Central Parku, gdzie ona pokazała mi anioła: wysoką, pewną siebie skrzydlatą kobietę z brązu. Jak powiedziała mi Heather, anielica patrzyła nad tarasem od dziewiętnastego wieku. Przechadzała się z determinacją po brzegu fontanny, a woda wypływała spod jej stóp do zbiornika z błękitnoszarego piaskowca. Płachty wody zwiastowały ulewny deszcz, który za kilka godzin miał spaść z nieba.

Brązowy posąg był ulubionym aniołem Heather na Manhattanie, ale dowiem się, że były inne, które bardzo lubiła, na Brooklynie i w Bronxie. Co prawda anioły łatwo znaleźć na cmentarzach, ale jej nie obchodziły za bardzo anioły pogrzebowe i nagrobkowe cherubiny - chciała aniołów pośród żyjących, nie czuwających nad umarłymi - i przetrząsała parki i ogrody w poszukiwaniu aniołów, z którymi na pewnym poziomie niejako chciałyby obcować.

W parku zjedliśmy lody na ocienionej ławce, zjedliśmy je szybko, ponieważ byliśmy głodni, a lody szybko się topiły w słońcu. Otaczali nas gracze softballu i miłośnicy opalania, i ludzie piknikujący na trawie, w których dopatrywałem się zakochanych, i od razu poczułem, że do nich należę, doborowy członek klubu ludzi szczęśliwych - nieobciążony zwątpieniem ani rozpaczą - i równocześnie, że jestem całkowicie od nich oddzielony. Ani na chwilę nie zapomniałem, że Alice nie żyje, a Katie została sierotą i że w Vermoncie jest zbór, który opuściłem. Owego popołudnia, na ławce w parku i potem w łóżku w lofcie nad biurkiem, Heather powiedziała mi więcej o małżeństwie swoich rodziców, o ich śmierci, i rozmawialiśmy o swoim rodzeństwie - w tym o jej siostrze Amandzie i o dziwnych reakcjach dziewczyny na śmierć matki z rąk ich ojca. Część z tego wiedziałem już z książek Heather, ale części nie ujawniła światu dla dobra Amandy.

- Dlatego właśnie chciałam poznać Katie - powiedziała, kiedy staliśmy w oknie i

patrzyliśmy, jak deszcz pada z polinezyjskim natężeniem.

- Dlatego się martwię o tę dziewczynę.

Amanda mieszkała w zatęchłej drewnianej chacie w lesie na północy stanu Nowy Jork z ostrożnym - prawdopodobnie agorafobicznym - rzeźbiarzem ptaków i oboje całymi tygodniami nie wyprawiali się nawet do sklepu w jakimś punkcie na mapie o nazwie Statler. Była alkoholiczką. Już nie piła, ale też i nie chodziła już na spotkania AA. A kiedy przestała pić, zrzuciła wagę, tak jak wąż zrzuca skórę. Zdaniem Heather nie była anorektyczką w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale miała metr sześćdziesiąt dwa, a ważyła maksymalnie czterdzieści pięć kilogramów, kiedy się widziały zaraz po Dniu Pamięci. Palila nieustannie, jej skóra zaś wyglądała jak papirus. Wciąż jednak, powiedziała Heather, była mądra i zabawna, i zdolna zamienić swojego umiarkowanie towarzyskiego kochanka w artystę cieszącego się uznaniem kuratorów i kolekcjonerów. Pomimo kruchej fasady w interesach okazywała się twardzielem. Stawała się atrakcyjna i charyzmatyczna, kiedy musiała się wykazać przed dzianym handlarzem w galerii na Spring Street.

A kiedy sobotnia noc przemieniła się w niedzielny poranek, rozmawialiśmy o kochankach, których mieliśmy w przeszłości, aczkolwiek ja w swoim krótkim, ale głęboko osobistym wykazie zataiłem jedno imię, co, podobnie jak wiele innych moich czynów i słów z tamtego tygodnia, wróci, by mnie prześladować.

Uznałem za interesujące, że tak jak ja oświadczyłem się jednej kobiecie, a ona odmówiła, Heather poproszono kiedyś o rękę i powiedziała nie. Kochała tamtego gościa, ale nie chciała życia, które wynikałoby z poślubienia odczytanego profesora religii w małym college'u w Pensylwanii. Ironia faktu, że właśnie takiej ścieżki ja o mały włos nie wybrałem, nie umknęła żadnemu z nas, bo ona wtedy już знаła tę część mojej historii. Zdałem sobie sprawę, kiedy gawędziliśmy i drzemaliśmy, i kochaliśmy się, że nie jestem dla Heather zwyczajnym przedsięwzięciem rekultywacyjnym - a taka myśl przeszła mi przez głowę, gdy tylko w nią wszedłem, chociaż nie zmniejszyła ani trochę mojego żaru - lecz raczej bardzo potrzebnym wytchnieniem. Rzeczywiście, tak jak podejrzewałem, odczuwała potrzebę bycia potrzebną, chociaż trochę czasu mi zajęło zrozumienie, jak dosłownie to ujęła, kiedy się zgodziła, że jest moim aniołem. Ale dostrzegła też we mnie kogoś, kto w pierwszej chwili nie miał najmniejszego pojęcia, kim ona jest, a potem, gdy już mu powiedziała, w ogóle się tym nie przejął.

Kiedy się obudziliśmy w niedzielny poranek, spytała, czy chcę pójść do kościoła. Jeszcze nie wybiła ósma i gdybym był w Vermoncie, właśnie ubierałbym się do nabożeństwa albo rozmawiałbym z dyrygentem chóru o hymnie, albo sprawdzałbym swoje rekwizyty na

zajęcia z dziećmi. Może bym sprawdzał, czy są świece na stole komunijnym, albo może po prostu słuchałbym ćwiczeń chóru. Pojawiała się wówczas energia, którą mogę przyrównać do odczuć towarzyszących aktorowi albo reżyserowi pół godziny przed otwarciem podwoi teatru, nim widownia zacznie się wypełniać przed przedstawieniem o ósmej.

- Nie - odparłem. - Raczej nie. Ale nie chcę ci przeszkadzać, jeśli ty chcesz iść. Powinienem...

- Co powinieneś?

- No, miałem powiedzieć, że powinienem już iść. W końcu masz swoje życie.

- Dokąd pójdziesz?

- Nie wiem. Gdzieś. Mam kilka możliwości.

Siadła na kolanach na łóżku, a jej głowa niemal dotknęła sufitu.

- Dobrze się wczoraj bawiłam, dobrze się bawiłam w nocy. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Chociaż mówiąc to, mam poczucie winy. Tak, wiem.

- A czujesz się winien, bo powinieneś być w Vermoncie? Czy dlatego, że nie mogłeś zapobiec śmierci Alice Hayward?

- Nie że nie mogłem. Nie zapobiegłem. To różnica. I myślę, że mam poczucie winy z obydwóch powodów, chociaż rzeczywiście o wiele gorsze z powodu faktu, że Alice Hayward nie żyje niż z powodu swojej dezercji.

Nie czułem się jednak źle - ani wtedy, ani teraz - z tym, że ciągnie mnie do Heather Laurent. Później tej jesieni ludzie będą mnie oczerniać, sugerując, że byłem jakimś niemoralnym, nadpobudliwym seksualnie Casanovą. Jak mogłem się związać z inną kobietą tak szybko po śmierci Alice? - zdawali się pytać. Moja odpowiedź - gdyby ktokolwiek miał tyle przyzwoitości, by zapytać mnie wprost - byłaby raczej bezpośrednia (przyjmując, że w ogóle zechciałbym sklecić odpowiedź). Zwróciłbym im uwagę, że romans mój i Alice, jakkolwiek był, trwał tylko pół roku; że zakończyliśmy go już dwa i pół miesiąca wcześniej, nim pozwoliłem sobie pójść do łóżka z Heather Laurent; i że rozstaliśmy się z Alice w przyjaźni. Byłem zdruzgotany faktem, że Alice nie żyje, a jej córka jest sierotą. Ale sypianie z Heather Laurent nie stanowiło aktu nielojalności ani nie świadczyło o mojej bezduszości. Ja też potrzebowałem pocieszenia. Jeśli istnieje grimoire na ból, dlaczego nie miałyby zawierać romansu? Osoba opuszczona czerpie pocieszenie z występów o wiele gorszych.

- Wygłaszałeś kiedyś kazanie o wyrzutach sumienia? - spytała.

Sypiała w T-shircie i starych spodenkach ze sznurkiem, którym bawiła się teraz w zamyśleniu. Kiedy zadała to pytanie, miała trochę zdumiony wyraz twarzy i wydawała mi się coraz bardziej pociągająca. Taką minę miała, kiedy głęboko się zamyślała, kiedy się nie pilnowała i stawała się dziecięca. Chciałem usiąść i ją pocałować. (Wyobraźcie sobie tylko te wszystkie potworne określenia, którymi by mnie obrzucono, gdybym w którymkolwiek momencie śledztwa zasugerował, że znalazłem w kobiecie coś dziecięcego, co mnie pociąga. Oszczerstwa rzucane na moją osobę stałyby się o wiele gorsze. Tylko moja matka by nie uwierzyła, że coś takiego jest możliwe. W każdym razie mój adwokat i ja czerpaliliśmy mroczne pocieszenie z faktu, że jestem baptystą, a nie katolikiem, i zbrodnie, o które jestem oskarżany, chwalić Boga, nie dotyczą przynajmniej ministrantów).

- Tak, głosiłem kazanie o wyrzutach sumienia - odpowiedziałem. - Głosiłem kazanie o winie i o wstydzie. Wygłosiłem w życiu, lekko licząc, siedemset dwadzieścia pięć kazań. Ciężko znaleźć jakiś temat, o którym kazania nie wygłosiłem.

- Gdybyś mógł zrobić poprawki...

- Ale nie mogę zrobić poprawek - przerwałem jej. Szybko złagodziłem ton, z lęku, że zraniłem jej uczucia swoją gwałtownością. - W tym właśnie problem. Nie mogę przywrócić Alice do życia. Po prostu nie ma sposobu, żeby naprawić taką potworność.

Opadła na poduszkę i leżała na boku, opierając głowę na dłoni. Ja wciąż leżałem na plecach. Jej T-shirt był czarny z różowymi baletkami; lubiłem na nią patrzeć. Włosy miała jeszcze w lekkim porannym nieładzie.

- Mówiłeś, że nigdy nie wierzyłeś w anioły w sensie dosłownym - powiedziała po chwili.

- Zgadza się. Nigdy.

- „Bo swoim aniołom dał rozkaz o tobie, aby się strzegli na wszystkich twych drogach - powiedziała, cytując psalm dziewięćdziesiąty pierwszy. - Na rękach będą cię nosili, abyś nie uraził swej stopy o kamień. Będziesz stapał po węzłach i źmijach, a lwa i smoka będziesz mógł podeptać”.

- Umiesz przytoczyć każdy biblijny cytat o aniołach? - spytałem.

- Bez przesady. Ale kilka i owszem.

- I tak jestem pod wrażeniem.

- Niepotrzebnie. Na pewno znasz na pamięć więcej fragmentów niż ja.

- Zdziwiłabyś się, jak niewiele w ogóle wiem.

- I nigdy, absolutnie nigdy nie wierzyłeś w anioły. Naprawdę?

Mogłem jej podać dowolną liczbę gładkich odpowiedzi, ale zasługiwała na coś



lepszego.

- Przez jakiś czas - wyznałem - wierzyłem w obecność anielską, w światło Boga wokół nas. Ludzi zachowujących się anielsko. I czasami spotykałem ludzi, których zachowanie wydawało mi się anielskie. Kiedy przybyłem do zboru, był tam taki człowiek, stary farmer. Diakon. Miał wówczas siedemdziesiąt siedem lat, a ja byłem dwudziestopięcioletnim nowicjuszem fachu pastorskiego. Był słaby, ale bardzo miły, bardzo mądry. Wziął mnie pod swoje skrzydła i nauczył wszystkiego o Haverill, o historii kościoła. O kapłanach, którzy byli przede mną. Dopilnował, bym gładko wszedł w otoczenie. A także, i to jest niebagatelne, nauczył mnie, jak się posługiwać większością narzędzi elektrycznych. Ten ganek, na którym siedzieliśmy w dniu, kiedy się poznaliśmy? To z nim go zbudowałem. Ale nie, nigdy nie wierzyłem w gatunek czy rodzaj stworzenia, który nazwałabyś aniołem.

- Nic z aureolą?

- Nie. Nic z aureolą. Ani ze skrzydłami.

- „Nadzieja jest tym upierzonym”<sup>\*</sup> - powiedziała.

- Emily Dickinson?

- Zgadza się.

- To było o ptakach.

- Dla mnie zawsze niektóre głosy były anielskie - powiedziała Heather.

Zastanowiłem się nad tym.

- Pewien parafianin powiedział mi, że w śpiewie swojej córki usłyszał głos Boga - przyznałem. - I w niektóre niedzielne poranki strasznie nie lubiłem zaczynać kazania po hymnie chóru.

- Nie miałam w zasadzie na myśli śpiewania, chociaż wiem, o czym mówisz.

- A, miałaś na myśli zwykły głos mówiący.

- Tak. Niektóre głosy są bardziej anielskie niż inne. - Przez chwilę próbowałem sobie przypomnieć głos tamtego starego diakona. Nie żył już od siedmiu lat, więc dopiero po dłuższej chwili odtworzyłem miłe dla ucha połączenie słów, które znaczyły jego mowę - które znaczyły mowę większości moich wiejskich sąsiadów. Jego głos był chropowaty i łagodny, i śmiał się lekko, ale często. Podobno małe dziecko śmieje się setki razy dziennie, a dorosły ledwie czternaście. Tamten diakon należał do wyjątków. Kiedyś wygłosiłem na ten temat kazanie - o śmiechu jako darze od Boga.

- Chyba mogę sobie przypomnieć głosy, które były anielskie i święte - zgodziłem się.

---

<sup>\*</sup> Fragment wiersza 254 E. Dickinson w przekładzie S. Barańczaka (przyp. tłum.).

- Tak właśnie przeczuwałam.
- Oczywiście, mogę także przypomnieć sobie głosy, które były skończonym złem.
- To głosy ciemności.
- Najwyraźniej.
- Pewnie masz na myśli głos George'a Haywarda?
- Szczerze mówiąc, droczyłem się tylko.
- George Hayward nie mówił głosem demonicznym?

- Przy mnie nie. Ale Alice mówiła, że kiedy miał jej zrobić krzywdę, przybierał ton protekcjonalny. Zaczynał mówić jak profesor prawa. Ze starej szkoły. Sokratyczny. Zaczynał zadawać jej pytania, i jakiegokolwiek udzielała odpowiedzi, przysparzała sobie tylko kłopotów. „Myślisz, że to wypada, żeby matka Katie ubierała się jak kurwa? Myślisz, że jesteś uczynna, że załadujesz całą pralkę ciemnych rzeczy, nie pytając, czy ja może mam coś do uprania? Może golf albo dzinsy? Jak twoim zdaniem mam reagować, jeśli wolisz spędzać czas z Ginny O'Brien zamiast ze swoim mężem? Jesteś lesbijką?”. Nigdy nie podnosił głosu, zanim ją uderzył, a nawet kiedy był pijany jak bela, wysławiał się jak Henry Higgins. Alice zawsze wiedziała, że ma problem, kiedy zaczynał odstawiać to swoje *My Fair Lady*.

Kiedy George Hayward umarł, jego inwestycyjny metabolizm może wreszcie zaczął zwalniać. Alice mówiła, że spędzał coraz więcej czasu przy biurku i na spotkaniach, zamiast na nogach w swoich sklepach albo w restauracji, i zastanawiałem się, jak te zmiany wpływały na jego usposobienie. Ponadto im większe i bardziej różnorodne stawało się jego handlowe królestwo, tym trudniej było nim kierować. Rządzić. Kontrolować. Miał trzy zupełnie różne przedsięwzięcia. Dlatego być może przybierało na sile jego pragnienie absolutnej kontroli nad Alice.

Próbowałem usłyszeć w głowie, jakim głosem zwracał się do swoich pracowników i jak on się różnił tonem od głosu zastrzeżonego dla żony. Publicznie zawsze wydawał się raczej sympatyczny. Ale w rzeczywistości był - i nawet kapłani mają takie przemyślenia, chociaż rzadko je werbalizują - małostkowy, okrutny i przeokropny. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, na czyje podobieństwo został stworzony.

- A głos Alice? Co pamiętasz z jej głosu? - spytała Heather.

O głosie Alice Hayward mógłbym powiedzieć wiele. Mógłbym opisać, jak jedwabisty i niski stawał się w łózkowym szepcie albo jakie vibrato przyjmował, kiedy płakała. Za którymś razem kiedy była w moim biurze - zanim jeszcze przekroczyłem Rubikon i wszedłem do jej łóżka - jej głos stawał się niesamowicie równy, niemal beznamiętny, kiedy wyjaśniała mi pochodzenie *chiaroscuro* żółci i hiacyntu na swoim policzku. Większość zboru przyjęła jej

twierdzenie, że nocą weszła w łazience na otwarte drzwiczki szafki na lekarstwa. Miała ciało pływaczki i czasami, kiedy byliśmy sami, mówiła do mnie głosem pływaczki: trochę gardłowym, niekiedy ochrypłym, zawsze trochę słabszym niż jej piękne ciało. „Przypomnij mi, kim jestem - powiedziała do mnie jednego z naszych wspólnych poranków w łóżku jej i męża. - Czasami nie mogę uwierzyć, że jestem kobietą, która sobie bierze kochanka”. To słowo „bierze” wydało mi się niesamowicie ujmujące, jakbym był zdobywcą, a cudzołóstwo zaszczytem. Ona rozkwitała, a ja chłonałem każde jej słowo.

Ale z Heather żadną z tych rzeczy się nie podzieliłem. Nie byłem jeszcze gotów ujawniać sekretów o mojej ostatniej kochance. Odpowiedziałem tylko wymijająco, a ludzie później powiedzą, że w taki wymijający sposób zachowywałem się przez całe tamto lato, dowodząc niebezpiecznych zmian charakteru. Wyjałowiona dusza, lodowate serce. Z perspektywy czasu wiem, że coś powinienem był powiedzieć Heather. Cokolwiek. Znalazłbym się w lepszej sytuacji i wtedy, i - jak sądzę - w miesiącach, które nadeszły. Ale nic nie powiedziałem.

A kiedy wspominam tamtą niedzielę, dostrzegam podobieństwa pomiędzy tamtym starym diakonem a Heather Laurent, czy też, skoro już o tym mowa, pomiędzy Heather a którąkolwiek z osób, które poznałem w życiu, pozostających w półcieniu anioła. Ale tamtego ranka, dzień przed tygodniem od dnia, kiedy Haywardowie umarli, o wiele bardziej koncentrowałem się na mroku świata niż na świetle. Wiedziałem, co się zdarzyło siedem dni wcześniej w Cape na wzgórzu, i wydawało mi się, że jeśli gdzieś w głębi każdej z naszych dusz albo w szpiku znajduje się jakiś element nie z tego świata, to z większym prawdopodobieństwem jest to element szatański.

POMYŚL, ŻE UCIEKŁEM, był śmieszny. Niedorzeczny, ponieważ odbierałem komórkę za każdym razem, kiedy dzwoniła - w każdym razie jeśli miałem ją przy sobie - i ponieważ podróżowałem z dość rozpoznawalną kobietą. (Tak, wiem, że niewielu pisarzy cieszy się sławą godną gwiazdy filmowej: jeśli do biblioteki wejdzie Angelina Jolie, będzie się w niej roić od fanów i fotoreporterów; jeśli Margaret Atwood wejdzie do kina, ledwie drgnie kolejka do popcornu).

Nie powiedziałem swojej matce, dokąd jadę, ponieważ naprawdę w chwili gdy opuszczałem Bronxville, sam tego nie wiedziałem. To samo dotyczy Komitetu Duszpasterskiego i diakonów w kościele w Haverill. Podobnie Heather nie wiedziała wówczas, że pojedzie odwiedzić swoją siostrę na północy stanu Nowy Jork i że weźmie ze sobą kapłana, który nie był pewien, co zrobi ze swoim życiem, ani co to znaczyło, że ochrzcił

kobietę pół dnia przed tym, jak ją uduszono. W lofcie Heather, w jej łóżku czułem raczej zadowolenie. Ona też, chyba, po całym tym podróżowaniu w poprzednich miesiącach. Ale choć miała potrzebę, żeby chronić i dopełnić (i tu używam jednego z jej słów) swoją aureę, ustąpiła ona przed troską o Amandę i o pastora z Vermontu. Tak więc zniknęliśmy w górach Adirondack.

Co prawda kusi mnie, by okazać pewne zrozumienie wobec bulwersujących, błędnych interpretacji moich poczynań, dokonanych przez Catherine Benincasę, dziennikarzy albo blogerów - zaczynając zdania od „Ale” albo „Niemniej jednak” - byłoby to wszak nieszczerze. Prawda jest taka, że nie rozumiem tego. I chociaż wielu ludzi uważa, że można mi przypisać wszystko oprócz szczerości, to przecież byłem bardziej otwarty, niż chciałem, albo bardziej, niż ode mnie oczekiwano, albo bardziej, niż miałem obowiązek być.

Ale wiem też, że cokolwiek innego zrobiłem (albo - co gorsza - czego nie zdołałem zrobić), ponad wszelką wątpliwość nie uciekłem. W ogóle, słowo honoru, przez myśl mi nie przeszło, że mogę to zrobić.

Oczywiście, nikt z nas nigdy nie wie tyle, ile sądzi, że wie. Nikt z nas. Jeśli z mojego upadku można wyciągnąć jakąś naukę - proszę zauważyć, że nie mówię, z mojego powstania i upadku, ponieważ nie można powiedzieć, że kariera proboszcza wiejskiej parafii jest jakimś wyjątkowym osiągnięciem - to taką: nie wierzcie nikomu. Nie ufajcie nikomu. Przyjmijcie, że nikt nie wie tak naprawdę nic, co by miało w ogóle jakieś znaczenie. Bo, niestety, nikt nie wie. Wszystkie nasze historie są podejrzone.

**CZEŚĆ II**

**CATHERINE BENINCASA**

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

MÓJ MAŻ TO świetny facet. Nie trzeba takiej gnidy jak George Hayward czy Stephen Drew, żebym to rozumiała. Myślę, że ci dwaj mają więcej wspólnego, niż wielebny chciałby przyznać.

Ale o to właśnie chodzi z takimi facetami. Całkowite wyparcie. Wszyscy mówią o tym, jak maltretowana kobieta absolutnie nie chce przyznać przed sobą, co się naprawdę dzieje w jej życiu, i zapewniam was, że w umysłach większości ofiar rzeka Wyparcie jest naprawdę szeroka jak cholera. Najgorsze, jak dla mnie, są przypadki, gdy jakiś chłopak albo ojczym wykorzystuje seksualnie córkę swojej kobiety, a kiedy w końcu łajdakowi zostaje postawiony zarzuty - kiedy córka wreszcie to zgłasza - kobieta broni tego faceta! Bierze jego stronę! Upiera się, że jej własne dziecko musiało wszystko zmyślić albo przesadza. Wiercie mi: żadna dwunastolatka nie przesadza, kiedy chłopak mamusi zmusza ją, żeby robiła mu to ustami.

I najwyraźniej Alice Hayward była z wyparciem za pan brat. Kiedy wróciłam do swojego biura w tamten poniedziałek po oględzinach bajzlu w Haverill, dowiedziałam się, że Alice zeszłej zimy uzyskała tymczasowy zakaz zbliżania się. Zdołała wykopać wredną dupę swojego męża z domu i jakimś cudem zmusiła go, żeby przez kilka miesięcy siedział w ich chacie nad jeziorem Bomoseen. A potem, jak tyle innych maltretowanych kobiet, przyjęła go z powrotem. Nawet się nie pojawiła na przesłuchaniu tydzień po dostarczeniu dokumentów.

Ale racjonalizacje mężczyzn są jeszcze gorsze. Włosy stają dęba na głowie.

No bo Stephen Drew nie używał twarzy jakiejś biednej kobiety jako cykliniarki ani nie narzucał się żadnej bezbronnej licealstce. (Proszę zauważyć, że nie jestem uszczypliwa i nie dodaję „o ile wiemy”. Bo moim zdaniem owszem, wiemy: nie narzucał się). Ale niewątpliwie nadużył swojej władzy i pewne jak diabli, że wykorzystywał swoje parafianki. Jak na kapłana koleś ma zimną krew. Mieszkał kompletnie sam, nie miał nawet psa ani kota. Naprawdę mnie zaskoczył, kiedy ruszył z tą frazą o ukrzyżowaniu jako formie egzekucji. Bardzo uczone, ale

później stało się jasne, że nawet jego adwokat żałował, że od Drew zaleciało seryjnym zabójcą.

I podobnie jak mnóstwo damskich bokserów z wielką wprawą sam się oszukuje.

I świetnie gra, zapewne.

Tamtego ranka kiedy go poznałam, opowiedział mi, jak ochrzcił Alice Hayward poprzedniego dnia i jak to powinien był dostrzec, co się święci, bo ona po wynurzeniu coś tam szepnęła. Nie mogłam zdecydować, czy on przesadza z teoretyzowaniem wokół faktu, że na podłodze leży martwa kobieta w koszuli nocnej, a na kanapie siedzi facet z połową twarzy, czy też jest w tak głębokim szoku i znajduje powody, by czuć się winnym. Nie wyglądało na to, że to on udusił kobietę. Nie wyglądało na to, że to on zastrzelił kreaturę na kanapie.

Widać, ile wiem.

To jeden z moich współpracowników, David Dennison, jako pierwszy zapytał, co się naprawdę wydarzyło u Haywardów w noc tragedii. David jest lekarzem sądowym. Wysoki i z włosami niemal białymi wygląda jak intelektualista. Oczy ma zapadnięte, trochę smutne nawet, ale to bardzo zabawny gość. Pracowałam już z trzema patologami w dwóch stanach i nauczyłam się, że większość lekarzy sądowych jest bardzo dowcipna. Wydaje mi się, że jeśli ktoś wybiera taki zawód, musi sobie cenić czarny humor. Jest także doskonałym świadkiem, a jako prokurator cenię tę cechę u lekarza sądowego. Seriale policyjne doprowadziły mnie do ruiny: nie ośmielę się wezwać na świadka tępaka, jeśli chcę, żeby ława przysięgłych nie zasnęła.

W dodatku David jest totalnie kontrolującym świrem, i tego też potrzebuję. Widywałam już, jak podchodził do osoby, która najwyraźniej po raz pierwszy była na miejscu zbrodni, i grzecznie brał jej ręce i składał je jak do modlitwy - Najbardziej na świecie nie chce - nikt z nas nie chce - żeby ktoś przypadkowo dotknął jakiegoś ważnego dowodu i tym samym go zniszczył.

W tamten poniedziałkowy rano, kiedy zjechaliśmy do Haverill, David do nikogo z nas nie mówił zbyt wiele. Ma biuro aż w Burlington, dobre dwie i pół godziny jazdy, ale do lunchu dotarł na miejsce zbrodni. Wszyscy mieszkańcy miasteczka byli albo ponurzy, albo w szoku, ale podsłuchałam, jak David wymienia z Drew kilka słów, które można określić jako przyjazne i zdecydowanie miłe jak na takie okoliczności. Drew, tak jak wielu ludzi, którzy ostatecznie stają się podejrzani, był bardzo, bardzo pomocny. Mówił nam dużo o Haywardach - zarówno o George'u, jak i o Alice. W końcu udzielał Alice porad. (Tak dokładnie mi powiedział: „Służyłem jej poradą”. Dopiero później wykombinowaliśmy, że od cholery tych porad udzielił jej w łóżku). I sprzątał, aż wióry leciały. Założył takie gumowe rękawice i

poszedł na całego z zakrzepłą krwią w kącie pokoju. (W następnych dniach to także wyda mi się ociupinkę podejrzane). Był totalnym twardzielem, a nie osobą, po której można by się spodziewać, że ucieknie w ataku paniki.

W każdym razie to wstępny raport Davida z autopsji spowodował, że wyprężyłam się na krześle za swoim biurkiem i ponownie przeanalizowałam w myśli, co się wydarzyło. Zdaniem Davida śmierć Alice nastąpiła z przyczyn, które wcześniej przyjęliśmy: uduszenie. Ślady wskazywały na zabójstwo. Ale aspekty śmierci George'a były już trochę niejasne. Chociaż przyczyną śmierci rzeczywiście była rana postrzałowa głowy, David nie podał, że ślady wskazują na samobójstwo. Wypisał natomiast to jedno wyrażenie, które pomogło odpalić całe śledztwo: „do ustalenia”. Jego zdaniem pewne kwestie w śmierci George'a dawały mu do myślenia, a jego raport sugerował, że w grę wchodzi zabójstwo. Innymi słowy, nie można było wykluczyć, że ktoś inny niż George pociągnął za spust w niedzielną noc - i podobnie, że ktoś inny niż George udusił Alice. To nie wydawało się prawdopodobne, ponieważ tyle kawałków skóry George'a znaleziono pod paznokciami Alice - zdrapała mu cholernie dużo twarzy. Ale ludzie są dziwni. Przez jakiś czas nie odrzucałam opcji, że George i Alice bili się zaciekle, ale że to osoba trzecia (lub czwarta) zamordowała Alice.

Pierwszym ostrzegawczym sygnałem dla lekarza sądowego była rana głowy George'a Haywarda. Kiedy człowiek decyduje się wpakować sobie kulkę w łeb, zwykle przytyka lufę do skroni. Zwykle na linii włosów. Albo, jeśli broń nie dotyka dokładnie skóry, znajduje się całkiem blisko: samobójstwo to rana kontaktowa albo z bezpośredniego pobliza. Poza tym ramię osoby ma określoną długość; naprawdę nie da rady wymierzyć w skroń z odległości większej niż sześć, siedem cali, a większość samobójców przystawia broń o wiele bliżej. W rezultacie większość prochu trafia na skórę i powstaje gęsty osad. Kiedy patolog go zmywa, najpewniej znajduje otarcia i ziarna niedopalonego prochu, które wbijają się w ciało. Im dalej znajduje się wylot lufy od miejsca wejścia pocisku, tym mniej wyraziste będą te ślady. Zdaniem Davida kula, która zabiła George'a Haywarda, na pewno nie spowodowała obrażeń z przyłożenia ani - co wywnioskował na podstawie nieznacznych ilości prochu, niedopalonego prochu i sadzy - nawet z bezpośredniego pobliza. Strzał mógł paść z odległości nawet kilku stóp.

Po drugie, układ rozprysku krwi, kości i mózgu w salonie: szczątki, które pastor Drew, najlepsza przyjaciółka Alice i inne osoby uprzątnęli z siatki drzwiowej i kredensu, i bez powodzenia próbowali usunąć z kanapy. David uważał, że to możliwe, że rozprysk powstał w wyniku rozerwania czaszki w następstwie strzału samobójczego. Ale od chwili gdy wszedł do pokoju, powiedział mi później, nie dawał mu spokoju kąt.



Wreszcie kwestia prawej ręki George'a Haywarda. Znalaziono na niej pozostałości po strzale, ale niezbyt wiele. A o ile nikt dzisiaj nie przykładą wielkiej wagi do pozostałości po strzale, David uważał, że byłoby ich więcej, gdyby to rzeczywiście Hayward pociągnął za spust. (Fakt, że jakieś drobiny znalazł, nie znaczył nic: w niewielkim pomieszczeniu pozostałości można znaleźć wszędzie).

Toksykologia - badania krwi i moczu - potrwa dwa albo trzy tygodnie, ale David zasugerował, że dużo więcej można wywnioskować już teraz dzięki ponownym oględzinom broni. Na przykład jak mocny był odrzut? Czy też, mówiąc wprost, ile mózgu tego łajdaka znalazło się w lufie? (Powiedzmy to jasno: chociaż niewykluczone, że George Hayward padł ofiarą morderstwa, i tak był skończonym łajdakiem). David sugerował też, że po przebadaniu broni ktoś w laboratorium kryminalistycznym powinien przeprowadzić testy balistyczne z tym samym ładunkiem, żebyśmy wiedzieli, ile może pozostać niedopalonych ziaren prochu. Dzięki temu mogliśmy zyskać dość dokładne pojęcie o odległości, w jakiej znajdowała się broń od czaszki Haywarda.

Cóż, żadna z tych spraw nie skłoniłaby mnie do rozmyślań, w jaki sposób Stephen Drew mógł być powiązany ze śmiercią George'a albo Alice Hayward, gdyby facet nie zmył się w chwili, gdy ciała wyekspediowano na pogrzeb do Nowego Jorku i New Hampshire. Gdyby siedział na miejscu, pewnie musiałoby upłynąć trochę więcej czasu, zanim ktokolwiek z nas w biurze prokuratora stanowego zwróciłby uwagę na miejscowego pastora. Jeden z moich współpracowników, na przykład, snuł domysły, że morderstwa mogły stanowić próbę zatuszowania rabunku i włamywacz wiedział, że George Hayward stosuje w domu przemoc. Innymi słowy, ktoś zamordował tych dwoje, a potem zaaranżował wszystko tak, żeby wyglądało to na robotę George'a. I zawsze istniała możliwość, że to wszystko to jakaś straszliwa zbrodnia psychopatyczna, w rodzaju zamordowania dwojga profesorów Dartmouth College w 2001 roku w ich własnym domu. Może ktoś udusił Alice na oczach George'a, a potem go zlikwidował? Ale po co by sobie zadawał trud upozorowania innej zbrodni? A kiedy dom ponownie gruntownie sprawdzono i zinwentaryzowano, nie znaleziono niczego, co by wskazywało na kradzież. Nie mieliśmy też podstaw uważać, że albo Haywardowie, albo ich nastoletnia córka prowadzili jakieś sekretne życie jako handlarze narkotyków.

Ale znaleźliśmy liczne wskazówki, że Alice Hayward otrzymywała nie tylko pasterskie porady od tego kapłana, który uciekł z Haverill po odprawieniu nabożeństwa żałobnego.

KIEDY PO RAZ pierwszy przeczytałam raport z autopsji, zadzwoniłam do Davida Dennisona.

Spodziewał się telefonu.

- Miałem przecucie, że wyrażenie „do ustalenia” przykuje twoją uwagę - powiedział.

- Sprawdzasz, czy przepała mi się styki? W tym bajzlu Haywardów nie przewidziano miejsca na żadne, kurde, komplikacje.

- Czy ktoś ci mówił, że klniesz jak nastolatka?

- Nastolatki nie mówią „kurde”. Nie bawią się w takie subtelności. Paul twierdzi, że raczej klnę jak szewc. A spędza całe życie wśród nastolatek. Myślę, że gdybym mówiła jak nastolatka, już by mi na to zwrócił uwagę.

- Więc jak myślisz?

- Myślę, że to wszystko wydawało się takie proste na pierwszy rzut oka.

- Rzeczywiście wyglądało ładnie i elegancko.

Po raz kolejny zerknęłam na zdjęcia Alice Hayward zrobione na miejscu zbrodni. Jej oczy, pozbawione powietrza, były wybałuszone, białka poznaczone pękniętymi naczynekami krwionośnymi, a usta już na zawsze zamarły w grymasie męczarni i strachu.

- Nie, Davidzie, wyglądało straszliwie.

- Wiesz, o czym mówię - rzekł głosem niezbyt skruszonym. Potem podzielił się ze mną podejrzeniem co do tego, co naprawdę mogło się tam wydarzyć, jeśli wziąć pod uwagę, że kawałki mózgu George'a Haywarda usiały ścianę i kanapę. Na koniec dodał jeszcze: - I oczekuję poważniejszych pytań, kiedy za tydzień czy dwa dostaniemy badania krwi i moczu.

- A myślisz, że co znajdzie laboratorium?

- Że George Hayward był zbyt pijany, żeby się zabić. To wszystko jest bardzo wstępne, oczywiście, ale zdziwiłbym się, gdyby pomiędzy jednym zgonem a drugim upłynęły jakieś cztery godziny.

- Żartujesz.

- Dobry Boże, policzyłaś butelki po piwie?

- Tak.

- Koleś cuchnął jak menelnia po długim weekendzie.

- Nie bywam w menelniach, Bogu dzięki.

- Kolację prawie strawił. Papka. A u niej? Mógłbym policzyć ziarna fasolki i groszku. Oto więc jeden scenariusz. On dusi ją około ósmej, ósmej trzydzieści. Potem, pod wpływem wyrzutów sumienia albo paniki, pije. No, pije dużo. Bardzo dużo. W końcu traci przytomność. Potem, około północy, ktoś do niego strzela.

- Brzmi trochę naciąganie.

- Zaczekaj, aż przyjdzie wynik badania poziomu alkoholu we krwi. Nie zdziwiłbym

się, gdyby się okazało, że waha się w okolicy trzech dziesiątych albo i więcej. Zatrucie alkoholowe. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że mamy do czynienia z dawką niemal śmiertelną.

- Nie możesz tak dokładnie typować godziny zgonów. Plus minus dwie godziny, oboje mogli umrzeć około dziesiątej - powiedziałam.

- Niewykluczone. Ale czas opróżniania żołądka to jakieś cztery godziny. Ludzie kłamią, ale żołądki nie. Zakładając, że kolację jedli razem... powiedzmy, o siódmej, siódmej trzydzięści... ona nie żyła o ósmej trzydzięści. On? Raczej bliżej północy.

- Oczywiście, jeśli Hayward był taki pijany, jest też możliwe, że nie zabił również Alice.

- No tak - przyznał i nie musiałam głośno mówić, o czym oboje myśleliśmy. Czasami nikt z nas nie ma bladego pojęcia, co się dzieje w domu po zaciągnięciu żaluzji i zamknięciu drzwi. Pewne fakty wychodzą na jaw w wyniku sekcji zwłok, kiedy się dowiadujemy, jak ciało się psuje albo stygnie do temperatury pokojowej, jak sztywnieje albo się rozkłada, albo się wypróżnia ostatnim ruchem jelit, ale co owo ciało robi w chwilach tuż przed śmiercią często pozostaje zagadką. A w przypadku zabójstwa nierzadko są to wydarzenia dziwne i upiorne. W tym Cape mogły się dziać rzeczy, które zdecydowanie wykraczają poza nasze najbardziej szalone domysły. Mogli się tam pojawiać ludzie, których obecność wprowadziłaby w osłupienie sąsiadów.

I pojawiać się przy życzliwym współudziale Haywardów: nic nie wskazywało na włamanie do domu na wzgórzu. Drzwi nie zamknięto na klucz, okna były otwarte, chociaż zabezpieczone siatką.

Na pewno wiedzieliśmy jedno: George Hayward tłukł swoją żonę, ile wlezie. Tak powiedział pastor, tak powiedziała ta laska, Ginny, i tak powiedziało jedyne, nastoletnie dziecko zabitych. A to oznaczało, że ktokolwiek zabił jedno z nich albo oboje, zdawał sobie sprawę z małego brzydkiego hobby George'a Haywarda.

Kiedy znaleźliśmy ciało Alice Hayward, jej plecy i pośladki były pokryte dwu- i trzydniowymi sinymi pręgami, co oznaczało, że George bił ją w ten weekend, kiedy została ochrzczona. David powiedział, że nerki miała tak mocno stłuczone, że w dniu śmierci pewnie sikała krwią.

- Uprawiała seks tamtego dnia? - spytałam. - Dobrowolnie lub pod przymusem?

- Nic na to nie wskazuje. W pochwie nie było nasienia.

- No, w każdym razie nie był to gwałt.

- Kiepskie pocieszenie dla uduszonej.

- Też prawda.

- I naprawdę uważam, że George zamordował Alice.

- Tak?

- Absolutnie. Miała pod paznokciami jego naskórek. To ona zostawiła mu te szramy po lewej stronie jego twarzy.

- Pewnie powinnam wysłać śledczego do Haverill, prawda? Trzeba by tam narobić trochę szumu.

- Zgadzam się.

Kilka dni później wszyscy będziemy się zastanawiać, dokąd pojechał pastor i dlaczego nie odbiera komórki.

JIM HASS BYŁ prokuratorem stanowym na hrabstwo jeszcze przed moim przybyciem i coś czułam, że będzie prokuratorem stanowym, jak mnie już nie będzie. Nie był już takim młodocianym geniuszem jak dziesięć lat temu, kiedy jako trzydziestoparolatek wyrzucił z Albany i Bronxu handlarzy narkotyków, którzy przedostawali się do miejscowych liceów, i skazał powieściopisarza z Arlington, który zamordował swoją żonę i usiłował to upozorować na przypadkowy napad rabunkowy i zabójstwo. Właśnie przybyłam po dwuletniej pracy w biurze prokuratora w Concord w stanie New Hampshire i niezmiernie wrażenie zrobiło na mnie pierwsze osiągnięcie Jima. Ale drugie? Litości. Mogę na palcach jednej ręki wyliczyć kobiety w północnej Nowej Anglii, które zostały zabite za mojego życia w przypadkowym napadzie rabunkowym na dom. Wszyscy wiemy, że kobiety często są mordowane przez mężczyzn, którzy twierdzą, że kochają je najbardziej. Ale Jim naprawdę lubił prowadzić nasze niewielkie biuro, lubił być mentorem dla takich młodych prawników jak ja i delektował się dziwnymi prądami, które wydawały się przepływać przez Bennington i południowo-zachodni Vermont. Mieliśmy swój wybitnie wystrzałowy, trochę barbarzyński college pod miastem; mieliśmy to świetne nowoangielskie zmęczenie życiem charakterystyczne dla miasta fabrycznego, w którym już nie ma tyle przemysłu - przez co staliśmy się trochę jak Pittsfield i Albany, nasi miejscy sąsiedzi po drugiej stronie granicy stanu. I otaczały nas malownicze niewielkie osady Gór Zielonych wypełnione mieszkańcami, którzy byli tu od zawsze, i natrętami z Manhattanu, Westchester i hrabstwa Fairfield, którzy kupili tu sobie drugi dom.

Kiedy zaszłam do gabinetu Jima złożyć mu krótki raport o sprawie Haywardów, właśnie wychodził burmistrz i widziałam, że Jim rozkoszuje się faktem, że burmistrz przyszedł tutaj, zamiast poprosić go do siebie. Kusilo mnie, żeby mu przypomnieć, że

burmistrz Peter Grafton lubi spotykać się z ludźmi w barze Blue Benn i równocześnie zjadać się gulaszem wołowym, a nasze biuro znajduje się po drodze z jego biura do baru. Peter zapewne spotkał się z Jimem w drodze do miasta - czuć było od niego obiadem.

Tamtego ranka Jim miał na sobie marynarkę z mikrofibry, taką co to prezentuje się bardzo dobrze na chudziutkich modelach, ale na krępym gościu takim jak Jim wygląda jak naciągnięta folia spożywcza. Nie miał nadwagi - wręcz był dość przystojny, miał przejrzyste zielone oczy, dzięki którym robił wrażenie na młodszych sędzinach, a także grzywę ciemnobrązowych włosów, które dopiero niedawno zaczęły rzednąć - ale gdybym miała zgadywać, oszacowałabym, że zbliża się do stu kilogramów, przy wzroście niespełna metr osiemdziesiąt.

- Widzisz - rzekł, siadając za biurkiem empire wielkości toru do minigolfa i gestem wskazując mi krzesło obok, a nie naprzeciwko - już wysłuchuję polityków, którzy wietrzą okazję w tej tragedii. Radni. Legislatorzy. Nie cierpię polityków.

- Nieprawda. Uwielbiasz polityków. Sam jesteś politykiem.

- Więc może ujmę to inaczej: nie cierpię, kiedy politycy próbują wykorzystać jakąś tragedię. Nie cierpię, kiedy się popisują.

- Ja też.

- Już planują oprzeć na tym kampanię. Wpisują walkę z przemocą wobec kobiet do swojego programu, ale bez szczegółów, bez propozycji, bez planu.

- W każdym razie będą przeciw.

- Jak możesz sobie żartować w ten sposób? Jesteś kobietą!

- Właśnie dlatego mogę. Bo jestem kobietą.

- Zupełnie jak z tym pacjentem, który się powiesił w stanowym szpitalu dla psychicznie chorych. Nagle każdy polityk chciał nowego dyrektora. Nowego szpitala. Nowych zasad opieki nad chorymi psychicznie. Powstał chaos i zamieszanie, a ostatecznie nie zmieniło się absolutnie nic.

- Pamiętam.

- A teraz zrobią tak, żeby zapobieganie przemocy domowej należało do obowiązków prokuratora stanowego.

- Jim...

- Chcą utworzenia specgrup. Chcą przesłuchań. Legislacji. Przynajmniej to nie stanowi dla nas problemu. Rutynowa procedura. Chociaż nie uważam, żeby to był rutynowy przypadek, i nie podchodzę rutynowo do przemocy domowej, zapewniam cię.

- Jim?

- Słucham.

- David uważa, że George Hayward nie zabił się sam.

Bujnął się do przodu na wielkim siedzisku swojego skórzanego fotela.

- Co?

Opowiedziałam mu więc o ranie głowy i spekulacjach lekarza sądowego. Podzieliłam się z nim domniemaniem, że jeśli George Hayward nie zastrzelił się sam, to - w każdym razie w tej chwili - można sobie wyobrazić, że również nie udusił Alice.

- Jest ktoś inny? - spytał z lekkim śladem suchości w gardle. No właśnie.

- Najwyraźniej. Ale w tej chwili mówię ci tylko, że George Hayward może nie popełnił samobójstwa.

Westchnął, a ja wyobraziłam sobie, że próbuje ogarnąć, jak bardzo właśnie skomplikowałam mu życie i ile zasobów jego niewielkiego biura trzeba przydzielić do sprawy, która jeszcze kilka chwil temu wydawała się stosunkowo prostą tragedią rodzinną.

MÓJ MAŻ UCZY nauki o ziemi i chemii w liceum w Bennington, a uczniowie go uwielbiają. Chyba jedna trzecia maturzystów dedykuje mu swój album rocznika, jest nieustannie ośmieszany w ich różnych przedstawieniach - ale tak, żeby było jasne, że kochają go bardziej niż ferie wiosenne. Kiedyś, gdy pomagałam mu jako opiekun na balu, połowa maturzystek patrzyła na mnie jak na natrętną wiedźmę. Jedna wręcz spytała mnie, kim jestem i co tam robię. Spytała, skąd znam pana Ribnera. „Hm, jest moim mężem” - odparłam grzecznie. „Skąd znasz Paula?”. Chłopcy też go wielbili, zwłaszcza piłkarze. Grał w nogę w college'u i licealna drużyna cieszyła się teraz świetną reputacją w całym stanie. Cztery razy w ciągu sześciu lat pod jego opieką wygrywali stanowe mistrzostwa.

Czasami gdy nasi chłopcy już leżą w łóżkach (co zawsze jest wielkim osiągnięciem, bo jeden ma trzy lata, drugi sześć, a obaj są niestrudzenie ruchliwi), wymieniamy spostrzeżenia z minionego dnia. On mówi o jakimś uchodźcy, dzieciaku, który nie ma nic, a zebrał jakąś niewiarygodną sumę w marszu na rzecz miejscowego schroniska dla bezdomnych, i tak się składa, że jest również wyjątkowym napastnikiem, ja zaś mówię mu o (na przykład) jakimś kapłanie w Haverill, który rznął pewną maltretowaną kobietę, choć miał jej tylko udzielać porad i wsparcia, a potem wziął sprawiedliwość w swoje ręce i zastrzelił jej męża.

Nie jestem uczona w Biblii, ale nawet ja wiem, kto ma ostatnie słowo, jeśli chodzi o sprawiedliwość i zemstę, i to nie jest miejscowy pastor. Za kilka tygodni jedna z gazet w Vermoncie ochrzci Drew mianem „Wielebnego Mściciela”, ale moim zdaniem to przezwisko

sugeruje w duszy tego gościa żarliwość, której tam wcale nie ma. Wydawało mi się też, że bezzasadnie nadaje ono facetowi pozytywne cechy.

Oczywiście, chyba stanowią wyjątek wśród kobiet. Najwyraźniej Alice Hayward coś w nim widziała. Podobnie Heather Laurent. I jestem przekonana, że w Haverill takich kobiet było więcej i pewnego dnia wypłyną. Już teraz krążą plotki i podejrzenia i niemało poszeptywać. Ale on na pewno nie jest w moim typie: jest niemal zbyt śliczny. Włosy ma zbyt doskonale. A obiektyw wręcz go uwielbia. Te jego pierwsze zdjęcia w gazecie we wtorek rano? Idealny tatuś z Burda Moden.

Niemniej jednak przyznaję, że z początku nie patrzyłam na Drew jak na podejrzanego, nawet kiedy David zasugerował, że George Hayward może zostać zamordowany. Dopiero kiedy jeden ze śledczych, Emmet Walker, wrócił ponużyć w Haverill tydzień po pogrzebie i dowiedział się, że Drew opuścił miasto, zaczęłam się zastanawiać. Emmet, wraz z młodszą policjantką, Andy Sullivan, zajeżdżał do świątyni. Tam sekretarka przedstawiła ich jakiemuś starszawemu facetowi o imieniu Gavin, który powiedział, że pełni obowiązki pastora, dopóki Drew nie wróci albo nie podejmie decyzji, że nie wróci nigdy. Zarówno Gavin, czyli Gavin Muir Maxwell - trudno byłoby znaleźć solidniejsze nazwisko, moim zdaniem, dla emerytowanego baptystowskiego kapłana, który pracuje teraz w charakterze poniekąd zastępczego opiekuna bezpańskiego stada - jak i sekretarka parafialna byli rozmowni. Poinformowali, że Drew wyjechał w czwartek wieczorem, w dniu pogrzebu Alice Hayward, i że powiedział, że nie wie w zasadzie, dokąd jedzie. Ale sekretarka, urocza kobieta, Betsy Storrs, którą najchętniej uczyniłabym swoją nową matką chrzestną (moja właściwa matka chrzestna nie żyje od dawna), powiedziała Emmetowi, że widziała na biurku wielebnego paszport, zanim wszedł do świątyni poprowadzić nabożeństwo za Alice Hayward, a poprzedniego dnia usłyszała, jak dzwoni i usiłuje się dowiedzieć o limity na swoich kartach Visa i MasterCard.

- Widziała pani, żeby zabierał z biura jakieś dokumenty? - spytał Emmet.

- Mamy tu dużo tajemnic państwowych - odparła z powagą Betsy. - Jeśli nie liczyć Los Alamos, to u nas właśnie przechowuje się najważniejsze dokumenty.

- Więc nie wziął nic?

- Oczywiście, że wziął - odparła, kręcąc głową, i pokazała mu, że osobista szuflada pastora w szarym stalowym segregatorze jest prawie pusta. - Ponieważ wziął paszport i tyle swoich osobistych dokumentów, nie spodziewam się jego rychłego powrotu. Mówię panu, to wszystko bardzo, bardzo nim wstrząsnęło. Nikt z nas się zupełnie nie spodziewał, że pastor aż tak to przeżyje. Myślałam, że dobrze znam Stephena - w każdym razie równie dobrze jak

każdy w miasteczku - ale mówię panu, w życiu bym się tego nie spodziewała.

Zdaniem Emmeta Betsy Storrs nie czuła złości. Ale uważał, że pastor był bardzo, bardzo skryty.



**Heather Laurent, *Anioły i aury*, s. 119**

Mam poczucie, że to anioły przychodzą do nas, nie my do nich. Nie zabiegamy o nie, nie prosimy o nie - chociaż oczywiście może kierujemy do nich modlitwy. Ale nie pukamy do nich, bo musielibyśmy wszak pukać w powietrze, w aurę. Ich obecność jednak moim zdaniem jest niezaprzeczalna, a kiedy ich potrzebujemy, pojawiają się na naszym progu bez żadnych fanfar. Obserwują. I zawsze będzie dla mnie źródłem zadziwienia, jak często umykają nam oczywistości ich przybycia, jak często mylimy je z sąsiadem, przyjacielem, członkiem rodziny.

Albo z obcym.

Zbyt często przypuszczamy, że nieoczekiwani obcy w naszym życiu źle wróżą, albo jesteśmy sceptycznie nastawieni do ich zamiarów. Myślimy, że wiemy lepiej.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że w eterze krążą wszelkie gatunki wrogości, ale życzliwość też. I tak jak istnieją rozmaite potworności - morderstwo, samobójstwo, molestowanie dzieci, wypadki samochodowe, głód, wojna, czystki etniczne - jest też bezkrytyczna dobroć. Nie zwyczajne cuda, chociaż i tych doświadczyłam, ale zwykła ludzka więź, albo za pośrednictwem aniołów, albo od nich wypływająca. Dlatego właśnie próbuję zachęcać ludzi do otwartości na te nowe osoby, które wydają się pojawiać w ich życiu znikąd.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

JAKO DZIECKO ŚCIAGAŁAM sobie drabinę zainstalowaną w klapie sufitu na piętrze w domu dziadków i wchodziłam na strych. Robiłam to nieustannie, kiedy miałam siedem i osiem lat, bo moi dziadkowie mieszkali ledwie piętnaście mil od nas, więc ciągle ich odwiedzaliśmy. Nie powinnam była tam chodzić, ale kiedy moi rodzice pili z dziadkami kawę po obiedzie albo lunchu, albo siedzieli na tyłach domu na tych starych drewnianych krzesłach ogrodowych, które musiały ważyć tyle co mały samochód, tam właśnie umykałam. Mój brat i siostra nigdy do mnie nie dołączali. Jeśli też byli u dziadków, sadowili się przed telewizorem. Co mnie tak na tym strychu interesowało? Stare czasopisma. Mój dziadek, ojciec mamy, był kiedyś redaktorem w „Vermont Life” i miał całe pudła zakurzonych egzemplarzy tego magazynu, jak również mnóstwo „Time'a”, „Life'u” i „True Detective”. Czasami próbowałam skusić brata jakimiś lekko prowokacyjnymi zdjęciami Marilyn Monroe, które znalazłam w starym „Lifie”, i jeszcze bardziej niedwuznacznymi zdjęciami hipisek na Woodstock w numerze „Time'a”. Ale on nigdy nie łyknął przynęty, tak więc zawsze wchodziłam tam sama.

Przyciągnąwszy pod drabinę niewielki tapicerowany fotel z sypialni dziadków, mogłam sięgnąć akurat na taką wysokość, żeby chwycić sznur od klapy. Do niej z kolei przymocowano kilka ciężkich drewnianych stopni, które zawsze kojarzyły mi się ze schodami do piwnicy w domu rodzinnym. W trzech ścianach strychu były okna, więc chociaż nie podłączono tam prądu, wystarczało światła do wertowania starych gazet i oglądania zdjęć. Zwykle siadałam na starym koniku bujanym z imitacją strzemion, bo bałam się, że są tam myszy i nie chciałam stopami dotykać podłogi, i czytałam to, co pojmowałam, albo po prostu przyglądałam się zdjęciom obok tych artykułów, które mnie nudziły, czy też zwyczajnie były dla mnie niezrozumiałe. Najwyraźniej większość tego, na co się natknęłam, była dla mnie niezrozumiała.

Ale najwięcej chyba czasu spędziłam nad artykułami o przestępstwach z użyciem przemocy w Nowym Jorku, San Francisco i Miami na Florydzie. To one zapadły mi na zawsze

w pamięć. Historie o mężach, którzy zamordowali swoje żony, o handlarzach narkotyków, którzy z broni maszynowej kosili agentów federalnych, seryjnych mordercach, którzy zakopywali dzieci w swoich piwnicach i na podwórkach. Przerazały mnie śmiertelnie - ale i bez reszty mnie fascynowały. Dziadkowe „Vermont Life'y” ze zdjęciami jaskrawoczerwonych stodół i wiejskich cukrowni. Te historie o sadach jabłkowych, skrzypkach i łowieniu na lodzie. Wtedy mniej mnie interesowały. Tak więc w niektóre niedzielne popołudnia ja w aksamitnej sukience i karmazynowych rajstopkach, z włosami niewątpliwie związanymi w kucyk, studiowałam czarno-białe zdjęcia, których nie powstydzilby się Weegee. Nie wiadomo, co mnie już wtedy ciągnęło do tych spraw, ale nie mogłam się powstrzymać. Kiedy miałam dość - kiedy byłam niemal przerażona - jak oparzona stamtąd wybiegałam. Nie mogłam się doczekać, żeby dołączyć do rodzeństwa przed telewizorem albo do rodziców na słońcu.

Później, kiedy Paul i ja się spotykaliśmy, a nasz związek stawał się coraz poważniejszy, przyprowadziłam go do tego domu, żeby poznał moją babcię (dziadek umarł kilka lat wcześniej). Zaprowadziłam go też na strych i pokazałam magazyny - rzekomo po to, żeby zobaczył numery „Vermont Life”, nad którymi pracował mój dziadek. Babcia miała wkrótce sprzedać dom i ku mojemu zdumieniu spytała, czy chcę te magazyny. Nie „Vermont Life”, które chciała oddać stanowemu towarzystwu historycznemu. Numery „Time”, „Life” i „True Detective”. Przyjęłam. Ale do dzisiaj nie mam pojęcia, skąd babcia wiedziała, że mnie do nich ciągnie.

PRZY ŚNIADANIU MOI chłopcy potrafią być cholernymi hultajami. Nie codziennie, ale na tyle często, że Paul kiedyś pościelił na podłodze pod krzesłami zasłonę prysznicową, co chyba mówi samo za siebie. Innym razem przez tydzień dawałam im do jedzenia płatki bez mleka - w ogóle zero płynów w miseczkach. Owszem, jestem mamą, która karze swoje dzieci, odmawiając im mleka. Bardzo miłe, wiem. Już widzę te nagłówki, kiedy przychodzą po nich z Wydziału Rodzinnego i Nieletnich. Problem w tym, że Lionel, mój trzylatek, doprowadza Marcusa, mojego pierwszoklasistę, do szału, ponieważ nie rozumie, dlaczego inne samce w domu muszą chodzić do szkoły, a on nie.

- Przedszkole jest prawie jak szkoła - mówi Marcus cierpliwie, naprawdę jak mały dyplomata, ale Lionel jakoś widzi wielką różnicę pomiędzy swoim przedszkolem a podstawówką brata i liceum Paula. Tak więc albo bierze łyżkę swoich płatków i ciska nimi do miseczki Marcusa, albo rzuca Ziarnami Kakao czy Kiścią Pepperoni (czy jakimkolwiek tam słodzonym koszmarem, którym akurat ich karmimy) w powietrze, albo używa swoich palców

jak szufli i zaczyna wyrzucać wszystko na stół, jakby chciał gołymi rękoma zbudować zamek z piasku na Cape Cod. A oczywiście Paul i ja próbujemy wyjść - i wyprowadzić też chłopców - co tylko powiększa chaos.

Haywardów zamordowano pod koniec lipca, tak więc w dniach, kiedy śledztwo zaczynało nabierać rozpędu, Lionel miał swoje przedszkole, Marcus - obóz letni dla dzieci o nazwie Mali Artyści albo (przysięgam, nie zmyślam tego) w skrócie Malaria. Nikt oficjalnie powiązany z organizacją nigdy jej tak nie nazywał, skrót nie pojawiał się na papierze listowym ani na innych materiałach, ale wszyscy rodzice mówili o niej, posługując się tym uroczym słowem. Podobno organizacja właśnie zmienia nazwę. W każdym razie w okresie gdy zamordowano Haywardów, nie musieliśmy z Paulem przygotowywać chłopców do szkoły, ale w większość poranków nadal musieliśmy popędzać ich przy śniadaniu. Zwykle Paul podrzucał chłopców do przedszkola i Malarii, ponieważ latem nigdzie nie musiał się stawiać (nie, nie przemawia przeze mnie gorycz). Pewnego sierpniowego ranka kiedy zadzwonił Emmet, właśnie wycierałam stół kuchenny i sprawdzałam, czy na ustach moich dzieci nie widać śladu szajsu, którym je karmię. Dzwonił z komórki i chciał wiedzieć, czy przejrzałam dokumenty i materiały, które zostawił w moim gabinecie poprzedniego dnia. Nie przejrzałam, ponieważ wyszłam wcześniej, żeby złożyć zeznania w sprawie pijanego kierowcy motorówki i narciarza wodnego, który - w rezultacie lekkomyślnie łykniętych przez kierowcę w porcie margarit - nigdy nie będzie jeździł na nartach wodnych ani nie będzie chodził.

Ilekcóż myślę o tym, jak spędzam większość dnia, dziwię się, że w ogóle pozwalałam swoim dzieciom choć na chwilę zniknąć mi z oczu.

- No, robi się interesująco - powiedział Emmet.

- Tak?

- Zawieźliśmy do laboratorium karton różnych rzeczy. Ale przede wszystkim chciałem ci powiedzieć, że Alice Hayward prowadziła dziennik. Taki notatnik z pustymi kartkami, niewiele większy niż notes adresowy. Prawdę mówiąc, jak go znalazłem, myślałem, że to właśnie notes adresowy, chociaż z początku nie rozumiałem, dlaczego trzyma go głęboko w szufladzie pod bielizną. Ale kiedy go otworzyłem, zrozumiałem, że to pamiętnik.

- Pisze o mężu?

- Owszem, i to fascynujące. Raz na jakiś czas można niemal zrozumieć, co ona w nim widziała. To znaczy on oczywiście był gnidą. Absolutnie i bez dwóch zdań skończoną gnidą. Ale nie zawsze walił nią po domu. A kiedy już to zrobił, okazywał skruchę.

- To typowe. Czasami mógł być miłym facetem, ale zapewniam cię, dopiero gdy nią

gdzieś grzmotnął.

- Pisał dla niej wiersze. To nie moja bajka i nie mam pojęcia, czy są dobre. Ale wydaje mi się, że są pełne miłości. Rozumiem, jak ją przekonał, by pozwoliła mu wrócić. Ale jest jeszcze jedna naprawdę interesująca rzecz: w tej sprawie jest też inny mężczyzna. Wiesz, o kim jeszcze pisała Alice Hayward?

- Zamieniam się w słuch.

- Ten kapłan, który cichcem wyjechał z miasteczka. Stephen Drew. W każdym razie tak myślę, że to Stephen. Coś tam było na rzeczy.

- Co to znaczy, że tak myślisz, że to Stephen?

- Nie pojawia się jego imię, tylko szyfr. Tam, gdzie można by się spodziewać imienia, ona rysuje mały krzyżyk. Więc dziennik leci tak, że „Krzyżyk powiedział to”, „zrobiliśmy to z Krzyżykiem”.

- A to nie jest „t”?

- Zdecydowanie nie. Kiedy po raz pierwszy go narysowała, zrobiła to bardzo ozdobnie.

- Cóż, on był jej kapłanem. Mówił, że dużo rozmawiali. Dlatego właśnie jej śmierć tak go załamała.

- Myślę, że jest w tym coś więcej.

- O ile więcej?

- O wiele.

- Jakby sypiali ze sobą?

- Odbieram takie sygnały. Mianowicie jeden z fragmentów pamiętnika zapisałem sobie w notesie: „Włosy Krzyżyka kojarzą mi się z Bożym Narodzeniem. Zawsze pachną choinką”.

- Ale ani razu nie pisze wprost, że sypiali ze sobą.

- Na tych stronach, które przejrzałem, nie. Ale pewnie się obawiała, że jej mąż znajdzie dziennik, dlatego nie ma tam nic zdecydowanie obciążającego.

- Krzyżyk nie jest zbyt subtelny. Gdyby miała coś do ukrycia, to nie byłby najsprytniejszy pomysł.

- Też tak uważam. Ale posłuchaj tego: „Dzień wolny, Katie z koleżankami. Dzisiaj spędziliśmy z Krzyżykiem kilka godzin razem. Bardzo spokojnych, bardzo cichych. Co robić?”.

Zastanawiałam się nad tym zdaniem przez długą chwilę.

- Jaka to data?

- Dwudziesty dziewiąty marca.

- To było długo po tym, jak uzyskała zakaz zbliżania i George mieszkał nad jeziorem.

- Zajrzyj do tego dziennika, zrozumiesz, o co mi chodzi - powiedział Emmet. - Przepisałem sobie jeszcze jedno: „Krzyżyk u mnie. Nie wychodziliśmy z domu całymi godzinami. Bosko”.

Paul też był w kuchni, ale nie wiedział, z kim rozmawiam. Później powiedział mi jednak, że moje oczy otworzyły się bardzo szeroko i przez chwilę koniuszek języka spoczywał na skraju warg. Odtworzył przede mną ten wyraz twarzy i nazwał go „piorunującym wzrokiem sawannowym”. Mówi, że takie spojrzenie mam, kiedy jestem pochłonięta pościgiem, a moja ofiara właśnie się potknęła w trawie.

TA SPRAWA MIAŁA potencjał, fascynująco będzie się ją rekonstruować. Z jednej strony zapowiadało się, że będzie żenująco łatwo - taki wsad - wykazać, że Stephen Drew ze swoim zapachem choinki w kościele sypiał z Alice Hayward. Później, kiedy pokryliśmy cały dom Haywardów proszkiem na odciski palców, znaleźliśmy te, które potem okazały się odciskami Drew, w całej sypialni, w tym na szczycie zagłówka. Znaleźliśmy je na nocnym stoliku i w kuchni na kieliszkach do wina. Znaleźliśmy jego DNA we włosach w odpływie pod prysznicem w sypialni małżeńskiej i stwierdziliśmy, że do pastora należy włos łonowy na dnie kosza z brudną bielizną. Znaleźliśmy włókna z dywanika w jego salonie na wykładzinie w sypialni Haywardów.

Z drugiej strony, zapowiadało się, że potrzebne będzie nie lada śledztwo, żeby udowodnić, że pojechał do Cape na wzgórzu w tamtą niedzielą noc lipcową i strzelił George'owi Haywardowi w głowę.

Tamtego wieczoru Drew miał cotygodniowe spotkanie z kościelną Grupą Młodzieżową, a trwało ono do dziewiątej z minutami. Kiedy wreszcie pojawił się po swojej ucieczce z Haverill, powiedział nam, że od razu po spotkaniu poszedł do siebie na plebanię. Twierdził, że nie jeździł tamtej nocy w okolice domu Haywardów - a my nie mieliśmy nic, co by go łączyło bezpośrednio z morderstwem. Jedyne odciski palców na broni, kuli i szafce na broń należały do George'a - chociaż te na rękojeści i na spuście były bardzo zamazane, a więc niewykлучzone, że po George'u jeszcze ktoś trzymał broń. Nic nie wskazywało na to, że samochód Drew znalazł się na zwirowym podjeździe tamtej nocy, na trawniku żadne ślady nie pasowały do jego butów - w każdym razie żadne, które zachowały się do chwili, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że Drew należy wziąć pod uwagę jako podejrzanego. Dzięki informacjom od providera wiedzieliśmy, że Drew był on-line od dziewiątej piętnaście do

dziesiątej trzydzięci, odbierał e-maile i surfował po necie, ale potrzebowaliśmy nakazu sądu - albo jego laptopa, którego okazania później zażądamy - żeby się dowiedzieć, które witryny i strony odwiedził. Potem, jak twierdził, poszedł spać. Miałam nadzieję, że może Alice dzwoniła do niego tego wieczoru - maltretowane kobiety często dzwonią do kogoś bliskiego tuż przed tym, jak ich chłopak czy mąż uderzy je po raz ostatni - ale nie było na to żadnych dowodów.

A jednak zniknął dwa dni po zbrodniach, które coraz bardziej wyglądały na dwa zabójstwa, a nie na samobójstwo i zabójstwo. To mi nie dawało spokoju. Facet był kurwa kapłanem, a uciekł ze statku w chwili, gdy miasteczko najbardziej go potrzebowało. To mnie naprawdę ruszyło. To i ten drobnusieńki szczegół, że Drew posuwał parafiankę, która później została zamordowana.

PRZEZ DOBRY TYDZIEŃ, od środy do następnego poniedziałku, żadne z nas nie miało pojęcia, dokąd pojechał wielebny pastor. Nie wiedział tego nikt w Haverill, a jego rodzona matka powiedziała, że nie widziała go od poprzedniej soboty rano. Zostawiliśmy wszędzie wiadomości, w tym na jego komórce. Cały czas myślałam o tym, że sekretarka parafialna dostrzegła paszport na jego biurku rankiem przed pogrzebem, więc w piątek wysłałam faks do Departamentu Stanu, żeby sprawdzono, czy aby nie wyjechał z kraju. W tym momencie nie był jeszcze oficjalnie podejrzany - chociaż nieoficjalnie w mojej głowie był podejrzany jak cholera - ale na pewno chcieliśmy z nim pogadać.

I nie wyjechał z kraju. Nawet nie wsiadł na pokład żadnego samolotu odbywającego lot krajowy.

Co oznaczało, jeśli się nigdzie nie zatrzymał, że najpewniej podróżuje gdzieś swoim samochodem. (Nie wykluczyłam całkowicie koncepcji, że zapłacił gotówką za bilet autobusowy, ale jakoś patrycjuszowski pastor Drew nie wyglądał mi na takiego, co to zadaje się z tłumem na dworcach autobusowych). A o ile to wielki kraj, stosunkowo nietrudno znaleźć kogoś zmotoryzowanego. Na stacjach paliw zostają potwierdzenia płatności kartami kredytowymi, można śledzić wypłaty z bankomatów albo skorzystać z faktu, że na drodze jest mnóstwo gliniarzy. W poniedziałek dostałam odpowiedź z Departamentu Stanu i zastanawiałam się, czy czas wystawić za wielebny list gończy, kiedy, no proszę!, wreszcie odebrał on jeden z telefonów Emmeta. A gdy tylko Emmet rozłączył się z Drew, zadzwonił do mnie. Było popołudnie, a ja siedziałam w biurze.

- Mamy kontakt - powiedział głosem głębokim i wytwornym, który mnie, dziewczynie z Vermontu, zawsze wydawał się dziwnie doskonały. Przypisywałam to faktowi, że Emmet

był przesadnie dokładny. Niektórzy ludzie błędnie uznawali tę rzeczowość za chłodną postawę policjanta stanowego. Zwykle mu to służyło, ale nie zawsze. Fakty wyglądały tak, że Emmet był wysoki i szczupły, miał garba na nosie i krótko ostrzyżone włosy, ciemnosiwe jak popiół w kominku. Mógł budzić postrach, kiedy tylko chciał.

- Naprawdę?

- Właśnie przed chwilą z nim rozmawiałem.

- I? Ma jakieś wytłumaczenie na swoje zniknięcie z ekranu radaru? Albo dlaczego nie oddzwonił?

- Wyraził nadzieję, że nie uznamy, że nas unika.

- A dlaczegoż mielibyśmy tak uznać? Może dlatego, że nikt na świecie nie miał zielonego pojęcia o miejscu jego pobytu...

- Był...

- Bo nie odpowiedział na żadną twoją wiadomość zostawioną w domu, w kościele i na komórce?

- Był w górach Adirondack. Takie ma wyjaśnienie. Pojechał z przyjaciółką na północ stanu Nowy Jork na kilka dni i przebywał w jakimś dalekim zakątku gór bez zasięgu.

- Biwakował? Jakoś mi na to nie wygląda.

- Nie, nie biwakował. Ale zatrzymał się w drewnianym domku, który określił jako stosunkowo prymitywny.

- Adirondack...

- Nieopodal Statler.

- W życiu nie słyszałam.

- Nie miałaś powodu - odparł. - To chyba tylko sklep i billboard.

- I nie ma tam zasięgu?

- Nie.

- Nie sprawdził wiadomości w domu? Nie zadzwonił do swojej parafii?

- Nie. Mówił, że dzwoni do mnie z międzystanowej, jakąś godzinę od Albany, chociaż nie jechał do domu. Udawał się do Nowego Jorku. Komórka pokazała mu, że ma wiadomości, więc oddzwaniał z autostrady.

Opadłam na oparcie krzesła i napiłam się wody z butelki na biurku. Uniosłam brwi, usiłując się odprężyć.

- Jest sam? Nie pamiętam, żeby miał jakieś osobiste powiązania z górami Adirondack.

- Mówił, że jest z przyjaciółką. Dodał, że ona prowadzi.

- Pewnie żebyś wiedział, że jest odpowiedzialnym kierowcą.



- Pewnie tak.

- Jak ona się nazywa?

Milczał chwilę, a ja oczyma wyobraźni widziałam, jak zerka do notatek.

- Heather Laurent - odpowiedział wreszcie.

- Żartujesz?

- Dlaczego? Powinienem znać to nazwisko?

- No, ty może nie. Masz penisa. Ale kobiety uwielbiają jej książki. Pisze bestsellery o aniołach. Szczerze mówiąc, moim zdaniem to kompletna i absolutna wariatka. Pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu miałam zapalenie oskrzeli i siedziałam w domu? Widziałam ją w telewizji śniadaniowej, jak gada i gada o swojej nowej książce. I może to kwestia niedoboru tlenu albo oszołomienia lekami, ale jak Boga kocham, odniosłam wrażenie, że ona mówi o aniołach, jakby były naszymi wkurzającymi sąsiadami.

- No wiesz, on jest w końcu kapłanem. O aniołach to akurat mogą sobie pogadać.

- Jasne. A ja myślę, że nie. Mam wrażenie, że jej anioły nie do końca pasują do jego aniołów. Ona jest gdzieś pomiędzy New Age a psycholstwem. Jej anioły, tak mi się wydaje, znajdują ci miejsce parkingowe w chwili potrzeby. Co on o niej powiedział?

- Niewiele.

- Wydaje mi się, że ona kilka tygodni temu była w Vermoncie. Coś mi się mgliście kojarzy z gazet.

- Głównie pytałem Drew o jego związek z Alice i George'em Haywardami. - Opowiedział mi szczegółowo, czego się dowiedział - i czego Drew mu nie zdradził. Emmet był zawodowcem, więc nie ujawnił, że pamiętnik Alice pozwala nam myśleć, że albo miała piekielnie barwne marzenia, albo że ona i Drew byli zadziwiająco sobie bliscy. I Drew trzymał się dość prostej wersji: Alice była jego parafianką, George nie, a on służył Alice pastorską poradą.

„Powiedziałby pan, że się przyjaźniliście?” - spytał Emmet, a Drew odparł: „Zdecydowanie. Byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi”. Potem detektyw zapytał, czy kapłan mógłby sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni był w domu Haywardów, i tu, według relacji Emmeta, na chwilę zapadła cisza, więc już się zastanawiał, czy Drew rozważa, czy się przyznać, że w ogóle kiedykolwiek tam był. W końcu wyznał, że najpewniej po raz ostatni był tam w maju, a oprócz tego oczywiście w poniedziałek po śmierci Haywardów. W tym momencie spytał Emmeta, dlaczego go szukamy.

- Och, po prostu wyjaśniamy wszystkie szczegóły - odparł Emmet. Ale spytał pastora, czy w najbliższym czasie wraca do Haverill i gdzie można go złapać, jeśli nie wraca. Usłyszał

w odpowiedzi, że pastor przez przynajmniej kilka dni będzie przebywał w mieszkaniu Heather Laurent na Manhattanie, a potem, niewykluczone, że u różnych przyjaciół w całym kraju. Ale Drew powiedział również, że z Manhattanu może też po prostu wrócić do Vermontu i wziąć trochę rzeczy z domu, zanim wyruszy w dłuższą podróż. Tak czy owak, dodał Drew, będzie najprawdopodobniej przebywał w rejonach z zasięgiem.

- Spytał cię, czy potrzebuje adwokata? - spytałam.

- Nie.

- Wydaje się bardzo ustępliwy.

- Powiedziałem, że zadzwonię, jeśli będę miał jeszcze jakieś pytania.

- Mamy coś z jego odciskami palców, albo nawet z DNA?

- Nie.

- A pamiętasz, jak byliśmy u Haywardów następnego dnia po morderstwie? Pamiętasz, jak Drew uwijał się ze sprzątaniami? Jaki był pomocny? - Teraz wydawało się możliwe, że pracował jak szalony, żeby mieć pewność, że nie zostawi żadnych śladów wskazujących na jego związek z wydarzeniami niedzielnej nocy. Może mu coś umknęło.

- Mgliście sobie przypominam, jak czyścił okna płynem, ale zanim chwycił butelkę, włożył gumowe rękawice.

- Przesunął stół do kawy.

- Zgadza się. Ale wtedy też pewnie miał rękawice.

- I pamiętam, jak pił jakąś wodę dietetyczną z butelki - dodałam w nadziei, że jeśli był w to zamieszany, to tu się potknął.

- Jeśli tak, to może nadal jest pod zlewem. Stał tam pojemnik na odpady.

- Dobrze. I jeśli Drew rzeczywiście wróci do Vermontu, wpadnij do niego albo spytaj, czy zechce do ciebie zajechać. Może zdołamy zadać mu jeszcze kilka pytań, zanim zrozumiemy, że potrzebuje prawnika, i zwinie się z naszego zasięgu.

- Dobra - zgodził się Emmet. - Mówiłaś, że Heather Laurent jest autorką bestsellerów?

- Owszem.

- Zastanawiam się, jak oni się zaprzyjaźnili z Drew. Może chodzili razem do szkoły?

- To niewykluczone.

- Może się jej przyjrzę? Może ona gdzieś tu pasuje.

- Ale nie rozmawiaj z nią, dopóki ponownie nie pogadasz z Drew. O ile to możliwe.

- Rozumiem.

Jakoś sobie nie wyobrażałam Drew podróżującego z Królową Aniołów, i kiedy tylko Emmet się rozłączył, wygooglowałam ją. Zobaczyłam, że jest równie śliczna jak na ekranie

telewizora. I dowiedziałam się, że jej ojciec zamordował jej matkę, a potem sam się zabił. Uznałam wówczas, że tych dwoje łączy coś więcej niż przyjaźń, a to kazało mi się jeszcze głębiej zastanowić, co powoduje pastorem Drew. Przyszło mi do głowy pytanie, czy ta Heather Laurent też jest może wplątana w śmierć Haywardów. Miłosny trójkąt? Niewykluczone. Zobaczyłam w necie, że w poniedziałek, kiedy znaleziono ciała, pisarka pojawiła się w Vermoncie, co oznaczało, że mogła tu też być w niedzielę wieczorem. I absolutnie każdy jest zdolny do absolutnie wszystkiego. Wiem o tym. Ta wiedza to, lepszy czy gorszy, skutek uboczny mojej pracy.

CZASAMI PÓŹNĄ NOCĄ zaglądam do pokoi moich chłopców. Większość nocy spędzają we własnych łóżkach, w swoich pokojach, przy otwartych drzwiach, ale tamtego lata nierzadko Lionel chwycił poduszki i koc i związał się albo w nogach łóżka Marcusa, albo na wielkiej pufie obok. Wszedł z dzieciennego łóżeczka dopiero, kiedy miał półtora roku. I chociaż był przyuczony do nocnika, wciąż sypiał w majtkach treningowych, tak na wszelki wypadek. Paul mówi, że stoję tam kilka długich minut w koszuli nocnej i tylko patrzę. Na rozum wiem, że jest powiązanie pomiędzy tym, co widzę na co dzień w pracy, a czasem spędzonym na przyglądaniu się synkom we śnie: im bardziej niesamowitą prowadzę sprawę, tym bardziej prawdopodobne, że zachowam się jak strażnik.

Obaj spali jak kamień. Ich pediatra powiedziała kiedyś, że jej zdaniem mali chłopcy sypiają głębiej niż małe dziewczynki. Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale wiem, że moja siostra i ja nigdy chyba nie spałyśmy tak jak nasz brat. Ojciec budził mnie, żebym zaczęła się przygotowywać do szkoły, i słyszałam go w chwili, gdy zaczynał obracać gałkę w drzwiach mojego pokoju. W ciągu miesięcy śledztwa w sprawie morderstw w Haverill wręcz z obsesyjną częstotliwością stawałam nad łóżkami synków albo nad tą pufą i patrzyłam na nich dwóch. Kiedy Lionel spał w pokoju Marcusa, powietrze było wypełnione zapachem szamponu dla dzieci, a ja tylko tam stałam i przyglądałam się, jak mój trzylatek związa swoje małe ciało na pufie, jakby znalazł się na powrót w macicy, z kolanami przy piersi, podczas gdy Marcus spał płasko na brzuchu, z nogami prostymi jak olimpijczyk skaczący z trampoliny tuż przed przebicciem lustra wody. Często mieli na sobie takie same piżamy, chociaż starałam się ich do tego zniechęcać. To Lionel bardzo chce być małym Marcusem i ubierać się jak starszy brat, na tyle na ile ten pozwala. Marcus, wydaje się, jest o wiele bardziej tolerancyjny w tym zakresie niż ja. Tamtego lata chłopcy spali w piżamach z wizerunkami superbohaterów komiksów, mężczyzn i kobiety, którzy robili mniej więcej to samo co ja, ale nie musieli mieć do tego nakazu sędziego ani zgody sądu. I obaj sypiali tak

mocno, że musiałam przyglądać się bardzo uważnie, żeby wykryć najłżejsze uniesienie szczupłych ramion Lionela albo pleców Marcusa. Zupełnie jakby cała ta energia, którą zaczynali zużywać od chwili otwarcia oczu - dowód rzeczowy A, śniadanie - całkowicie się wyczerpywała, nim udali się do łóżek.

Od czasu do czasu wtedy, w sierpniu i wrześniu mimowolnie zaczynałam się zastanawiać, co towarzyszyło Katie Hayward przy zasypianiu - albo jakie dźwięki budziły ją nad ranem - a w miarę jak poznawałam historię Heather Laurent, mimowolnie też roztrząsałam walki i krzyki, które ją nieustannie budziły nocami. Co robisz, kiedy jesteś dziewczynką, a twój ojciec napierdala twoją matkę? Albo jeśli po prostu jest jednym z tych szatańskich potworów, które wiedzą, jak wbić komuś nóż werbalnie - wie, jakie dokładnie docinki zranią najbardziej i naprawdę załazi żonie za skórę? Wiedziałam, że niedługo ponownie przesłuchamy Katie, i jakoś mnie ta perspektywa nie zachwycała. Miała ledwie piętnaście lat, teraz była sierotą, i słyszałam, że radzi sobie zadziwiająco dobrze. Mieszkała z rodziną swojej kumpeli Tiny Cousino w Haverill, tak że mogła zostać w tym samym liceum i mieć tych samych przyjaciół. Ale nastolatków zawsze się kijowo przesłuchuje. Często nie próbują cię zwiść, ale i tak ich odpowiedzi są chaotyczne. „Nie było nas w domu w piątek wieczorem, byliśmy w kinie. Nie, zaraz, to było chyba... w sobotę. Wróciliśmy koło dziesiątej. Nie, może o północy. Nie pamiętam. Ale było po kolacji. W każdym razie tak mi się wydaje. No zresztą, jakie to ma znaczenie?”.

Czasami z rozmyślań wyrывał mnie Paul. Pamiętam, jak którejś nocy pod koniec sierpnia podszedł do mnie od tyłu i objął mnie w pasie. Byłam już w letniej koszuli nocnej, w której sypiałam - męskiej koszulce Red Soxów, która sięgała mi niemal do kolan - i wyszeptał: „Nawet nie drgną”. To była prawda. Kiedy jedno z nas przyjdzie rano ich obudzić, Lionel najpewniej nadal będzie krabem na pufie, a Marcus skoczkiem już, już przecinającym taflę wody. Ale co z Katie, kiedy była w wieku moich chłopców, kiedy miała lat sześć albo trzy? Albo nawet z tą zwariowaną Heather Laurent? Jak one spały? Czy naciągały poduszki na głowę, tak żeby nie słyszeć kłótni rodziców ani określeń, które ojciec rezerwował dla ich matki? W jakim wieku człowiek dochodzi do wniosku, że tatuś jest gnojem? Że życie mamy to katastrofa, którą ona ukrywa pod makijażem i kłamstwami? Mieliśmy zdjęcie z miejsca zbrodni przedstawiające wgniecenie, które tył głowy Alice Hayward zostawił w płycie kartonowo-gipsowej w ścianie salonu wieczorem w dniu zabójstwa. Gdybyśmy wrócili do domu i przesunęli palcami za zdjęciami wiszącymi na ścianach, to czy znaleźlibyśmy inne wgniecenia? Przeszła mi przez głowę myśl. Już wtedy sporo wiedzieliśmy o tym, jak gniew George'a tlił się, zanim wybuchął jednym nagłym płomieniem i potem rozpałał się

gwałtownie. Aż do nocy, kiedy zabił Alice, zwykle nie uderzał jej tak, żeby zostawały widoczne ślady. To nie była zasada bezwzględna, oczywiście. Wcześniej też zdarzały się siniaki na jej twarzy. Ale zwykle bił ją w tyłek albo w krzyż. W tył głowy. Sądząc po szczegółach, które Alice wyjawiała Ginny O'Brien, mógł się nawet łudzić, że to chora, ale interesująca gra miłosna - chociaż ni cholery to nie przypominało seksu. Sam fakt, że nigdy nie złamał kości, a tylko raz czy dwa podbił jej oko, samo to, że jedynie raz ona zgłosiła się na pogotowie, nie oznaczało, że George Hayward nie był brutalny ani że przemoc się nie nasilała. Nawet Ginny powiedziała nam, że powinna była to przewidzieć. Alice nie pozostawiła przyjaciółce złudzeń co do tego, że to był wyjątkowo niepewny lipiec, ale myślała, że jakoś zdoła to wytrzymać.

Zwykle wyglądało to tak, że George fabrykował wypadek: rzucał ją na wielki kredens w jadalni. Wpychał ją w kąt, gdzie zbiegał się blat w kuchni. Walił nią o poręcz u stóp schodów. Nie miał oporów przed nazwaniem jej pizdą - beużyteczną pizdą, głupią pizdą, żalną pizdą - a potem pisał do niej długie listy z przeprosinami. Od czasu do czasu tworzył wiersz. A nie można było mu odmówić talentu. Nikt nie wyrażał skruchy tak jak George Hayward, co zapewne pomagało Alice znosić go tak długo.

To i oczywiście fakt, że kiedyś go kochała. Oboje się kochali. Niemniej jednak, zupełnie jakby George przeczytał podręcznik bicia żon - i gdzieś musiała rzeczywiście istnieć książka z poradami, którą czytały te wszystkie fiuty - nie minęło dużo czasu od ich ślubu, kiedy zamierzył się i uderzył ją po raz pierwszy.

CZĘSTO STWIERDZAM, że zastanawiam się nad czymś takim: co dokładnie Drew myślał po odjeździe techników policyjnych, kiedy późnym poniedziałkowym popołudniem rękami w niebieskich rękawiczkach usuwał resztki mózgu George'a Haywarda. Czy przewidywał poprzedniej nocy, że będzie właśnie to robił? Jeśli wziąć pod uwagę, jak dokładnie przemyślał upozorowanie śmierci Haywarda na samobójstwo, czy przeszło mu przez myśl, że to on właśnie będzie dosłownie sprzątał ten bajzel? Czy w ten sposób wymierzał sobie karę? Czy po prostu robił wszystko, co mógł, by zyskać pewność, że nie zostawił żadnego śladu zbrodni?

Myśl, że Alice ograniczała się w wyborze mężczyzn do takich jak George Hayward i Stephen Drew, wprawiała mnie w bardzo głęboki smutek. Pewnego popołudnia w biurze oglądałam jakieś nagranie wideo z nią na przyjęciu z okazji dziewiątych urodzin Katie. Odbywało się ono pod hasłem „zabawa na plaży”, co mnie zainteresowało, ponieważ zasy py śniegowe sięgały wysoko na okno domu Haywardów, a z hortensji za oknem salonu niczym

stalaktyty zwisały sope. Musiało tam być osiem czy dziewięć dziewczynek i kilku chłopców, wszyscy wyglądali na trzecio-, czwartoklasistów, i widziałam kilka ich mam czających się w tle albo zaganiających dzieci tak, jak zagania się kotki: energicznie, ale z poczuciem, że nie cofniesz się przed niczym. Wszyscy byli w krótkich spodenkach i sandałach, dostrzegłam też kilka hawajskich koszul. Kilkoro dzieci paradowało w kostiumach kąpielowych. Był kłown w wielkich spodenkach kąpielowych, opiętym bezrękawniku i gigantycznych płetwach. Kiedy patrzyłam, jak Alice ogarnia chaos i siatkówkę piłką nerfową, rozumiałam doskonale, co faceci w niej widzieli: była śliczna, słodka i sprawna. Trochę bankier, ale trochę też kierownik wycieczki. Dostrzegłam wśród gości wysokiego przestraszonego chłopca, który śmiertelnie się przeraził kłowna i wcisnął się między kanapę a ścianę. Kamera złapała Alice, jak zapewnia dziecko, że kłown jest nieszkodliwy i przyjacielski i przyszedł wszystkich rozbawić - a potem, kiedy chłopiec wciąż był nieprzekonany, wzięła go za rękę i zaprowadziła na górę do pokoju Katie, gdzie powiedziała mu, że może się tu bawić, aż kłown sobie pójdzie. Ta chwila wydała mi się trochę przerażająca, bo byłam niemal pewna, że to George stoi za kamerą i w pewnym momencie, kiedy Alice pokazywała chłopcu, które zabawki Katie są najmniej dziewczynskie - jakieś trolle i gry planszowe w rodzaju Monopolu - odwróciła się i powiedziała do obiektywu: „Będzie tu bezpieczny. Jeśli zamkniemy drzwi, nie usłyszysz nic, co mogłoby go przerazić”.

W takich właśnie chwilach myślałam sobie, że jestem nieprawdopodobną szczęściarą.

EMMET PONOWNIE ZADZWONIŁ do Drew i spytał go, czy już zdecydował, czy wróci do Vermontu. Pastor nie poczuł się urażony pytaniem i powiedział, że uważa to za prawdopodobne. W tym czasie nadal bawił się w dom z Królową Aniołów. Ja już zdążyłam przeczytać jej książki. I chociaż nie pojmowałam, jak ona może być wplątana w ten koszmar, nie wykluczałam tego.

W każdym razie według mnie sprawa była prosta: Drew pojechał do Haywardów w tamtą lipcową noc albo przypadkiem, albo dlatego, że bał się, iż George skrzywdzi Alice. Nie mieliśmy dowodów, że ona do niego dzwoniła, ale może powiedziała mu coś wcześniej. Może nawet w trakcie chrztu. Kto wie? Tak więc jedźcie do ich domu i znajdziecie Alice martwą, a George'a pijanego do nieprzytomności na kanapie, z pistoletem na wierzchu, może dlatego, że groził nim Alice, zanim ją udusił, a może dlatego, że zamierzał sam się zabić. A Drew jest wściekły - nie, nie wściekły. Drew nie należy do facetów wpadających we wściekłość. Furia jest go niegodna. On czuje obrzydzenie. Jest zbulwersowany. Bierze więc pistolet ze stolika nocnego albo z pufy, albo może nawet wyjmuje go z bezwładnej dłoni George'a i zabija go.

Zabija go tam, na tej kanapie. Wierzy, że jeśli wypali, trzymając broń blisko głowy delikwenta, będzie to wyglądać na samobójstwo. Może zaczerpnął ten pomysł z tragicznej historii rodzinnej Heather Laurent. Uważałam za prawdopodobne, że on i Heather kumplowali się od jakiegoś czasu, tak więc myśl o upozorowaniu wszystkiego tak, jakby George sam się zabił po zabiciu żony, żyła już w jego głowie. Na tej teorii mogłam nawet załatwić morderstwo.

Drugi mój pomysł, ale jeszcze niedoprecyzowany, zakładał, że Drew zabił oboje Haywardów. Albo razem z Adwokatką Aniołów: „Anioły po nią przyjdą, Stephen. Ona jest taka nieszczęśliwa. Jako aniołowi będzie jej o wiele lepiej!”. To jednak było mało prawdopodobne ze względu na wizerunek Heather Laurent. Z jej książek i nagrań, które widziałam na YouTube, odniosłam wrażenie, że zabójstwo do niej nie pasuje. Ale zdarzało mi się już mylnie oceniać ludzi, i jeszcze nieraz to zrobię. Po prostu nigdy nic nie wiadomo.

W każdym razie kiedy Emmet rozmawiał z Drew po raz drugi, kapłan zdał sobie sprawę, że zaczynamy podejrzewać jego związek ze sprawą.

- Wydaje mi się, że macie do mnie jakieś poważne pytania - rzekł, a jego głos wydał się Emmetowi przede wszystkim speszony.

- No cóż, proszę pana, chcielibyśmy się i pogadać szerzej o pańskich relacjach z Alice Hayward.

- Już panu powiedziałem wszystko, co było do powiedzenia. Byłem jej pastorem.

- Rozumiem.

- Naprawdę nie ma nic więcej, czym warto by sobie zawracać głowę.

- Chcielibyśmy wiedzieć, co panu mówiła o relacjach z mężem.

- Czy to nie są rzeczy, które mi mówiła w zaufaniu? Czy nie chroni tego coś w rodzaju tajemnicy duszpasterskiej?

- Nie martwimy się, że Alice wyznała panu w konfesjonale jakąś straszliwą zbrodnię - odparł Emmet.

- A więc co ja mógłbym panu powiedzieć, co miałyby jakąkolwiek wartość?

Emmet wyznał mi, że właśnie rozważał, ile ujawnić z naszych podejrzeń, albo czy powinien trochę zwieść wielebnego, by zapewnić sobie jego rozmowność, kiedy Drew bardzo ułatwił nam życie.

- A może ja do was zajadę? - zasugerował. - Wtedy możecie mnie wypytać, o co wam się żywnie podoba.

Emmet był wstrząśnięty, ale się zgodził. Z przyjemnością. Drew powiedział, że wraca do Vermontu w następnym tygodniu i wyjaśni wszystko, co nas kłopotuje.

Kiedy omawialiśmy drugą rozmowę z pastorem, Emmet zapytał mnie, czy nadal uważam, że Drew uciekł.

- Zdecydowanie.

- Więc dlaczego, twoim zdaniem, wraca teraz z takim spokojem?

- Spanikował - uznałam. - Ale teraz odzyskuje równowagę. To jego arogancja.

- Myślisz, że on naprawdę się pojawi?

- A widzisz inną opcję?

- Taką, że w ciągu paru dni odbierzesz telefon od prawnika z informacją, że Drew jednak nie będzie z nami rozmawiał.

- Nie wiem. Zobaczymy.

Ostatecznie Drew weźmie prawnika. Ale najpierw spotka się z dwojgiem agentów stanowych w Shaftsbury i złoży nam dość długie oświadczenie, które w następnych tygodniach przyprawi jego prawnika o wielką frustrację.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

OSTATNIE DNI SIERPNIĄ postrzegam zupełnie inaczej niż Paul. Dla mnie - dla większości rodziców na tym świecie - to niewiarygodna ulga. Nie trzeba już klecić harmonogramu letniego przedszkola, półkolonii i opiekunek, żeby mieć pewność, że któraś z pociech, udając Batmana, nie skoczy z balkonu na piętrze ani nie weźmie swojego wozu strażackiego na pedały, żeby zjechać ze schodów prosto w wielką szybę w salonie, i to szybę bynajmniej nie ze szkła hartowanego. (Nie, moje dzieci nigdy nic takiego nie zrobiły. Ale mój brat ma na koncie oba wyczyny. Niezmiennie mnie zdumiewa, że on jeszcze żyje). Ale dla Paula to koniec wakacji. Lato za nami, a on musi wracać do pracy. I chociaż naprawdę lubi uczyć - kocham go z całego serca, ale po prostu chłonie całą uwagę, jaką dostaje, kiedy stoi przed klasą i mówi - on też jako pierwszy bierze ulotki reklamowe o powrocie do szkoły, które zaczynają się pojawiać w poczcie w lipcu, i wynosi je w cholerę do pojemnika na makulaturę w garażu. Zupełnie jakby były nosicielami wirusa Ebola albo jakby były radioaktywne. Jeśli przychodzą ze Staples w lipcu, znikają w ciągu kilku sekund.

Pamiętam, że Paul rozkoszował się swoimi najostatniejszymi dniami wolności, kiedy David Dennison zadzwonił do mnie z wiadomością, że wreszcie przysłano wyniki badań moczu i krwi George'a i Alice Haywardów. Tak jak podejrzewał, nie znaleziono w nich śladów narkotyków. I również tak jak podejrzewał, Alice w chwili śmierci była trzeźwa, a George bardzo, bardzo pijany. Zawartość alkoholu w jego krwi sięgała 0,37%, na tyle wysoko, że większość osób zapadłaby już w śpiączkę. Dennison powiedział, że ludzie różnie trawią alkohol, ale ten koleś wyraźnie miał wysoką tolerancję. Ale było też niepojęte, żeby się zastrzelił. Zdaniem Dennisona prawdopodobnie Hayward był nieprzytomny, kiedy ktoś wszedł do domu i strzelił mu w głowę. Zadałam oczywiste pytanie: czy to możliwe, że Hayward próbował się zastrzelić, ale miał tyle w czubie, że niemal spartaczył robotę? Wymierzył tak wysoko w swoją czaszkę, że wyglądało to bardziej na morderstwo niż samobójstwo? Dennison odrzekł, że to możliwe, ale nieprawdopodobne. Zdaniem lekarza

medycyny sądowej teraz było bardziej oczywiste niż wcześniej, że George Hayward został zamordowany.

AKTA ZEBRANE DO zakazu zbliżania się do Alice Hayward były nie bardziej przejmujące niż większość akt w takich sprawach. Przeróżające, ale nie nadzwyczajnie. A mianowicie: nie przytrzymał jej dłoni na włączonej płycie kuchenki elektrycznej, nie znęcał się nad jej ukochanym kotem czy psem ani też go nie zabił, ani jej nie gwałcił butelką po piwie. To wszystko już widywałam wcześniej w zakazach zbliżania. Kropla, która przepełniła kielich goryczy Alice? W wieczór poprzedzający dzień, w którym udała się do sądu, George zepchnął ją ze schodów, a ona się przestraszyła, że złamała rękę. Przytoczyła historię przemocy, a jeśli wziąć pod uwagę litanię maltretowania, którego doznała, najbardziej zdumiewał fakt, że dopiero wówczas po raz pierwszy pojechała do szpitala na prześwietlenie. Kiedyś myślała, że George złamał jej palec, kiedy przytrzymał jej rękę w szufladzie i zatrzasnął ją, ale zgłosiła, że zdołała uwolnić wszystkie palce poza tym najmniejszym. George'owi jednak się pogarszało, zwłaszcza kiedy Katie była starsza i częściej przebywała poza domem. Dwukrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy uderzył ją w twarz; wcześniej zwykle nie ryzykował zranienia jej w miejscu, w którym łatwo byłoby je dostrzec.

Przyszła do sądu w poniedziałek, po południu sędzia wydał zgodę na tymczasowy zakaz, a dokumenty doręczono George'owi w pracy. Przesłuchanie, żeby zakaz zmienić na ostateczny, wyznaczono na wtorek tydzień później, ale ani George, ani Alice nie pojawili się na nim. Zwykle to sugerowało, że para znowu jest razem, ale w praktyce oznaczało, że prawdopodobnie zobaczymy kobietę znowu, w okolicznościach jeszcze bardziej opłakanych. W tym jednak przypadku stało się inaczej, Haywardowie się nie pogodzili. W każdym razie jeszcze nie wtedy. George Hayward odebrał dokumenty tego samego popołudnia, kiedy zostały one przygotowane, i wycofał się do domku letniskowego z podkulonym ogonem.

Niemniej jednak urzędnik sądowy zadzwonił do schroniska dla kobiet w ten poniedziałek, kiedy Alice przybyła do jego biura, żeby skontaktować ją z tamtejszym adwokatem, tak więc poprosiłam Emmeta, żeby sprawdził, czy jakiś adwokat i Alice kiedykolwiek rozmawiali. Kazałam mu też skontaktować się z rodzicami George'a w Buffalo i rodzicami Alice w Nashua. Nie spodziewałam się zbyt wiele, ale nigdy nie wiadomo.

KIEDY JEGO EKSCELENCJA pastor Drew spotkał się z naszymi śledczymi w siedzibie policji stanowej, Emmet uznał go z początku za po prostu zdumionego, a potem - kiedy wielebny zdał sobie sprawę, w jak wielką kupę gówna wdepnął dobrowolnie - niechętnego i

powściągliwego. Potem wściekłego i co najmniej trochę przerażonego. Przeszedł od sugerowania, że musimy mieć lepsze rzeczy do roboty, niż zadawać mu mnóstwo pytań o tragedię w Haverill, do oburzenia, które dość często widzimy u wykształconych i ustosunkowanych. Myślą, że mogą się przez to przewrzeszczyć albo że odrobina świętego gniewu uczyni nieistotnymi odciski palców i ślady DNA. Owszem, tak właśnie miało się stać.

SIERŻANT EMMET WALKER: A więc w niedzielę wieczorem wyszedł pan z kościoła krótko po dziewiątej.

STEPHEN DREW: Tak.

WALKER: Dokąd się pan udał?

DREW: Już mówiłem, do domu.

WALKER: Sam?

DREW: Zupełnie sam. Z kim miałbym iść?

WALKER: Czy tej nocy wychodził pan jeszcze z domu?

DREW: Nie.

WALKER: Przebywał pan w domu do poniedziałku rano?

DREW: Zgadza się.

WALKER: Czy w niedzielę wieczorem lub w nocy rozmawiał pan z kimś przez telefon? Czy przyszedł ktoś do pana?

DREW: Szuka pan dowodu, że byłem na plebanii? Czy potrzebne mi alibi?

WALKER: Wasza wielbność, ja tylko ustalam szczegóły śledztwa.

DREW: Proszę, nie ma potrzeby zwracać się do mnie „wasza wielbność”.

WALKER: Dobrze.

DREW: Jeśli chce pan zachować oficjalną formę, proszę mnie nazywać pastorem.

WALKER: Dobrze, pastorze. Czy w niedzielę wieczorem lub w nocy rozmawiał pan z kimś przez telefon? Czy ktoś do pana przyszedł? Jakiś sąsiad? Parafianin?

DREW: Na pewno sprawdził pan już bilingi. Na pewno już pan wie, że do nikogo nie dzwoniłem ani nikt nie dzwonił do mnie.

WALKER: A goście?

DREW: Też żadnych nie było. Wygląda na to, że nie mam alibi, tak?

WALKER: Kiedy po raz ostatni widział pan Alice Hayward?

DREW: Zapewne ma pan na myśli żywą Alice Hayward?

WALKER: Tak, wasza wielbność.

DREW: W niedzielę rano na zabawie po jej chrzcie.

WALKER: Czy powiedziała coś, co by sugerowało, że obawia się jakiegoś zagrożenia?

DREW: Tak, ale wówczas nie zrozumiałem, że to wołanie o pomoc. Właściwie to nie było wołanie o pomoc. To było...

WALKER: Proszę mówić...

DREW: Powiedziała: „Już”. Nie wiem. Może to nic nie znaczyło. Powiedziała to po tym, jak została ochrzczona. Kiedy się wynurzyła z wody. Kiedy byłem w domu i zobaczyłem, że George ją zabił, to słowo mi się przypomniało, i wydało mi się, że musiała wiedzieć, że on to zrobi, i dlatego chrzest był dla niej taki ważny.

WALKER: A kiedy to było?

DREW: Kiedy byłem w jej domu?

WALKER: Tak.

DREW: W poniedziałek. Oczywiście.

WALKER: Kiedy była w separacji z mężem, minionej zimy i wiosny, wie pan może, z kim się spotykała? Albo czy w chwili śmierci była związana z kimkolwiek oprócz męża?

DREW: Cóż, to jest zupełnie kosmiczne pytanie.

WALKER: Wasza wielebność?

DREW: Pastorze, bardzo proszę. Prosiłem, żeby nazywał mnie pan pastorem. O ile nie chce pan mówić do mnie po imieniu.

WALKER: Proszę o wybaczenie. Z kim Alice Hayward spotykała się, kiedy była w separacji z mężem?

DREW: A dlaczego uważa pan, że spotykała się z kimkolwiek?

WALKER: Nie spotykała się?

DREW: Skąd miałbym wiedzieć?

WALKER: Mówił nam pan, że służył jej duszpasterską poradą. Może powiedziała coś panu?

DREW: Rozumiem.

WALKER: A więc czy spotykała się z kimkolwiek oprócz męża. Może nawet sypiała z kimś innym niż mąż?

DREW: Jakie to ma znaczenie?

WALKER: To śledztwo w sprawie morderstwa.

DREW: Myślę, że jest zupełnie oczywiste, kto zabił Alice Hayward. Był pan tam w poniedziałek rano. George Hayward zabił swoją żonę, a potem siebie. Naprawdę, z ręką na sercu, ma pan jakieś wątpliwości, że tak to właśnie wyglądało?

WALKER: Może. W tej chwili trudno powiedzieć. Czy kiedykolwiek wspominała panu o jakimś innym mężczyźnie, kiedy... kiedy udzielał jej pastor porad?

DREW: Czy potrzebuję prawnika?

WALKER: To zależy od pana, pastorze.

DREW: Dobrze, słucham. Co chcecie wiedzieć?

WALKER: Czy wie pan, czy w tym roku Alice Hayward żyła w związku z kimkolwiek innym niż jej mąż?

DREW: Nie.

WALKER: Nie wie pan? Czy nie żyła w żadnym związku?

DREW: O ile wiem, z nikim się nie spotykała.

WALKER: Z nikim.

DREW: Z nikim. Nie miała z nikim romansu. Nie sypiała z nikim oprócz swojego męża.

WALKER: Kiedy po raz ostatni rozmawiał pan z George'em Haywardem?

DREW: Nie pamiętam. Na pewno nie w ciągu ostatnich kilku dni przed samobójstwem.

WALKER: Kiedy to było?

DREW: Nie wiem. Pod koniec maja, może na początku czerwca. Mogliśmy na siebie wpaść w sklepie.

WALKER: W Haverill.

DREW: Tak.

WALKER: O czym rozmawialiście?

DREW: O jakichś drobiazgach, jeśli w ogóle. Mało prawdopodobne, żebym prowadził poważną rozmowę z George'em Haywardem. Wiem, że kapłan tak nie powinien myśleć, ale jesteśmy tylko ludźmi. On zawsze był złym człowiekiem i nigdy nie zauważyłem, żeby modlenie się za niego za bardzo go zmieniło.

WALKER: Miał pastor świadomość, że był agresywny wobec żony?

DREW: Oczywiście.

WALKER: Jak bardzo pana to złościło?

DREW: To wręcz śmieszne pytanie. Oczywiście, że niedobrze mi się od tego robiło. Doprowadzało mnie to do wściekłości.

WALKER: Jak wielkiej wściekłości? Czy był pan na tyle wściekły, żeby coś z tym zrobić?

DREW: Co pan sugeruje?

WALKER: Nic. Ja jedynie prowadzę śledztwo.

DREW: Bo jeśli pan myśli, że zabiłem George'a Haywarda... No to jest absurdalne.

WALKER: Rozumiem.

DREW: Naprawdę tak pan myśli?

WALKER: Nikt pana o nic nie oskarża, pastorze.

DREW: I zechciałby pan mówić do mnie po imieniu? Słowo „pastorze” wypowiada pan takim tonem... niemal z przekąsem.

WALKER: Nie chciałem pana urazić.

DREW: To jest absolutnie śmieszne. Chce mi pan zrobić badanie wykrywaczem kłamstw? Zgodzę się, naprawdę. Czy wtedy ta absurdalna koncepcja upadnie?

Nigdy nie podda się badaniom na wykrywaczu kłamstw. Jego adwokat o to zadba.

Ale kłamstwo, że Alice z nikim się nie spotykała ani nie miała romansu, wkrótce doń wróci i nie da mu spokoju.

POTEM WSZYSTKO ZACZĘŁO się dzieć szybciej. Wróciliśmy do domu Haywardów i stwierdziliśmy, że odciski palców na butelce po wodzie sodowej, którą widzieliśmy w dłoniach duchownego, pasują do tych na zagłówku w sypialni małżeńskiej. Pasowały do odcisków palców w łazience przy sypialni i na niebieskiej buteleczce olejku do masażu w szafce nocnej Alice. Teraz miałam wszystko, czego potrzebował sędzia, żeby przyjąć moje zeznanie pod przysięgą. Mogłam wystąpić o oficjalny zestaw odcisków palców Drew i próbkę DNA z jego ust. Mogłam wezwać na świadka jego laptop. Może jeszcze trochę mi brakowało, żeby go powiązać z morderstwem George'a Haywarda, ale nietrudno już było udowodnić, że utrzymywał intymne relacje ze swoją parafianką.

Emmet ponownie zadzwonił do Drew, ale tym razem pastor nie oddzwonił. Za to skontaktował się jego adwokat, i to nie z moim sierżantem, lecz bezpośrednio ze mną. Adwokatem pastora był niejaki Aaron Lamb. Lubię Aarona, chociaż jest przedstawicielem najgorszych szumowin. I jest naprawdę bogatą szumowiną. To po Aarona zadzwoni szef potężnej firmy, kiedy przypadkiem przejedzie rowerzystę na Route 7A podczas wyprzedzania na zakazie wyprzedzania. To po Aarona zadzwonisz, jeśli właśnie przyłapano cię na defraudowaniu kilku tysięcy dolarów z majątku szpitala albo jeśli jesteś psychiatrą, który uznał, że łatwiej spać z seksownymi młodymi pacjentkami, kiedy się je odurzy. I najwyraźniej po niego dzwoni arystokrata z Westchester, który zdecydował się zamieszkać w Vermoncie jako wiejski pastor, a potem wściekł się pewnej nocy i uznał, że stanie się narzędziem zemsty i zastrzeli męża martwej już kochanki.

- Dochodzą mnie słuchy, że pani i detektyw Emmet Walker rozważacie wstąpienie do Zjednoczonego Kościoła w Haverill - powiedział Aaron głosem jak zwykle pokrytym jedwabistym lukrem ze szczyptą jedynie znużenia. Był wysokim mężczyzną o rzednących ciemnych włosach i okularach bez oprawek, z tytanowymi zausznicami. Zawsze kojarzył mi się z dyplomata: posturę miał nadzwyczajną, a świat zdawał się przed nim otwierać. Był jednym z nielicznych mi znanych mężczyzn w Vermoncie, którym uchodził na sucho garnitur bez rozcięcia od Armaniego - niemałe osiągnięcie, jako że mnóstwo tutejszych facetów ubiera



się niczym stróż w Boże Ciało. Jestem przekonana, że kiedy ponosił klęskę - a że prowadził takie, a nie inne sprawy, jego klienci byli skazywani równie często jak uniewinniani - czuł przede wszystkim frustrację: wiedział, że większość jego klientów jest winna jak cholera, i naprawdę go nie obchodziło, że przynajmniej połowę wyroku odsiedzą w więzieniu. Na ogół chciał wygrać, ponieważ wygrywanie stanowiło fundamentalną część jego osoby.

A kiedy z nim przegrywaliśmy? Przynajmniej jego klienci raczej nie zostawali recydywistami.

- Nie mogę się wypowiadać w imieniu Emmeta - odparłam - ale Haverill jest kurwa za daleko od mojego domu. Staram się nie spędzać tyle czasu w samochodzie w niedzielny poranek.

- A więc dlaczego, na Boga, chce pani porozmawiać z pastorem Stephenem Drew? To przecież nie może mieć nic wspólnego z tym bajzłem u Haywardów.

- Wiem, wiem. Po prostu uwielbiam ślepe zaułki. Ale ja jestem bardzo drobiazgową. A Drew było nam przez jakiś czas bardzo ciężko złapać.

- Wie pani, pomagał sprzątać w domu Haywardów. To taki właśnie człowiek.

- Tak, widziałam go. Też tam byłam.

- No oczywiście.

- Domyślam się, że będzie pan jego adwokatem?

- W rzeczy samej. Szczerze mówiąc, chyba zbyt wielką wagę przykładacie do kryzysu wiary pastora i jego decyzji, by na jakiś czas odstąpić od posługi. Pastor - i proszę zrozumieć, że używam tego słowa z sarkazmem - uciekł jakieś trzy i pół godziny jazdy od Haverill. Był w Adirondack, na drugim brzegu jeziora, patrząc z Vermontu.

- W najbliższym czasie pewnie nie zajędzie do naszej siedziby?

- Nie.

- Ani się nie zbada na wykrywaczu kłamstw?

- Nie sądzę.

- Ale wie pan, co zrobi? Da nam odciski palców i próbkę DNA.

- Ale tylko z nakazem.

- Nie przewiduję problemu - odparłam, ponieważ wiedziałam, że mam pamiętnik Alice Hayward. Z rozkoszą powiedziałabym mu o nim już zaraz przez telefon, ale nie miałyby sensu w tym momencie śledztwa dzielenie się informacją o jego istnieniu z adwokatem podejrzanego. W tym momencie musiałam tylko podzielić się materiałami z sędzią. Niemniej jednak jestem tylko człowiekiem i właśnie w takich chwilach marzyło mi się, by rzucić mu pod nogi małego fugasa i patrzeć mu w twarz w chwili wybuchu. Oczywiście

wyobraźni widziałam, jak Aaron wzdraga się w wielkim, doskonale ergonomicznym meblu Hermana Millera, który nazywał swoim krzesłem biurowym, a mnie się skojarzył, kiedy raz jedyny odwiedziłam jego biuro, z fotelem wyrwanym z kabiny pierwszej klasy samolotu linii Cathay Pacific. Dałabym sobie wręcz rękę uciąć, że pastor albo nie wiedział, że Alice Hayward prowadziła pamiętnik, albo jeszcze o tym nie powiedział swojemu adwokatowi. Tak czy owak, będą to bardzo złe wieści dla Aarona.

Poza tym już niedługo sam zobaczy pamiętnik. Ale wtedy już Stephen Drew będzie, jak to powiemy mediom, kiedy zapytają „osobą w kręgu zainteresowań”. Jeszcze nie podejrzany. Ale kimś, z kim musimy spędzić trochę czasu.

NIEMAL W CIĄGU NOCY chyba do wszystkich dotarło, że Stephen Drew sypiał z Alice Hayward. Nie robiłam nic innego, tylko tłumaczyłam dziennikarzom z trzech stanów, że nie mogę komentować toczącego się śledztwa. Ale im więcej ludzi przesłuchiwaaliśmy w Haverill i w banku, w którym pracowała Alice, tym więcej o naszych podejrzeniach przedostawało się na zewnątrz. Ludzie musieliby chować głowy w piasek albo być szkolnymi kolegami Marcusa lub Lionela, żeby sobie nie wykoncypować tego, co naszym zdaniem najpewniej wydarzyło się tamtej strasznej nocy u Haywardów. Niektórzy parafianie, jak sądzę, trzymali się kurczowo możliwości, że pojawił się tam morderca, lub mordercy, który zamordował zarówno Alice, jak i George'a. Najwyraźniej woleli przypadkową zbrodnię niż ideę, że ich pastor posunął się do tego, by sypiać z jedną z nich, a potem zamordować sąsiada. I, domyślam się, bezmyślne bestialstwo jakoś nie przekraczało granic ich wyobraźni - inaczej niż jakiś niesamowity trójkąt miłosny z udziałem Matki Serafyny. Ale zasady sensownego wnioskowania sugerowały, że George udusił Alice, a potem Stephen go zastrzelił. Spójrzmy prawdzie w oczy: może być słonecznie, kiedy się budzisz rano, ale jeśli trawnik jest mokry i widzisz kałuże na podjeździe, to całkiem prawdopodobne, że w nocy padało.

Ale ci parafianie byli w mniejszości. Absolutnie ostatnia rzecz, której chciała większość ludzi - zwłaszcza znakomici, uczciwi obywatele Haverill, Bennington i Manchesteru - to przypadkowa zbrodnia popełniona przez osobę trzecią, która wciąż się czała nieodnaleziona w wydłużających się cieniach Gór Zielonych. Miejscowe izby handlu i kongresmeni coraz bardziej się niecierpliwiłi tym pomysłem, i szybko się zorientowałam, że bardzo utrudnią życie mojemu szefowi Jimowi, jeśli się okaże, że George'a Haywarda zamordował ktoś inny niż miejscowy pastor.

WYJĄTKOWO PASKUDNIE SIĘ czułam z powodu Katie Hayward. Musiała udźwignąć po prostu

niewyobrażalną ilość gówna. W poniedziałek rano nie było jej w domu, więc jej wówczas nie poznałam, ale wiedziałam, że koszmar tej biednej dziewczyny dopiero się zaczyna. Nie była już jedynie sierotą, której ojciec prawdopodobnie zabił matkę. Jej matka sypiała z miejscowym pastorem, a gazety, telewizja i serwisy internetowe dostarczały ciągle nowych historii. Kilka razy dzwoniłam po informacje do przydzielonej jej kurator - wyglądało na to, że Katie radziła sobie zadziwiająco dobrze. Do tej pory zaobserwowała stosunkowo niewiele (i z ręką na sercu - nie mam pojęcia, co pod tym wyrażeniem rozumieć) „uzewnętrzniania”. Ale miała za sobą kilka dni niemal katatonii. I zrobiła sobie tatuaż (nielegalne, ale niegroźne), co mnie nie zaskoczyło, ponieważ jej kuratorka słynęła ze swoich tatuaży. Katie miała rozwiniętą różę na lewym ramieniu, na cześć swojej matki. Alice uwielbiała róże, pod ścianą domu od strony ogrodu warzywnego hodowała krzaki dzikich róż z lososiovymi kwiatami. W końcu zaczęła się szkoła i wszyscy chyba myśleli, że to dobrze dla Katie. Nastolatka przeszła trudne - to dopiero niedomówienie - chwile, które otaczały ją jak mgła w pierwszych dniach po powrocie do szkoły.

Niemniej jednak Emmet musiał jeszcze z nią porozmawiać, i jako matka czułam się jak potwór, kiedy go o to prosiłam. Ale musiałam. Kazałam mu też porozmawiać z kilkoma przyjaciółkami Katie, w tym z Tiną Cousino. Katie wyznała, że wiedziała, iż jej mama prowadzi dziennik, ale nigdy go nie czytała. Nawet nie była pewna, gdzie mama go trzymała. I dodała, że nie wierzy, że jej mama miała romans ze Stephenem Drew.

K. HAYWARD: Wiem, że niektórzy wierzą, że no, że coś było na rzeczy między moją mamą a Stephenem. Ale to się wydaje po prostu jakieś chore.

WALKER: Stephen to pastor Drew, tak?

K. HAYWARD: Tak. Lubi, jak mówimy do niego po imieniu. Wydaje mi się, że raz tylko słyszałam, jak ktoś nazywał go pastorem. Jak był u nas jakiś wizytujący kapłan, cały jakiś dziwny i oficjalny. Wciąż powtarzał pastor Drew to, pastor Drew tamto.

WALKER: Co masz na myśli, mówiąc, że „coś było na rzeczy” między twoją mamą a Stephenem?

K. HAYWARD: No wie pan. Że mieli romans.

WALKER: Czy wiadomo ci o jakiegokolwiek wizycie Stephena w waszym domu?

K. HAYWARD: Chyba tak. Wiem, że pomagał mamie w sprawie taty.

WALKER: Doradzał jej.

K. Hayward: Aha.

WALKER: Kiedy tam był?

K. Hayward: Nie wiem.

WALKER: Zdarzyło się kiedykolwiek, że zastałaś go w domu po powrocie ze szkoły?

K. HAYWARD: Nie.

WALKER: Czy kiedykolwiek jadł kolację u was w domu?

K. HAYWARD: Chyba tak.

WALKER: Chyba?

K. Hayward: To było dawno temu.

WALKER: Więc jadł?

K. Hayward: Tak sądzę.

WALKER: Tylko raz?

K. HAYWARD: Tak.

WALKER: Kiedy to było?

K. HAYWARD: Może zimą? Albo raczej wiosną.

WALKER: Możesz dokładniej określić miesiąc?

K. Hayward: Nie. Jestem prawie pewna, że to było po walentynkach i jeszcze leżało trochę śniegu. Ale niewiele.

WALKER: Ale zdecydowanie wtedy, kiedy twój ojciec mieszkał nad jeziorem?

K. Hayward: Aha.

WALKER: Czy bywał też w waszym domu kiedy indziej?

K. Hayward: Prawdopodobnie. Ale nie pamiętam czegoś takiego.

WALKER: Dlaczego więc tak myślisz?

K. Hayward: Może dlatego, że teraz wszyscy mówią, że był. Nie wiem.

WALKER: Ale nie przypominasz sobie, że kiedykolwiek widziałaś go w domu oprócz tamtego jednego razu, kiedy był na kolacji.

K. HAYWARD: Nie.

Zgodnie z dziennikiem Alice, Drew jadł kolację z nią i jej córką w poniedziałkowy wieczór na początku marca. To właśnie mam na myśli, kiedy mówię, że nastolatki trudniej przesłuchiwać niż szpiegów. Nie o to nawet chodzi, że próbują nas wprowadzić w błąd albo że zatajają jakieś ważne informacje. Rzecz w tym, że ich oprogramowanie jest osobliwie inne niż dorosłych albo dzieci.

WALKER: Nigdy więc nie zachodził na... no nie wiem... coś przekąsić po kościele? Na przykład na lunch?

K. HAYWARD: Zdecydowanie nie po kościele. Kiedy dzieci są w szkółce niedzielnej, dorośli mają to coś, co się nazywa Druga Godzina. Mają zasiąść i rozmawiać o kazaniu Stephena w wielkiej świetlicy, ale ilekroć ja tam zachodziłam, żeby wziąć sok albo coś, kiedy byłam w szkółce niedzielnej, to oni, no, rozmawiali o muffinkach i tym podobnych.

WALKER: Muffinkach?

K. HAYWARD: No wie pan, o rzeczach nieważnych. Gadali o muffinkach, które jakaś starsza osoba upiekła na Drugą Godzinę. No i dorośli lubią przekąski.

WALKER: Jak to było, kiedy on jadł kolację tamtego wieczoru z tobą i twoją mamą?

K. HAYWARD: Niezręcznie. Bardzo niezręcznie.

WALKER: Dlaczego?

K. HAYWARD: Bo jakby już nie chodzę na spotkania Grupy Młodzieżowej. A chodziłam jeszcze w dziewiątej klasie i wcześniej.

WALKER: I czułaś się winna, że już nie chodzisz?

K. HAYWARD: I to jak!

WALKER: A jeszcze dlaczego było niezręcznie?

K. HAYWARD: Słuchaj pan, nie było niezręcznie dlatego, że moja mama i Stephen sypiali ze sobą, jasne? Nie w tym rzecz. Moja mama i Stephen bzykający się ze sobą? To zbyt pokręcone, nie chcę o tym myśleć. Poza tym mój tata...

WALKER: Mów dalej.

K. HAYWARD: Miałam nadzieję, że między nimi się poprawi.

WALKER: Między twoimi rodzicami?

K. HAYWARD: Tak.

WALKER: Poprawi się pod jakim względem?

K. HAYWARD: Że nie będą się kłócić.

WALKER: Ale rozmawiamy o okresie, kiedy twojego ojca nie było.

K. HAYWARD: Ja po prostu nie uważam, że mama i Stephen... no wie pan.

WALKER: Dobrze. A kiedy twój ojciec wrócił, mniej się kłócili?

K. HAYWARD: Nie wiem. Może. Coś się zdarzyło w piątek przed ich śmiercią.

WALKER: Rodzice się kłócili?

K. HAYWARD: Tak. Ale może to była sobota. Nie wiem dokładnie.

WALKER: Wiesz, dlaczego się kłócili?

K. HAYWARD: Nie było mnie w domu.

WALKER: Więc skąd wiesz, że się kłócili?

K. HAYWARD: Po prostu wiem. Umiem poznać. Tata musiał mamę uderzyć.

WALKER: Miała jakiegoś siniaka? Ślad?

K. HAYWARD: Ja żadnego nie widziałam. Ale prawie nigdy nie widziałam. Wydaje mi się, że tylko kilka razy uderzył ją w twarz. On był, no, biznesmenem. Był ostrożny. Ale...

WALKER: Mów dalej.

K. HAYWARD [*zaczyna płakać*]: Ale potem strasznie się czuł z tego powodu. Zawsze czuł się strasznie, o to chodzi. Aż do tej nocy... aż do tej nocy, kiedy umarli... Myślę, że poprawiłoby się między nimi. Między mamą i tatą. On wrócił znad jeziora, a ja nie wiedziałam, czy jeszcze kiedykolwiek będzie jakoś normalnie. Ale oprócz kilku strasznych nocy, jak w ten piątek czy sobotę, byłam pewna, że im się układa. Mama też tak myślała! Dlatego właśnie nie wierzę, żeby to popsuka romansiem ze Stephenem!

WALKER: Nawet zanim twój ojciec wrócił do domu?

K. HAYWARD: Nie! Nie, nie, nie. Wszystko się poprawiało, aż do tamtej nocy, i myślę, że to dlatego...

WALKER: Tak?

K. HAYWARD [*placze mocniej*]: Myślę, że to dlatego on się zabił, jak już zabił ją. Bo, właśnie, bo wszystko szło ku lepszemu.

PÓŹNIEJ EMMET JĄ zapytał, czy znała Heather Laurent, zanim jej rodzice zginęli - czy jej matka albo Stephen kiedykolwiek o niej wspominali - ale było oczywiste, że dziewczyna poznała ją dopiero w ostatni wtorek lipca. Wcześniej nigdy nie słyszała o nowej ukochanej pastora ani jej matka nigdy nie wspomniała imienia tej kobiety. A w domu Haywardów nie było żadnej z jej książek. Przed śmiercią swoich rodziców Katie Hayward wiedziała o Heather Laurent mniej więcej tyle co o średniowiecznych papieżach.

ŚLĘCZAŁAM NAD FOTOKOPIAMI pamiętnika Alice Hayward. Nigdy nie prowadziłam dziennika, nawet jako nastolatka. Nie w tym rzecz, że bałam się, iż ktoś go przeczyta albo że coś mnie będzie nękać. Żeby być całkowicie szczerą, powiem, że po prostu nigdy w życiu nie byłam na tyle introspekcyjna. Tak więc myśl, że ta urzędniczka z obsługi gminnego banku prowadziła dziennik, fascynowała mnie i każdy wpis analizowałam z nadzieją, że znajdę jakąś wskazówkę.

Alice zaczęła prowadzić pamiętnik prawie rok przed uzyskaniem zakazu zbliżania się, tak że w sumie obejmował on jakieś osiemnaście miesięcy. Żaden z wpisów nie przekraczał objętości akapitu, ewentualnie dwóch - czasami chyba całe tygodnie nic nie notowała. Najbardziej mnie intrygowało, jak zmieniał się charakter jej pisma w ciągu tego półtora roku. Z początku, kiedy głównie spisywała, jak to ostatni raz ten drań, jak nazywała męża, uderzył ją mocno w plecy albo nazwał ją pizdą, pismo było drobne i ścieśnione, niemal bez odstępów międzywyrazowych. Pięć razy Stephen Drew - jako Stephen Drew - pojawił się w pamiętniku, zanim Alice zdobyła nakaz sądowy, który wykopał żalostną dupę jej męża z domu. Napisała, że widziała pastora w biurze parafialnym trzykrotnie i jeszcze dwa razy w nieokreślonym miejscu, i chociaż napisała, że rozmawiali o jej mężu, nie podała żadnych szczegółów. Wpis z końca października był dość typowy:

25 PAŹDZIERNIKA. *Ponadgodzinne spotkanie ze Stephenem. Powiedziałam mu,*



*że George mi groził wczoraj wieczorem i że się upił. Stephen podziela zdanie Ginny. Powinnam się wynosić. Kiedy George się robi taki jak wczoraj wieczorem, myślę, że mają rację. Wiem, że mają rację. Ale w ostatni piątek był taki inny. Było zupełnie jak w St. Croix. Tak więc z jednej strony myślę o St. Croix, a z drugiej o tym, jak bolał mnie brzuch, kiedy ostatniej nocy tak mnie uderzył, że aż straciłam dech.*

St. Croix - chodziło o wakacje, które spędzili we dwoje poprzedniej zimy. A groźba? Nie mam pojęcia. Katie Hayward nie przypominała sobie żadnego konkretnego ostrzeżenia pod koniec października ani nawet nie zapadła jej w pamięć żadna straszna awantura. Nie miała też świadomości, że w pobliżu Halloween ojciec uderzył jej matkę tak mocno, że aż straciła dech.

Krzyżyk po raz pierwszy pojawił się w listopadzie. Czyli niespełna trzy miesiące przed tym, jak Alice wystąpiła o zakaz zbliżania się i otrzymała go, co oczywiście kazało mi się zastanawiać: dlaczego pastor naciskał na Alice, żeby odeszła od George'a? Czy dlatego, że byłaby bezpieczniejsza, czy dlatego, że chciał ją mieć dla siebie? I właśnie w tym okresie jej pismo się zmieniło. Z liter drobnych i ścięśnionych przerodziło się w ozdobne zawijasy i zamaszystości. Mnóstwo zamaszystości zakręconych P, M i O. Mnóstwo wielkich liter. To pismo chyba przypominało trochę moje z czasów gimnazjum. Jeśli ten nie tak tajemniczy krzyżyk to rzeczywiście Stephen Drew, było siedem wpisów, które niezadowolony - albo prokuratorski - umysł mógł zinterpretować jako zapis intymnego popołudnia albo wieczoru z pastorem. Trzy przypadły na okres przed wystawieniem walizek George'a Haywarda, a cztery na okres pomiędzy lutym a początkiem maja. Żaden, niestety, nie okazał się na tyle dobitny, by potwierdzić, że Drew i Alice byli kochankami. Ale wszystkie załatywały zadurzeniem nastolatki:

*14 GRUDNIA. Włosy † kojarzą mi się z Bożym Narodzeniem. Zawsze pachną choinką. Byliśmy sami i rozmawialiśmy o mojej sytuacji. Naszej sytuacji. Wszystko widzę inaczej, kiedy patrzę jego oczyma. Nagle to, co wydawało mi się moją winą, przestaje nią być. Wszystkie te sprawy, które postrzegałam jako swoje błędy. Ani trochę nie są moimi błędami. Zawsze wychodzę trochę pełna nadziei, trochę pewna siebie, że jest jakiś plan i wszystko się poprawi. To najłagodniejsza osoba, jaką znam. I otwiera się przede mną tak, jak nie otwiera się przed innymi, tak samo jak ja otwieram się przed nim.*

11 MARCA. *Wczorajszej nocy mieliśmy dla siebie cały dom. Niewyobrażalne szczęście. Dzień też był dobry. Zjadliśmy z Katie razem śniadanie, czego zwykle nie robimy, bo ona jest taka zajęta makijażem i przymierzaniem ubrań, i gorączkowym poszukiwaniem pracy domowej z matematyki. A ja jestem zajęta szykowaniem się do pracy. Ale zrobiłam gofry. Obudziłam się przed budzikiem i zaskoczyłam ją goframi. Takie miłe chwile. A potem był †. Kiedy po południu zobaczyłam się z †, powiedział, że powinniśmy razem podjąć decyzje co do mojej przyszłości. Ma rację. Czas na to. A potem była noc. Niebiańska.*

Wpis z 11 marca na pewno sugerował, że Alice Hayward i pastor Drew mieli romans, ale spędziłam już tyle czasu z Aaronem Lambem na sali sądowej, że wiedziałam jedno: przed ławą przysięgłych on był zdolny przekonująco argumentować, że 11 marca za dnia Alice i jej pastor odbyli dyskusję o jej separacji z mężem, a później Alice spędziła miły wieczór w domu z córką - z naciskiem na więź matki z córką, wzmocnioną goframi na śniadanie.

Podobnie krótki wpis, który Alice dodała 14 grudnia, nie mówił bezpośrednio o tym, że oni we dwójkę tarzali się na podłodze przy choince. Fakt, że pisze, że byli sami, nie dowodzi niczego, jako że Drew oczywiście doradzał jej na osobności. Wiedziałam, już przeglądając ten pamiętnik, że muszę mieć o wiele więcej dowodów, żeby postawić mu zarzut morderstwa.

Jako dyżurny cynik stanowy za najbardziej interesujące uznałam to: Drew stał się krzyżykiem w pamiętniku na długo przed tym, jak George Hayward się wyprowadził. Jeśli tych dwoje odgrywało Hester i Dimmesdale'a\*, niewykluczone, że romans zaczął się już osiem tygodni przed dniem, kiedy George Hayward otrzymał zakaz zbliżania się. Z rozkoszą zostałamby muchą na ścianie podczas ich sesji doradczych. Mogłabym usłyszeć urywany głos Drew, kiedy na przykład zachęca ją, by opuściła George'a - co oczywiście było poradą bezsprzecznie słuszną, o ile jej ukryty motyw pozostawał w spodniach khaki Drew. I mimowolnie zastanawiałam się, czy awantura pomiędzy Alice a George'em, która wreszcie doprowadziła do tego, że ona zdobyła zakaz zbliżania się, miała jakiś związek z jej romansem. Albo Drew dał jej pewność siebie, żeby dała sobie spokój z wymówkami o to, co robi mężowi (bardzo chwalebne), albo wkręcił się do jej sypialni (mocno podłe nadużycie władzy). Następny wpis pojawiał się dopiero ponad tydzień po wykopaniu George'a z domu, co nie było niedorzeczne, jako że Alice najwyraźniej nie należała do zatwardziałych

---

\* Hester Prynne i pastor Arthur Dimmesdale to bohaterowie *Szkarlatnej litery* Nathaniela Hawthorne'a (przyp. tłum.).

pamiętnikarek i musiała być zajęta organizowaniem życia od nowa, odkąd jej mąż zniknął.

*17 LUTEGO: George wciąż nad jeziorem, my z Katie sprawujemy pieczę nad wszystkim. Z nią wszystko w porządku.*

*Nie czuję się jak samotna mama, ale pewnie nią jestem. W domu panuje cisza i spokój, bo Katie często wychodzi. Zabawne: nie jestem pewna, czy czuję się bezpieczniej, gdy nocą nie ma w pobliżu George'a. Wiem, że jestem bezpieczniejsza. Ale teraz są tylko dziewczyny, Katie, ja i Lula. Ciągle trzymam pistolet w pudełku w szafie z ubraniami. Nie chcę go pod ręką.*

*Plecy ciągle mnie bolą, ale ramię i łokieć mam mniej spuchnięte.*

Ból pleców i spuchnięty łokieć były jedynymi odniesieniami do awantury, po której wreszcie wystąpiła o zakaz zbliżania się.

Niemniej jednak dowiedziałam się więcej o Alice Hayward i było oczywiste, że naprawdę nie należała do sztandarowych przykładów z poradnika dla maltretowanych żon. Nie pasowała idealnie do schematu. Pewnie, George był głównym żywicielem rodziny i najwyraźniej zapewniał im życie na niezłym poziomie, ale nie była całkowicie zależna od niego finansowo. Miała pracę i dochody. Co więcej, nie była córką maltretowanej żony.

Zastanawiałam się też jednak, czy jej samoocena nie była tak niska, że zaczęła się zakopywać pod ziemię - a to z kolei pasowało do schematu. Bestia, którą poślubiła, na pewno potrafiła podkopać jej wiarę w siebie. Może nie używał jej czaszki jako piniaty, ale i tak wiedział, że może zadać ból za każdym razem, kiedy otworzy usta.

*Oczywiście nie starałam się spalić schabowych. Ale spaliłam. Zniszczyłam je, jak powiedział. Zniszczyłam obiad. Tylko mnie spuścić z oka.*

*Mówi, że to moja wina, że Katie tak późno wróciła ze spotkania z Tiną i nieznanym nam chłopcem o imieniu Martin. Pewnie ma rację. Ale starałam się złapać ją na komórce. Bardzo się starałam. Naprawdę!*

*Nie mogę sprawić, żeby hydraulik pojawił się jak królik z kapelusza. Może inni ludzie potrafią.*

*Kiedy się zrobiłam taka pomarszczona? Kiedy się tak roztyłam? On ma rację.*

*Czasami nienawidzę siebie. Nienawidzę nawet swoich włosów.*

*Nazwał mnie pizdą, a ja spytałam go, co dokładnie ma na myśli. Zrobił się czerwony na twarzy, a ja się przeraziłam, i przypomniał mi, że flirtowałam z nauczycielem angielskiego Katie. Flirtowałam? Myślałam, że starałam się tylko być miła, bo Katie jest taka zdolna, a on okazuje tyle zainteresowania jej pisaniem. Ale może rzeczywiście przekroczyłam granicę. Może rzeczywiście posunęłam się za daleko. Teraz tak mi głupio. Taka jestem na siebie zła. Nie uderzył mnie.*

*Powiedział, że wyglądam jak dziwka. Jak tłusta dziwka. Nawet nie ładna dziwka. Powiedział, że to upokarza nas oboje.*

*Jak w ogóle mogłam wybrać takie zasłony? A wybrałam. Czasami jestem taka beznadziejna. Taka beznadziejna.*

Z lektury pamiętnika nie odniosłam wrażenia, że Alice nie odchodziła od George'a ze względu na córkę. Dziewczyna wyrosła już na piętnastolatkę z kolczykiem w nosie. Jeśli już, to Alice miała tyle rozsądku, że widziała, iż przemoc fizyczna i psychiczna ze strony jej mężczyzny to nie jest wzorzec zachowań, który jakakolwiek nastolatka powinna oglądać. Ale rozumiała jedną rzecz w ich małżeństwie: George był dla niej lepszy, kiedy Katie znajdowała się w pobliżu - a ona sama była bezpieczniejsza.

*George jest inny, kiedy Katie jest w domu. Nie zawsze. Ale czasami. Zachowuje się jakby nienagannie. Wiem, że Katie widziała, jak się bijemy, a ostatnio stanęła między nami (na co już nigdy nie mogę pozwolić). Ale wiem też, że kiedy ona jest w domu, George raczej mnie nie uderzy. Więc może ona tłumaczy sobie, że wszyscy rodzice się awanturują. Gdy ona jest w domu, on mniej pije, a to oznacza, że bardziej jest sobą. Mężczyzną, którym potrafi być, wiem, mężczyzną, którym kiedyś był ciągle. Nie doskonałym. Ale nie podłym.*

*Szkoda, że nie wiem, jak z nią o tym rozmawiać. Szkoda, że nie jestem bardziej bystra. Szkoda, że tak się wstydzę. Ale jej ojciec i ja tyle ze sobą przeszliśmy. To niesamowite. Ona nie wie najlepszego o swoim ojcu, i chyba nie wie najgorszego. Ale jestem pewna, że wie o wiele więcej, niż przyznaje.*

Kolejna rzecz związana z Alice była podręcznikowa: broniła zachowań George'a, obwiniając o nie alkohol. Myśl, że kiedy on trzyma się z daleka od piwa, wszystko jest lepiej, zdawała się wzmacniać skojarzenie, że to piwo ją tłucze, nie jej mąż. Myślę, że godne uwagi było, że on nie pił w okolicy ich rocznicy ślubu.

*Kwiaty, czekoladki i masaż tymi jego delikatnymi dłońmi - czegoż chcieć więcej. To był wspaniały tydzień. W nocy się kochaliśmy i było dobrze.*

Po pamiętniku były dwie osobne, złożone kartki ciężkiego ozdobnego papieru. Na każdej znajdował się wiersz napisany dla niej przez George'a niebieskim atramentem. Jeden zawierał potępienie jego własnego zachowania:

Tyle rzeczy zniszczyłem  
Tyle zdeptałem bezwzględnie,  
A najchętniej cofnąłbym chwilę,  
Gdy serce ci pękło przeze mnie.

Drugi sugerował wyrzuty sumienia po zranieniu żony:

Tak więc, wierz mi, wiem, co mam.  
Nie wiem zaś, skąd czerpię gniew.  
Ale kiedy z różami przychodzę sam,  
To dlatego, że znam swój grzech.

W pamiętniku nie znalazłam żadnej wzmianki o Heather Laurent: ani jako autorce, której książki Alice mogła czytać, ani jako postaci w jej życiu albo w życiu jej pastora. Tak naprawdę nie oczekiwałam, że znajdę Królową Aniołów w pamiętniku, ale tyle już mnie w tym śledztwie zaskakiwało, że nie zatkałoby mnie, gdyby odegrała epizodyczną rolę.

DAŁABYM SOBIE RĘKĘ uciąć, że Alice żartowała sobie, kiedy zastanawiała się w swoim pamiętniku, ile wie Katie. Byłam pewna, że mała wiedziała mnóstwo, i byłam pewna tego na długo przed jej ponownym przesłuchaniem. Można uładzić damskiego boksera i ładnie go ubrać, ale to nadal będzie damski bokser i prędzej czy później jego prawdziwa natura wyjdzie na wierzch.

Za mojego dzieciństwa ludzie, którzy znali moją rodzinę tylko pobieżnie, ochoczo by

nagrodzili moich rodziców pucharem w konkursie na najcudowniejsze małżeństwo. I jeśli wziąć pod uwagę żalony stan mnóstwa okolicznych stadeł, ich naprawdę było niezłe. Ale większość ich małżeńskiego życia była na pokaz, jakby się przygotowywali do tego konkursu. Prezentowali światu - i niestety również sobie nawzajem - doskonałą fasadę. W rzeczywistości ich związek ani trochę nie przypominał uroczej bajki. Czasami jednak myślę, że może byłby nieco magiczny, gdyby więcej ze sobą rozmawiali. Niemal nigdy się nie awanturowali, co może stanowiło część problemu. Pozostali w związku do śmierci. Najpierw umarł tata na raka płuc, potem mama na alzheimera. Przez pół roku mój brat, siostra i ja regularnie lataliśmy od siebie z Bennington, Bostonu i Manhattanu do Fort Myers na Florydzie, gdzie nasi rodzice przeprowadzili się po tym, jak tata przeszedł na emeryturę. Tacie doskwierał nieznośny ból, a mama gubiła się we własnej łazience. Starzenie się? Nie dla cieniasów. Kiedy czas pożegnać się z tym światem, trzeba być naprawdę niezłomnym.

Wielkim problemem moich rodziców było to, że niezbyt do siebie pasowali, a rzadko rozmawiali o tym, jak to zmienić. Nie mam pojęcia, co w sobie widzieli na początku, może po prostu pomyśleli, że czas się ustatkować. Sądzieli, że są w sobie zakochani, chcieli być zakochani, i całe życie ciężko pracowali, udając, że rzeczywiście tak jest. Kiedy się pobrali, mój tata miał trzydzieści pięć lat, a mama trzydzieści dwa. Bardzo chciała mieć dzieci, więc zegar biologiczny musiał tykać w jej głowie niczym autoalarm. Ale nigdy nie rozpracowali, jak powiedzieć, czego naprawdę chcą, ani nie mówili sobie o swoich potrzebach, ani nie radzili sobie z tym, o co prosiło to drugie. Prawdopodobnie kilka ich prób nie dało szczęśliwego rezultatu. Pamiętam na przykład, jak przez ściany sypialni usłyszałam rozmowę - wówczas bardzo mnie przeraziła, a jeszcze dzisiaj przyprawia mnie o smutek. Miałam dwanaście lat, czyli na tyle dużo, żeby się niezłe orientować w zagadnieniach prokreacji i rozrywek łóżkowych, ale na tyle niewiele, że sama jeszcze niczego nie próbowałam. Dochodziła północ, leżałam w łóżku już co najmniej od godziny. Nie jestem pewna, dlaczego się obudziłam. Ale się obudziłam. Mama najwyraźniej usiłowała przekonać tatę, by spróbował czegoś niezwykłego w wyrku, a on najwyraźniej się opierał. Miał wtedy czterdzieści osiem lat, mama czterdzieści pięć. Odniosłam wrażenie, że seks nie dawał jej zbyt dużej satysfakcji i chciała ją osiągnąć, zanim dobieje dziewięćdziesiątki (do której ostatecznie dużo jej zabrakło) i będzie za późno. Błagała i nakłaniała tatę, a mój umysł zalały drastyczne możliwości, przyprawiające mnie o mdłości, bo to jednak byli moi rodzice. Już miałam naciągnąć poduszkę na głowę, kiedy mój tata powiedział, podnosząc głos tak, że słyszałam wyraźnie panikę, obrzydzenie i strach: „Wiesz, że ja się w ten sposób nie sprawdzę!”.

„Sprawdzę się”. Takie niewinne, takie antyseptyczne słowo. Wiem, że hasło „sprawdzanie się”, zwłaszcza jeśli jest połączone z „oceną”, może frustrować. Ale większości ludzi chyba nie przeraża tak, jak przeraża mnie. Ilekroć któryś z moich współpracowników sugeruje, że się nie „sprawdził”, ja błyskawicznie wracam do swojego pokoju z siódmej klasy i pościeli w słoneczniki wyblakłe od środków piorących i suszenia na sznurze na słońcu. Powiedziałam mężowi, że musi to słowo wykreślić ze swojego słownika, że nie może go używać w mojej obecności.

Jestem pewna, że wiele jest rzeczowników i czasowników, które Katie Hayward usłyszy w swoim życiu, a które natychmiast przeniosą ją z powrotem do Cape na wzgórzach i strasznych rzeczy, które tam słyszała.

RODZICE ALICE W NASHUA w New Hampshire orientowali się, że George czasami bił ich córkę. Wiedzieli o zakazie zbliżania się. Raz w rozmowie z matką Alice użyła określenia „odebranie praw rodzicielskich”, sugerując, że obawia się, że pewnego razu jej mąż posunie się do najgorszego. Powiedziała matce, że orientowała się w prawach George'a na wypadek, gdyby pewnego dnia „coś” jej się stało, i zamierzała jesienią spotkać się z adwokatem - to znaczy gdyby znowu zrobiło się okropnie. (O ile się zdołaliśmy zorientować, nigdy nawet nie spróbowała się skontaktować z adwokatem). Rodzice George'a na północy stanu Nowy Jork wiedzieli znacznie mniej i wyglądało na to, że czwórka teściów nigdy ze sobą nie rozmawiała. Kiedy przeczytałam raporty z przesłuchań, odniosłam wrażenie, że Fred i Gail Malcomb pasują do profilu rodziców, którzy wychowują córki tolerujące pewną przemoc: jedynaczka, najwyraźniej nierozpuszczona, ojciec chłodny i wierzący w sensowność kar cielesnych („w granicach rozsądku”, podkreślił) oraz uległa matka, często zerkająca na męża po aprobacie, zanim odpowie na pytanie. Podobnie Don i Patrice Hayward pasowali mi na rodziców chłopca, który wyrósł na mężczyznę zdolnego do bicia żony. W tej rodzinie byli sami chłopcy: cała piątka. Żadnych dziewczynek. Niedozwolone były nawet zwierzaki płci żeńskiej, tak że każdy jeden pies, który przewinął się przez życie młodego George'a, był samcem, nigdy też do domu nie zawitał żaden kot. Wydawało się nieuniknione, że te wszystkie męskie więzi uczuciowe albo cały ten testosteron pozostały po siłowni i hokeju („lodowi wojownicy” - tak mówił Don o swoich synach) skutkowały awanturami w domu. Don jednak twierdził, że nigdy nie uderzył Patrice, a Patrice nie zaprotestowała. Powiedział też, że dla niego to niewiarygodne, że jego syn kiedykolwiek uderzył Alice, „choćby nie wiadomo jak na to zasłużyła”, i że zakaz zbliżania się wydano na podstawie sfabrykowanych oskarżeń. Powiedział, że jedyny powód, dla którego jego syn wrócił do Haverill z domku nad

jeziorem i próbował ratować małżeństwo, to dobro jego córki.

Zastanowiłam się nad faktem, że dorosły George miał w domu zarówno córkę, jak i suczkę. Czy to stanowiło dla niego źródło frustracji? Rozczarowania? Dlaczego pozwolił rodzinie sprowadzić ze schroniska sukę? Ginny powie nam, że niedługo po przeprowadzce do Haverill Alice poroniła chłopca. Alice uważała, że gdyby donosiła tę ciążę, byłoby inaczej. Ginny w to wątpiła, i ja też. Ale można sobie było wyobrazić, że tęsknota George'a za synem od czasu do czasu zamieniała go w jeszcze gorszego bandziora.

Ojcowie obu ofiar pracowali, matki zajmowały się domami. Fred Malcomb zajmował kierownicze stanowisko w fabryce lodów. Don Hayward prowadził własną niewielką firmę ubezpieczeniową. W chwili śmierci ich dzieci żaden nie był na emeryturze.

Najbardziej interesująca - i może najbardziej sugestywna - uwaga Dona Haywarda? W trakcie dalszego przesłuchania, po tym jak Haywardów poinformowano, że George chyba został zamordowany, Don stał się bardziej wojowniczy i spytał: „Więc skąd wiecie, że ona go nie zabiła? W sensie że Alice? Skąd możecie mieć pewność, że ta mała, wiecie co, nie zastrzeliła go sama... no wiecie, a potem ktoś inny przyszedł i ją udusił? Ona nigdy go za bardzo nie lubiła, wiecie. Taka jest prawda. On tyle dla niej zrobił i tyle jej dał, a ona i tak go nie lubiła”.

Emmet zastanawiał się, czy przedstawić im wyniki badań treści żołądka, sugerujące, że Alice nie żyła od kilku godzin, kiedy ktoś zastrzelił George'a. Ale w końcu dał sobie z tym spokój. Tymczasem Don trajkotał o wszystkich ważnych rzeczach, które George osiągnął w życiu zawodowym, a Patrice popłakiwała.



## Heather Laurent, *Anioły i aury*, s. 311

Zawsze uważałam, że większość ludzi lubi przebywać w domu, a przede wszystkim ma w domu ogromne, niemal instynktowne poczucie bezpieczeństwa. I pod pojęciem domu rozumiem dosłownie wnętrze budynku. Niewątpliwie takie wrażenie zaczerpnęłam z życia przyjaciół pozostających w związkach, jak również z życia przyjaciół, którzy mieli dzieciństwo normalniejsze niż moje. Przychodzisz do domu i metaforycznie (lub dosłownie) rozpalasz ogień. Odwieszasz płaszcz do szafy w przedpokoju. Napęlniasz wannę dla dzieci, patrzysz, jak kot liże się na stołku najbliższej grzejnika. Gotujesz. Jesz. Tulisz kogoś, kogoś kochasz. A cały świat ze swoim zagrożeniem i problemami - ze swoim okrucieństwem i małostkowością - staje się czymś innym, czymś za twoim progiem. Teoretycznie, kiedy jesteś w domu, nikt cię nie krzywdzi.

Jeśli chodzi jednak o moją matkę, zawsze uważałam, że kiedy ona zamykała na noc drzwi wejściowe, nie czuła się ani trochę bezpiecznie. Zupełnie jakby się znalazła w klatce ze śpiącym tygrysem i zakładałam, że przynajmniej po części to przyczyniło się do jej picia. Nigdy nie wiedziała, co może obudzić bestię. Nawet pod koniec swojego życia nigdy chyba nie wiedziała, co dokładnie może spowodować wybuch jej męża, co spowoduje, że syknie na nią z wściekłości albo że zniszczy jakiś jej ulubiony drobiazg. Talerz. Kieliszek. Zdjęcie. Kiedyś chwycił jedną z jej ulubionych czarno-białych grafik z ich ślubnego albumu - wizerunek jej z dziadkiem - i podarł ją w długie paski, podczas gdy ona płakała i błagała, by tego nie robił. Pewnie nigdy do końca nie wiedziała, co sprawi, że on ją uderzy.

A potem oczywiście były wszystkie te noce, kiedy pijana szydziła z niego. Prowokowanie go drwinami było autodestrukcyjne i mogło doprowadzić jedynie do eskalacji przemocy.

Niemniej jednak chętnie bym zobaczyła twarz ojca na jego pogrzebie. Twarz matki również. W obu przypadkach pragnienie to wpływało z innych motywów: w wypadku ojca chciałam zobaczyć, czy po śmierci jest spokojny. Czy cały ten gniew i frustracja, które kazały mu patrzeć gniewnie - które sprawiały, że jego brwi ściągały się na tyłu postrzępionych zdjęciach - umarły wraz z ciałem i krwią? Był kiedyś przystojny, kości policzkowe miał wydatne jak półki skalne: ale czy to mrok czynił go atrakcyjnym? Jeśli chodzi o moją matkę,

zastanawiałam się, jakie jest jej oblicze, kiedy nie strzela nerwowo oczyma jak królik ani kiedy te oczy nie zamieniają się w szparki pod wpływem szkockiej - kiedy nie próbowała nerwowo przewidzieć męzkowskich nastrojów. Czy wreszcie ma twarz, na której załśniło piękno, wcześniej stłumione przez rozczarowanie i strach?

Po raz ostatni widziałam ich żywych w czasie Bożego Narodzenia. Wówczas w mojej świadomości istniały jedynie porcelanowe anioły stojące na kominku i szklane, które moja siostra, matka i ja wieszaliśmy na niecierpku, stawianym co roku w oknie wykuszowym w salonie. (Dopiero później uświadomiłam sobie istnienie aniołów pośród nas, rozumnych i zbawiennych, ze skrzydłami). W pewnym momencie, kiedy stałyśmy z siostrą w kuchni po pogrzebie matki, kiedy otaczali nas ci wszyscy dorośli i całe jedzenie, które sąsiedzi przynieśli, a którego żadna z nas nie chciała tknąć, Amanda odwróciła się do mnie i spytała, co moim zdaniem pracownicy zakładu pogrzebowego robili z ciałami naszych rodziców pomiędzy ich zgonem a pogrzebem. To było dobre pytanie. Z perspektywy czasu wiem, że obie potrzebowałyśmy więcej domknięcia poznawczego, niż było nam dane. Każdy w naszej sytuacji potrzebowałby go więcej.

Kilka lat później, kiedy w college'u studiowałam nietypową psychologię, zaczęłam rozumieć, że to nie tylko pracownicy zakładu pracowali nad ciałami rodziców w okresie pomiędzy tragedią a chwilą, gdy ich ciała opuszczono w mahoniowych trumnach do ziemi. To lekarz sądowy najpewniej zerwał ich twarze, zważył serca i pobrał wymaz z pochwy mojej matki.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

NIELATWO ZADZIWIĆ PATOLOGA, ale Heather Laurent się udało. I tak miałam sprawę w laboratorium kryminalistycznym, więc podjechałam do biura Davida Dennisona następnego dnia po jego telefonie, żeby mi dokładnie zrelacjonował słowa i poczynania Heather. Zdążyliśmy już sprawdzić historię Heather - aczkolwiek jeszcze jej nie przesłuchaliśmy - i niemal wszystko, co napisała w swoich książkach o śmierci swoich rodziców, okazało się prawdą: jej ojciec rzeczywiście zastrzelił matkę, a potem powiesił się na strychu. Osierocili dwie nastoletnie córki. Bosko. Co za koleś.

Biuro Davida znajdowało się w rogu na piętrze obok kostnicy (i zawsze nalegał, żebyśmy mówili na nią kostnica, a nie chłodnia, ponieważ słowo kostnica jego zdaniem zawierało więcej szacunku dla zmarłych), a ta składała się z bezkresnego szeregu pomieszczeń, do których się wchodziło przez oddział ratunkowy szpitala w Burlington. Wygodne, prawda? Jeśli wylądujesz na ratunkowym i ci się uda, wędrujesz na górę do szpitala. Jeśli ci się nie uda, wywożą cię przez dwuskrzydłowe drzwi opatrzone napisem zakład patologii.

Jak na stan tak niewielki jak Vermont, dysponowaliśmy ogromnymi zasobami, bo przez ponad dziesięć lat mieliśmy za gubernatora lekarza. Zawdzięczaliśmy mu fundusze na pierwszorzędny obiekt, takie miejsce, w którym można naprawdę traktować zmarłych z należnym szacunkiem. Kiedy władze ustawodawcze debatowały nad środkami na nowy zakład patologii, David oświadczył wszem wobec (no, może wszem wobec w Montpelier), że domaga się miłszej i subtelniejszej kostnicy. Mieliśmy tu jakieś kilkanaście morderstw rocznie, ale z takiego czy innego powodu - zwykle w wypadku tak zwanych śmierci przedwczesnych - David i jego personel wciąż dokonywali sekcji u mniej więcej 10 procent zmarłych. A że roczna liczba zgonów sięgała pięciu tysięcy, to sekcji zwłok Vermontczyków było około pięciuset. A do tego dochodziły ciała, z których należało pobrać organy i tkanki. David był niewzruszony w swoim przekonaniu, że pomieszczenie, gdzie pobiera się tkanki,

ma najlepszą atmosferę spośród wszystkich w całym stanie.

I poprzedniego dnia około czwartej po południu ni stąd, ni zowąd w Zakładzie Patologii pojawiła się Heather Laurent. David puścił mi sygnał na pager, ale ja byłam w sądzie, a Emmet w Haverill przesłuchiwał Ginny O'Brien i Tinę Cousino.

- Muszę przyjąć, że Heather Laurent jest podejrzana - powiedział David, kiedy przyjechałam.

- Może być jakoś w to zamieszana, ale nie powiedziałabym, że jest przywódcą stada. Zupełnie nie. Dlaczego miałyby pojawić się na szczycie twojej listy?

- Bo jest obłąkana.

- Tak sądzisz?

- No, nie dosłownie. Ale jest świrem. Nie mówię też, że powinna być głównym podejrzanym.

- Ona jest dziana, wiesz.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

- Pochodzi z bogaczy, a jeszcze zarobiła krocie na książkach. Dlaczego tu przyjechała? I co zrobiłaś, jak już się pojawiła?

Siedzieliśmy w jego gabinecie. Wskazał krzesło zajęte przeze mnie.

- Głównie rozmawialiśmy.

- Tutaj. W twoim biurze.

- Wyszedłem do recepcji, kiedy Vivian powiedziała, że Heather Laurent chce się ze mną zobaczyć. Powiedziałem jej, że nie powinniśmy rozmawiać.

- Ale i tak rozmawialiście.

- Ona chciała się rozejrzeć.

- Po co?

- Bo nigdy nie widziała kostnicy od środka. Poprosiła, żeby pokazać jej zwłoki.

- Zwłoki... tak w ogóle, tak? Na pewno wie, że Haywardów już dawno pochowano w Nowym Jorku i New Hampshire.

- Tak. Zwłoki tak w ogóle. Powiedziała mi o swoich rodzicach. Już wcześniej o nich słyszałem. Wydaje mi się, że ona nie widziała ich ciał po śmierci. Po raz ostatni widziała ich żywych. W czasie Bożego Narodzenia. Następnym razem byli już w trumnach. Chciała wiedzieć, co się działo z nimi pomiędzy jedną a drugą chwilą.

- Poza tym że jedno z nich zostało zastrzelone, a drugie się powiesiło.

- Właśnie, poza tym.

- Nie wiedziałam nawet, że ona jest w Vermoncie.

Półkę na ścianie za jego biurkiem okupowały maskotki Beanie Babies, wypełnione plastikowym granulatem, a nie tradycyjnie. Jego dwie córki, jeszcze jako małe dziewczynki, z uporem obdarowywały go pluszakami, ponieważ miały mgliste pojęcie, że gabinet człowieka, który przez całe życie kroi trupy, by rozkładać je na kawałki i składać z powrotem, jest mało radosny. Po raz pierwszy zauważyłam, że dwa z nich - zebra i jamnik - mają na sobie białe lekarskie fartuchy. Jamnik miał nawet stetoskop, co wydało mi się paradoksalne, ponieważ David rzadko osłuchiwał bijące serce. Chciałam chwycić któregoś zwierzaka i rzucić w niego.

- Nic się nie przejmuj. Zaaplikowałam jej mocno skróconą trasę zwiedzania.

- Nie mogę, kurde, uwierzyć, że w ogóle ją oprowadziłeś. To ty jesteś szalony, nie ona. Głupio ci? Mam nadzieję, że ci głupio.

Jego twarz była trochę kwadratowa i zwykle raczej królewska - zwłaszcza że wcześniej zaczął siwieć. Ale teraz wyglądał jak zbesztane dziecko, a jego oczy, zawsze trochę wymizerowane, przygasły.

- Myślę, że trochę wyolbrzymiasz problem - zauważył nieśmiało.

- Emmet nawet jej jeszcze nie przesłuchał! W ogóle nie mieliśmy pojęcia, że tu jest!

- No to już mamy.

- Gdzie ona jest?

Milczał chwilę.

- Pojechała do domu. Na Manhattan.

- Cudownie. Powiedziała, po co przyjechała?

- Już mówiłem, chciała się dowiedzieć, co się działo z ciałami jej rodziców.

- Miałam na myśli Vermont. Co robiła w Vermoncie?

- Nie wiem.

- Nie pytałeś?

- Byliśmy zbyt zajęci, żeby rozmawiać o tym, dlaczego wpadła do mojego gabinetu.

Chociaż napomknęła, że właśnie wraca ze spotkania z Katie Hayward w liceum.

- No na miłość Boską!

- Wiem...

- Mówiła, o czym rozmawiała z Katie?

- Nie.

Wściekłam się, czułam, że poczerwieniałam. Odetchnęłam głęboko.

- A więc słucham, jak rozbudowana była ta trasa, którą jej zaaplikowałeś?

- W ogóle nie była rozbudowana. Nie w tym rzecz, że zamierzałem przedstawić łańcuch dowodowy w sprawie Haywardów czy innych ofiar, których ciała się tu znalazły.

Pokazałem jej swój gabinet, salę sekcyjną i salę pobierania tkanek. Ponieważ z takiego właśnie powodu przyszła, powiedziałem jej, co zapewne zrobiono z ciałami jej rodziców.

- I potem wyszła.

- Zgadza się.

- Co powiedziała o Haywardach?

- Że jest zasmucona.

- Litości.

- I pytała o nocną koszulę, którą Alice Hayward miała na sobie, gdy zginęła.

- Wyjaśniła dlaczego?

- Wyjaśniła, że jest ciekawa i wzięła mnie z zaskoczenia. Więc jej powiedziałem.

- Powiedziałeś jej?

- Tak, przepraszam. Odprawiałem ją do drzwi i to mi się po prostu wymknęło.

Później przeszło mi przez głowę, że ona szukała alibi: no wiesz, żeby ktoś, na przykład ja, mógł poświadczyć, że spytała go, w jakim była kolorze. Ale popadam w paranoję, prawda?

- Miejmy nadzieję.

- Naprawdę mi przykro.

- Jej facet, pastor Drew. Wspomniała coś o nim?

- Nie jest już jej facetem.

Pochyliłam się do przodu na krześle.

- Naprawdę?

Pokręcił głową.

- Nie. Nie wiedziałeś?

- Nie jesteśmy mocno żyte, że tak powiem, Davidzie. Nie. Nie wiedziałam. Co mówiła?

- Rozmawiałem z nią o jej rodzicach i powiedziałem jej, co lekarz medycyny sądowej, a także pracownik zakładu pogrzebowego mógł robić z ich ciałami. Staralem się mówić ogólnikowo.

- Wrażliwiec - rzuciłam z przekąsem. - Cały ty.

- Dziękuję. Naprawdę opowiadałem jej tylko o podstawach, ale ona ciągle chciała wiedzieć, jak umarli jej rodzice. Szczegóły fizjologiczne. Jej zdaniem było to dokładne przeciwieństwo Haywardów. W przypadku Haywardów to mężczyzna został zastrzelony, a kobieta uduszona, a w wypadku jej rodziców kobieta została zastrzelona, a mężczyzna zaduszony.

Kiwnęłam głową, jednocześnie zainteresowana i trochę rozczarowana sobą, że sama

tego nie powiązałam. Nie byłam pewna, czy to ma jakieś znaczenie, ale jakoś to się łączyło.

- Mów dalej.

- Więc wyjaśniałem jej różnice pomiędzy zagardleniem w wyniku powieszenia, wiesz, sznurem albo szalem, a zagardleniem w wyniku zadławienia ręką. Paplałem o krwotoku mięśni podgnykowych i prawdopodobnym stwardnieniu kości w szyi jej ojca...

- Sama wiedza niezbędna jej do życia...

Uniósł brew, ale poza tym mnie zignorował i kontynuował:

- ...i Heather mi przerwała. „Zadławienie ręką jest o wiele bardziej osobiste” - powiedziała. „Człowiek wpatruje się w oczy swojej ofiary. Trzeba być bardzo wściekłym”. Pomyślałem, że to dopiero eufemizm. Bardzo wściekłym? Trzeba być eksplodującą cysterną paliwa! Ale przez grzeczność przyznałem jej rację. I wtedy właśnie ona powiedziała: „Zupełnie nie pojmuję, jak Stephen Drew mógł przeoczyć tę wściekłość, która musiała trawić George'a Haywarda”.

- A co ty na to?

Wzruszył ramionami.

- Starłem się odpowiadać wymijająco. Rzuciłem, że każdy jest tylko człowiekiem. Że różne rzeczy nam umykają. I wtedy właśnie puściła farbę, że nie są z pastorem blisko. Jej reakcja? „I niektórzy ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Niekórzy mają serca twardsze i bardziej samolubne niż inni. Stawiają opór tym aniołom, które są święte”.

- Rany. Czy to znaczy, że istnieją anioły, które nie są święte?

- Możliwe.

- Wycisnąłeś z niej, co ma na myśli?

- Spytałem, czy ma na myśli pastora Drew, a ona powiedziała, że owszem. Potem odwróciła wzrok. Wyjrzała przez to okno. I sprawiała wrażenie przepelnionej obrzydzeniem, a wcześniej zupełnie nie widziałem tego na jej twarzy.

- Ale nie powiedziała nic więcej. Nie rozwinęła.

- Nie. I może dobrze. Większość jej wypowiedzi była niezłe szurnięta. W pewnym momencie, kiedy pokazywałem jej salę sekcyjną, wszedł przypadkiem jeden z techników laboratoryjnych z pudełkiem pełnym serc dla studentów medycyny. Nie założył przykrywk. Były stare i wyblakłe, więc wyglądały raczej jak bezgłowe kurczaki niż jak ludzkie serca. Heather spytała, co to jest. Wyjaśniłem. A co ona na to? „Dlaczego zawsze chcemy lwie serce, a nie serce anielskie? Serce anioła jest równie silne jak lwa, ale góruje nad nim przenikliwością i historią”. Nie powiedziałem jej, że jedyna historia, którą dostrzegam w większości serc, to za mało ćwiczeń fizycznych, a za dużo big maców. A po kilku chwilach

zauważyła worki kości. - Odruchowo zerknął na buty, kiedy to mówił. Nikt nie chce rozmawiać o workach kości. Są to ludzkie szczątki: kości udowe jak maczugi, żuchwy, od czasu do czasu obręcz biodrowa, które zostały wykopane na placach budowy albo wykopaliskach gdzieś na terenie stanu. Większość z nich, jak sądzę, to szczątki Abenaków z dziewiętnastego albo początków dwudziestego wieku. Na pewno żadne z tych szczątków nigdy nie zostaną powiązane z żadnym nazwiskiem. Ale nikt nie wiedział, jak i gdzie je ponownie pochować, a zdecydowanie nie chcieliśmy ich umieszczać z przypadkowymi odpadami, które stanowią nieodłączną część każdej chłodni (albo kostnicy). Tak więc przechowywaliśmy je w wielkich zamykanych suwakiem plastikowych torbach na kilku półkach w najdalszym kącie pomieszczeń sekcyjnych.

- I co miała do powiedzenia na temat kości? - spytałam.

- Że dlatego właśnie ludzie nie umieją latać.

- Z powodu kości.

- Tak. Musimy mieć kości jak ptaki.

- Albo anioły?

- Mhm.

- Naprawdę?

- Tak. Musimy mieć kości jak anioły. Powiedziała, że o wiele mniej balibyśmy się śmierci, gdybyśmy czuli obecność aniołów pośród nas.

- A co ty na to?

- Zupełnie nic. Zbyt wiele odpowiedzi przychodziło mi do głowy. Ona była taka otwarta i szczerą. Ale wiesz, co sobie pomyślałem po jej wyjściu?

Czekałam.

A on odpowiedział głosem jednocześnie zakłopotanym i ubawionym:

- Anioł śmierci. Mówię ci: ta kobieta jest stabilna jak krzesło na trzech nogach.

TESTY BALISTYCZNE BRONI George'a Haywarda wykazały, że strzał padł z odległości dwóch i pół stopy od jego czaszki: z wszelkim prawdopodobieństwem za daleko jak na własnoręcznie zadaną ranę głowy. Laboratorium użyło pocisku pełnopłaszczowego, takiego jak Hayward, a nie pozbawionego płaszcza na wierzchołku, który z założenia ma pozostać w ciele i - nieprzypadkowo - spowodować o wiele większe obrażenia wewnętrzne. Oczywiście mieliśmy świadomość, że popełnia się takie samobójstwa, w których ofiara trzyma broń w wyciągniętej ręce, wymierza lufę w głowę i kciukiem pociąga za spust. Ale to rzadkość. W końcu jeśli ktoś chce się zabić, po co miałby ryzykować, że nie trafi? A jeśli wziąć pod uwagę, jak pijany był



George Hayward tamtej nocy, jakoś nikomu w moim biurze nie wydawało się prawdopodobne, żeby zdołał wykombinować, że będzie trzymał broń tak daleko od siebie i naciśnie spust kciukiem.

PRZESZUKALIŚMY PLEBANIĘ W HAVERILL, ale nie znaleźliśmy nic, co łączyłoby pastora Drew z morderstwem Haywardów. Nie jestem pewna, czy którekolwiek z nas spodziewało się znaleźć koszulę flanelową z mózgiem George'a Haywarda na kieszonce, ale musieliśmy sprawdzić. Odciski palców Alice Hayward widniały na stole kuchennym i na jednym z krzeseł obok, ale to był jedyny jej ślad w tym domu. Nic w sypialni, nic w łazience. W komputerze pastora też nie natknęliśmy się na nic, co by wskazywało, że miał romans z kobietą albo że później zamordował jedno z Haywardów czy też oboje - chociaż znaleźliśmy całe mnóstwo rzeczy sugerujących zainteresowanie zbrodnią. Gdybyśmy to wywlekli przed ławę przysięgłych, mogłoby to wyglądać cholernie obciążająco, z czego zapewne zdawał sobie sprawę i on, i jego prawnik. W ciągu kilku dni po znalezieniu ciał wygooglował strony z ogólnymi informacjami kryminalistycznymi o morderstwie przez zadławienie i przez strzał w głowę. Godzinami buszował po stronach o postępowaniu na miejscu zbrodni i jak podejrzany może się pozbyć dowodów swojej obecności przy zabójstwie. Szukał też wszelkich informacji o Alice. Zdjęcia z liceum. Album rocznika z college'u. Niewiele tego było, ale on chyba znalazł, co się dało. Nasze odkrycia potwierdziły część jego wersji: w niedzielną noc, kiedy zginęli Haywardowie, często odwiedzał witryny Major League Baseball i śledził postęp rozgrywek między Boston Red Sox a New York Yankees. A w następnych dniach rzeczywiście pisał e-maile do przyjaciół, tak jak nam powiedział, z czego niektóre wysłał, ale większość tkwiła w folderze roboczym programu pocztowego. Wszystko to sugerowało, że mamy do czynienia z kapłanem przechodzącym przez ogromny kryzys wiary. Nic nie sugerowało, że ogarnięty szaleem strzelił George'owi Haywardowi w głowę.

Na pewno próbka DNA, którą nam dał, jak również odciski palców dawały cholernie dużo dowodów, gdybyśmy chcieli go skazać za cudzołóstwo. Ślady jego obecności znaleźliśmy w całym domu Haywardów, zwłaszcza w sypialni małżeńskiej, łazience i kuchni. Niestety, Haverill to nie siedemnastowieczny Boston. Potrzebowaliśmy czegoś więcej niż cudzołóstwo. A wciąż nie mieliśmy nic, co by go połączyło z domem Haywardów tamtej strasznej nocy.

GORDON I MICHELLE BROOKNEROWIE, najbliżsi sąsiedzi Haywardów i właściciele niewielkiego stawu, w którym Alice została ochrzczona w dniu swojej śmierci, wiele razy

widzieli samochód pastora pod domem Haywardów, kiedy zeszłej zimy przyjechali na północ na narty. Wydawało im się, że było to w lutym i marcu. Wiedzieli, że Alice i George mają, jak to określiła Michelle, problemy małżeńskie, bo zimowe miesiące George spędził na wygnaniu nad jeziorem Bomoseen. Ale dopiero po śmierci Alice dowiedzieli się, że George się nad nią znęcał, i sprawiło ich to w wielkie zdziwienie. Raczej go lubili. Myśleli, że jest uroczym młodym przedsiębiorcą. Lubili i jego, i Alice. Nie przeszło im również przez głowę, że może Stepehn Drew ma romans z Alice; tę historię też usłyszeli po raz pierwszy dopiero po śmierci Haywardów. „On był kapłanem. Dlaczego nie miałby przychodzić do ich domu?” - zauważyła Michelle.

Kiedy Emmet wrócił porozmawiać raz jeszcze z Betsy Storrs, sekretarką parafialną, którą chętnie mianowałabym kierowniczką swojego życia i jeśli to możliwe także osobą odpowiedzialną za zawiadywanie posiłkami i dekoracjami na każdej większej uroczystości rodzinnej - zwłaszcza na Świącie Dziękczynienia - była dziwnie wymijająca, kiedy padło pytanie o związek pastora z Alice Hayward. Czy widziała kiedykolwiek samochód Alice na plebanii? Tak, ale widywała na plebanii mnóstwo samochodów innych osób. Jak często Alice bywała w biurze Stephena? Najczęściej w miesiącach, kiedy „George i Alice postanowili odpocząć od małżeństwa”, a potem tylko od czasu do czasu pod koniec zimy i wiosną. Przypominała sobie, że po powrocie George'a do domu Alice była na plebanii dwukrotnie w lipcu, kiedy omawiała ze Stephenem szczegóły i znaczenie swojego upragnionego chrztu. Czy jej zdaniem Stephena i Alice łączyło coś więcej niż zwykła przyjaźń? „Żadna przyjaźń nie jest zwykłą, prawda?”. No dobrze, w takim razie czy uważa, że ich relacje przekroczyły zwyczajowe więzi relacji pastora z owieczką z jego stada? Może, ale oboje byli pełnoletni, a ona na pewno nie mogłaby zeznać pod przysięgą, że kiedykolwiek widziała coś niewłaściwego. Poza tym „jeśli doszło do czegoś niskiego, to zarówno Stephen, jak i Alice odpowiedzą za to w swoim czasie przed Bogiem. I owszem, uważam, że Alice w tej chwili stoi przed jego obliczem, że jest w niebie, a Stephen po śmierci - która, mam nadzieję, nie nadejdzie jeszcze przez wiele, wiele lat - również się tam znajdzie”.

A CO Z POWIĄZANIAMI BIZNESOWYMI, które George wypracował w ciągu swojej wieloletniej działalności handlowej? Co z doradcami kredytowymi w banku i kierownikami sklepu, ze sprzedawczyniami i sprzedawcami, którzy znali George'a? Suma sumarum posiadał on małe imperium, z dwudziestoma pracownikami na pełen etat lub jego część w dwóch sklepach i restauracji, poza tym trzy pracownice w biurze w głównej siedzibie na piętrze nad sklepem z zabawkami. Może któryś z tych pracowników miał z nim na pieńku? I podobnie, co ze

współpracownikami Alice w banku? Może tam znalazłby się jakiś kasjer albo urzędnik z obsługi, który mógłby być zabójcą? A może Alice powiedziała im coś, co rzuci światło na to, co się przydarzyło jej i mężowi w lipcową noc?

Ostatecznie przesłuchaliśmy niemal trzydzieści osób, które znały Haywardów i mogły coś wiedzieć - cokolwiek - o tym, dlaczego tę parę spotkał taki tragiczny koniec. Kiedy skończyliśmy, wiedzieliśmy, że Alice, zajmująca się obsługą klientów w miejscowym banku, była niewyobrażalnie samotna, George się wypalał, tracił zapal do pracy. (Bez jego nadzoru do końca września sklep z zabawkami i knajpa żeberkowa zostały zamknięte. Pierwotny sklep odzieżowy wciąż działał, ale nie było pewne, czy dotrwa nawet do Bożego Narodzenia). Nikt nie zadeklarował szczególnej bliskości z George'em, ale nikt też nie pasował do roli jego zabójcy. Jednocześnie wszystkich zasmuciła śmierć Alice, ale z drugiej strony - George tak ją pierwszorzędnie odizolował od wszelkich możliwych przyjaciół, że nikt w banku nie wydawał się szczególnie zdruzgotany tym, co ją spotkało. Zdenerwowali się, naturalnie, może trochę się przejęli morderstwem, którego dokonano niemal pod ich nosem, ale żyli dalej. I wydawało się, że żaden z naszych rozmówców nie miał motywu do zabicia któregoś z Haywardów. Nie miał też chyba żadnych informacji, które by nas zbliżyły do rozwiązania sprawy.

ROZMOWA Z MARCUSEM I PAULEM i Paula wypadła tej jesieni w sobotę, zaplanowaliśmy więc na ten wieczór kolację. Dzień się zaczął tak, że wszyscy trzej mężczyźni mojego życia przynieśli mi gofry do łóżka i własnoręcznie wykonane kartki z życzeniami. Kartka Lionela była chwiejną amebą stworzoną z różowo-czerwonego brystolu. W założeniu na pewno miało to być serce. Marcus podarował mi Kupidyńka, którego ściągnął z sieci, wydrukował i wkleił w tło - zdjęcia przedstawiającego mnie z Paulem na podwórku. (Prawdę mówiąc, jak na mój gust wyglądało to tak, jakby mały Rzymianin naciągał łuk, by zamordować jedno z nas, ale napomniałam się, że tylko ja jestem zdolna dostrzec mordercę w Kupidyńce). A Paul dał mi słodką kartkę ze sklepu, której najlepszą część stanowiły kupony na „romantyczną kolację we dwoje” i „popołudnie w spa”, które wypisał na maszynie i włożył do środka.

- Ja zrobiłem ciasto, a Lionel wybrał dodatki - powiadomił mnie Marcus z wielką powagą i dumą, podczas gdy za nim Paul uniósł brwi i kiwnął głową trochę nieufnie. Chociaż moje śniadanie nie potrzebowało ostrzeżenia od lekarza naczelnego stanu, raczej nie zdobyłoby też certyfikatu Instytutu Żywności. Zerknęłam na białobrązowo-czarne plamki rozrzucone po kratce.

- Wiórki kokosowe, czekolada i spalone wiórki kokosowe - pospieszył Paul z pomocą.

- Ale nie strasznie spalone.

- I orzeszki ziemne - dodał Marcus.

- Orzechy włoskie - poprawił go łagodnie Paul.

Oparłam poduszki o zagłówek i poklepałam materac, żeby moi mali chłopcy dołączyli do mnie po bokach, co też uczynili niezwłocznie. Na zewnątrz słońce stało wysoko i rozlegał się krzepiący łomot, który słyszałam w wiele jesiennych sobót, kiedy nasz sąsiad Rudy, architekt, wrzucał do szopy drewno, które później układał z matematyczną precyzją. Nalałam trochę syropu klonowego, zauważając, że Paul podgrzał go w mikrofalówce, na gofry i ugryzłam. Potem uśmiechnęłam się do chłopców i do Paula, i chyba ani przez chwilę przez resztę tego weekendu nie myślałam o tych wszystkich rozczarowujących małżeństwach i rozbitych rodzinach na świecie ani miliardzie powodów do kłęski miłość.

KIEDY PO RAZ drugi przesłuchaliśmy Ginny O'Brien, dziennikarze i blogerzy już skazywali Stephena Drew. Wskutek tego Ginny była bardziej rozmowna niż początkowo. Zupełnie jakby chronienie sekretów, które powierzyła jej Alice, przestało być takie ważne, ponieważ te sekrety przestały być sekretami. My też, oczywiście, wiedzieliśmy więcej i tym samym wiedzieliśmy, jakie stawiać pytania.

EMMET Walker: Alice powiedziała pani, że ma romans z pastorem?

VIRGINIA „GINNY” O'BRIEN: Tak.

WALKER: Sypiali ze sobą?

O'BRIEN: Tak.

WALKER: Kiedy to pani powiedziała?

O'BRIEN: Ostatniej zimy.

WALKER: Może pani to dokładniej określić?

O'BRIEN: Przed Bożym Narodzeniem. Nie wiem, jak długo trwał wtedy romans Alice i Stephena, ale po raz pierwszy powiedziała mi o tym kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem. Była taka upojona, więc ja też byłam upojona. George był po prostu zbyt

niebezpieczny. Rozumiem, co ona w nim kiedyś widziała... Boże, rozumiem, co mnóstwo ludzi w nim widziało... ale pod powierzchnią on był po prostu podły. Straszny. Tak bardzo bym się cieszyła, gdyby ona odeszła od niego i wyszła za Stephena. Stephen nie jest doskonały, ale każdy na jej miejscu by odszedł, a ona by dzisiaj żyła. Wyobraża pan sobie ją jako żonę pastora?

WALKER: Nie znałem jej, proszę pani.

O'BRIEN: Oczywiście.

WALKER: Czy Alice po prostu przyszła i powiedziała, że sypia z pastorem, czy tylko to jakoś zasugerowała?

O'BRIEN: Powiedziała to. Kochali się. Ale jestem pewna, że powiedziała o tym tylko mnie.

WALKER: I to się zaczęło, zanim uzyskała zakaz zbliżania się?

O'BRIEN: Dużo wcześniej. Jakies dwa, trzy miesiące wcześniej. Nie wiem tego na pewno, ale zawsze zakładałam, że to Stephen ją namówił do wystąpienia o zakaz zbliżania. Ona mnie nie słuchała, musiała więc posłuchać jego.

WALKER: Jak długo trwał ten romans?

O'BRIEN: Gdzieś do późnej wiosny. Ona zdobyła zakaz zbliżania się, George wyjechał. Byłam pewna, że Alice wystąpi o rozwód i zaczną ze Stephenem długie i szczęśliwe życie.

WALKER: Dlaczego tak się nie stało?

O'BRIEN: Stephen.

WALKER: To znaczy?

O'BRIEN: On nie chciał się żenić.

WALKER: Czy Alice powiedziała pani, że wraz ze Stephenem omawiali kwestię małżeństwa?

O'BRIEN: Niezupełnie. Nigdy tak daleko się nie posunęli. Ona po prostu miała poczucie, że...

WALKER: Że co?

O'BRIEN: Że nie jest dla niego dość dobra. Czy to nie smutne? Czyż to nie jest idiotyczne i smutne?

WALKER: Owszem, jest.

O'BRIEN: Oczywiście, Stephen zapewne nie poprawiał sytuacji w tym względzie. On... on jest trochę... no nie wiem... arystokratyczny. W każdym razie myśli, że jest. I nigdy chyba nie chciał rozwijać tego związku. Może miał poczucie winy.

WALKER: Poczucie winy, że ma romans z mężatką?

O'BRIEN: I z parafianką. Wie pan, jedno z jego kazań tej wiosny było naprawdę interesujące i - w kontekście tego, co wiem o nim i o Alice - naprawdę cholernie odkrywcze.

WALKER: Co powiedział?

O'BRIEN: Mówił w kółko o tym, jaki jest okropny. Nawet użył tego słowa: okropny. Powiedział, że jest najstraszniejszym z grzeszników. No a wie pan, wszyscy wiedzieliśmy, że to nieprawda. Rozumiem, że to była taka retoryka, żeby nam uzmysłwić, że Bóg pokochał nawet jego.

WALKER: Taka była puenta?

O'BRIEN: Tak mi się wydaje. Pamiętam tylko, że po tym kazaniu niektórzy parafianie jeszcze bardziej go uwielbiali.

WALKER: Ale pani nie.

O'BRIEN: Och, lubię Stephena. Po prostu uważałam, że w tym kazaniu posunął się do hipokryzji. No bo co z tego, że sypiasz z Alice Hayward? Ona nie powinna żyć z takim potworem jak George. Ogłoś więc światu, że się kochacie i po sprawie. Ożeń się z nią! Do

roboty! A tymczasem niedługo po tym kazaniu oni zerwali. To znaczy przestali ze sobą sypiać. Nie w tym rzecz, że kiedykolwiek byli oficjalnie parą. Nie w tym rzecz, że mieli co zrywać.

WALKER: Kto to zainicjował?

O'BRIEN: Zerwanie? Myślę, że ich związek po prostu wygasł. George chciał wrócić i obiecał, że się zmieni. Pewnie tak jej nawywracał w głowie przez te wszystkie lata, że naprawdę uważała, że nie zasługuje na nikogo lepszego niż on. I może Stephen naprawdę myślał, że jest grzesznikiem, skoro sypia z Alice, i dlatego właśnie nie dążył do czegoś więcej. A Alice na pewno ani myślała go naciskać. Nie miała tyle pewności siebie.

WALKER: Nie miała pewności siebie, żeby wywierać na Stephena presję, aby się zaangażował?

O'BRIEN: Właśnie.

WALKER: Gdzie oni się spotykali?

O'BRIEN: W sensie, że na seks?

WALKER: Tak.

O'BRIEN: W jej domu.

WALKER: Nie na plebanii?

O'BRIEN: Nie sędzę. Za blisko kościoła. To w samym środku miasteczka. I każdy mógł tam w dowolnej chwili zajrzeć.

WALKER: Czy Alice kiedykolwiek wspomniała o jakimś innym miejscu?

O'BRIEN: Kiedyś Katie wyjechała na szkolną wycieczkę do Montrealu - taka z noclegiem, dla klasy francuskiej - a oni wtedy wyjechali do hotelu nad wodą w Burlington. Wszystko było bardzo potajemne. Ona się zameldowała, na wypadek gdyby jego rozpoznał jakiś pastor z

Burlington czy coś.

Czasami jego zdjęcie pojawiała się w gazetce baptystów. Ale on się uparł, żeby zapłacić za ten wypad. Dobrze się bawili. Zamawiali wszystko do pokoju i ani na chwilę z niego nie wyszli.

Oczywiście, w drugi czwartek maja Alice Hayward spędziła noc w Hiltonie w centrum Burlington. Zajmowała pokój na górnym piętrze, wychodzący na jezioro Champlain. Miała piękny widok na zachód słońca nad górami Adirondack. A należnością za rachunek obciążono kartę Stephena Drew.

TINA COUSINO, NAJLEPSZA przyjaciółka Katie Hayward, należała do osób bardzo wyluzowanych. Emmet powiedział, że nie miał pojęcia, że powieki mogą podźwignąć taki ciężar cienia i kredki ani że są na świecie rodzice, którzy pozwalają swojej szesnastoletniej córce używać tuszu do rzęs w takich ilościach. W efekcie powstały oczy należące, jak powiedział, do kłowna, który albo chciał wyglądać bardzo przerażająco, albo akurat był bardzo śpiący. Włosy, farbowane na kolor piwa korzennego, opadały jedną płaską grzywą do połowy pleców. Na każdym ramieniu miała kilkanaście bransoletek pomiędzy nadgarstkiem a łokciem, srebrne, z gumki, blaszane. Sierpowaty księżyc metalowych kolczyków biegł przez helisę każdego ucha. Większość jej odpowiedzi była monosylabowa, ale koniec końców Emmet zdołał z niej wyciągnąć to, co chciał. Zdaniem Tiny Katie dobrze wiedziała, że jej ojciec znęca się nad matką i nie darzyła go nazbyt ciepłym uczuciem. Ale też w ogóle niewiele mówiła o rodzicach. Z tych nielicznych jej wypowiedzi Tina wywnioskowała, że Katie postrzega swojego ojca bardziej jako żalowanego niż przerażającego. Katie była świadoma aktów skrucy, które następowały po atakach przemocy, i nawet widziała niektóre z ojcowskich wierszy. Któregoś wieczoru kręciła z niego bekę z Tiną. Ale nigdy nie zasugerowała przyjaciółce, że jej matka jest zdolna sypiać z kimkolwiek innym niż George, a pomysł, że miała romans ze Stephenem Drew, wprowadził Tinę w osłupienie. A pośród jej dłuższych wypowiedzi? Uznała za „totalnie dziwne, totalnie zatrważające”, że rodzice jej przyjaciółki umarli, kiedy ona i Katie znajdowały się trzydzieści dziewięć mil dalej na koncercie Fray w Albany. Znała dokładnie odległość, dodała sama, ponieważ następnego dnia kiedy usłyszała, co się stało, sprawdziła w MapQuest. Odległość, dodała, wydawała się ważna.

MATKA STEPHENA I JEGO siostra nie miały pojęcia o jego związku z parafianką Alice



Hayward. Nie wiedziały zresztą o prawie żadnej z kobiet, z którymi spotykał się w Vermoncie. Obiło im się o uszy jedynie nazwisko kobiety, której się oświadczył, ale nikt w rodzinie Stephena nie zdawał sobie sprawy, że jego związek z kimś posunął się tak daleko. Wyglądało na to, że nikt nawet nie podejrzewał, że było to coś więcej niż przyjaźń.

- Zawsze myślałam, że on jest gejem, tylko nie chce mi o tym powiedzieć - wyjaśniła jego matka. - Nie zdenerwowałam się.

Córka się z nią nie zgodziła.

- Gejem? Stephen? W życiu, on szaleje za kobietami. Tylko nie szaleje za związkami. W ogóle nie szaleje za ludźmi. Co on robi jako pastor, to jest dla mnie kompletnie niepojęte.

ZNAM RÓŻNICĘ POMIĘDZY żałobą a bólem. Widziałam dość śmierci - we własnym życiu i zawodowym - żeby wiedzieć, że różnice pomiędzy tymi odczuciami wcale nie są subtelne. Mój szwagier, pod wieloma względami bliski mi jak rodzony brat, umarł w wieku trzydziestu jeden lat. Dojeżdżał do pracy na rowerze. Kończył specjalizację z kardiologii. Zgodnie z relacją świadka, jechał rowerem poboczem dwupasmowej drogi łączącej jego niewielki dom z czteropasmową szosą prowadzącą do szpitala i przylegającej do niego szkoły medycznej, w której pracował, kiedy zmiotło go wielkie boczne lustro pikapa. Pikap się w ogóle nie zatrzymał, a świadek, inny lekarz w samochodzie za pikapem, również dojeżdżający do pracy, był zbyt skupiony na ciele mojego szwagra, które poszybowało w powietrze jak manekin krasztestowy, by zapamiętać numery rejestracyjne. Wyrzuciło go z roweru, walnął w pień grubego klonu, a potem z powrotem spadł na jezdnię. Jego czaszka uderzyła o jedno i drugie, kask roztrzaskał się jak dojrzała dynia, i umarł w wyniku rozległych urazów czaszki - na szczęście, jak się okazało, bo jego kark też się złamał i gdyby jakimś cudem przeżył, najpewniej byłby sparaliżowany od szyi w dół. Mój szwagier nie poradziłby sobie z porażeniem czterokończynowym.

A moja współlokatorka z college'u umarła na raka jako stosunkowo młoda matka, zostawiając dwie córeczki, starsze o rok mniej więcej od moich chłopców. Całe miesiące trzymałam w komórce jej ostatnią wiadomość, którą mi zostawiła, kiedy próbowała się do mnie dodzwonić w swoich ostatnich dniach w szpitalu: „Cześć, Catherine, to ja. Nic już nie mogą zrobić. Kocham cię”. W jej głosie słychać było zmęczenie, ale ani odrobiny ulgi. Ja byłam na konferencji w San Francisco, a ona umierała w Marylandzie. Pojechałam tam od razu, ale jej stan pogarszał się tak szybko, że nigdy nie trafiła do hospicjum. Zanim dotarłam, była już tak odurzona morfiną, że w ogóle nie pojęła, że jestem w pokoju.

I oczywiście widziałam dzieci kobiet zamordowanych przez narzeczonych czy

mężów, i rodziców kobiet, które zamordowali nieznajomi, a ich ciała porzucili bezceremonialnie w lesie. Widziałam matki małych dziewczynek zgwałconych i uduszonych. (Uduszenie wydaje się metodą preferowaną przez wujków i ojczymów, kiedy chcą zabić dziewczynkę z podstawówki lub gimnazjum, którą właśnie zgwałcili. Zdaje się, że niezbędna jest im do tego foliowa torba).

Czasami człowiek czeka, aż przeleją się przez niego całe fale smutku. Żeby całkowicie go zalały. To, moim zdaniem, jest prawdziwy ból. A żałoba? Jest wtedy, kiedy się osiąga fazę, w której można zbudować gruby wał w obronie przed tymi potężnymi falami i ponownie zająć się życiem. Może cię spryskać fala, ale nie jesteś już bezsilny. W dniach po śmierci mojego szwagra, moja siostra i jej teściowe przeżywali ból. Byli wyczerpani i niepocieszeni i niezdolni zrobić nic poza poranną toaletą. Mąż mojej koleżanki nie miał tego luksusu z powodu córeczek. Nie mógł sobie pozwolić na ból. Tak więc musiał się zadowolić zwyczajną żałobą w zwolnionym tempie.

Z drugiej strony miał czas przygotować się na to, co nadchodziło. Moja siostra i jej teściowie nie mieli.

O to właśnie chodzi z rodzinami, które tracą kogoś w wyniku zabójstwa albo wypadku: nie ma czasu zbudować wału. Nie ma czasu nawet na worki z piaskiem.

Myślałam o tym, ilekroć moje myśli wędrowały ku biednej Katie Hayward. Zastanawiałam się, jak to jest, nagle zostać tak całkowicie i bezgranicznie samą. Mała nie miała nawet rodzeństwa. Czasami wolałabym sama przeprowadzać przesłuchania. Nie mogę, z tego prostego powodu, że musiałabym potem zeznawać w sądzie, co naraziłoby na szwank całe oskarżenie. Ale Katie należała do osób, z którymi chciałabym porozmawiać zarówno jako rodzic, jak i prokurator. Pogadać z nią jako mama. Najwyraźniej nieźle sobie radziła. We wrześniu miała kilka bezsennych nocy i parę długich dni, kiedy niewiele jadła i jeszcze mniej mówiła. Raz nauczycielka znalazła ją łkającą w kabinie w szkolnej łazience. Ale odrabiała lekcje, zżyła się z rodziną Cousino i przeszła przesłuchania do szkolnego musicalu i ostatecznie została obsadzona. Napisała artykuł do szkolnej gazetki potępiający coś, co nazwała niefrasobliwą polityką energetyczną władz.

Przez to wszystko nie mogłam się doczekać informacji, co Heather Laurent powiedziała Katie, kiedy wróciła do Vermontu we wrześniu. Chciałam wiedzieć, co Matka Anioł robiła w Haverill, zanim zdecydowała się wpaść do Davida. W ciągu dwóch dni Emmet i jeszcze jeden policjant jeździli nocami: najpierw do Amandy Laurent w Statler w stanie Nowy Jork, potem na Manhattan, by oficjalnie przesłuchać samą Heather. Ale tamtego popołudnia Emmet wrócił do domu Cousinów w Haverill z kuratorką Katie, Josie, żelazną

kobietą z dreadami i tatuażami, żeby porozmawiać z dziewczyną o jej ostatniej pogawędce z Królową Serafinów. Nie chciałam, żebyśmy za mocno naciskali na biedaczkę po tym, co przeszła - i wątpię, czy Josie by nam na to pozwoliła - ale musiałam wiedzieć, co jej powiedziała Heather i o co pytała.

EMMET WALKER: A więc panna Laurent przyjechała po ciebie do szkoły.

K. HAYWARD: Aha. Podeszła do mojego stolika na stołówce z panią Degraff.

WALKER: Kto to jest?

K. HAYWARD: Doradca ze szkolnej poradni zawodowej. Heather... to znaczy... czy mogę mówić o niej po imieniu?

WALKER: Tak.

K. HAYWARD: Bo ona chciała, żebym do niej mówiła po imieniu.

WALKER: Pani Degraff zna pannę Laurent?

K. HAYWARD: Nie. Ale słyszała o niej. Heather pisze książki. W każdym razie trzeba mieć identyfikator gościa, jeśli się chce chodzić po szkole, a odbiera się go w recepcji. To żeby jakiś szaleniec nie wszedł z bronią i nie urządził nas jak w Columbine.

WALKER: Rozumiem.

K. HAYWARD: A panią Degraff wezwano, kiedy Heather powiedziała, że przyszła do mnie. Powiedziała pani Degraff, że przyjaźni się z Ginny O'Brien. Zresztą gdyby Ginny to usłyszała, posikałaby się z radości...

WALKER: Mów dalej.

K. HAYWARD: Ginny oszalałaby ze szczęścia.

WALKER: Tak więc rozmawiałaś z Heather i panią Degraff.

K. HAYWARD: Tak. Ale pani Degraff przez większość czasu nie było.

JOSIE MORRISON: Ja byłabym obecna, ale nikt mnie nie wezwał. I myślę, że Heather Laurent bardzo pomogła. Czytałam jej książki.

WALKER: O czym rozmawiałyście?

K. HAYWARD: Nie wiem. O różnych rzeczach.

WALKER: Nic dokładnie nie pamiętasz?

K. HAYWARD: Pewnie głównie o tym, jak to moje życie jest do dupy. I że to dobrze tak czuć. Ona ma to za sobą, wie pan. Chyba nikt tak jak ona nie wie, przez co przechodzę.

WALKER: O co cię pytała?

K. HAYWARD: Wie pan. Normalne rzeczy. No, jak sobie radzę. Jak się czuję. Pytała o to samo co wszyscy. I dała mi numer swojej komórki, żebym mogła do niej zadzwonić, gdybym miała jakąś jazdę.

MORRISON: I pamiętaj, Karie, masz też tutaj dużo wsparcia. Zawsze możesz do mnie zadzwonić, dniem i nocą.

K. HAYWARD: Wiem.

WALKER: A jak się czujesz?

K. HAYWARD: Dobrze, chyba dobrze.

WALKER: Co jej powiedziałaś? Pannie Laurent?

K. HAYWARD: Proszę pana, czy ja muszę o tym rozmawiać? Co innego rozmawiać z Heather. Ona wie, co ja czuję. Co innego rozmawiać z Josie. Gdyby wszyscy inni zostawili mnie w spokoju...

WALKER: Przepraszam. Czy Heather powiedziała ci, po co przyjechała do Haverill?

K. HAYWARD: No, z początku myślałam, że jest ze Stephenem.

WALKER: Waszym pastorem.

K. HAYWARD: No, raczej po prostu pastorem. Nie wiem, czy on jest moim pastorem. Domyślałam się, że wrócił do Vermontu, ale nie ma go w kościele. Zresztą i tak ostatnio nie za bardzo się udzielałam w kościele.

WALKER: Powiedziała, co robiła z pastorem?

K. HAYWARD: Ludzie gadają, że robiła to z pastorem.

WALKER: Przepraszam, nie rozumiem.

MORRISON: Katie, naprawdę, ten ton zachowaj dla mnie. To był żart, sierżancie.

WALKER: Rozumiem.

K. HAYWARD: Nie, nie mówiła dużo. Zresztą i tak nie przyjechała tutaj spotkać się z nim. Myślałam, że właśnie po to, ale się myliłam.

WALKER: Mówiła coś?

K. HAYWARD: Lubiła go. Tak właśnie ludzie mówili. Ale już go nie lubi.

WALKER: Skąd wiesz?

K. HAYWARD: No, w zasadzie nie wiem. W każdym razie nie mam pewności.

WALKER: Ale dlaczego tak przypuszczasz... że ona i Stephen już się nie spotykają?

K. HAYWARD: Bo ona jest totalnie zaangażowana w anioły i powiedziała, że on nie jest.

WALKER: Powiedziała ci, że Stephen Drew nie lubi aniołów?

K. HAYWARD: Mniej więcej. Powiedziała, że zbudował mur przeciwko aniołom.

WALKER: Wiesz, co dokładnie miała na myśli?

K. HAYWARD: Nie mam pojęcia. Ale proszę posłuchać. Wszyscy mówią, że on sypiał z moją mamą. Wszyscy. Teraz wszyscy mówią, że sypiał z Heather. Pewnie to miała na myśli.

WALKER: Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy, stwierdziłaś, że nie wierzysz, że twoja mama i pastor Drew utrzymywali kontakty intymne. Zmieniłaś zdanie?

K. HAYWARD: Kontakty intymne?

MORRISON: Sypiali ze sobą, kochanie.

K. HAYWARD: Ach, rozumiem. Tak, słyszałam, co ludzie mówią. Nie da się inaczej, wie pan? I myślę, że się myliłam. Bardzo myliłam. Może sypiali ze sobą. Wygląda na to, że wszyscy tak uważają, cały świat.

WALKER: Co jeszcze Heather mówiła?

K. HAYWARD: Żebym miała serce otwarte na anioły. Żebym o sobie dbała. I żebym uważała.

WALKER: Uważała?

K. HAYWARD: Aha. Dlatego właśnie przyszła do szkoły. Nie sądzi pan? Ostrzec mnie, a także przekazać mi, że mogę do niej dzwonić w każdej chwili.

WALKER: To wyglądało na ostrzeżenie?

K. HAYWARD: Aha. Zdecydowanie wyglądało na ostrzeżenie.

WALKER: Ostrzeżenie przed czym? Albo przed kim?

K. HAYWARD: Nie wiem. Może jakimś aniołem zła - jeśli jest coś takiego. Może w ogóle przed dorosłymi mężczyznami. Nie można powiedzieć, żeby ona czy moja mama miały na

koncie wielkie sukcesy z pańską płcią. Mówię tylko...

WALKER: Tak? Co mówisz?

K. HAYWARD: Nie wiem. Proszę pana, to jest strasznie skomplikowane. Ale wie pan co? Jeśli moja mama rzeczywiście miała romans ze Stephenem, to ja się cieszę. Potrzebowała czegoś miłego w życiu. W każdym razie myślę, że się cieszę.

WALKER: A skąd wątpliwość?

K. HAYWARD: No bo nigdy się nie dowiemy, czy to dlatego właśnie mój tata... hm... no wie pan...

WALKER: Nie, nie wiem.

MORRISON: Zabił jej mamę, sierżancie. Nigdy się nie dowiemy, czy to dlatego tata Katie zabił jej mamę.

## **Heather Laurent, *Uświęcona chwila*, s. 129**

W 2006 roku ustawodawcy na Florydzie uchwalili prawo, które chroni billboard przed jednym z największych zagrożeń środowiskowych: przed drzewem. W trakcie debaty przedstawiciel władz oświadczył na korzyść billboardu: „Turystyka zależy od billboardów, nie od drzew”.

To jedna z największych różnic pomiędzy Północnym Wschodem, gdzie się wychowałam, a Florydą. Nasza turystyka zależy od drzew. W Vermoncie na przykład billboardy w ogóle są zakazane.

Mniej więcej cztery miliony turystów zwała się każdej jesieni w Góry Zielone, żeby zerknąć na liście i zasmakować tego, co poeci nazywają „płomieniem drzew”. Ludzie opiewają jesienne listowie z wielu ważnych powodów, z których nie najmniejszy jest ten, że rzeczywiście jest ono prześliczne. Przez kilka tygodni pod koniec września i na początku października klony Nowej Anglii czerwienią się odcieniem wiśniowym o wiele jaskrawszym niż większość markerów przedszkolaka, jesiony lśnią fioletem na miarę billboardów Broadwayu, a gałęzie brzoź rozkwitają neonem wręcz fosforyzującym. Drzewa rosną bardziej malowniczo, bardziej bujne i bardziej widowiskowo wstrząsające - zwłaszcza kiedy niebo nad nimi to błękit prosto z porcelany Wedgwood, a całość okalają kosmyki naszego jesiennego oddechu.

Ale jako dorastającą dziewczynę fascynowała mnie rzeczywistość: jesienne listowie to nie Wielki Kanion. Ani Park Yosemite. Ani nawet wodospad Niagara. Nie jest efektowne do opadu szczęki, o ja pierdole, w życiu czegoś takiego nie widziałam.

Skąd więc to przyciąganie? Skąd te samochody, tłumy, autokary zawałające jak łosie każdą przełęcz? Przynajmniej po części przyciąga nas śmierć. Na pewno nie w pełni. Po części przyciąga romans w królewskim łożu, oberża z psem i kominkiem. Liście to pretekst, by uciec z miejskiej kamienicy z widokiem na inną kamienicę.

Ale rozumiemy też, że fantasmagoryczne kolory, które widzimy w drzewach, to miliony umierających powoli liści. Możemy nie znać praw biologii kierujących tą zmianą, ale zdajemy sobie sprawę, że liść zmienia barwę od zielonej do czerwonej, ponieważ nieuchronnie spadnie na ziemię, gdzie zatonie w leśnym poszyciu i kiedyś stanie się



nawozem.

Nauka jest, prawdę powiedziawszy, dość prosta: drzewo wie, że nadchodzi chłód, a liście nie mają szans. W związku z tym tworzy mur komórek u podstawy liścia, dokładnie w miejscu, gdzie ogonek styka się z gałęzią, w ten sposób nie pozwalając sokom dopłynąć do liścia. Jednocześnie liść przestaje wytwarzać chlorofil, substancję chemiczną stojącą za fotosyntezą i przyczynę liścianej zieleni. Bez chlorofilu dochodzą do głosu inne substancje chemiczne w liściu, takie jak czerwone karotenoidy w przypadku klonu. Wkrótce liść usycha i umiera.

Ale jakaż to piękna śmierć. Żadnej demencji, nietrzymania moczu, żadnych dzieci czy ukochanych sprzeczących się nad głową, czy wyciągnąć wtyczkę, czy też zamówić ostatnią partię chemii. Ludzie byłiby tacy szczęśliwi, gdyby przed śmiercią zamieniali się w kalejdoskopowe barwy lasu.

Oczywiście, w całej jesieni chodzi o przemijalność. Cały naturalny świat wydaje się zamykać, rozpadać, nieruchomieć. Dni są krótkie, noce długie, a wszystko wygląda trochę smętnie - oprócz tych liści. Te kalejdoskopowo cudowne klony, brzozy i dęby pozwalają nam wpatrywać się przez chwilę w cud natury i przyjąć nieunikniony spokój naszej własnej aury. Jak tyle rzeczy dokoła nas, to nie piękno liści nas porusza: to fakt, że ich piękno nie trwa wiecznie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

TERAZ KIEDY OSTATNI liść spadł z drzew, kilku reporterów w każdej chwili oczekiwało, że postawimy kogoś w stan oskarżenia. Byli pewni, że w stosownym czasie aresztujemy Stephena Drew. Często dzwonili do mojego biura tej jesieni i stale sprawdzali akta sądowe. Uważali, że to, co wydarzyło się tamtej lipcowej nocy, było w gruncie rzeczy dość proste. Alice Hayward jakimś sposobem dała znać na plebanię, że jej mąż się wścieka, ale zanim jej były kochanek dotarł na miejsce, ona nie żyła, a pijany mąż stracił przytomność. Więc Drew go zabił.

Inni dziennikarze nie typowali w terminarzu daty wniesienia aktu oskarżenia, ale psioczyli, że trwa to tak długo. A im dłużej trwało, tym dziwniejsze teorie czytelnicy ich gazet zamieszczali na stronach internetowych gazet i stacji telewizyjnych. Haywardowie zostali zamordowani przez bandę nastolatków w rodzaju bandy Charliego Mansona, niewielką sektę, której przywódca był tak błyskotliwy, że potrafił zatrzeć wszystkie ślady ich obecności. Haywardowie produkowali krystaliczną metamfetaminę w cukrowni w głębi lasu i zostali zabici przez klienta. Sklepy George'a Haywarda były przykrywkami dla pralni pieniędzy, a George i jego żona zostali zamordowani przez łącznika z Albany albo Bronksu. Alice zastrzeliła George'a, a potem ktoś - z powodów, których nikt nie umiał wykoncypować - udusił ją.

Ja oczywiście wciąż wracałam do prostszych rozwiązań. Stephen Drew i Heather Laurent. Chociaż uważałam za mało prawdopodobny udział Heather, na skutek jej jawnej wizyty w domu we wtorek po śmierci Haywardów jej odciski i ślady były wszędzie, kiedy wróciliśmy zebrać dalsze dowody. Przebywała też na terenie stanu Vermont w niedzielą noc, kiedy małżeństwo zginęło, i była jakoś powiązana z czcigodnym pastorem Drew. I poza tym, byłabym zapomniała, była totalnym świrem. Więc nie mogłam jej całkowicie wykreślić.

Niemniej jednak czytałam historie w gazetach i w Internecie i patrzyłam, jak się dramat rozwija w lokalnych niusach. A kiedy reporterzy dzwonili, mówiłam im - tak samo jak

zawsze przy wszystkich innych sprawach - że naprawdę nie mam nic do powiedzenia.

KIEDY EMMET WALKER i Andy Sullivan wyprawiali się do Statler, towarzyszyła im Policja Stanowa Stanu Vermont, a kiedy udali się do SoHo, towarzyszył im detektyw z NYPD. Wrócili do Vermontu późnym wieczorem w środę, a w czwartek rano pierwsze kroki skierowali do mojego biura w Bennington, żeby mi przekazać, czego się dowiedzieli. Aby im okazać wdzięczność za kilkudniową ciężką pracę - niemal czternaście godzin w samochodzie - przygotowałam małą ucztę. Niedaleko naszego biura znajduje się rodzinna piekarnia, specjalizująca się w cynamonowych bułeczkach i donatach, których zjedzenie groziło w przyszłości angioplastyką. Zawsze rozsiewała niebiański aromat eksplozji cukru pudru. Jakimś cudem przybytek ten przetrwał ekonomiczne zawieruchy, które się zdarzają w takich miasteczkach jak Bennington, a także próby podniesienia jego statusu. Przyniosłam stamtąd koszyk pyszności dla chłopaków, bo gliniarze wszelkiej maści naprawdę lubią donaty. To nie jest mit.

- Ta chata kojarzyła się z horrorem - powiedział Emmet, trochę się krztusząc i zlizując z palców cukier po donatach. - Niemal widziałem napisy początkowe, kiedy ją obchodziliśmy.

- A to naprawdę jest chata z bali? - spytałam. Rozmawialiśmy o domu Amandy Laurent w górach Adirondack.

- No, składana - odrzekł. - I to nie fakt, że jest zrobiona z bali, mnie zaniepokoił. Była ciemna, ale ciemnych domów jest całe mnóstwo. To rzeźby. Jej partner...

- Nie są małżeństwem?

- Powiedziała, że nie. Ale od dawna są razem. On się nazywa Norman Beckwith. I rzeźbi ptaki.

- I nie jest zbyt rozmowny - wtrącił Andy. Opierał brodę na dłoni. Do trzydziestki brakowało mu roku, może dwóch, miły młodziak, z głową doskonale ukształtowaną, jakby stworzoną do języka. Twarz miał bez zmarszczek i wyglądał trochę jak chłopczyk z epoki Kennedych, który dla zabawy odział się w policyjny mundur swojego taty. Wręcz trudno było sobie wyobrazić, że już się goli. Nawet kiedy kogoś aresztował w tych swoich ray banach, nie sprawiał wrażenia groźnego.

- Nie?

Emmet pokręcił głową.

- Nie. Wyszedł z pracowni dopiero pod przymusem. Wysoki. Posepny. Błady. Ma taką rzadką bródkę na linii szczęki. Właśnie siwieje. Włosy miał tłustawe, ale zaczesane.

Ciemnobrązowe, ale tak jak broda już zaczynają mu siwieć.

- A Amanada?

- Gdybyś ją zobaczyła na ulicy, powiedziałaabyś, że to albo ćpunka, albo przebrzmiała top modelka. Szkielet. Zapadnięte oczy. Kości policzkowe wyglądają jak ostrza brzytwy. Przyлизane włosy. Miodowe. Ale jest bardzo bystra i bardzo zabawna. W przeciwieństwie do Normana. Jest jego agentką. On robi te ptaki, a ona je sprzedaje. Kopci jak komin.

- Ale to te rzeźby przyprawiły mnie o dreszcze - odezwał się Andy.

- Jak to?

- Musiało być ich dwadzieścia pięć albo i trzydzieści - wyjaśnił młody. - Orły, sokoły, pustułki. Wszystkie ptaki drapieżne i wszystkie wyglądające na wkurwione. I były idealne. W każdym razie większość. Amanda sprzedaje je do tych ekskluzywnych galerii, które specjalizują się w wabikach i drewnianych zwierzętach, a także stałym klientom, którzy przyjeżdżają do jego pracowni w Statler. Z początku myślałem, że to wypchane ptaki. Stały na półkach i stołach, trochę na podłodze, bo na ścianach zabrakło miejsca. Ale dziwne było to, że miały otwarte dzioby. Szeroko otwarte. A wyglądały na tak ostre, że mogłyby przeciąć szkło.

- Andy ma rację - dodał Emmet i podniósł brwi na znak potwierdzenia. - Coś w nich było. Wyglądały, jakby uznały nas za myszy polne. Chciały nas pożreć.

- I zabić nas dopiero po rozpoczęciu konsumpcji - dodał Andy.

- Powiedziałeś, że większość była idealna. A które nie były? - spytałam.

Zerknęli na siebie, a potem niemal jednocześnie wzniesli oczy do nieba.

- Na jednej ścianie były ptaki, które uznałem za rybołowy, ale miały niewłaściwe skrzydła - wyjaśnił Emmet.

- Nie miałam pojęcia, że tak się znasz na ptakach.

Wzruszył ramionami.

- Trochę się znam. W każdym razie skrzydła miały bardziej puchate, o kształcie kojarzącym się z harpiami. I zdecydowanie nie miały takiej rozpiętości, jakiej drapieżniki potrzebują do lotu ślizgowego. Więc spytałem o nie Normana. A on powiedział, że mam rację, że skrzydła nie były odpowiednie dla drapieżnych.

- No świetnie. Dodatkowe punkty dla Emmeta Walkera w programie *Co to za ptak?*.

- Śmiało, nabijaj się. Ale posłuchaj, co jeszcze powiedział. No, może wymamrotał. Powiedział, że dał tym ptakom skrzydła aniołów na cześć Amandy i Heather Laurent. Każdy z tych rybołowów ma, i tu cytat, „skrzydła mściciela”.

- I to na cześć Amandy i Heather?

- Tak powiedział.

- Dlaczego one są mścicielami?

Emmet uśmiechnął się trochę drwiąco.

- Nie miał dobrej odpowiedzi. Powiedział, że niektóre anioły są mścicielami. Takie mają wyznaczone zadanie. Anioły zemsty.

- Nie wyjaśnił, za co się mszczą?

- Nie.

- A coś ci przychodzi do głowy.

- Też nie, przykro mi.

Za oknem widziałam chmury burzowe o stalowej jesiennej szarości.

- A o czym jeszcze rozmawialiście, wariackie dzieci? - spytałam.

- Cóż, najważniejsze, że potwierdziła się wersja Stephena Drew, a w każdym razie potwierdziła jej podstawy Amanda. Mówi, że Drew i Heather Laurent byli tam przez prawie tydzień, a kiedy wyciągnęliśmy kalendarz, wskazała właściwych sześć dni. Powiedziała też, że nie miała pojęcia, że jej siostra ma romans ze Stephenem Drew, dopóki się u niej nie pojawili.

- Jej wizyta była niespodzianką?

- Nie. Uprzedziła ich wcześniej telefonicznie. Ale nie powiedziała, że przywiezie nowego chłopaka.

- A więc wcześniej go nie znali?

- Właśnie. Nie zdobyłem żadnej informacji, która by wskazywała na istnienie związku pomiędzy Stephenem Drew a Heather przed śmiercią Haywardów.

- Słyszeli o Haywardach przed przyjazdem Heather i Drew?

- Widzieli wiadomości w telewizji. Uważają, że to morderstwo i samobójstwo.

- Wasze komórki tam działały?

- Nie. W tym zakresie wersja Stephena Drew też się potwierdziła.

- Mówiła coś o przemocy ojca albo o śmierci rodziców?

- Na koniec, ale dopiero jak ją trochę przycisnąłem.

- I?

- Będziemy musieli dokładnie przestudiować zapis z taśmy, jak już go przepiszą, ale nic poza oczywistymi skojarzeniami ze śmiercią Haywardów. Głównie martwiła się o ich nastoletnią córkę. Powiedziała, że dziewczyna strasznie cierpi. Ale to chyba już wiedzieliśmy.

Zdecydowanie nie należę do osób zjadających stres, ale nagle odkryłam, że sięgam po donata z kremem klonowym. Miałam nadzieję na coś bardziej przydatnego z długiej

podróży do Statler.

- A co z jej siostrą? Heather? Coś interesującego wypłynęło z pobytu na Manhattanie?

- Widzieliśmy Anne Hathaway, gwiazdę filmową. - Odezwał się Andy.

- No to w takim razie warto było jechać.

- Robiła zakupy - ciągnął. - I chyba odwiedzała kogoś, kto mieszka naprzeciwko pani Laurent, po drugiej stronie ulicy. Ja pierwszy ją rozpoznałem, przed Emmetem.

- No to świetnie, Andy.

- Sama pytałaś - odparł nieco urażonym tonem.

- Towarzyszył nam detektyw z NYPD Adrian Christie - kontynuował Emmet. - Pochodzi z Jamajki i kojarzył Heather Laurent. Jego żona dopiero co czytała *Uświęconą chwilę* w klubie czytelniczym. Wprowadził nas. Naprawdę bardzo nam pomógł.

- Co myślicie o Heather?

- Jest ładna. Myślę, że jest wręcz ładniejsza niż na obwolucie. A wracając do twojego pierwszego pytania: tak, trafiliśmy na coś interesującego. Przynajmniej, nie przyznała, że ona i Stephen byli kochankami, ale cały czas konsekwentnie twierdzi, że nie są już przyjaciółmi. Mówi, że poznała go we wtorek po morderstwach...

- Ale była w mieście w niedzielę w nocy. Potwierdziliśmy, że zameldowała się w Equinoxie około szesnastej trzydzieści w niedzielę.

- Nie wypiera się tego. W poniedziałek rano musiała być w Albany, bo nagrywała dla radia, a wieczorem miała wystąpienie w Bennington College. Wszystko się zgadza. Mówi, że to we wtorek pojechała po raz pierwszy do Haverill i że wtedy poznała Stephena Drew. Mówi, że ich przyjaźń - podkreślił to słowo dziwnie krotkocwilnym tonem - nie trwała aż tak długo. Niewiele dłużej niż miesiąc, chociaż jeśli zebrać miejsca pobytu Drew, to byli razem niemal cały czas albo w Statler, albo na Manhattanie. Wydaje się, że spędzili kilka dni w SoHo, jakiś tydzień w Statler, a potem kolejny na Manhattanie. Drew potem wrócił do Vermontu, ale tylko na krótko. Dość szybko dołączył do Heather Laurent w jej mieszkaniu w mieście i został tam znowu przez jakiś tydzień.

- Dlaczego zerwali?

- On jej nie powiedział, że miał romans z Alice Hayward. Wyznał jej to dopiero, jak jego adwokat go poinformował, że Alice pisała pamiętnik i że będzie musiał dać nam próbkę DNA.

- I się wściekła.

- No, wściekła się na tyle, na ile w ogóle coś ją może rozwścieczyć. Trudno ją zaliczyć do osób porywczych albo wybuchowych. Jest dość spokojna. Z pozoru wydaje się wręcz

przygłupia - ale myślę, że w rzeczywistości jest bardzo, bardzo kumata. Powiedziała, że Drew jest Synem Jutrzenki, ale nie chce tego uznać.

- Synem Jutrzenki był George Armstrong Custer - powiedziałam. - Zyskał ten przydomek, bo zwykle przypuszczał atak o świcie. Indianie z plemienia Kruków mu go dali. Wiem takie rzeczy, bo Paul ma lekkiego świra na punkcie amerykańskiej historii.

- Nie to miała na myśli.

- A to pech.

- Miała na myśli Lucyfera: Księga Izajasza rozdział czternasty, wers dwunasty.

- Szatan?

- Upadły anioł. To Dante i Milton zrobili z niego szatana.

- Emmet, zadziwiasz mnie nieustannie. Czytałeś Dantego i Milтона?

- Nie. Po prostu dzisiaj rano pogłębiłem trochę swoją wiedzę.

- No i co myślisz? Heather Laurent jest zamieszana w tę sprawę? Wierzysz jej?

- Myślę, że jest dziwna. Ale jej dziwność nie pasuje do duszenia gołymi rękoma ani do strzelenia komuś w głowę. Nie pasuje do planowania morderstwa.

- A więc stawiasz na Stephena Drew?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Andy: - Koleś jest jak lód.

- Rozumiem, że to odpowiedź twierdząca, detektywie Sullivan?

Kiwnął głową.

- Rozmawialiśmy o tym z Emmetem w drodze z Nowego Jorku. O ile George Hayward nie ma nadnaturalnie długiego ramienia i nie dał rady trzymać broni naprawdę daleko od siebie, to obaj obstawiamy pastora.

W DUŻEJ MIERZE TO był przypadek, że nazywałam się tak samo jak średniowieczna święta ze Sieny. Moja włoska mama - która nosiła nazwisko Brusa - trochę zdawała sobie sprawę z istnienia świętej Katarzyny, ale moi pradiadkowie wyemigrowali do Barre w Vermoncie w 1901 roku. Pradziadek pracował w kamieniołomie granitu i zanim się urodziłam w 1975 roku, moja rodzina była gruntownie zamerykanizowana. Pradziadek był kamieniarzem i chociaż większość życia spędził, wysadzając wielkie bloki skalne - które to zajęcie koniec końców sprawiło, że umarł powoli i w cierpieniach na krzemicę płuc - zostawił wzruszające dziedzictwo na Hope Cemetery pod miastem. Trzy z najczęściej fotografowanych nagrobków to jego dzieła: dziewczynka tuląca się do dwóch owieczek, w miejscu spoczynku dziewięcioletniej Marissy, która w 1919 roku umarła na gripę. Lew z grzywą, która wygląda jak aureola, z otwartą do ryku paszczą, siedzący na rozkładającym się ciele jednego z

burmistrzów Barre; i pełna wdzięku młoda kobieta na kolanach, z oczyma zwróconymi ku niebiosom z wyrazem zbawiennej ulgi na twarzy, która oznacza kwatere, gdzie pochowano moją prababkę, zmarłą o wiele za młodo w 1927 roku. Tak, Antonio Benincasa wyrzeźbił posąg dla własnej żony, kiedy go odumarła. Pamiętam z dzieciństwa, jak starsi krewni twierdzili, że to była jedna z najprawdziwszych na świecie, szczerze tragicznych miłości.

Zanim przyszedłam na świat, pył granitowy dawno już znikł z ubrań i płuc Benincasów. Mój ojciec i dziadek (ten, który wydawał „Vermont Life”) byli prawnikami, a i ja uszczęśliwiłam rodzinę, zdając na studia prawnicze. Dzięki temu moja młodsza siostra mogła za oficjalną zgodą zostać organizatorką ślubów, a młodszy brat mógł wyjechać do Nowego Jorku, by zbijać majątek - właśnie tak to ujęli mój dziadek i cioteczny dziadek - w charakterze dyrektora artystycznego agencji reklamowej. Na pewno nie żałuję.

I rzeczywiście jestem dumna z faktu, że nazywam się - nawet jeśli nieumyślnie - jak sienieńska święta. Chociaż moi dziadkowie nigdy nie odwiedzili ojczyzny swoich rodziców, moi rodzice zrobili to kilkakrotnie, jak również Paul i ja. Rok przed narodzeniem Marcusa spędziliśmy dwa tygodnie w Toskanii, a kiedy byliśmy w Sienie, czułam się trochę jak gwiazda rocka, ilekroć płaciłam kartą kredytową, a ludzie widzieli, jak się nazywam. Pod pewnymi względami święta Katarzyna była jedną z tych wielkich średniowiecznych wariatek: wyobrażała sobie Chrystusa z apostołami, kiedy miała sześć lat, biczowała się żelaznym łańcuchem i pościła jako nastolatka, a jako młoda kobieta ścięła krótko piękne brązowe włosy. Włosienice. Uczynki. Fanatyzm religijny w pełni swojej czternastowiecznej krasy. Ale też pielęgnowała, a potem grzebała ofiary zarazy, spotykała się na osobności z najbardziej napiętnowanymi przestępcami w mieście i namówiła papieża (o którym pisała „papa” albo „tato” w swoich listach), żeby z powrotem przeniósł siedzibę papiestwa tam, gdzie być powinna. Ciężko pracowała na rzecz pokoju między niewielkimi włoskimi republikami i lennami. To nie byle jaki dorobek. I napisała - czy też podyktowała - w cholerę listów. Nie zapominajmy, że była kobietą żyjącą w czternastym wieku, jednym z dwadzieściorga czworga dzieci. Oba te fakty nie sprzyjały umiejętności czytania i pisania. Niektórzy biografowie utrzymują, że nauczyła się pisać dopiero pod koniec życia. Niemniej jednak zostawiła trzysta listów i *Dialogi świętej dziewicy*, kronikę swoich zachwyty religijnych.

W każdym razie zawsze uważałam swoje nazwisko i jego powiązanie ze św. Katarzyną za nieoczekiwany, niezasłużony dar, mimo że do religijnych wizji zbliżyłam się jedynie wówczas, gdy w piątej klasie zasnąłam na lekcjach katechizmu i śniły mi się piaszczyste wydmy na Cape Cod. Kiedy porównuję zajęcia moje i jej - trudno sobie wyobrazić, jak pielęgnowuję sąsiadów umierających na czarną śmierć albo doradzam



Watykanowi w polityce - to mam tylko nadzieję, że dzięki moim wysiłkom ofiary w moim małym zakątku globu doczekają się sprawiedliwości.

Gdy Paul i ja byliśmy w Toskanii, pojechaliśmy do Muzeum Tortur w San Gimignano. San Gimignano to widowiskowo piękne średniowieczne miasteczko zbudowane na wzgórzu - w zasadzie taki opis pasuje do siedmiuset innych miasteczek w Toskanii. Jeśli spojrzeć na mapę regionu, od razu widać, że wszystkie inne miejscowości noszą nazwy Montecośtam. Wypożyczyliśmy z Paulem rowery i jeśli któregoś dnia odczuwaliśmy przypływ energii, robiliśmy kółko z Montisi przez Montefollonico i Montepulciano do Montalcino i z powrotem do Montisi. San Gimignano wyróżnia się siedmioma potężnymi średniowiecznymi wieżami górującymi nad całym miastem i zagęszczeniem turystów większym niż w fabryce Ben & Jerry w Waterbury\* w Vermoncie. To taki Disneyland dla wielbicieli chianti i pecorino. I oczywiście było to muzeum tortur: zebrane na trzech piętrach zabytkowe narzędzia tortur z elementami z kutego żelaza, sznurami, bardzo ostrymi szpicami. Jego przesłanie, jeśli jest jakiegokolwiek, brzmi tak: niegdyś ludzie niezbyt szanowali ludzkie życie i byli zdolni zadawać naprawdę przerażający ból bliźniemu w imię religii lub kraju albo po prostu w celu przekonania kogoś o swojej wyższości. Są tam podstawowe narzędzia, takie jak koło tortur, żelazna dziewica i czynna gilotyna (o ironio, miała ona zakończyć tortury, zabijając ofiarę błyskawicznie). Jest loch. I są urządzenia, które mógł wymyślić tylko prawdziwy psychopata. Niewiarygodna ich liczba służyła do nadziewania ludzi. Wszystko jest wyjaśnione w pięciu językach, a diagramy można określić tylko mianem makabrycznych. Widziałam już wcześniej zatrważające ilustracje w magazynach na strychu moich dziadków, wizytowałam kilka naprawdę nikczemnych miejsc zbrodni - ale i tak w tym muzeum zbierało mi się na wymioty. A jednak uświadomiłam też sobie fakt, że ja, pod pewnymi względami, jestem dwudziestowieczną wersją tych koleś, którzy sześćset lat temu myśleli, że miażdżące kości kajdany albo stare dobre obcęgi rozdzierające klatkę piersiową to niezbędne narzędzia w systemie sądowniczym. Wiem, że niektórzy zbrodniarze - ojcymowie, którzy molestują i mordują swoje pasierbice, mężowie, którzy maltretują, a potem mordują swoje żony - wywołują u mnie gniew zgoła bezgraniczny. Ale postrzegam siebie jako cywilizowaną. Co więcej, na ogół ręce samozwańczej sprawiedliwości w średniowieczu torturowały niewinnych, nie karząc winnych. Nie chodziło o konkretną zbrodnię, lecz o konkretną wiarę.

Niemniej jednak zastanawiałam się tamtego dnia w muzeum i robię to też czasami

---

\* Siedziba wytwórni legendarnych lodów Ben & Jerry w Waterbury to najpopularniejsza atrakcja turystyczna Vermontu (przyp. tłum.).

obecnie, co zrobię, jeśli kiedyś zetknę się ze zbrodnią, za którą grozi kara śmierci. W Vermoncie oznaczało to zbrodnię na miarę porwania do innego stanu zakończonego śmiercią porwanego. Albo wykorzystania Internetu do porwania. W tej chwili pracuję na szczeblu hrabstwa, więc nie stanę wobec tego problemu, dopóki kariera nie zaprowadzi mnie do biura prokuratora stanowego w Burlington. Ale pewnego dnia może tam trafię. I kiedy myślałam o krwi i ciałach, które widziałam w salonie Haywardów, i o dzieciaku, który w jedną noc stał się sierotą, stwierdzałam, że jestem wściekła i przerażona, i trochę wytrącona z równowagi bólem i przemocą, które na co dzień zadajemy bliźnim.

OPRÓCZ RÓŻNYCH DZIENNIKARZY sformułowania aktu oskarżenia oczekiwał mój szef Jim Haas. Kiedy wrzucałam dokumenty do teczek i przygotowywałam się do wyjścia do domu, zapukał delikatnie do moich drzwi. Były otwarte, ale Jim udawał szacunek - co oznaczało, jak zawsze, że czegoś chce. Co prawda mogłam przyjąć, że chodzi mu o coś związanego ze śmiercią Haywardów, ale prowadziłam też inne sprawy, więc nie miałam pewności, która ze zmarłych ofiar albo żyjących zbrodniarzy - winnych przestępstwa seksualnego, malwersantów, dilerów narkotykowych - opóźni odebranie Marcusa i Lionela z zajęć polekowych. Paul grał w nogę w liceum odległym o dwadzieścia pięć mil, dzisiaj więc ja odbierałam dzieci. Jim wyglądał na zmęczonego i rozdrażnionego, poluzował już krawat. Zapukał w puste stalowe drzwi i stanął w progu.

Ja już stałam, burknęłam więc coś na powitanie, ale nie przerwałam przeglądania dokumentów, które wyszukiwałam w teczkach zbieranych z całego biurka.

- Masz chwilę? - spytał.

- Nie bardzo.

- Chcę pogadać o Haywardach.

Burknęłam coś, co można by od biedy zinterpretować jako gotowość do wysłuchania.

- Zbliżamy się choć trochę do końca? - spytał.

- W stosunku do stanu z poniedziałku? Nie.

- Ale nadal uważasz, że to pastor.

- Tak. Ale tylko dlatego, że nie mam nikogo lepszego.

- W jaki sposób mogę ci pomóc? Czego trzeba, żeby sformułować akt oskarżenia?

- Wobec Stephena Drew?

- Zgadza się.

Zastanawiałam się nad tym krótką chwilę.

- Cóż, przydałby się jakiś dowód - powiedziałam wreszcie.

- Nie masz żadnego.

- Żadnego, że zamordował George'a albo Alice. Mam mnóstwo, które potwierdzają, że miał romans z Alice. Wiem, co mogło go skłonić do zabicia George'a. Ale nie mam nic, co łączyłoby go z morderstwem kochanki albo, co bardziej prawdopodobne, z morderstwem męża kochanki. Masz jakieś powody do nagłego pośpiechu? W tym roku przecież nie ma wyborów.

- Bardzo śmieszne.

Uśmiechnęłam się, ale prawdę mówiąc, wcale nie żartowałam.

- Naprawdę, to nic nagłego - ciągnął. - Ale właśnie odebrałem telefon od Sondry Norton, a ona mówi, że ludzie się boją. Niektórzy prawie wariują. Nikt nie lubi niewyjaśnionych morderstw, czy jak w tym wypadku, dwóch niewyjaśnionych morderstw. Ludzie robią się od tego podenerwowani, zwłaszcza teraz, kiedy Stephen Drew mieszka w okolicy.

Sondra prowadziła schronisko dla maltretowanych kobiet z dziećmi. Zasiadała także w Izbie Reprezentantów Stanu Vermont. A Stephen Drew, z powodów znanych tylko sobie, opuścił teraz plebanię w Haverill i zamieszkał w centrum Bennington - był jak trójwymiarowy list gończy.

- Wszyscy wiemy, że to nie jest zabójca na wolności, który poluje na przypadkowe ofiary - powiedziałam. - Ktokolwiek zabił Haywardów, znał ich i miał jasny motyw. Sondra na pewno też to wie. Po prostu się popisuje. W końcu dla niej to rok wyborów.

- Sondra się z zasady nie popisuje. Wiesz o tym.

- Wykonuje wspaniałą robotę. Jest wspaniałą osobą. Ale nie uważam, że musi się martwić o bezpieczeństwo swoich wyborców. Ktokolwiek zabił Haywardów, nie uderzy gdzieś tam w centrum Bennington.

- Nie martwisz się o pastora?

- Myślę, że miał solidny motyw.

- Jak raz ugryziesz, łatwiej to zrobisz po raz drugi.

- Naprawdę nie uważam, żeby trzeba było montować dodatkowe zamki w drzwiach.

- Nie w tym rzecz. Nasłuchałem się od senatorów obu hrabstw. Od naszego burmistrza. I chyba obrywam od mediów o wiele częściej, niż bym chciał.

- O to chodzi, Jim? W tym rzecz? Ludzie są podenerwowani? Ty jesteś podenerwowany? Odbierasz więcej telefonów? - Od razu zrozumiałam, że powiedziałam to z o wiele za dużą irytacją. Trochę bardziej się wyprostował, zmrużył oczy.

- Alice Hayward była maltretowaną żoną, która została zamordowana. Uduszona. Ktoś

zaciśnięła jej ręce na gardle i zmiażdżył jej krtań, złamał kości karku, zdusił arterię szyjną i spowodował, że się udusiła. I tym kimś był niemal na pewno jej mąż. Niemal. Ale możliwe też, że nie był to jej mąż, ponieważ inna osoba - i pewnie jak cholera, że nie Alice - wzięła jego broń i wypaliła z niej w prawą stronę jego czaszki, rozłupując kość, powodując uszkodzenie mózgu, wylew krwi do mózgu i spory bajzel na oknach, ścianach i kanapie rodzinnego salonu. O to chodzi.

- Przepraszam - powiedziałam.

- W tym tygodniu albo w następnym, kiedy już ustalimy rozkład zajęć, chciałbym, żebyśmy siedli z ludźmi z Wydziału Kryminalnego i przeanalizowali dokładnie, co mamy i jakie obrać kierunki.

- Instynktownie czuję, że chciałbyś, żebym przy tym była.

- No to słuchaj instynktu - rzekł, po czym odwrócił się i wyszedł.

KILKANAŚCIE RAZY W SWOIM życiu wpadałam na ludzi, w sprawie których prowadziłam akurat śledztwo. Takie właśnie jest hrabstwo Bennington, wbrew pozorom mały zakątek Vermontu. Wpadałam na podejrzanych i ptaszki zwolnione za kaucją, kiedy ściszałam kurczaki w supermarkecie, tankowałam przy sklepiku (przy czym Marcus siedział w foteliku z tyłu) i na jarmarku kolonijnym w weekend Dnia Ojca w czerwcu (z całą rodziną, dziękuję bardzo). Z tych kilkunastu spotkań, z wyjątkiem jednego, spotykany osobnik wiedział, kim jestem. A z tych wszystkich wypadków, kiedy on wiedział, tylko dwa razy poczułam, jak włos mi się jeży. Raz kiedy wymieniałam klocki hamulcowe w samochodzie i robiłam przegląd wozu przed zimą. Jednym z mechaników okazał się zagniewany młody gość oskarżony o czynną napaść i ciężkie przestępstwo zniszczenia mienia: wszedł do baru ze stalową rurą w rękę i stłukł biedaka, który uśmiechnął się do jego dziewczyny. Na koniec złamał mu rękę. Wychodząc, wybił na dokładkę okno wystawowe. Z pomocą dziadków zdołał złożyć 10 procent z dwudziestopięcioletniej kaucji. (Nieustannie mnie zadziwia, ilu ludzi wychodzi za kaucją, a nie powinno. Załóżmy, że ten koleś był niewinny? No jasne. Świadców mogłabym zebrać tyle, że wystarczyłoby na spore przyjęcie. Byłam też przekonana, że to on od tygodni włamywał się do samochodów na miejskim parkingu i obrabował starszych państwa pewnej nocy, kiedy otwierali swojego minivana. Jakiego użył narzędzia? Niespodzianka! Stalowej rurki. Owszem, później oskarżymy go również o te przestępstwa). Zobaczyliśmy się u dilerka samochodowego, gdy tylko stanęłam przy stanowisku serwisowym, czekając, aż wydadzą mi auto zastępcze, i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Wyglądało na to, że jest poważnie na mnie wkurwiony: grzywkę miał

przyklejoną do czaszki i patrzył spode łba jak nadąsany uczeń. Potem ruchem głowy wskazał mój wóz na zewnątrz, na parking przy warsztacie.

- To pani? - spytał.

- Tak.

Przyglądał mu się przez chwilę, jakby taksował wzrokiem dziewczynę w barze, a potem zmarszczył nos lekceważąco, jakby moje auto w jakiś sposób nie spełniło jego oczekiwań. W końcu odwrócił się znowu do mnie.

- Słyszałem, że dzisiaj w nocy będzie ślisko - uśmiechnął się znacząco. - Bardzo ślisko.

Potem zniknął z powrotem w sklepie. Tamtego wieczoru, kiedy odebrałam samochód, byłam pewna, że hamulce mi nie zadziałają, kiedy będę najbardziej ich potrzebować. Niemal przez tydzień mimowolnie zaczynałam hamować z ogromnym wyprzedzeniem - na wszelki wypadek.

Drugim podejrzanym, który mnie wytrącił z równowagi, kiedy wpadłam na niego przed aresztem sądowym, był nie kto inny jak sam pastor Stephen Drew. Wiedziałam, że mieszka w Bennington, i wiedziałam, że wynajmuje mieszkanie niedaleko sądu. Niemniej jednak dopiero po chwili skojarzyłam nazwisko z jego twarzą, kiedy natknęłam się na niego na chodniku jakieś pięćdziesiąt metrów od wejścia do sądu. Dochodziła osiemnasta, z zachodu wiał zimny wiatr. Zostały jeszcze dwa tygodnie do zmiany czasu, ale na dworze było pochmurno, wilgotno i mroczno - i prawie nikogo na ulicy. Pędziłam do księgarni, którą mieli już zamykać, bo chciałam wybrać kilka książeczek z obrazkami dla kolegi, do którego Lionel szedł w sobotę na przyjęcie urodzinowe. A tu pastor. Opierał się o ceglana stronę wnęki wejścia i miał podniesiony kołnierz szarej, sięgającej do pasa kurtki. Oderwał się od ściany i stanął mi na drodze.

- Pani się nazywa Catherine Benincasa - rzekł. - Poznaliśmy się w ostatni poniedziałek lipca. Wszędzie bym panią rozpoznał.

Zawsze to trochę niepokoi, kiedy podejrzany o morderstwo zwraca się do ciebie po nazwisku na pustej ulicy o zmroku, a jego ton waha się pomiędzy groźnym a znużonym. Najbliżsi ludzie to albo ochroniarze za dwuskrzydłowymi drzwiami przy wykrywaczu metalu sądu albo klienci w barze za rogiem, zamkniętym szczelnie przed zimnem.

- To ja - powiedziałam. - Witam, pastorze Drew.

- Stephen. Proszę do mnie mówić po imieniu. Już miałem się poddać.

Przez ułamek sekundy błędnie rozumiałam jego słowa, interpretując je jako chęć przyznania się do winy. Ale jego postawa była zbyt chłodna, zbyt konfrontacyjna. Zdałam

sobie wówczas sprawę, co dokładnie miał na myśli.

- Czekał pan na mnie?

Kiwnął głową. Było akurat na tyle zimno, że widziałam parę wydobywającą się z jego ust.

- Czekałem też wczoraj, ale nie widziałem, jak pani opuszczała budynek.

Musiałam się powstrzymać od uszczypliwej uwagi, że jeszcze nie widziałam pastora, który by jednocześnie był stalkerem, bo naprawdę jeszcze nie wiedziałam, czy coś mi grozi. Powiedziałam tylko:

- Wczoraj po południu nie było mnie w sądzie.

- Aha.

- Wie pan, że nie mogę z panem rozmawiać.

- Dlaczego?

- I pański adwokat strasznie się wścieknie, kiedy się dowie, że próbował pan ze mną rozmawiać.

- Mój adwokat nie mówi mi, co mam robić. Myślę, że powinniśmy pogadać.

- Przykro mi, będę z panem rozmawiać tylko w obecności pańskiego adwokata.

- Ale kiedy Aaron do nas dołączy, porozmawia pani ze mną?

- Aaron Lamb nie pozwoli panu ze mną rozmawiać, zapewniam.

Ręce miał wciśnięte głęboko w kieszenie kurtki, a kiedy nagle je wyjął, musiałam się wzdrygnąć. Pokręcił głową i powiedział z uśmiechem:

- Pani naprawdę uważa, że zabiłem ich oboje, tak?

- Nie prowadzimy tej rozmowy - powtórzyłam po prostu.

I wtedy właśnie zaczął mi opowiadać o ukrzyżowaniu. Skojarzyło mu się przez krzywdę. W każdym razie tak dokładnie powiedział. Ale zaczął mówić o krzywdzie i egzekucji, i barbarzyństwie, które niezmiennie znaczą kondycję ludzką. To było uczone, hipnotyczne i głęboko niepokojące. Gdybym mieszkała sama, tamtej nocy zabarykadowałabym meblami wszystkie wejścia do swojego domu. Uwolniłam się od niego, dopiero kiedy inna prawniczka, jedna z obrończyń publicznych, która tamto popołudnie spędziła w sądzie, wezwana na wokandę przed sędziego, pojawiła się obok nas. To była moja przyjaciółka, Rosemary, i natychmiast przedstawiłam ją Drew, a potem pozwoliłam jej się poprowadzić ulicą, aż dotarliśmy do księgarni, zostawiając pastora daleko za nami. Tamtego wieczoru uparłam się, żeby mnie odprowadziła do samochodu, a następnego dopilnowałam, żeby wyjść z biura z innym prawnikiem.

Kiedy na drugi dzień zadzwonił do mnie Aaron, próbował udawać wściekłość, że

rozmawiałam z jego klientem, ale było jasne, że Drew mu powiedział, że to on zainicjował tę rozmowę. Zauważyłam też, że Aaron wolałby, żeby jego klient nie uznał za stosowne podzielić się ze mną emocjonalnym szczegółem, jak musiała wyglądać śmierć na krzyżu.

W NASTĘPNY PONIEDZIAŁEK JIM Haas, Emmet Walker i ja spędziłyśmy prawie cztery godziny w Waterbury z Wydziałem Kryminalnym. David Dennison dołączył do nas z Burlington. Sprawdziłyśmy wszystkie dowody, które zebraliśmy, i przeanalizowałyśmy wszystkie przeprowadzone przesłuchania. A kiedy Jim, Emmet i ja pędziłyśmy z powrotem do Bennington w dziwnie czystym, nieoznaczonym służbowym sedanie Emmeta, ani trochę nie znajdowałyśmy się bliżej sformułowania aktu oskarżenia przeciwko Stephenowi Drew. Jednocześnie ani trochę nie zbliżyłyśmy się do znalezienia nowego, wartościowego tropu.

Znajdowałyśmy się na Szosie nr 7, kiedy Emmet za kółkiem gwałtownie zachichotał. Ja siedziałam z tyłu, za Jimem i Emmetem - spojrzałam mu w oczy we wstecznym lusterku.

- Co cię tak bawi? - spytałam.

- Wiesz, może ten Stephen Drew wyrządził nam wszystkim przysługę - powiedział. Prowadził jedną ręką i wzruszył ramionami. - Może powinniśmy po prostu przestać trwonić pieniądze podatników.

- Tak, mnie to też przeszło przez głowę - przyznałam i nie musiałam zerkać na Jima, żeby wiedzieć, że piorunuje nas wzrokiem.

- Nie żartuję, pomyślcie o tym. Gdyby Drew nie zastrzelił George'a Haywarda, naprawdę byśmy musieli wytoczyć proces łajdakowi i osadzić go w więzieniu, i to przynajmniej na dwadzieścia lat. Może dłużej. A proces i dwadzieścia lat uwięzienia to nie taniocza.

Jim nie był pewien, jak poważny jest Emmet.

- A prawo, Emmet? - spytał najbardziej akademickim ze swoich tonów. Tym głosem wygłaszał mowę początkową albo uwagi końcowe przed ławą przysięgłych: cierpliwym, ojcowskim i mądrym.

- Och, wiem, wiem. George Hayward mógł być O. J. Simpsonem z Gór Zielonych, ale to i tak nie znaczy, że ktoś miał prawo strzelić mu w łeb. Ale pomyślcie o tym: nie najgorsza śmierć, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, co zrobił. Upił się do nieprzytomności i nigdy się nie ocknął. A sprawiedliwości stało się zadość. Szczerze, uważam, że powinniśmy wysłać pastorowi kartkę z podziękowaniami i przejść nad wszystkim do porządku dziennego.

Oczywiście nie przeszliśmy. W każdym razie nie do końca. Dla mnie to na zawsze miało się stać czymś w rodzaju dręczącej frustracji, takiej jakiej wszyscy doświadczamy,

kiedy zawieruszmy coś i wiemy, że to jest gdzieś w domu - ale gdzie? Nie mamy pojęcia. Ładowarka do telefonu, kluczyki do auta, nakrętka do flamastra, który wyschnie, jeśli jej szybko nie znajdziemy. To denerwujące jak cholera. Ale chyba w tamtej chwili w samochodzie Emmeta, kiedy on włączał kierunkowskaz i przyspieszał, żeby wyprzedzić cysternę z mlekiem, wiedziałam, że jeśli rozwiążemy sprawę któregoś z zabójstw w Haverill - znajdziemy coś, co zdecydowanie powiąże Stephena Drew z morderstwem George'a Haywarda - to raczej w wyniku wielkiego szczęścia niż ciężkiej pracy. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, a wyglądało na to, że przerobił nas wiejski pastor.



**CZEŚĆ III**

**HEATHER LAURENT**

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

KOSMOLOGIA ANIOŁÓW NIE jest ani trudna, ani zagadkowa. Ani doktrynerska. Absolutnie każda religia ma posłańców duchowych albo stróżów. Kogoś, kto bierze nas za rękę, kiedy najbardziej potrzebujemy uścisku, kto silnym i szybkim ruchem wyciągnie nas z ognia. Kto poderwie nas z jezdni, kiedy nadjeżdżająca z przeciwka ciężarówka śmignie tuż obok, kiedy będziemy się przechadzać o zmierzchu, tak że nasza wiatrówka wydmie się jak żagiel, ale dalej będziemy szli zdrowi i cali. Albo, i znowu może, kogoś, kto wyciągnie nam z palców tę pomarańczową fiołkę z tabletkami, gdy życie stanie się zbyt bolesne. Brat mojego ojca i moja starsza kuzynka spędzili sporo czasu w klinice leczenia uzależnień McLean, tak więc depresja nigdy nie była tematem tabu przy rodzinnym stole w domu.

W moim wypadku to rzeczywiście lek na receptę miał być narzędziem ostatecznego rozwiązania. Mojej współlokatorce na pierwszym roku college'u przepisano leki nasenne. Pomędzy Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem wpadłam w dołek głębszy niż wszystkie, których zaznałam od śmierci rodziców. (A pierwsze miesiące po ich śmierci zlały się w rozmazaną plamę. Tak mnie chronił silny wstrząs i drobne ulgi - tak, ulgi - że pierwszy rok okazał się znacznie łatwiejszy niż lata następne). Cały semestr mi się pogarszało, a kiedy dni stały się ryzykownie krótkie, zrobiło mi się jeszcze straszniej. Na Święto Dziękczynienia pojechałam do domu ciotki i wuja w Fairfield. Cztery spędzone tam dni były bardziej przygnębiające niż zwykle. Już dostrzegałam zmiany w Amandzie - jak zgryźliwy stał się jej humor, jak mroczny. Jak była pochłonięta - zdawało się - zagłodzeniem się na śmierć. Tyle rzeczy, które najwięcej dla mnie znaczyły, przy czym większość wiązała się z chwilami pocieszenia w moim dzieciństwie - lalki, kanapa, moje dziecięce łóżeczko, czajnik, do którego mama była przywiązana - trafiło na strychy krewnych i przyjaciół albo zostało sprzedane wraz z domem. Z tonącego statku, który kiedyś był moim życiem, nie zostały żadne szczątki, których mogłabym się ucześcić. I w college'u byłam nieszczęśliwa. Byłam samotna, słabo sobie radziłam i zmagalam się z faktem, że poszłam na uniwersytet, a nie do

konserwatorium. Niestety, miałam metr siedemdziesiąt pięć wzrostu - co najmniej pięć centymetrów za dużo nawet jak na najbardziej posągowe tancerki - i nigdy się do końca nie wyleczyłam z kontuzji kostki i palca, które nękały mnie przez całe liceum. Od kilku lat było jasne, że nigdy nie będę baleriną. W szkole co prawda studiowałam taniec, ale kiedy zaczęłam przesłuchania do przedstawień na Broadwayu, zdałam sobie sprawę, że mój głos doprowadzi mnie do zguby. W najlepszym wypadku był dostateczny, a i to po czterech latach pracy z trenerami głosu i nauczycielami śpiewu. Co zatem zostawało? Rockettes\*. A nikt, prawdę mówiąc, nie utrzymuje się przy życiu jako Rockette. Może mogłabym być choreografem. Albo nauczycielką tańca. Ale nigdy nie będę artystką, nie będę występować.

Moją depresję oczywiście podsycalo coś o wiele większego niż lęk, że moje marzenia zawodowe zaczęły się rozwiewać. Miałam osiemnaście lat i w gruncie rzeczy nie miałam nikogo bliskiego. Od liceum byłam sierotą, a moja siostra rozpadała się jeszcze szybciej niż ja. Po prostu nic mi nie dawało nadziei ani pewności, że jutro będzie lepsze.

Cóż, odległość między depresją a samobójstwem to bardziej rozpadlina niż otchłań. Od miesięcy ostrożnie pokonywałam drogę przez skały po jednej stronie, ale rozważając, jak łatwo byłoby rzucić linę i przejść na drugą stronę. Tamtą całą jesień jadłam coraz mniej, nieświadomie próbując się zagłodzić tak jak Amanda, ale po prostu dlatego, że nie była zdolna do tego, by się zebrać do kupy i iść na stołówkę. Przypominam sobie pory lunchów i obiadów, kiedy tylko płakałam w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. Nie spałam, ale też nie wstawałam. Często tylko tak leżałam, a mój umysł odpływał w bardzo mroczne miejsca. Raz moja współlokatorka znalazła mnie dygocącą w kurtce na podłodze przy łóżku, mniej więcej o trzeciej po południu, gołą pod kurtką i mamroczącą, że po prostu nie mogę tego zrobić - chociaż nie rozwijałam kwestii, czym dokładnie jest „to”, ponieważ sama nie byłam pewna, czy mam na myśli ubranie się, czy oddychanie. Nie umiałam jej wyjaśnić do końca, co się wydarzyło, i wyobrażam sobie, że gdyby była bardziej samokrytyczna (a mniej egocentryczna), zgłosiłaby mnie do szkolnej służby zdrowia. Ale ona powiązała mój dołek (jej słowo) albo z chłopakami, albo z faktem, że byłam dzieciakiem rodziców, o których śmierci wszyscy słyszeli. Chyba zakładała, że stale jestem na skraju załamania nerwowego. Tamtej jesieni straciłam dwadzieścia pięć funtów. Na niektórych zajęciach siedziałam w tylnym rzędzie sali wykładowej i rozglądałam się, nie zważając na słowa wykładowcy, i nagle oczy mi zachodziły mgłą, a łzy odbijały się od żółtego zeszytu, w którym miałam robić notatki (strona zawsze była pusta). Patrzyłam na siebie w lustrze wspólnej łazienki i

---

\* Grupa taneczna występująca w Radio City Music Hall w Nowym Jorku (przyp. tłum.).

widziałam, że jestem przerażona, zrozpaczona i kompletnie pogubiona.

W niektóre dni siadałam w bibliotece i w wyobraźni wędrowałam ostrożnie przez dom ciotki i wuja albo po kampusie i próbowałam sobie wyobrazić dokładnie, czym i jak mogę się zabić. Przez strych moich krewnych biegła belka nośna, doskonały punkt, by zawiązać sznur, gdybym zdecydowała się pójść za przykładem ojca. W garażu mieli samochód. A w łazience dla gości staromodną wannę na lwich łapach. Mogłam się tam położyć w kojącej ciepłej wodzie z nożem do krojenia mięsa albo do obierania i patrzeć, jak kłęby mojej krwi zmieniają jej barwę na różową. W college'u stały wysokie budynki o szklanych oknach, większość była zamknięta, ale wszystkie łatwo było wybić ciężkimi drewnianymi krzesłami - cały czas wyglądałam z najwyższych pięter. W kaplicy była dzwonnica - pewnego dnia poszłam do sklepu narzędziowego w miasteczku przy kampusie i wskazałam pieczołowicie spakowany sznur do bielizny. Za college'em, w pobliżu zabudowań technicznych, przejeżdżał pociąg, na tyle daleko, że gdy otwieraliśmy szeroko okna we wrześniu, niekiedy słyszeliśmy tylko gwizd. Pewnego popołudnia przedarłam się przez dziki gąszcz krzaków i zarośli obok torów i kuciałam długą chwilę, czekając na pociąg i wyobrażając sobie fragment z *Anny Kareniny*, w którym bohaterka rzuca się pod piszczące stalowe koła. Nocą, kiedy nie byłam w stanie uczyć się do testu z francuskiego ani pisać referatu o literaturze pierwszej wojny światowej, czytałam, co się dało, o tym, co eufemistycznie określano mianem „łudzenia się”. Zrozumiałam, że jeśli zamierzam się zabić, to chyba jestem na właściwej drodze: najpierw bawię się pomysłem, potem dotykam materiałów. Powoli oswajam się z planem.

Rozwazałam, kto mógłby znaleźć moje ciało, i z początku martwiłam się, jak to wpłynie na tę osobę, ale wkrótce przestało mnie to obchodzić. Kiedy człowiek dociera tak daleko jak ja na drodze ku samounicestwieniu, staje się nieuważny: nie tyle samolubny, co obojętny. Niemniej jednak zdecydowałam wreszcie, że najlepsze, co mogę zrobić, to opracować taki sposób, żeby znalazł mnie ktoś, kto niezbyt dobrze mnie zna (jeśli w ogóle), na tyle szybko, by stan mojego ciała nie wywołał u tej osoby wstrząsu. Wskutek tego nigdy poważnie nie brałam pod uwagę broni palnej.

Tak więc wieczorem przed pierwszym dniem egzaminów, kiedy wszyscy przebywali w sypialniach albo w różnych bibliotekach rozrzuconych po kampusie, wrzuciłam fiolkę tabletek nasennych swojej współlokatorki do torby na tańce, dwukrotnie większej od tej na książki, i niepostrzeżenie przemknęłam do piwnicy naszego akademika. Spakowałam też butelkę wody i trochę tabletek przeciwuczuleniowych, które wzięłam z apteki, żeby się upewnić, że nie zwymiotuję wielkiej garści tabletek nasennych, którą zamierzałam połknąć. W drodze do drzwi zerknęłam przypadkiem na swoje odbicie w lustrze w sypialni i uderzyło

mnie, jak wymizerowana wydaje się moja twarz, nawet jak na standardy tej żalostnej jesieni, i że moje włosy wyglądają trochę jak u wariatki: nie myłam ich od czterech czy pięciu dni - kiedy człowiek jest w depresji, higiena schodzi na bok - i wisiały w strąkach długich, tłustych i oklapłych.

Akademik był georgiańskim monolitem z przełomu wieków, a piwnica stanowiła labirynt wąskich korytarzy stworzonych przez stopy pustych kufrów i kartonów należących do osiemdziesięciorga lokatorów zajmujących cztery piętra powyżej. W jednym kącie stały nasze rowery i kilka rozpadających się mebli, z których nie korzystaliby nawet studenci. Nie chciałam, żeby ktoś odkrył moją obecność w piwnicy, więc na schodach i w chaotycznym labiryncie poruszałam się w ciemności, przyświecając sobie latarką. Zamknęłam za sobą drzwi. Kiedy szukałam swojego kufra, najbardziej interesujące wydało mi się, że piwnica, wcześniej dla mnie przerażająca - siedziba pajaków i myszy, i obłąkanych ludzi, którzy czaili się w mroku - teraz stanowiła zwyczajne chłodne pomieszczenie zagracone po sufit. Ani trochę nie była przerażająca.

I dość szybko znalazłam swój kufer. Był wciśnięty pionowo pomiędzy skrzynię innego pierwszaka a kilka kartonów z supermarketu wciąż wypełnionych prześcieradłami. Kufer trochę bardziej pachniał stęchlizną, niż kiedy przyjechałam pod koniec sierpnia, ale poza tym wręcz się ucieszyłam, że go znalazłam. Zaciągnęłam go w kąt najbliższy potężnej szafy z bojlerami akademika, najcieplejszej części pomieszczenia, a potem wzięłam kilka prześcieradeł z tamtych kartonów. Skrzynia była wielka, ale i tak nie mogłam się do niej zmieścić, nawet zwinięta żałośnie w pozycji embrionalnej. Ale mogłam się wygodnie ułożyć, jeśli spojrzeć na skrzynię jak na wannę, i przerzucić nogi przez krawędź, a tych prześcieradeł użyć jako poduszki i materaca. Taki miałam plan. Ułożona w ciemności skrzyni w piwnicy akademika zamierzałam znaleźć tę cudowną nieznaną krainę. Pomyślałam - a teraz wiem, że tak nie musi być - że przedawkowanie środków nasennych będzie bezbolesnym sposobem umierania. Zasnę i albo się nie obudzę, albo się obudzę w rzeczywistości, której sobie nie wyobrażałam.

Wyłączyłam latarkę, ale okna piwniczne wychodziły na drogę i dzięki latarniom na zewnątrz widziałam dość dobrze, kiedy już moje oczy przyzwyczyły się do mroku.

Przez pięć czy dziesięć minut zwlekałam. Odliczyłam tabletki nasenne (było ich mnóstwo), ułożyłam je w dłoni jak cukiereczki Pez albo na odwróconym wieku skrzyni. Przyjrzałam się tabletkom przeciw-uczuleniowym i upiłam kilka łyżków wody z butelki, ale bardzo małych, żeby na pewno dużo zostało do popicia tabletek. Nasłuchiwałam odgłosów kolegów z akademika i innych studentów, od czasu do czasu przebiegających korytarzami i

schodami nade mną. Słyszałam ich śmiech i stłumione pozdrowienia. Słyszałam muzykę rockową gdzieś z budynku, ale nie potrafiłam dokładnie określić, skąd dochodzi. Ogólnie jednak campus był cichszy niż w typowy wieczór, ponieważ wszyscy byli dziwnie skupieni. A kiedy tak słuchałam, zapłakałam. To nie były łkania ani szlochy, ale nieustanny strumień siąknięć i łez, kiedy się zastanawiałam, kim będzie ten nieszczęśnik, który mnie znajdzie (tu się zawahałam, ale tylko na chwilę, i ostatecznie nie z tego powodu dzisiaj żyję), i pomyślałam znowu, jaką żalostną i tragiczną błahostką jest dla świata cała rodzina Laurentów. Zalała mnie odraza do samej siebie i żalność nad sobą, i niemały gniew na ojca (mordercę) i matkę (ofiara), i nawet biedną, zaburzoną Amandę (podobnie jak ja, dezzerterkę, osobę, która najwyraźniej też planowała rychłą ucieczkę z tego świata). W dłoniach ściszałam kilka tabletek i powoli zatracalam się we wspomnieniu chwili, kiedy byłam małą dziewczynką w zdaje się drugiej klasie. Mama zaplatała mi włosy, co znaczyło, że było to jedyne w tygodniu popołudnie, kiedy nie szłam na lekcję tańca, bo na sali ćwiczeń musiałam mieć włosy upięte wysoko. Siedziałam przy stole kuchennym z małym naczyniem pełnym jej domowego puddingu czekoladowego (co nazywała z wielką afektacją *pot de crème*) i promieniałam spokojem ducha i opanowaniem. Mówcie co chcecie o energicznym treningu tańca, czyni on cuda z gracją dziewczynki. Słońce wpływało kaskadą przez zachodnie okno, rozświetlając cały pokój, a ja byłam bardzo, bardzo zadowolona.

Niemniej jednak w zestawieniu z tym wspomnieniem fakt, że teraz płakałam w skrzyni, którą postrzegałam jako swoją trumnę, stawał się jeszcze bardziej żalostny i rosły szanse, że wreszcie naprawdę popełnię samobójstwo. Naprawdę, nie liczyłam na to, że ktoś mnie znajdzie i uratuje. Podniosłam więc prawą rękę do ust, zastanawiając się, ile pigułek mogę połknąć naraz. Dwie? Trzy? Może nawet cztery? I kiedy właśnie spojrzałam w dół na swoją dłoń, zobaczyłam, że włosy spływają mi przez pierś - w warkoczu. Absolutnie doskonałym, eleganckim, gładkim warkoczem francuskim. Rzuciłam pigułki i poklepałam się po głowie, żeby się upewnić. Potem podniosłam warkocz do twarzy i delektowałam się zapachem różanego szamponu, którym mama myła mi włosy, kiedy byłam mała.

Sięgnęłam po latarkę, żeby sprawdzić, co widzę. Rzeczywiście, nie zmyślałam tego ani nie widziałam czegoś, czego nie było, w zmierzchowym świetle piwnicy. Moje włosy były czyste i zaplecione w idealny francuski warkocz. I nagle poczułam, jak spowija mnie najbardziej niewyobrażalny spokój. Zamknęłam oczy i wdychałam zapach mydła, które magicznie myło mi włosy, i pozwoliłam sobie przeżywać ponownie spokój, który znaczył te chwile, gdy mama zaplatała mi warkocz. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, przez ułamek sekundy zobaczyłam tam w piwnicy kobietę. Widziałam jej błogi uśmiech, a nad jej

ramionami skraj świetlistych skrzydeł. A potem zniknęła.

Zebrałam z dna skrzyni tabletki swojej współlokatorki i wstałam. Stwierdziłam, że się śmieję, i miałam się tak śmiać przez długi czas tamtego wieczoru. Śmiałam się i uśmiechałam, kiedy zapakowałam skrzynię i prześcieradła, a potem ruszyłam schodami na piętro akademika.

Można wątpić w to wydarzenie, trudno znaleźć wytłumaczenie dużej części mojego pierwszego spotkania z aniołem, oto jedna prawda absolutna, o której nigdy nie zapomniałam i która wzmocniła w mojej głowie absolutny spokój tej wizji: matka nigdy mnie nie nauczyła, jak robić na własnych włosach francuski warkocz. Nigdy go sobie nie zaplotłam. A po raz ostatni miałam francuski warkocz co najmniej dwa lata przed śmiercią mamy.

NA PIERWSZĄ WSPÓLNĄ kolację w moim lofcie jedliśmy ze Stephenem caponatę na ciepło: grillowane bakłażany, papryki i cebule rzucone na mieszankę sałat i podane z doskonale okrągłymi medalionami koziego sera. Facet, oczywiście, na co dzień jadał fatalnie, zarówno z tego powodu, że był samotny, jak i z tego, że parafianie, którzy chcieli go karmić, mieli alergię na warzywa. Kiedy smażyłam na małej ilości oliwy bakłażana, on uparł się wyłożyć przystawki, które kupił, a był to cały zawałorodny wachlarz chipsów, serów i dipów, rodem z męskiego akademika w niedzielę Super Bowla. Naprawdę wcale ich nie potrzebowałam ani nie chciałam, ale rozumiałam, że miał dobre zamiary. Wypiliśmy butelkę bordeaux, kupioną przezeń podczas spaceru po Manhattanie, na który się wybraliśmy po południu. Powiedział, że to z ulubionej winnicy jego ojca. Pomyślałam, że to bardzo słodkie. Jedzenie to podarunek i powinno być traktowane nabożnie - trzeba z nim romansować, zrytualizować je i doprawić wspomnieniem. Dlatego właśnie wołałam, żebyśmy zjedli w domu, zamiast iść do restauracji czy zamawiać coś, co ktoś dostarczy do mojego domu w zatłuszczonym kartoniku. Stephen stanął pod moimi drzwiami w porze lunchu w tamtą sobotę, i chociaż on odczuwał, że spada z choinki, ja podejrzewałam, że przyjedzie. I owszem, oczekiwałam go właśnie tamtego dnia.

Prawie mu to powiedziałam, ale on by pomyślał, że jestem raczej wariatką niż zwyczajną dziwaczką, bo dość wcześnie zauważyłam, że tak mnie właśnie ocenia (nie on pierwszy).

I wiedziałam, że przyjeżdża, bo wtedy już wiedziałam, jak bardzo mnie potrzebuje, a ja z kolei potrzebuję jego. Rozumiałam, jakie są moje obowiązki. Wiedziałam to od prawie tygodnia, odkąd przyjechałam do Vermontu. Ciągnęła mnie historia Haywardów, ale ciągnęły mnie też zamieszczone w gazetach zdjęcia młodego pastora, którego oczy same były ponurym wierszem.

Niewątpliwie coś tam się zmieniło. Zawsze tak jest. Nie planowałam zabrania Stephena do domu Amandy w Adirondack, nie przewidziałam przedstawienia go drewnianym ptakom Normana. Ale kiedy dojrzałam, stałam się swobodniejsza, znając swoje miejsce na Bożym świecie i mając poczucie, że nie muszę rozumieć wszystkiego - chociaż, najwyraźniej, nie jestem w tym doskonała, i do mojej aury jakoś docierają wątpliwości. Nie mogłam ocalić Stephena, chociaż bardzo żałowałam, że nie mogę, i bardzo chciałam.

Ale w tamten sobotni wieczór, kiedy jedliśmy ze Stephenem kolację w moim lofcie, przy świecach, na kozetce, z talerzami na kolanach, mój umysł był otwarty, i to na wszystko, czego ode mnie potrzebowano. Nie zawsze umiem powściągnąć swoje ego, ale tamtego wieczoru zrobiłam to. Dźwignęłam na barki swoje skrzydła i czekałam. Przez miesiąc byliśmy szczęśliwi i zakochani. W każdym razie ja. Nie powinnam wypowiadać się w jego imieniu.

- UDERZ MNIE JESZCZE raz, pijany głupcze! No uderz mnie!

Ze wszystkich rzeczy, które moi rodzice wysyczeli, wykrzyczeli i wywarczeli na siebie przez lata, to sposób, w jaki matka wypowiedziała te słowa w pewną Wigilię, kiedy obie z Amandą chodziłyśmy do szkoły podstawowej, prześladowają mnie najczęściej i każą mi się modlić do mojego anioła o ukojenie i spokój. Miałam dziesięć lat, a Amanda dwanaście, i żadna z nas już nie wierzyła w Świętego Mikołaja. Całą czwórką spędzaliśmy Wigilię z przyjaciółmi rodziców - było to jedno z tych corocznych zebrań czterech dalekich rodzin, które zawsze pociągały za sobą ogromną ilość picia rodziców i rozpaczliwie niezręcznego milczenia dzieci, ponieważ wszyscy chodziliśmy do różnych szkół. Krótco po północy moja rodzina wyszła, jak zwykle jako ostatnia. Po fackie doszłam do wniosku, że moi rodzice zawsze wychodzili jako ostatni, bo przerażała ich perspektywa, że będą sami razem w tym domu, zwłaszcza w ograniczonej przestrzeni sypialni, którą musieli dzielić.

Jazda do domu zajęła nam jakąś godzinę, czyli tyle, ile by trwała, gdyby mój ojciec jechał dwupasmowymi drogami spokojną, rozsądną prędkością. On jednak, co zdarzało się zawsze, kiedy był zbyt pijany, by siadać za kierownicę, włókł się jakieś dziesięć, piętnaście mil poniżej prędkości maksymalnej, a potem przyspieszał jak szalony, kiedy matka mówiła - z oddechem obrzydliwym i chyba palnym od johnniego walkera i papierosów Eve - że jedzie jak babcia. Matoł. Albo popędzała go, mówiąc, że musi siku. Tak więc on przyspieszał. Pokaże jej. Jechał jak szalowiec przez następne trzy, cztery mile, samochód przejeżdżał przez podwójną żółtą linię na środku czarnego asfaltu albo gwałtownie skręcał w boczną ulicę, tak że błotniki albo dach szurały o bezlistne gałęzie drzew. Pędził sześćdziesiąt albo



siedemdziesiąt mil na godzinę na tych krętych drogach, zwalniając gwałtownie tylko wtedy, kiedy o mały włos unikał zderzenia z samochodem z przeciwka albo wykonywał skręt tak, że się ledwie mieścił. W tamtą Wigilię zgubiliśmy kołpak z prawego tylnego koła, kiedy otarliśmy się o stary kamienny wiejski mur dobre dziesięć stóp na poboczu - nasz biały oldsmobile cutlass supreme przecinający w mgnieniu oka zamrażający grunt z łatami twardego jak skała lodu i śniegu - i myślę, że tylko Amanda i ja rozumiałyśmy, jak niewiele brakowało do stłuczki. (Następnego dnia to moja babcia, goszcząca w naszym domu na Boże Narodzenie, poinformuje moich rodziców, że nie ma kołpaka, kiedy niewinnie spyta ich, gdzie jest. Jak zawsze w zasadzie w Boże Narodzenie, walczyli z tak nieznośnym kacem, że nawet nie wyszli na dwór na podjazd, by zerknąć na samochód). Cały czas Amanda modliła się obok mnie na tylnym siedzeniu, z oczami mocno zaciśniętymi i ustami poruszającymi się bezgłośnie. Wiele razy przychodziło mi w życiu do głowy, że jedynie dzięki przerażonym prośbom błagalnym mojej siostry skierowany do jej anioła albo Boga przeżyliśmy tamtą noc.

Kiedy dotarliśmy do domu, uznałam, że najgorsze mamy za sobą. Znając związek moich rodziców, nie miałam absolutnie żadnego powodu, żeby przyjmować takie założenie. Ale przyjełam. Amanda poszła prosto do swojego pokoju, a ja do salonu, zobaczyć, czy w telewizji jest cokolwiek oprócz polana bożonarodzeniowego: zwykle transmitowano obraz kominka i puszczano kolędy. Matka siadła ze mną na kanapie i próbowała mnie objąć, ale tamtego wieczoru oparłam się tym czułościom. Próbowała mnie pokonać uwagą, jak to jeszcze rok czy dwa wcześniej wykładałam ciasteczka dla Mikołaja, a potem pędziłam na górę do łóżka, żeby spać, kiedy przybędzie on ze swoim reniferem. Ale ja nie byłam w nastroju do prób pokrywania patyną Wigilii znaczonych słownymi i czasami fizycznymi burdami moich rodziców. Mama szybko wyczuła mój nastrój, i chociaż nadal była mocno pijana, wyszła. Pocałowała mnie w czoło i wstała z trudem. Zrzuciła buty, kiedy tylko przekroczyła próg, ale nawet w skarpetkach z trudem pokonywała okazały dywan w salonie. A ja, sama już, przeskakiwałam po naszych czterech czy pięciu kanałach.

Rodzice zaczęli się kłócić może piętnaście minut później. Nigdy nie dowiem się dokładnie, co wywołało tę akurat awanturę, ale to naprawdę nie ma znaczenia. Znaczenie ma to, że wkrótce po tym, jak zaczęli, usłyszałam dźwięk tłukącej się wielkiej ilości szkła i wiedziałam, że to ścinane skośnie lustro, zawieszane na dwóch dębowych ramionach nad toaletką matki - wiktoriańskie, teraz wiem, że miało sporo ponad sto lat. Nagle mój ojciec wyłonił się z sypialni i ciężko ruszył ku schodom, gdzie przystanął na chwilę przy poręczy, która biegła może piętnaście stóp wzdłuż korytarza, i z pięściami po bokach patrzył w dół. Podniosłam na niego wzrok, ale nasze spojrzenia się nie spotkały, nie byłam też pewna, czy w

ogóle zauważył, że siedzę w salonie na kanapie. Wciąż był w ubraniu, które nosił wieczorem, ale koszulę wyciągnął ze spodni, a ze dwa, trzy górne guziki miał odpięte. Widziałam podkoszulek w kolorze brzoskwiowym. Jego wspaniałe, czarne jak węgiel włosy, które ulizał na przyjęcie, wyglądały teraz, jakby je natapirował szczypcami do spaghetti.

Matka pojawiła się za nim tylko w majtkach i bluzce, boso i z włosami - wspaniałą płową grzywą - także w nieładzie. Szminkę miała rozmazaną jak kłown, a tusz do rzęs ściekał jej w strużkach po prawej stronie twarzy (możliwe, że płynął też z lewego oka, ale wtedy na pewno myślałam, że tylko prawy policzek jest umazany make-upem). Szlochała i była wściekła - rzuciła się na niego, waląc pięściami w jego plecy i ramiona z taką siłą, że przez ułamek sekundy wyglądało to tak, jakby miał przetoczyć się przez poręcz i spaść jeden poziom w dół do salonu, albo - co gorsza - dwa poziomy, gdyby przetoczył się przez kawałek balkonu nad schodami łączącymi salon z piwnicą.

- Przestań! - wrzasnął, chwytając jej pięści. - Uspokój się, kurwa! Prawie mnie, kurwa, zabiłaś!

- Sam przestań! Skończ z tym wszystkim! - krzyczała ona. To żądanie, chociaż absurdalne, mogłoby okazać się skuteczne, gdyby nie dodała: - Jesteś żaloszny. Jesteś najbardziej żaloszną oferumą.

- Żaloszny? Nie jestem taki, kurwa, pijany, że...

- Kurwa? Może jeszcze poprzeklinasz przy dzieciach? Może im powiesz, jak właśnie mnie nazwałeś? Heather, chcesz wiedzieć, jak twój ojciec mnie nazwał? - Nie miałam pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie, więc mamrotałam - nie na tyle głośno, żeby mnie usłyszeli przez szum telewizora i własne wrzaski - „Nie kłóćcie się, proszę. Nie kłóćcie się”. W pamięci widzę siebie zwiniętą na kanapie w czerwonej bożonarodzeniowej spódniczce z Saksa na Piątej Alei i golfie w srebrne gwiazdki śniegowe, które miałam na sobie w ten wieczór, z poduszką przyciśniętą do piersi, jakby była wypchanym zwierzątkiem. Na pewno też płakałam.

- Jesteś pijana, wiesz? - mówił do niej ojciec i puścił jej palce, jakby były rybą, którą wrzucał oburącz do jeziora, jego ramiona podniosły się, kiedy dokończył ruch. - Jesteś, kurwa, pijana, i jesteś najgorszą, kurwa, namiastką matki, jaką w życiu widziałem. Jesteś sekutnicą i...

Nie dokończył tego zdania, bo moja matka, mając już wolne dłonie, uderzyła go w twarz i rozległ się trzask tak głośny, że w uszach musiało mu zadzwonić. Podniósł dłoń do policzka i trzymał ją tak chwilę. A potem też ją uderzył w twarz tak mocno, że przewróciła się do tyłu i wylądowała na dywanie przy ostatnim stopniu schodów, z jedną nogą pod sobą, a

drugą rozstawioną, jak tancerka w nieudanej próbie szpagatu. Zobaczyłam, że jej majtki są przesiąknięte krwią i przez chwilę przeraziłam się, że jest ranna. Nagle jednak sobie przypomniałam: moja starsza siostra właśnie zaczęła miesiączkować, a nasza matka chciała objaśnić pojęcie miesięcznych cykli córkom, mówiąc nam, że ona także właśnie ma okres. Tamtego wieczoru była tak strasznie pijana, że kiedy wyjęła tampon po przyjściu do domu, zapomniała włożyć nowy.

- Jesteś pijana! - zrugął ją ojciec.

- Ty jesteś pijany! - odrzyknęła. - I jesteś też pijakiem! Jesteś nędzną i marną namiastką mężczyzny! Nawet twój ojciec to wie, nawet twoja matka i twoje córki też to wiedzą. Wiedzą! Wiedzą!

Oderwała się od ściany i stanęła twarzą do niego.

- Wiedzą - wyszydziała go dalej i na ułameczek sekundy zerknęła na mnie. Więc ojciec uderzył ją znowu, ale tym razem była przygotowana na cios i utrzymała się na nogach, chociaż jej ciało walnęło ciężko o ścianę, głowa odbiła się jak piłka koszykowa od płyty kartonowo-gipsowej i wprawiła w drżenie niewielką grafikę przedstawiającą głóg.

- Wiedzą, że ich matka jest sekutnicą! - wrzasnął. - To właśnie wiedzą! Jest jebaną, zakrwawioną, harpiowatą sekutnicą, która nosi upierdalone gacie!

Opuściła ręce w postawie całkowitej uległości i syknęła:

- Uderz mnie jeszcze raz, pijany głupcze! Uderz mnie.

Więc uderzył.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

POCZĄTKOWO STEPHEN NIE powiedział mi, dlaczego zastępca prokuratora stanowego albo policjanci z Vermontu podejrzewają go o udział w tej tragedii w jego parafii. W trakcie naszych pierwszych wspólnych dni na Manhattanie podzielił się ze mną wieloma kwestiami dotyczącymi Alice, ale jakoś opuścił ten drobny szczegół, że byli kochankami. Miał mnóstwo sposobności, żeby mi to powiedzieć, poczynając od dnia, kiedy się spotkaliśmy, aż do dnia, kiedy wyjechaliśmy ze Statler - zwłaszcza kiedy dotarliśmy do highwaya w drodze powrotnej do Nowego Jorku i odkrył, że ma w komórce mnóstwo wiadomości od policji stanowej Vermontu. Kilka tygodni później będzie się bronił tak, że niewłaściwie bym zinterpretowała wydarzenia tamtych miesięcy, niewłaściwie bym go oceniła. Podobnie, wyznał, nie zrozumiałabym, co się naprawdę zdarzyło w tamtą lipcową noc w Haverill i dlaczego skończyło się to tak straszliwie.

Prawda jest taka, że gdyby mi to powiedział w którymkolwiek momencie w tych pierwszych dniach, kiedy byliśmy razem, nie czułabym później potrzeby, żeby się wycofać. Mógł mi powiedzieć w Haverill i mógł mi powiedzieć na Manhattanie. Mógł mi powiedzieć w każdej chwili spędzonej w samochodzie w drodze w góry Adirondack i z powrotem. Mógł mi powiedzieć w trakcie naszych wędrówek po górach albo po tym, jak się kochaliśmy w lesie, w tych chwilach postkoitalnej więzi, kiedy dzieliliśmy się tyłoma osobistymi historiami. Rozmawialiśmy o tyłu swoich kochankach, zrozumiałabym. W tamtych dniach czułam, że są z nami anioły.

Najwyraźniej się myliłam. Pozwoliłam, by mój ziemski osąd zamącił niebiańskie instynkty.

OD LAT NOSIŁAM mały złoty krzyżyk na szyi. Naprawdę nie większy niż paznokieć kciuka. Był to podarunek, który dostałam od ciotki, kiedy się urodziłam, z założeniem, że dorosnę do niego. Kiedy mama mi go w końcu dała, musiałam mieć z siedem lat i darzyłam go

niewielkim szacunkiem. Leżał na dnie mojej szkatułki z biżuterią podstawówkową, wraz z plastikowymi kołami do uszu i klipsami w kształcie muszelek, i naszyjnikiem z podróbkami pereł. I to odpowiadało mojej matce. Krzyżyk nie był kosztowny, a kościół nie odgrywał prawie żadnej roli w naszym domu (z perspektywy czasu myślę, że może właśnie dlatego ciotka mi go dała).

Po latach, kiedy moi rodzice nie żyli, a ja przesiewałam rumowisko, które zostało z mojego dzieciństwa, znalazłam krzyżyk i wzięłam go ze sobą do college'u. Ale zaczęłam go nosić dopiero, gdy mój anioł wybawił mnie od śmierci w piwnicy akademika. Nigdy nie postrzegałam go jako amuletu, ale jego aura była święta, a obecność pogrążająca. Powiedziano mi, że dotykam go w chwili, gdy wydaję się pogrążona w rozmyślaniach.

Oznaką tego, jak szybko i głęboko dałam się omamić Stephenowi, jest to: ze wszystkich podarunków, które dostałam w życiu od kochanków, krzyżyk z szyi zdjęłam tylko raz - kiedy Stephen dał mi złoty łańcuszek ze złotym aniołkiem. Znalazł go na wyprzedazy u jubilera w Village, kiedy szedł sam dzień przed naszym wyjazdem do mojej siostry w Statler. Był to przedmiot w stylu art nouveau i może dwa razy większy od krzyżyka - co oznaczało, że i tak był subtelny. Anioł był płci żeńskiej i przydano mu erotyzmu typowego dla epoki. Długie włosy stanowiły ponętny wodospad, piersi miała odsłonięte, a skrzydła zwęzły się ku dołowi, bardziej jakby kusila, niż zbierała się do lotu. Była absolutnie piękna i wiedziałam, że gdyby się poruszyła, to jak baletnica. Wpatrywała się w rubin o barwie krwi gołębiej wyważony na jej palcach.

Ten anioł stanowił uderzający przykład aury, równie ponętny, jak ożywiający, i dopóki byliśmy ze Stephenem razem, nosiłam go i miłowałam. Mam go jeszcze teraz. Fakt, że dostałam go od Stephena, oddziałuje na skojarzenia, ale nie na aurę, która była częścią anioła, zanim wszedł do mojego życia i będzie jego elementem, kiedy sam anioł zacznie należeć do kogoś innego. Przechowuję go, bo przypomina mi zarówno o cudzie, jak i o smutku oczarowania. Ale noszenie go jest ponad moje siły.

POLICJANCI Z VERMONTU BARDZO chcieli wiedzieć, kto wpadł na pomysł wyjazdu do Statler tydzień po przyjeździe Stephena Drew do mojego domu. Powiedziałam im, że od jakiegoś czasu zamierzałam odwiedzić Amandę. Prawda jest taka, że Amanda i ja widujemy się przynajmniej co drugi miesiąc albo dlatego, że ja się wyprawiam do Statler, albo ona jest na Manhattanie, gdzie ma spotkania w galeriach. Jestem pewna, że przy którejś z tych wizyt mój anioł dotrze do jej anioła i moja zraniona, ale i tak niezwykła siostra zacznie zdrowieć. No tak, ale czyj to był pomysł, żeby Stephen pojechał ze mną, pytali policjanci. Widziałam, jak

bardzo się ucieszyli na wieść, że Stephena. Ja wręczyłam zaproszenie, powiedziałam, ale on sugerował. Zafascynował go rybołów Normana w moim łofcie na Manhattanie; zastanawiał się, jak Amanda poradziła sobie ze śmiercią naszych rodziców. Zrobił uwagę o pięknie surowych gór Adirondack i że pomimo ich bliskości chyba rzadko je odwiedzał. Powiedział mi nawet, że może pójść na michigana, to taki pomysł z Plattsburgha w stanie Nowy Jork - ciepły hot dog na ciepłej bułce zalany sosem mięsnym i cebulą. Tak więc zasugerowałam, żeby do mnie dołączył, a on się zgodził bez wahania. Nie odstawił nawet symbolicznego oporu, żadnego „Ależ nie śmiałybym” gwoli grzeczności.

A ja byłam zachwycona. Ważne było dla mnie, że jesteśmy razem. Jego aura była w oplakany stan i potrzebował pobytu w świecie, który by był całkowicie dla niego nowy - w miejscu, gdzie jego aura byłaby wolna od wspomnień i powiązania i dzięki temu by się uzdrowiła. Co więcej, nasze ciała w tamtym tygodniu przypominały studnie bez dna. Na pewno pragnie aura, ale ciało też. Kiedyś tańczyłam. Znam przyjemność, którą daje ciało. A więc tak, chciałam, żeby Stephen Drew był ze mną.

- TO RYBOŁÓW - WYMAMROTAŁ Norman, a ja podniosłam wzrok znad herbaty przy stole piknikowym, który służył mojej siostrze i szwagrowi za stół jadalny w ich chacie. Stephen wpatrywał się w Normanowe półki rybołówów z anielskimi skrzydłami, gdy wlewające się przez szerokie wschodnie okno poranne słońce dawało im elizejskie szkliwo. Stephen od razu dostrzegł podobieństwa do ptaka drapieżnego, którego uparłam się kupić od szwagra do mojego loftu w mieście.

- To świetne - powiedział do Normana. Stali razem. Stephen z rękoma założonymi z tyłu, a Norman z wciśniętymi w kieszenie postrzępionych dżinsów. - Heather mi wyjaśniła, o co chodzi z tymi skrzydłami, jak sobie wyobraziłeś wygląd skrzydeł anielskich. To zapada w pamięć. Bardzo twórcze. - Moim zdaniem jego wypowiedź nie miała być protekcyjna, ale była. I od razu wiedziałam, co się stanie.

- Nie musiałem sobie wyobrażać skrzydeł - powiedział Norman głosem niskim i oschłym. Potem przygarbił się i zdecydowanym krokiem wyszedł z chaty. Wiedziałam, że idzie szukać Amandy w ogrodzie warzywnym, gdzie siała.

Stephen odwrócił się do mnie, próbując ocenić albo moją reakcję, albo ogrom obrazy. Siadł obok mnie okrakiem na ławie.

- O co chodziło? - spytał.

Przysunęłam do niego swój kubek z herbatą, żeby się napił. Napił się, chociaż niechętnie.

- Mówiłeś trochę protekcjonalnie - wyjaśniłam.

- Nie chciałem. Ostatniego wieczoru wydał mi się wrażliwy, ale niezbyt chimeryczny.

- Myślę, że zdiagnozowałeś to właściwie. Jest wrażliwy. I wiem, że martwi się o Amandę. Ale również poważnie traktuje swoją pracę. - Wzięłam z powrotem kubek i postawiłam go na stole, a potem splotłam nasze palce. - I naprawdę nie musiał sobie wyobrażać skrzydeł - wyjaśniłam.

- Naprawdę mam nadzieję, że zamierzasz mi powiedzieć, że miał za wzór piękne obrazy. Może coś z renesansu. - Słyszał już o moim pierwszym bezpośrednim doświadczeniu z aniołem w piwnicy akademika w college'u. Wiedział też, że przy innych okazjach dostąpiłam spotkań z aniołami. Był sceptyczny, ale cierpliwy.

- Nie.

- Jeśli Norman też widział anioła, to dlaczego jest taki...

- Zaburzony?

- To dobre słowo.

- Wszyscy jesteśmy śmiertelni. Wszyscy jesteśmy zaburzeni. Musimy być gotowi na powitanie anioła w swoim królestwie. Musimy być gościnni. Musimy odwzajemnić miłość anioła i starać się żyć należycie. On jeszcze taki nie jest. Jest jeszcze zbyt powściągliwy. Zbyt samotny. Anioły są towarzyskie. Raczej jak parowce rzeczne.

- Gdzie on był?

- Kiedy zobaczył anioła?

- Aha.

- W Ray Brook.

- W więzieniu?

- Zgadza się. Jakies sześćdziesiąt mil stąd. Siedział za napad rabunkowy. Potrzebował pieniędzy na narkotyki i w ciągu pięciu dni napadł kilka sklepów monopolowych, nie tylko w Albany. To był ewidentny szal i wciąż mnie dziwi, że aresztowano go dopiero po tygodniu. Nikogo nie zranił. Niemniej był bardzo brutalny i mogło się to skończyć bardzo źle dla kogoś za ladą, albo dla Normana, albo dla policjanta. Wchodził i rozbijał o ladę butelkę przed koleśkiem przy kasie. To była jego broń. Wyobrażam sobie, że było to niewiarygodnie przerażające, zwłaszcza rzucało się w oczy, że Norman jest na wielkim głodzie.

W drzewach okalających podwórko zobaczyłam sikorę przysiadłą na gałęzi i patrzyłam, jak brązowy pełzacz krąży nad klonem. Zanim opuściliśmy Manhattan, powiedziałam Stephenowi, że Norman ma chorobę dwubiegunową i że dlatego jako młody mężczyzna zaczął brać narkotyki. Nikt go nie zdiagnozował i nie leczył, więc kurował się w

jedyny sposób, jaki mu przyszedł do głowy. Teraz jednak przyjmuje właściwe leki.

- I zobaczył tego anioła w więzieniu? - spytał mnie Stephen.

- Aha. Przyszedł do jego celi, kiedy współwięźniń mocno spał. Światła były wyłączone, ale w pomieszczeniu zrobiło się jaśniej niż w dzień. Z tego co zrozumiałam, mieli jedno maleńkie okienko. I Norman doskonale widział rząd piór na skrzydłach anioła, jak również ich kształt.

- Co anioł do niego powiedział?

Zastanawiałam się chwilę.

- Tyle rzeczy opowiadałam ci o aniołach. Czy choć raz wspomniałam o rozmowie z aniołem?

- Pewnie nie.

- Nie możemy słyszeć głosów aniołów, w każdym razie w sposób dosłowny, tak samo jak nie widzimy oblicza Boga.

- Aha. No ale anioły w Biblii mówią. Że wspomnę tylko pocieszające słowa Gabriela skierowane do Marii w Ewangelii świętego Łukasza.

- Maria opowiedziała uczniom o nawiedzeniu anioła wiele lat później. Nie mam wątpliwości, że anioł przyszedł do niej, kiedy była bardzo młoda. Ale zawsze wydawało mi się bardziej prawdopodobne albo że Maria zapamiętała pokrzepiającą obecność w sposób, który stawał się bardziej tradycyjny, im była starsza, albo że mężczyźni, którzy spisali Ewangelię, wsadzili słowa w usta anioła.

- Dużo jest chrześcijan na świecie, którzy mieliby poważne wątpliwości co do tej interpretacji.

- I dużo jest chrześcijan na świecie, którzy mimo to kupują moje książki - odparłam, a on zachichotał. Wcale nie żartowałam, ale nie chciałam przybrać takiego ostrego tonu, który, jak mi później powiedział, usłyszał w mojej uwadze i z powodu którego się roześmiał. Chodziło mi tylko o to, że historiografia chrystianizmu to temat wart dyskusji i że wśród chrześcijan istnieje kontinuum wiary. Próbowałam powściągnąć jego wesołość, przypominając mu, że baptyści myślą zupełnie inaczej niż członkowie Kościoła episkopalnego i że więcej ludzi w tym kraju wierzy w anioły niż w ewolucję.

- Poddaję się - przyznał. I dodał: - A więc anioł nic nie powiedział do Normana.

- Ani słowa.

- Co zrobił Norman?

- Zasnął. To była jego pierwsza noc w Ray Brook. Wcześniej przebywał albo w szpitalu psychiatrycznym, albo w więzieniu okręgowym. Ale kiedy osiągnął stabilny stan



psychiczny, skierowano go do więzienia. Prawdziwego więzienia. I miał tam przebywać przez jakiś czas, więc był przerażony. Absolutnie struchlały. I zupełnie sam. I anioł przyszedł do niego, i ukląkł na cementowej posadzce przy jego pryczy, i wziął go za rękę. Tylko go trzymał. I Norman poczuł ciepło i po raz pierwszy od długiego czasu spokój. Poczuł się pokrzepiony. Wiedział, że nic mu nie będzie, i zasnął z palcami w dłoni anioła. Kiedy się rano obudził, poczuł się błogo jak jeszcze nigdy w życiu. Do dzisiaj nigdy nie zapomniał żadnego szczegółu ze skrzydeł anioła. Czasami musi pracować ciężko, by odzyskać to dobre samopoczucie. Wciąż jest zamknięty w sobie i wciąż warczy na ludzi. Widziałeś. Ale skrzydła? On jest artystą wizualnym. Zawsze je widzi.

Stephen chyba próbował sobie wyobrazić anioła w celi Normana.

- A znał cię wtedy? - spytał. Mam poczucie, że ten człowiek byłby lepszym prawnikiem niż kapłanem. Nie uraziło mnie to, ale poczułam się, jakbym była przesłuchiwana.

- Nie.

- Amandę?

- Też nie. Poznał ją dopiero po wyjściu z więzienia. Byli razem w tym samym ośrodku resocjalizacyjnym. Tam się poznali - wyjaśniłam. Podczas któregoś ze spacerów po Manhattanie opowiedziałam Stephenowi o historii młodej Amandy. Pomimo funduszu powierniczego takiego samego jak mój, często mieszkała w dwupokojowym mieszkanku z dziewięcioma czy dziesięcioma osobami, spała na podłodze i podejmowała dorywcze prace - najczęściej sprzątaczkę w motelu - żeby wyżebrać dodatkowe pieniądze na kokainę, metadon, leki przedwiekowe. - I co powiesz na takie dziwne miejsce do zakochania? Dwa kłębki nerwów trzymające się razem. Ale to też piękne, prawda? Zaprzyjaźnili się, kiedy Amanda zażartowała sobie o siostrze i aniołach, a on jej opowiedział o odwiedzinach w więziennej celi.

- A więc Amanda nigdy nie spotkała się z aniołem?

- Nie. Jeszcze nie. Nie dowierza ani Normanowi, ani mnie, kiedy wymieniamy uwagi o naszych skrzydlatych stróżach. Jestem pewna, że jej anioł próbował do niej dotrzeć. I dalej będzie próbował. Ale śmiertelnik musi być gotowy na spotkanie częściowe. Niekoniecznie połowiczne, ale musi być otwarty. Wiedzieć, że nie da się zrobić tego wszystkiego i jednocześnie zachować otwartości umysłu na serafickie uleczenie.

- W przeciwieństwie do seksualnego uleczenia?

- Słucham?

- To stara piosenka Marvin'a Gaye'a.

- Jesteś taki cyniczny - lekko puknęłam go w ramię. - Czasami po prostu nie mogę uwierzyć, że ktoś w ogóle chciał cię wyświęcić.

- Moja siostra by się z tobą zgodziła. Podobnie jak ostatnio spora liczba moich byłych parafian.

- Nie mów „byłych”. Naprawdę, wiem, że wrócisz. - Wtedy szczerze w to wierzyłam. Ale on się ze mną nie zgodził.

- Nie. Za dużo mam krwi na rękach.

- Na twoich rękach nie ma żadnej krwi! Nie możesz gadać takich rzeczy.

Głowę miał pochyloną, a kiedy ją podniósł, uniósł też brew. Potem wstał i podszedł do okna, gdzie, plecami odwrócony do mnie, powiedział - i wtedy po raz pierwszy usłyszałam takie sztylety protekcjonalności w jego głosie:

- Nie mogę już znieść tych ludzi. Całego zboru. Całej społeczności. Wiem, że to straszne, co mówię, ale to prawda. Przykro mi. Nie pasujemy do siebie. Nigdy nie pasowaliśmy. I niestety, wiem, co się działo w domu Haywardów. Wiem też, co zrobiłem i czego nie zrobiłem, wiem, co zrobiła, a czego nie zrobiła Ginny O'Brien, i wiem, co zrobił, a czego nie zrobił cały zbor. W tym właśnie problem. Tak więc uważam, że najlepiej, żebym trzymał się z daleka. Moje zdrowie, psychiczne i nie tylko, od tego zależy.

Wtedy myślałam, że albo jest melodramatyczny, albo, ale tylko może, metaforyczny. Dopiero po kilku tygodniach przypomnę sobie tę rozmowę i uświadomię sobie, że każde słowo mówił poważnie.

LUBIŁAM PRZYJEZDZIĆ DO Amandy i Normana, bo oni nie mieli nikogo innego - w sensie że żadnych innych śmiertelników - i oboje byli tak głęboko zranieni. Co więcej, Amanda nie była w stanie otworzyć umysłu na anioły pośród nas. Pewnego popołudnia, wczesnego, w tamtym tygodniu, kiedy słońce stało jeszcze wysoko nad lasami iglaków na zachód od ich chaty, poszłam z Amandą popływać na golasa w ustronnej części pobliskiej rzeki, którą nazywaliśmy lejkiem. Amanda czerpała dumę z faktu, że mieszka w miejscu, w którym może pływać nago w dowolnym momencie. Miała tak niewielu gości, którzy na taką kąpiel wyrażali chęć, że nie posiadała nawet kostiumu kąpielowego. Prawdę mówiąc, myślę, że pływanie nago było także jej sposobem na afiszowanie się przede mną i Normanem stanem zdrowia psychicznego: albo utrzymywała wagę i nic jej nie było, albo znowu zrzuciła kilogramy i powoli się zabijała. W tamtym tygodniu dwa razy kochaliśmy się ze Stephenem.

Woda w lejku spływała przez rynną głazów wielkości przyczepy, spadała jakieś dwadzieścia pięć stóp i lądowała w zbiorniku wyciętym w ziemi i przypominającym ogromną

miszkę na płatki. Od czasu do czasu Amanda i ja udawałyśmy się tam zimą na raketach śnieżnych i zawsze się przy tym czułyśmy, jakbyśmy właśnie przeszły przez szafę do Narnii. Drzewa przy ścieżce prowadzącej z chaty nad rzekę tworzyły srebrzysty baldachim, gałęzie uginały się pod ciężarem lodu i śniegu niczym zamrożone liście palmowe. Inne stały się eleganckimi czarno-krystalicznymi rzeźbami: smukłe kruczoczarne ramy pokryte warstwą dmuchanego błękitnego szkła. Las, który w czerwcu jest wypełniony muzyką drozdków i lasówek, staje się niemal nadnaturalnie cichy w styczniu, i nawet spadająca woda wydaje się cichsza. Sople lodu zwisają jak kolczyki.

Niemniej jednak oczywiście tylko latem spędzałyśmy całe popołudnia w lejk. Wkrótce po tym jak moja siostra kupiła domek i ziemię dokoła, Norman wziął swoją piłę łańcuchową i wyciął przy pływalni pas najdalej na zachód stojących klonów, cedrów i sosen, tak aby woda mocno się nagrzewała od popołudniowego słońca. I tak jednak nigdy nie osiągała więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia stopni, i zastanawiałam się, jak moja widmowa siostra może znieść tę temperaturę, nie mając ani grama tłuszczu pod skórą. Tamtego dnia kiedy pływałyśmy na plecach w płytkim kąpielisku - woda miała najwyżej cztery stopy głębokości - albo siedziałyśmy na głazach ogrzanych od słońca, wpatrywałam się w wątłe ciało mojej siostry: ostre szczyty obojczyka i łopatek, kruche pręty, które przechodziły w ramiona. Kiedy ułożyła się podparta na swoim ręczniku na skale, policzyłam żebra po bokach klatki piersiowej i koniuszki twardych kwadratów jej miednicy. Jej piersi wyglądały jak wzgóreczki gimnazjalistki.

Widziałam, że jest w złej fazie i że jakkolwiek postęp zrobiła wiosną, zniweczyła go, żywiąc się wodą sodową i marchewką ze swojego ogrodu. Znowu kopciła jak komin - przyniosła ze sobą papierosy.

- Widujesz się z Karen? - spytałam o jej psychoterapeutkę, do której dojazd do Watertown zajmował jej godzinę.

- Tak.

- A z dietetyczką? - Nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia.

- Nie.

- Dlaczego?

- Doskonale wie, jak mi zaleźć za skórę.

Taka rozmowa z Amandą zawsze przypominała popis ekwilibrystyczny. Pewnych pytań nie miałam śmiałości zadać, nie miałam też śmiałości powiedzieć pewnych rzeczy. „Naprawdę nie możesz sobie pozwolić stracić już ani trochę na wadze. Wyglądasz teraz dobrze - nie zrzucaj już ani grama. Na miłość boską, Amando, musisz jeść!”. W tych złych

fazach mojej siostry nasze rozmowy utrudniał fakt, że ja wiedziałam, iż nie chodzi jej o wygląd ciała. Chodziło jej o samobójstwo. Ona o wiele bardziej niż ja kiedykolwiek - nawet kiedy leżałam skulona w tamtej skrzyni w akademiku na pierwszym roku - wierzyła w całkowitą daremność życia. Niby mogłam ją umieścić w szpitalu, ale wiedziałam, że ona tego nie zniesie. Raz, przed czterema laty, próbowaliśmy z Normanem i nie udało nam się.

- No to powiedz mi o swoim nowym facecie - powiedziała po chwili. Uśmiechała się, ale wiedziałam, że w jej pytaniu jest ząbkowane ostrze.

- A co tu mówić? Co chcesz wiedzieć?

- No nie wiem. Masz plan, żeby jego też wyciągnąć z otchłani? Pomożesz mu zobaczyć jakieś anielskie znaczenie w tym, że jego parafianie naśladowali mamę i tatę?

Zawsze mnie uderzało, że Amanda wciąż mówi o tych dwóch osobach mama i tata. Była to lingwistyczna bliskość, która teraz mi umykała. W najlepszym wypadku byli to moi rodzice. Matka. Ojciec. Zasadniczo postrzegałam ich przez pryzmat ich kłótni, śmierci albo (w lepsze dni) ich czaru, który zapamiętałam z wczesnego dzieciństwa.

- Tak to się pewnie zaczęło - przyznałam. - Pewnie dlatego w ogóle pojechałam do Haverill. Pojechałam dla niego. Dla tej dziewczyny. Miasteczka.

- Ale teraz jest tylko on.

- Coś nas łączy.

- Anioły szeptały wam w ucho?

- W moje tak. Czy w jego, nie mogę powiedzieć.

- Interesujący wybór spośród ludzi w potrzebie - mruknęła i zakryła oczy swoim szkieletowym ramieniem.

- To znaczy?

- Wydaje się cholernie samowystarczalny.

- Może na tym właśnie polega jego problem.

- Ja bym się skupiła na dziewczynie. Nastolatce. Ona może skończyć jak my - powiedziała moja siostra.

- Katie.

- Właśnie.

Zastanawiałam się, czy ją poprawić: nie uważałam, że Amanda i ja skończyłyśmy podobnie. Ale tyle w życiu zależy od wybaczenia i uzdrawiania - powstrzymywania tego pędu, by uszczypnąć albo dokopać w ostatnim słowie - że powiedziałam tylko:

- Nie sądzę, żeby to była propozycja albo-albo. W każdym razie mam nadzieję, że nie jest.

- Jak bardzo go lubisz?

- Na razie? Ogromnie.

- Ufasz mu?

- Słucham?

Ziewnęła, a ja zauważyłam, kiedy zasłaniała usta, że nie nosi już żadnej ze srebrnych bransoletek, które zwykle zdobiły jej nadgarstki. Przestraszyłam się, że albo już na nią nie pasują, albo ją ranią. Moja siostra zmniejszała się znowu do wielkości chucherka, przerażająca w swoim wyliczonym wyniszczeniu, a ja zanotowałam w pamięci, żeby zadzwonić do jej lekarzy, kiedy tylko wyjedziemy ze Stephenem.

- Spytałam, czy mu ufasz. Nie martwi cię, że ten wiejski pastor widzi w tobie nowe źródło utrzymania? Ni z tego, ni z owego bogata, śliczna pani pojawia się w jego życiu jak anioł - i litości, siostró, użyłam tego słowa tylko dlatego, że porównanie nasuwa się nieodparcie - a on widzi w niej okazję. Plan na spokojną emeryturę, jeśli wolisz.

- Zdecydowanie ma własne zasoby.

- Do twoich im daleko, zapewniam cię. Któregoś dnia rozszerzysz działalność na anielski handel. Anielskie błyskotki i anielskie szkatułki na biżuterię. Anielskie kartki okolicznościowe. Anielskie figurki i ozdoby choinkowe. Anielskie kryształki na okno kuchenne. Anielskie rejsy wakacyjne.

Słońce ogrzało wcześniej skałę pode mną, a ja ostrożnie zwinęłam ręcznik, tak żeby poczuć ciepło całą skórą. Moja siostra dobrze się bawiła moim kosztem.

- Co by się działo na anielskim rejsie? - spytałam, po części dlatego, żeby zmienić temat, ale także by w jakiś sposób jej dogodzić.

- Och, ty byś wygłaszała swoje wykłady - odparła. - Wszyscy by oglądali gwiazdy na środku oceanu. Opowiadaliby historyjki o aniołach, które ocaliły im życie. Byłaby joga. Medytacje. Pierniczki w kształcie aniołków we wszystkich bufetach.

- Gruntownie to przemyślałaś.

- Nieprawda. Po prostu jestem wygadana.

Uśmiechnęłam się do niej, ale nie mogła tego widzieć, bo oczy wciąż miała zasłonięte ramieniem. Pomodliłam się w duchu, żeby albo ona otworzyła serce na anioła, albo żeby anioł zrobił dla mojej siostry to, czego ja najwyraźniej zrobić nie mogłam: zachęcił ją, by ocaliła swoje życie.

NA WYPRZEDAŻY MAJĄTKU po śmierci moich rodziców nie sprzedano kilku kartonów historii rodzinnej. Znajdował się w nich ich album ślubny i długa półka albumów z liceów i

college'ów. Albumy z wycinkami i ze zdjęciami. I długie rynienki slajdów, z których wiele pierwotnie należało do moich dziadków - rodziców ojca. Te kartony, kiedy dom na północy Nowego Jorku został sprzedany, były przechowywane na strychu u wujostwa w Fairfield w stanie Connecticut.

Dopiero po college'u, kiedy już mieszkałam sama w małej kawalerce w zakątku Brooklynu, dziesięć z okładem przystanków metra od dolnego Manhattanu, natknęłam się na rzutnik slajdów Bell & Howell z karuzelą w oknie sklepu z antykami w Bay Ridge. Kosztował dwadzieścia pięć dolarów, co się wydaje ogromną sumą jak na urządzenie technologii tak głęboko bezużytecznej wobec nadejścia epoki cyfrowej. Ale przypomniałam sobie te żółto-niebieskie kartony slajdów na strychu w Fairfield, niektóre zawierające trzydzieści obrazków, a inne czterdzieści, i że niektórych nie oglądałam od sylwestra w szóstej klasie. Wtedy, na proszonym obiedzie moja matka uznała, że pomiędzy deserem a chwilą, kiedy dorośli staną przed telewizorem z kieliszkami szampana w dłoniach, żeby patrzeć, jak kula opada na Times Square, zabawnie będzie rozkoszować się blednącymi obrazkami Kodachrome. Gwoli sprawiedliwości dodam, że na wielu slajdach znajdowali się przyjaciele rodziców, którzy bawili się z nimi w tamten wieczór, więc pomysł nie był tak egocentryczny, jak mogło się wydawać.

I okazało się, że to cudowny pomysł. Dorośli byli już na tyle podpici, żeby się powzruszać, ale nie na tyle pijani, żeby posnąć w ciemności. Mój ojciec ustawił biały ekran przy oknie wykuszowym, a my - kilkunastu dorosłych i dwie córki Laurentów - usadowiliśmy się na kanapie, podłodze i krzesłach stołowych, które przeniesiono do salonu. Przestaliśmy oglądać kilka minut przed północą, tylko dlatego, że dorośli czuli moralny obowiązek co do sekundy dać świadectwo, że na Broadwayu uczczono nowy rok.

Tak więc tam na ulicy Brooklynu zdecydowałam się kupić rzutnik i zanieść go do siebie. Musiał ważyć ze dwadzieścia pięć funtów, a moje mieszkanie znajdowało się na ostatniej kondygnacji czteropiętrowego budynku bez windy. Pięć kondygnacji było moim zdaniem wielkim darem: pomagały mi utrzymać formę, a mieszkanie znajdowało się na tyle wysoko, że widziałam część zatoki (choć nie Statuę Wolności) przez szparę między dwoma wyższymi budynkami na zachodzie.

Kilka tygodni po zakupie rzutnika pojechałam do ciotki i wuja na Święto Dziękczynienia. Kiedy tego wieczoru wróciłam na Brooklyn, przywiozłam ze sobą dwanaście rynienek slajdów w płóciennym torbie. Amanda, która wówczas mieszkała w Bostonie, nie przyjechała w tamtym roku do Connecticut. Żadna z rynienek nie została opisana, ale mój wybór nie był całkowicie przypadkowy. Upewniłam się, że zdjęcia pochodzą z pierwszych lat

małżeństwa moich rodziców, a także przedstawiają Amandę i mnie jako małe dziewczynki (zanim poszliśmy do szkoły podstawowej, nawet mój ojciec - który uwielbiał robić slajdy jako rodzinny dokumentalista - odłożył do szuflady swój aparat do slajdów i używał wyłącznie filmów). A potem następnego wieczoru, zupełnie sama, długimi godzinami przyglądałam się człowiekowi, który zamordował moją matkę, a potem sam się zabił; przyglądałam się kobiecie, która miała umrzeć z rąk mężczyzny, a kiedyś na pewno go kochała i zamierzała się z nim zestarzeć; przyglądałam się ich dwóm córeczkom, które śmierć rodziców przeobraziła, każdą inaczej, tak że da się to zrozumieć dopiero po długich latach. Tamtego wieczoru użyłam białego prześcieradła jako ekranu.

Kiedy tak popijałam wino i przyglądałam się obrazkom, najbardziej uderzyło mnie to, jak charyzmatyczni i elegancy byli moi rodzice. Barwy wyblakły, dzięki czemu nabrali jeszcze silniejszego retropowabu: Rock Hudson i Doris Day. Mój ojciec wydawał się bardziej krzepki, niż go zapamiętałam, ale moja matka była dokładnie tak piękna, jak w moich wspomnieniach. Na niektórych slajdach, gdzie miała mniej więcej tyle lat, co wówczas ja, była przystrojona w sukienki ze spiczastymi kołnierzykami i rękawami z mankietami. Na innych, kiedy lata sześćdziesiąte przeszły w siedemdziesiąte, pojawiała się w kostiumie kąpielowym ze złotymi cekinami na białych piaskach Palm Beach i na samym koniuszku Long Island, ze skórą spieczoną na raka. Tymczasem mój ojciec, który pojawiał się na slajdach o wiele rzadziej niż matka, widniał w beżowym trenczu i czarnych pantoflach z ozdobnymi noskami, w grafitowym oficjalnym garniturze albo w szortach do tenisa i granatowych swetrach. Na jednym zdjęciu, rok przed moimi narodzinami, miał na sobie łososiową koszulę ze stójką i pacyfkę wielkości podkładki pod szklanek. Chyba przebrał się tak na Halloween. Mój ojciec z pacyfką? Tak pewnie rozumiał ironię.

I oglądałam samochody z płetwami i kabriolet, który moja matka uwielbiała, kiedy ja byłam malutka. Pamiętałam teraz tylko kuszące czerwone skórzane siedzenia i to, że jadąc nim latem, czułam orzeźwiający wiatr we włosach. I oglądałam moją siostrę i siebie. W wózkach. W takich samych strojach kąpielowych (ale nigdy ze złotymi cekinami). W trakcie, bodajże, pierwszego dnia Amandy w szkole: jestem obok niej, podnoszę na nią wzrok, a moja twarz jest połączeniem tęsknoty i nabożnej czci. Ma pudełko na lunch i mały plecak w kształcie małpy. Ciekawski George? Może, chociaż nie pamiętam, by którakolwiek z nas miała specjalne upodobanie do tych żółtych książek, a kiedy pytałam o to Amandę, w charakterystyczny sposób stawała się wymijająca, tuląc swoje wspomnienia mocno do piersi. Cieszyłam się, że jej włosy wyszczotkowano przed szkołą. Nasza matka była nieprzewidywalna i w niektóre poranki po prostu nie dawała sobie rady - ponieważ całą

energię traciła w nocy na awanturę z ojcem, przypominała szmacianą lalkę - a nasze włosy przypominały wtedy stóg siana.

Ach, a wieczorami? Wtedy właśnie nasi rodzice doświadczali swoich dziwnych i nieprzewidywalnych transformacji - swoich nadcześnie przeobrażeń. Byli wampirami. Wilkołakami. Noc ich zmieniała. Ale nie stawali się potworami od razu. Poprzedzały to długie godziny gwiazdorskiego splendoru. Tamtej nocy na Brooklynie trzymałam nóżkę kieliszka w palcach i wpatrywałam się w slajd, na którym widnieli moi rodzice wybierający się na oficjalną kolację, mój ojciec w smokingu, a matka w sukni bez ramiączek. Kontrolowali swoje życie i emocje. Byli odpowiedzialni. Mogliby być gwiazdami filmowymi.

Na tamtym obrazku stali przed naszym domem w letni wieczór, w portyku po lewej tuż przy nich parkował kabriolet z czerwonymi skórzanymi siedzeniami. Jedna z naszych okazałych wierzb płaczących widniała za nimi. Kiedy sprzedaliśmy dom, ciotka mi powiedziała, że korzenie tych drzew zaczynają się przebijać przez cementową podłogę piwnicy. Uważała, że to dość zabawne, że to znak, że Amanda i ja wynosimy się z tego domu w samą porę. Z perspektywy czasu pogwałcenie budowli od środka i od dołu może być postrzegane jako metafora.

Ale na tych starzejących się slajdach był jeszcze jeden szczegół, który spowodował, że opadłam na oparcie kanapy i potem, chwilę później, odstawiłam kieliszek na podłogę, by podejść do prześcieradła. Żeby wręcz przesunąć palcami po płótnie. Żeby je wygładzić, zrozumieć, czy to, co widzę, jest zmarszczką na tkaninie, czy złudzeniem spowodowanym czymś za prześcieradłem. Haczykiem na obraz na ścianie może albo zmarszczką w płycie kartonowo-gipsowej. Co to było? Co mnie przyciągnęło do prowizorycznego ekranu, który powiesiłam na ścianie w swoim maleńkim mieszkanku? Tam, w oknie mojej dziecięcej sypialni, stał bokiem i patrzył w dół w róg pokoju, w którym kiedyś było moje małe białe łóżeczko, anioł - absolutnie nieświadomy, że na zewnątrz ktoś robi zdjęcie. Widziałam koniuszki jej skrzydeł, jej ramiona (była to anielica) i płuwe włosy. Z tego ujęcia nie dało się dostrzec jej twarzy.

Anioły niczego od nas nie chcą, tylko wiary, i powinnam była wtedy wiedzieć, że nie ma powodu wątpić w obraz na ścianie. Pięć lat wcześniej zostałam ocalona przez anioła: jakie miałam powody nie wierzyć w to, co teraz widziałam? Dlaczego miałam się dziwić, że czuwała ona nade mną już wtedy, kiedy byłam małym dzieckiem? Ale zastanawiałam się i dziwiłam. I to był mój błąd. Wyjęłam slajd z podajnika, żeby sprawdzić, czy zdołam zobaczyć anioła na samej kliszy. Włączyłam lampę przy stole, zdjęłam klosz i trzymałam slajd przy żarówce. Oczywiście anioł zniknął. Wyparował jak rozprysk wody z betonowego



obramowania basenu pod gorącym letnim słońcem w południe. Kiedy włożyłam slajd do podajnika, nie było już po niej śladu. Okno było ciemne, a tamta dziewczynka, którą byłam przed laty, znowu została zupełnie sama w tamtym pokoju.

CHWILAMI FASCYNOWAŁO MNIE, jak pracuje płodny umysł Stephena. Pewnego ranka kiedy się obudziłam, wciąż był obok mnie w łóżku, ale widziałam, że obudził się już dawno. Dochodziła siódma trzydzieści, a słońce nadawało serafinom na moich żyrandolach kolor perły. Wtuliłam się w jego klatkę piersiową i spytałam, co myśli, oczekując może relacji ze snu albo analizy filmu niezależnego, który obejrzelśmy poprzedniego wieczoru w Angelice. Przysunął mnie do siebie i powiedział po prostu: „W Edenie nie było tajemnic”.

Podobało mi się to, że jesteśmy sami w moim łóżku, a on rozmyśla nad Edenem.

- Nie - przyznałam - nie było. Dlaczego się nad tym zastanawiasz?

- Nad Edenem? Czy nie wystarczy, że tuli się do mnie piękna kobieta?

- Dziękuję. I mogę uznać, że moja obecność była częścią inspiracji.

- Ale tylko częścią.

- Tak.

Położyłam rękę na jego sercu i patrzyłam, jak się podnosi i opada na jego piersi.

- Księga Rodzaju to tępe narzędzie - powiedział po chwili. - Zwłaszcza historia Adama i Ewy. Symbolizm jest dość toporny. Oczywiście.

- Rodzi się w twojej głowie kazanie?

Pokręcił głową.

- Nie. Rozważałem tylko, jakim dręczącym ciężarem jest tajemnica. Gdybym pisał przypowieści, więcej czasu poświęciłbym na te makabrycznie stresujące chwile pomiędzy zjedzeniem owocu z drzewa wiedzy a momentem, gdy Bóg skonfrontował Adama i Ewę z tym, co zrobili. Wyobraź sobie tylko, jak uciążliwe musiało być to czekanie. Oni dwoje skuleni ze strachu w ogrodzie, czekający tylko, aż zostaną znalezieni.

- Księga Rodzaju nie słynie z rozwoju postaci.

- Nie. Ale piękno nagości Adama i Ewy? Rzecz w tym, że oni w ogóle nie mieli żadnych tajemnic. Ani jednej. I może to jest magia Edenu. I może to właśnie straciliśmy na zawsze.

W jego głosie była taka ujmująca żalność. Dlatego właśnie chciałam go tulić na wieki, być tuloną przez niego.

DOMYŚLAŁAM SIĘ, ŻE śledczy chcieli znaleźć podobieństwa pomiędzy śmiercią moich

rodziców a tym, jak zginęli Haywardowie. Czemu nie? Po części to te właśnie rudymtarne podobieństwa przyciągnęły mnie do Haverill w tamto lipcowe popołudnie. Ale w miarę jak coraz więcej się dowiadywałam o małżeństwie Haywardów, przypominałam sobie, że nawet pomiędzy oprawcami i pijakami występują różnice i osobliwości. Największa różnica, wydawało mi się, polegała na tym, że chociaż zachowanie mojego ojca było niewybaczalne - i nie chodzi mi nawet o fakt, że ostatecznie zamordował kobietę, którą poślubił - życie z moją matką to nie było nic przyjemnego. Piła za dużo i miała jadowny język. Rozpaczliwie kochała Amandę i mnie, ale ojca z rozkoszą słownie kastrowała. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy obejrzałam *Kto się boi Virginii Woolf?*, pomyślałam, że to amatorski film wideo.

Z tego co się dowiedziałam o Haywardach, Alice przez całe życie dokładała starań, by nie zrażać do siebie potwora, którego miała za męża. Moja matka z kolei dźgała swojego ostrym kijem. To nie tłumaczy faktu, że ojciec ją bił. To nie jest usprawiedliwienie zabójstwa. Ale moi rodzice mieli aury smutne i ponure, na pewno niepodobne do aur, które musiały spowijać George'a i Alice Haywardów. I to one trzymały na dystans ich osobiste anioły.

BYŁAM W SKLEPIE ZE starymi ciuchami na dolnym Broadwayu, kiedy na moją komórkę zadzwonił Stephen. Właśnie w przebieralni - ciemnym i stęchłym małym boksie z postrzępioną zasłoną w kolorze brei z torów kolejowych - zastanawiałam się, czy jestem jeszcze na tyle młoda, żeby założyć czarną sukienkę futerał bez rękawów z lat sześćdziesiątych, czy też wyglądam w niej jak amazonka. Miałam bardzo dobry nastrój, nawet trochę niepoważny. Było późne popołudnie, a kiedy zobaczyłam, że to Stephen przyprowadza mój telefon o świergot, może nawet pozwoliłam sobie na małe nadwyżkowe westchnienie zadowolenia. Rozstaliśmy się całkiem niedawno, ale już szalenie za nim tęskniłam, a nasz wstępny plan przewidywał, że on wróci na Manhattan w ten weekend i zostanie ze mną. Wykluczaliśmy mój wyjazd do Vermontu, dopóki on nie zorientuje się, czy jest w stanie podjąć swoje obowiązki pasterskie. Frustrowała go myśl, że dalej będzie mieszkał na plebanii, chociaż nie służy już jako pastor. Nie sądzę, żeby jego parafian to wówczas obchodziło - chociaż niedługo zacznie - ale jego owszem. Wydawało mi się, że to kolejna sprawa, z powodu której czuje się zbędny i bezsensownie winny. Już szukał mieszkania do wynajęcia w Bennington.

- Cześć, nieznajomy - powiedziałam i oparłam się o ścianę przebieralni. Podkreśliłam głośność w komórce, żeby go słyszeć przez dudniące basy głośników sklepowych. - Co tam?

- Musimy porozmawiać.

W jego głosie po raz pierwszy usłyszałam taki pośpiech. Wiedziałam, że jego nastrój

może się mocno wahać od ponurego do radosnego; widziałam go już pogrążonego w rozpacz tak ogromnej, że w jego tonie pojawiał się ton podłości. Ale nacisk, który zauważyłam w tych dwóch słowach, był dla mnie nowy.

- Dobra - powiedziałam. - Co jest? - Gdzie jesteś?

- W kabinie bardzo złąknionej odświeżacza. - Zamilkł, a ja zdałam sobie sprawę, że mój nieudolny żart dał mu niewłaściwe pojęcie co do miejsca mojego pobytu. - Jestem w przebieralni w sklepie z ciuchami. W sklepie, który oferuje parę cudownych sukienek. Myślę, że jestem za stara na tę, którą mam na sobie, ale samo przymierzanie sprawia mi radochę. Bo...

- Kiedy mogę do ciebie zadzwonić, żebyśmy mogli porozmawiać?

- No w tej chwili rozmawiamy. Ale to chyba coś poważnego.

- Owszem.

Zastanowiłam się, co to takiego może być, co on chce ze mną omówić, od czego jednocześnie jest taki ponury, i oczywiście przyszło mi do głowy, że chce ze mną zerwać. Że jednak nie zamierza wracać do Nowego Jorku. Nie orientowałam się, jak silnie jesteśmy związani, ale wiedziałam, że chcę ten związek kontynuować. Początkowo zakładałam, że podrzucił mnie w jego życie jego anioł, bo potrzebował mnie po śmierci Haywardów, ale w miarę jak spędzaliśmy razem coraz więcej czasu, zaczęłam się zastanawiać, czy może nasze anioły - mój i jego - są w zмовie i świadomie nas spiknęły.

- Nie możemy teraz porozmawiać? - spytałam. On najwyraźniej zwlekał. Cokolwiek chciał omówić, miał nadzieję, że nie będzie musiał poruszać tematu, kiedy ja przebywam w nieco cuchnącej przebieralni w ciuchach do mnie nienależących.

- Wolałbym, żebyś była sama.

- Jestem sama.

- Wolałbym, żebyś była w domu.

- Powinnam zajmować pozycję siedzącą? - spytałam, dworując sobie z niego.

- Proszę - jego głos odrobinę złągodniał. - Muszę ci coś powiedzieć i to jest poważna sprawa.

- Anioły potrafią latać, bo umieją traktować się lekko.

- Słucham?

- To cytat z G. K. Chestertona.

- Heather, właśnie wróciłem z posterunku policji stanowej. Przez ostatnie trzy kwadranse przesłuchiwało mnie dwóch bardzo bezceremonialnych funkcjonariuszy.

Zdałam sobie sprawę, że błędnie odczytałam sygnały w jego głosie. To była nie tyle

niecierpliwość, co oburzenie. On był urażony.

- Mów - poleciłam.

- Teraz?

- Teraz, jest ok.

- Oni myślą, że to ja ich zabiłem. Ewentualnie tylko jego. George'a.

Osunęłam się na wąską drewnianą półeczkę, która służyła za siedzenie, i skamieniałam. Rzeczywiście musiałam usiąść.

- Dlaczego mieliby tak myśleć? - spytałam. - To śmieszne.

- Owszem, śmieszne. Całkowicie idiotyczne. I przerażające. Oczywiście, że ich nie zabiłem. Zaproponowałem, że poddam się badaniom na wykrywaczu kłamstw. Ale sprawa jest na tyle poważna, że będę musiał wziąć adwokata.

- Jakim cudem wpadli na taki pomysł? Z początku na pewno nie sądzili, że masz cokolwiek wspólnego z tą tragedią.

- Wiem.

- No więc skąd?

- Nie wiem. Wiem tylko, że jestem wściekły.

- To naprawdę wygląda absurdalnie.

- Bo jest absurdalne.

Kątem oka widziałam pod zasłoną stopy przechodzących nastolatek i kobiet młodszych ode mnie, ale świat stał się niesamowicie cichy. Już nie docierała do mnie pulsująca muzyka, która rozbrzmiewała w sklepie, ani rozmowy klientek tuż pod przebieralnią. Wpatrywałam się w czarną wełnę sukienki, zebrałam ją trochę na kolanach i oparłam czoło na dłoni. W uszach mi dzwoniło. Na podłodze przebieralni leżał oderwany paseczek papieru toaletowego i nie mogłam sobie wyobrazić, skąd się tam wziął.

- Heather?

- Jestem - odparłam. I po chwili dodałam: - Więc bierzesz adwokata?

- Tak.

- Cóż, jeśli nie zrobiłeś nic złego, to nie masz się o co martwić. Wiem, że to nie zawsze się sprawdza. Ale miej trochę wiary w swojego anioła - dodałam i wróciło do mnie wspomnienie. „Myślałem, że ty jesteś moim aniołem”. To właśnie powiedział w tamten poranek w pierwszą sobotę, kiedy przyszedł do mojego loftu i powiedziałam mu, że chcę mu pokazać anioła. Nazwał mnie swoim aniołem co najmniej trzykrotnie od tego czasu, a ja oczekiwałam, że teraz właśnie wypowie te słowa. Ale się nie doczekałam.

- Chyba że zdam się na swojego adwokata - powiedział tylko. - Ale dziękuję ci

bardzo.

- Przyjeżdżasz mimo wszystko do Nowego Jorku? - spytałam.

- Tak, oczywiście. Może tylko dzień później, niż planowałem. To zależy od tego, kto zostanie moim pełnomocnikiem i kiedy się ze mną spotka.

Ulżyło mi, chociaż nie do końca. Z drugiej strony zasłony usłyszałam nastolatki chichoczące nad skatologicznym rysunkiem i seksualnym dwuznacznikiem na T-shircie. Po ich głosach sądziłam, że są za młode, żeby tak się znać na rzeczy, i to tylko bardziej mnie zdenerwowało. Spowijała mnie aura wyraźnego niepokoju.

- Zadzwoń, proszę, jak już będziesz wiedział, kiedy przyjedziesz - powiedziałam.

- Chyba jesteś zirytowana.

- Nie. Raczej zaniepokojona.

- Nie wiedziałem, że w ogóle bywasz zaniepokojona - rzekł, a ja się zastanowiłam, czy słyszałam drobną zmianę jego tonu, czy chciał sobie tylko zażartować.

- Ależ oczywiście, że się niepokoję. Jak już mnie poznasz, przekonasz się, że mam cały kocioł emocji. - Chyba jednak wtedy się nie spodziewałam, że zobaczy krzywdę, gniew i - najgorsze ze wszystkiego - zdradę.

KIEDY TYLKO STEPHEN wrócił na Manhattan, nalegałam, żebyśmy poszli na spacer do West Village i rozprostowali nogi w wąskich, dziwnie pokrzyżowanych uliczkach zabudowanych zadbanymi domami z czerwono-brązowego piaskowca. Pojawił się w porze obiadu, ponieważ spotkał się z prawnikiem w Vermoncie przy lunchu. Ostatecznie uznałam, że możemy się wyprawić aż nad Hudson, żeby popatrzeć na słońce chylące się ku zachodowi za rzeką, a po drodze pokażę mu anioła, który ogrzał mnie w pobliżu kościoła świętego Łukasza. Ale przede wszystkim chciałam pogadać i rozkoszować się pierwszymi pasemkami jesieni w powietrzu.

Początkowo był oględny i opornie odpowiadał na moje pytania. Zupełnie jakbyśmy wrócili na jego plebanię w Haverill we wtorek zaraz po tragedii. Rozmowa się nie kleiła i poczułam dźgnięcie obawy, że może nie zdołamy odzyskać tego, co mieliśmy. Ale tamtego wieczoru takie myśli uznałam za nierozsądne, ponieważ - wtedy - wierzyłam we wszystko, co mi powiedział, a zatem pytania policji musiały być bezpodstawne. Niedorzeczne. Jak dziwna kometa, która przecina niebo, powoduje małe niepokojące zamroczenie i znika. I w końcu jego uraza i irytacja przygasły i zmniejszył się dystans pomiędzy nami. Kiedy wyszliśmy z mojego mieszkania, można było nas wziąć na ulicy za brata i siostrę, niezbyt sobie bliskich. Szliśmy, nie dotykając się, nie patrzyliśmy sobie w oczy. Zanim jednak dotarliśmy do świętego Łukasza, trzymaliśmy się za ręce. A kiedy wracaliśmy na Greene Street później

wieczorem, wtulałam się w niego, a on mnie obejmował ramieniem. Będzie OK, uznałam. Śmiałyśmy się, a jego dowcip stracił tę zjadliwą ostrość, która go prześladowała, kiedy był zirytowany.

I przez tydzień rzeczywiście było OK. Od czasu do czasu, po rozmowie z adwokatem - z którym rozmawiał chyba codziennie - oddychał głęboko przez nos i wzdychał, i wpatrywał się długo albo w rybołowa, albo w moje anioły, albo w przechodnia na ulicy na dole. Nigdy mi nie powtarzał, co omawiał z adwokatem, i zwykle ta rozmowa była krótka. Niemniej jednak było oczywiste, że jest rozdrażniony, i raz powiedziałam do niego: „Te drobne konsultacje telefoniczne z prawnikiem na pewno nie są tanie. To nieważna sprawa, on sobie z nią poradzi. Zostaw to”. I po kilku minutach zostawiał, i znowu mieliśmy wakacje od prawdziwego życia. Chodziliśmy, czytaliśmy, jedliśmy i kochaliśmy się. Miałam wywiad w programie radiowym nadawanym z nowojorskiego ratusza, a on robił do mnie miny przez szybę, kiedy prowadzący nie patrzył. Trochę popisałam, odpowiedziałam na parę pytań online, odpowiedziałam na e-maila swojego wydawcy. Ale przez tamten tydzień robiłam niewiele rzeczy, które można by uznać za pracę. Nie oglądaliśmy żadnych filmów ani innych programów, bo chętnie - w każdym razie ja - wygrzewaliśmy się w świecie niewykraczającym poza alkowę i leżankę w moim łódecie.

BYLIŚMY RAZEM OD tygodnia, i o ile potrafiłam to ocenić, nic w naszym świecie nie musiało się zmieniać. Wiedziałam, że się zmieni, oczywiście. Ale byłam bardzo, bardzo szczęśliwa. Czasami kiedy wracam pamięcią do tego okresu spotkań ze Stephenem, stwierdzam, że potem chyba nigdy nie byliśmy już tak doskonale dopasowani, tak świetnie dostrojeni do swoich wzajemnych pragnień i zachcianek. Zupełnie jakby w urozmaiconej kolekcji moich wspomnień - część dokładnie oddana i wierna, inne zmienione przez kaprysy i wymogi aury, część podarowana przez anioły - pojawiła się sfera bardziej osadzona w fikcji niż w faktach. To wszystko może jest fikcją. Sznurkiem pereł, które okazują się perełkami do kąpieli, jeśli je ścisnąć.

A część mojego późniejszego smutku wyrośnie z faktu, że tyle naszych długich rozmów było totalną fikcją. Odkryłam, że przez niemal pięć tygodni byłam okłamywana.

Ale przez te pięć tygodni byłam tak zadowolona, jak jeszcze nigdy w życiu.

Wszystko się rozpadło po jednej z jego rozmów z adwokatem. Tak jak zawsze kiedy rozmawiał z tym Aaronem Lambem, wziął komórkę i stanął przy narożnym oknie, w najrzadziej używanej części mojego mieszkania. Mówił cicho i chociaż słyszałam od czasu do czasu jakieś słowo - śledztwo, zarzuty, dowód, biuro - to w zasadzie nie miałam pojęcia, o

czym rozmawiają. Nie słyszałam szczegółów. I ta ostatnia rozmowa telefoniczna wcale się nie różniła, chociaż usłyszałam dwa nowe słowa, które mnie zaskoczyły: „pamiętnik” i „DNA”. Z ręką na sercu - wiedziałam, zanim Stephen się rozłączył, że wyszło na jaw coś innego i nowego, i że to źle wróży naszemu romansowi.

Kiedy wsunął telefon do kieszeni spodni, splótł ramiona na klatce piersiowej i potarł ręką podbródek. Jeszcze nie zdążył się ogolić - w tamtym tygodniu zwykle golił się przed lunchem - i wydawało się, że bawi się szczecina na szczęce. Było oczywiste, że ta rozmowa niezwykle go poruszyła.

Odsunęłam krzesło od biurka i odwróciłam się do niego.

- Coś interesującego? - spytałam cicho, chociaż było dla mnie oczywiste, że tak.

Odchrząknął, zanim się odezwał.

- Nie jestem pewien, czy „interesujące” to właściwe słowo - odparł ostrożnie. - To może być interesujące dla osób postronnych. Dla chorych ludzi, którzy śledzą w mediach koszmar obcej rodziny. Ale dla mnie? Nie jestem pewien, czy użyłbym słowa „interesujące”.

- Jakiego słowa byś użył?

Dalej stał, palce wciąż miał przy twarzy.

- Pomyślmy. Może „niepokojące”. Albo „denerwujące”. „Problematyczne”.

- Siadaj. Powiedz: co tym razem miał ci do powiedzenia?

Nie usiadł, więc ja wstałam i podeszłam do niego. Na siłę odchyliłam jego ramiona, przyciągnęłam i położyłam sobie na biodrach. Przez ułamki sekund się opierał. Zauważyłam, że w mieszkaniu nie jest tak jasno o tej porze, jak było ledwie kilka dni temu, i zdałam sobie sprawę, że osiągnęliśmy ten etap pory roku, kiedy słońce nie pokazuje się tak wysoko nad okolicznymi budynkami.

- Mów - powtórzyłam.

- Hm, od czego by tu zacząć. - Zmarszczył czoło.

- Aaron coś ci powiedział. Zaczynaj od tego.

- Powiedział.

Coraz bardziej się denerwowałam, że tak to przeciąga. Chciałam wiedzieć, czego się dowiedział, tak żebym mogła mu służyć pocieszeniem i poradą. I chociaż już nie zakładałam, że to zasadniczo nic i że on będzie potrzebował ode mnie tylko zapewnienia, to jednak wciąż miałam taką nadzieję. Kiedy staliśmy razem w milczeniu, wysłałam w eter krótkie, szybkie, usilne błagania, żeby moje obawy okazały się nieuzasadnione. Nie pomogło.

- Powiesz mi? - spytałam wreszcie, bardzo się starając mówić lekkim tonem.

Westchnął i wyrzwał przez okno ponad moim ramieniem.

- Alice prowadziła dziennik - rzekł głosem trochę ściśniętym.

Mój niepokój w jednej chwili przerodził się w przerażenie i poczułam się, jakbym zjeżdżała pod wodę. Przez resztę naszej rozmowy jego głos będzie mi się wydawał nieco przytłumiony, jakby moje uszy znajdowały się pod gładką płaszczyzną bardzo spokojnej tafli jeziora. Od chwili gdy powiedział o istnieniu dziennika, zrozumiałam, że przesuwamy się nieubłaganie ku rozstaniu. Gdybym nie wiedziała dokładnie, o czym mówi, miałabym przecucie. Dar przewidywania i strach? Błahostki w porównaniu z przenikliwością, którą anioł daje otwartemu umysłowi. Jeszcze nie odjęłam rąk od jego ciała, ale tylko dlatego, że trzymałam się kurczowo najcieńszego pasma nadziei, że się mylę.

- Mów dalej - powiedziałam.

- Najprawdopodobniej jestem w tym dzienniku.

- Jako jej pastor?

- Jako jej...

- Na miłość boską, Stephen, powiedz mi wreszcie.

Westchnął.

- W tej historii jest pewien element, pewien kontekst może, o którym ci nie powiedziałem. Możliwe, że powinienem. Ale podjąłem przemyślaną decyzję - gdybym ci powiedział, tylko byś się zdenerwowała. Myślę, że uważałem, iż w pewien sposób cię chronię.

- Przed czym? Przed myślą, że jesteś zabójcą? Uważam, że nękają cię złe duchy, Stephen, ale słowo daję: nie widzę cię jako zabójcy.

- Cieszę się. Dziękuję - powiedział, a ja jestem przekonana, że dodał to tylko dlatego, że dzięki temu zyskał sekundę zwłoki. Żeby zebrać myśli. Potem podjął: - Przez pewien czas Alice i ja byliśmy kochankami. - Spojrzał mi w oczy, ale ja odwróciłam wzrok i po krótkiej sekundzie odsunęłam się od niego. Może wiedziałam, że coś takiego się zbliża, ale i tak poczucie zdrady było namacalne, i słyszałam w czaszce łomotanie serca.

- Byliśmy kochankami i...

- Usłyszałam za pierwszym razem.

- I powinienem był ci o tym powiedzieć.

- Kiedy byliście razem? - spytałam. Wydawało mi się to pierwszą z wielu bardzo zasadniczych informacji, które musiałam zebrać.

- Pod koniec ubiegłego roku. I na początku tego.

- Jak na początku? W tej chwili jest wrzesień? To były dwie noce? Dwa tygodnie? Dwa miesiące? - Za oknem widziałam piętrowy autobus wycieczkowy stojący na światłach.



- Dwie pory roku.

- Zima i wiosna.

- Tak. Do drugiego tygodnia maja.

- I w czasie wszystkich naszych rozmów o morderstwie i samobójstwie, i twoim poczuciu winy nie powiedziałaś mi o tym... bo?

- Nie wiem. Myślałem, że cię chronię. I nie wydawało mi się to istotne.

- A mnie się zdaje, że fakt, że ją rznąłeś, jest równie istotny jak fakt, że ją ochrzciłeś - rzuciłam, chociaż zdołałam się powstrzymać od podniesienia głosu.

- Zasłużyłem na to.

Próbowałam sobie przypomnieć, że wrogość zawsze wraca jak bumerang. Jeśli na kogoś naskakujemy, ostatecznie ranimy siebie.

- Chyba martwiłem się, że będziesz miała niewłaściwe pojęcie o związku moim z Alice - ciągnął, skoro ja milczałam. - Albo że przyjmiesz założenie, że byłem w jej domu tamtego wieczoru.

- Tamtego wieczoru, kiedy zostali zabici?

- Tak.

- Jeszcze czegoś mi nie powiedziałaś?

- O Alice?

- O czymkolwiek.

- Nie. Ale sprawy się zmieniają. Będę musiał wrócić do Vermontu i dostarczyć im próbkę DNA, jak to nazwali. Będę musiał dać odciski palców i przekazać im swojego laptopa.

- Zostaniesz aresztowany?

- Nie. W każdym razie jeszcze nie.

Zaczerpnęłam powietrza i wypuściłam je powoli.

- Boisz się?

- Czego?

- No nie wiem. Przypuszczam, że bycie podejrzanym w śledztwie w sprawie morderstwa może trochę człowieka wytrącić z równowagi.

- Nie jestem pewien: czy ty jesteś sarkastyczna?

- Tak, Stephenie, jestem sarkastyczna.

- To do ciebie niepodobne.

- Spytałam cię tylko, czy się boisz, a ty spytałeś czego. To się aż prosiło o sarkazm.

- Masz absolutnie prawo być na mnie wściekła. Powinienem był ci powiedzieć o Alice.

- Byliście zakochani?

Umilkł, a ja nie umiałam zdecydować, czy to dlatego, że byli, czy z jakiegoś powodu, dla którego nie chciał tego przyznać, czy też naprawdę nie umiał określić. Wreszcie powiedział:

- Nie jestem do końca pewien, co to znaczy.

- To nie jest trudne pytanie. Nie prosiłam, żebyś mi wyrecytował układ okresowy pierwiastków. Byliście w sobie zakochani?

- Myślę, że może ona mnie kochała. Przez jakiś czas.

- A ty?

- Ja się świetnie z nią bawiłem.

- Bawiłeś się, sypiając z nią.

- Tak.

- Dlaczego przestaliście?

- Jej mąż chciał wrócić. Twierdził, że się zmienił. Mówił, że wszystko będzie inaczej. Wydawało mi się, że jeśli jej powiem, żeby go nie przyjmowała z powrotem, będę zobowiązany sam ją poślubić.

- Albo powiedzieć jej, że nie kochasz jej na tyle, by się z nią ożenić.

- Trzeba przyznać, że nie chciałem wziąć odpowiedzialności za rozpad małżeństwa, które może miało drugą szansę.

- Nawet małżeństwa tak złego?

- Tak by się mogło wydawać.

- Ale Alice nie obchodziła cię na tyle, żebyś o nią walczył. Żebyś się poważnie związał. Zostawiłeś ją, żeby sama sobie radziła z George'em.

- Najwyraźniej.

Moje oczy wilgotniały, próbowałam odzyskać dystans. Wyobrazić sobie tę rozmowę zarówno z punktu widzenia Boga, jak i aniołów. Słyszałam w głowie słowo „wybaczenie” i pomyślałam o napomnieniu Jezusa Chrystusa skierowanym do Piotra: żeby wybaczył nie siedem razy, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy. Mogłam się jeszcze całkowicie opanować, ale tak mnie zdenerwowały te ostatnie niefrasobliwe odpowiedzi - „Tak by się mogło wydawać”, „Najwyraźniej” - że popełniłam błąd i zadałam mu jeszcze jedno pytanie:

- A więc: zabiłeś go? Którekolwiek z nich?

- Albo oboje?

- Tak. Albo oboje.

Właśnie zaczynałam się zastanawiać, dlaczego Stephen nie odpowiada na moje

pytanie i czy odpowie, kiedy on się odezwał, z zębami jakby zaciśniętymi ze złości:

- Nie wierzę, że w ogóle zadajesz mi takie pytanie. Naprawdę aż do tego doszło?

Zastanawiałam się, czy go naciskać, ale wiedziałam po lodowatym obrzydzeniu w jego głosie, że się nie ośmielę. Poza tym: miałam odpowiedź.

- Jeszcze jedno - dodał.

- Tak?

- Aaron powiedział, że może będziesz potrzebowała trochę korepetycji od prawnika.

- Ja?

- Tak. Żebyś była przygotowana, jeśli policja stanowa Vermontu przyjedzie cię przesłuchać.

- Rozważę to - zgodziłam się. Ale ciągle się nie odwracałam, bo nie chciałam, żeby widział, że nie jestem już w stanie powstrzymać łez. Nie odwróciłam się, kiedy mu powiedziałam, że moim zdaniem powinien już iść.

- Dziękuję - rzekł, zupełnie mnie nie rozumiejąc, może dlatego, że nie widział mojej twarzy. - Wróć jak najprędzej.

- Nie. Proszę, nie. Wolę, żebyś już w ogóle nie wracał.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

LUDZIE CZĘSTO MI opowiadają historie o aniołach, które pojawiły się w ich życiu. Jak to zostali przez nie uratowani. Kiedy taka opowieść nadejdzie pocztą elektroniczną albo zwykłą, a piszący sprawia wrażenie, że czeka na odpowiedź, albo mój asystent, albo ja odpisujemy. Zwykle mój asystent robi pierwszy szkic. W roku śmierci Haywardów moim asystentem był młody absolwent Columbii o imieniu Rick, który kiedyś o mały włos zakwalifikowałby się na igrzyska olimpijskie na czterysta metrów stylem dowolnym i wciąż wyglądał jak ratownik na plaży. Jego narzeczona, dwa lata odeń starsza, już była asystentem redaktora w wydawnictwie (aczkolwiek nie w moim) i spodziewałam się, że kiedyś Rick podaży jej śladem.

Jakąś godzinę po zerwaniu ze Stephenem - a było to w mojej głowie nieodwołalne zerwanie - zaszedł do mnie Rick z kilkoma listami i e-mailami od czytelników, które były zniewalająco piękne. Właśnie tego w tej chwili potrzebowałam. Czytałam o spotkaniach poruszających i dojmujących. Młody żołnierz z Afganistanu napisał do mnie e-maila, że prowadził jeepa z trzema kolegami w górzystym terenie Oruzgan, kiedy przed samochodem stanął anioł płci żeńskiej. Ominął go i zjechał do rowu. Nikomu nic się nie stało, a kiedy żołnierze podeszli do punktu na drodze, w którym kierowca rzekomo widział anioła, znaleźli fugasa, który by wybuchł, gdyby po nim przejechali. Inna czytelniczka pisała, że dokładnie w chwili gdy jej ukochana nad życie matka wydała ostatnie tchnienie w hospicjum, anioł, który siedział w milczeniu na materacu obok staruszki, podniósł ich ręce, jedną już zimną, i złączył je razem na chwilę. Potem sala wypełniła się światłem tak jasnym, że przybiegły dwie pielęgniarki, przestraszone, że wybuchł pożar; aż trzech świadków widziało anioła delikatnie podnoszącego duszę z ciała zmarłej kobiety i niosącego ją jak pannę młodą do nieba.

Tamtego wieczoru poczułam, że pilnie potrzebuję anioła. Moja rozpacz nie wypływała tylko z faktu, że Stephen sypiał z kimś i mi o tym nie powiedział. Samo to nie wpędziłoby mnie w taki dołek. Ludzie mają tajemnice. Na pewno ja mam. Rzecz w tym, że ukrywanie tego konkretnie skrawka informacji o Alice Hayward, biorąc pod uwagę, jak kapitalne

znaczenie miało życie tej kobiety i rozpaczliwie smutny koniec w naszym krótkim wspólnym czasie, odebrałam jako pogwałcenie wiary, które czyniło żalną naszą domniemaną zażyłość. To była krzywda: nie miałam jak obejść tego szczegółu. Co gorsza, zaczęłam kwestionować inne jego wyznania. Jeśli potrafił ukryć ten aspekt swojego zaangażowania w Haywardów, czego jeszcze mi nie powiedział? Zaczęłam podejrzewać, że naprawdę zamordował przynajmniej jedno z Haywardów, musiałam więc rozstać się z nim na jakiś czas, żeby pomodlić się o pomoc i rozeznąć, co czuję.

Tak jak zawsze kiedy przychodził do mojego mieszkania, Rick uporządkował listy oraz e-maile pod względem ważności. Zwykle te z najwyższym priorytetem pochodziły od mojego wydawcy albo od mojego agenta literackiego lub od wykładowców, albo od dziennikarzy. Ale chaos towarzyszący wydaniu książki już się uspokoił, tak więc kiedy zostałam sama tego wieczoru, miałam do czynienia głównie z e-mailami i listami od czytelników. Pośród nich znalazły się te historie od żołnierza z Afganistanu i kobiety, która widziała, jak anioł tulił w ramionach duszę jej matki. Ale ten, który sprawił, że zastanowiłam się nad tym, co najważniejsze w moim życiu - co naprawdę muszę teraz zrobić - przyszedł od piętnastoletniej dziewczyny z Ohio, której ojciec umarł przed rokiem po krótkiej walce z rakiem mózgu. Nastolatka podzieliła się ze mną tym, że jest jedynaczką i że byli sobie z ojcem bardzo bliscy. Przez kilka miesięcy po śmierci ojca zarówno ona, jak i jej matka trwały w stanie niemal katatonii. Matka, księgowa w Columbus, wróciła do pracy w niewielkiej firmie, w której była zatrudniona, a nastolatka wróciła do szkoły po trzech tygodniach nieobecności. Ale żadna nie funkcjonowała zbyt dobrze i osobno zaczęły się spotykać z psychoterapeutą, który się specjalizował w żałobie.

„Wiem z Pani książki, że anioły często mają prawdziwe aureole i skrzydła” - napisała do mnie młoda kobieta w swoim e-mailu - „ale moja mama i ja uważamy, że dr Noel też jest aniołem”. Wygooglowałam dr Noel i stwierdziłam, że to psychiatra o imieniu Corona. Corona Noel. Czyż można sobie wyobrazić doskonalsze imię dla anioła? Dziewczyna twierdziła, że wraz z matką dochodzą do siebie, i chciała wiedzieć, czy ja uważam, że anioły czasami przebierają się za śmiertelników, i czy ona może ma rację, że jej terapeuta jest istotą niebiańską. Chciała też wiedzieć więcej o tym, jak zniosłam śmierć swoich rodziców i jak to było widzieć ich ciała po śmierci. Najwyraźniej kojąco na nią wpłynęło, że widziała twarz swojego ojca spokojną po fizycznej i emocjonalnej agonii, którą przechodził w ostatnich tygodniach życia.

Zdałam sobie sprawę, że ten e-mail oznacza dla mnie zarówno obowiązek - podobnie jak większość korespondencji, którą otrzymywałam - jak i wiadomość. Ta młoda kobieta,

mądra ponad wiek, może jeszcze nie spotkała swojego anioła (choć oczywiście wydawało mi się możliwe, że ta Corona Noel ma jakieś niebiańskie powiązania), ale nagle zaczęłam się zastanawiać, czy jej samej nie inspiruje aby anioł. Mój anioł. Siedząc samotnie przy swoim biurku, stwierdziłam, że płaczę, bo nie widziałam ciał swoich rodziców po śmierci. I coraz bardziej mnie niepokoiło, ile straciłam. Co się z nimi stało, zastanawiałam się. Jak zostali potraktowani przez patologa?

Co więcej, doszłam do wniosku, że w swoim egocentryzmie - w swoim zainteresowaniu Stephenem i w źle pojętej trosce o mężczyznę - straciłam z pola widzenia kogoś bardzo, bardzo ważnego: Katie. Moja siostra miała rację w tamto popołudnie, kiedy poszłyśmy pływać nago w lejku. Powinnam się była bardziej skupić na dziewczynie. Tak więc spojrzałam w swój kalendarz i znalazłam kilka pustych dni. Zdecydowałam, że wrócę do Vermontu i odwiedzę świeżo osieroconą córkę George'a i Alice Haywardów.

NIE JESTEM PEWNA, jakiej reakcji na swoje wyznanie, że sypiał z Alice Hayward, spodziewał się Stephen. Czy oczekiwał, że moje serce będzie tak wytrzymałe, że nie poczuję się zraniona? Na pewno nie wierzył, że mój anioł wyleczy moje rany, ponieważ w ogóle nie wierzył w anioły. Nie wierzył w nic. Ale czy uznawał, że - i tu słowo zbyt często niewłaściwie używane przez terapeutów i guru samopomocy, którzy uważają, że może nas uleczyć sama pomoc śmiertelnego terapeuty - zrozumieć? Czy myślał też, że zrozumieć, iż miał romans z parafianką, albo że zrozumieć, iż mi o tym nie chciał powiedzieć? Z perspektywy czasu wiem, że to ostatnie o wiele bardziej mnie martwiło. Ludzie - zarówno terapeuci, jak i pastory - czasami ulegają pokusie i przechodzą od leczenia do krzywdzenia. Kapłan staje się drapieżcą. Nikt nie jest bez skazy, i to bym wybaczyła. Wyobrażałam sobie, jak Stephen mówi mi o romansie w nasze pierwsze wspólne popołudnie na ganku plebanii. (I chociaż prokurator z Vermontu, przynajmniej w pierwszych tygodniach swojego śledztwa, nie wierzyła, że w tamto wtorkowe popołudnie poznaliśmy się ze Stephenem, to jednak tak właśnie było). Albo, co bardziej prawdopodobne, słyszę go, jak mówi o swoim intymnym i niestosownym związku z tą biedną kobietą w naszą pierwszą sobotę w moim nowojorskim mieszkaniu. Na pewno mógł mi wtedy powiedzieć. W tamto popołudnie i wieczór miał od groma sposobności.

Ale nie powiedział.

Prawda wyglądała tak, zdałam sobie sprawę, że nie zamierzał mi w ogóle tego mówić. Wyznał mi to dopiero wtedy, kiedy musiał: bo ten śledczy z policji stanowej dowiedział się, że Stephen sypiał z Alice Hayward i podejrzewał go o zamordowanie jednego z Haywardów

lub obojga - i wyglądało na to, że ja teraz też mogę być podejrzana.

Od tego wszystkiego robiło mi się trochę niedobrze i czułam rozpacz, jakiej nie zaznałam od bardzo dawna. Naprawdę nie byłam pewna, co odbieram jako bardziej kłopotliwe: fakt, że Stephen Drew czuł spokój, ukrywając taki sekret, czy też możliwość, że był zdolny do popełnienia morderstwa.

A w miarę jak dni mijały, wydawało mi się coraz bardziej prawdopodobne, że rzeczywiście zabił George'a Haywarda. Alice? Nie, raczej nie. Wyobrażałam sobie tamte straszliwe chwile tak, jak - koniec końców - zobaczy to prokurator stanowy. Stephen poszedł do tego domu w niedzielną noc w lipcu i znalazł Alice już martwą, a George'a pijanego do nieprzytomności na kanapie. Wziął więc jego broń i zamordował go.

Świat jest wypełniony ludzkimi toksynami - nie mrokiem, którego czasami pragniemy, ale właśnie ludźmi, którzy tak bardzo nie chcą się kąpać w anielskim świetle, oferowanym nam wszystkim coraz bardziej toksycznym - i można się modlić o końcowe uzdrowienie. I czasami te modlitwy zostają wysłuchane. Ale czasami ci toksyczni osobnicy są odporni na dobroć i na anioły i tak bardzo nie chcą ustąpić o cal swemu Bogu, że często nigdy (i używam tego wyrażenia absolutnie dosłownie) nie dostrzegają światła, nie nawracają się. Moją siostrę poraniły i przeraziły ciernie, znaczące jej drogę przez świat, ale Stephen Drew był w o wiele gorszym stanie: w przeciwieństwie do Amandy, on skrzywdził się sam.

LICEUM KATIE HAYWARD znajdowało się w takim ciągnącym się bez końca dwukondygnacyjnym kompleksie, które budowano w latach siedemdziesiątych, żeby były wytrzymałe, a nie piękne. Zaprojektowano go tak, by nastolatki go nie uszkodziły, a nie żeby je kształcić, powstał więc labirynt murów z pustaków i okien wzmocnionych drucianą siatką. Pachniało środkami dezynfekcyjnymi i - ponieważ sala gimnastyczna i szatnia znajdowały się po drugiej stronie wąskiego korytarza naprzeciwko wejścia - młodzieńczym potem. Wszystko było pomalowane na brunatnozielony kolor, pozornie na cześć Gór Zielonych, ale nie skojarzyło mi się to jakoś z listowiem, kiedy stałam chwilę przed rozsuwaną szklaną ścianką, na której widniał napis „Goście - zgłoszenie wizyty”. W końcu starsza sekretarka z okrągłą twarzą i miłym uśmiechem wysłuchała mojej historii i znalazła doradcę zawodowego Katie, Joanne Degraff, a potem Joanne odprowadziła mnie do stołówki, gdzie Katie jadła lunch z przyjaciółmi. Nie byłam do końca pewna, gdzie będziemy z Katie rozmawiać i czy zostaniemy same. Joanne miała jasnoniebieskie oczy, pełne zrozumienia i współczucia, i zasugerowała, żebyśmy z Katie przeszły się po szkole. Dziewczyna chyba się ucieszyła z tego planu. Skończyła kanapkę. Było piękne wrześnie popołudnie. Liście dopiero zaczynały

zmieniać kolor na wzgórzach na wschód od boiska szkolnego, a wzdłuż grzbietu odległego pasma formowały się nieśmiało czerwono-pomarańczowe wstążki.

- Moje przyjaciółki myślą, że jesteś psychiatrą albo z opieki społecznej - powiedziała, kiedy ruszyliśmy spacerem obok owalu, na którym ćwiczili lekkoatleci, i dalej w stronę boiska do piłki nożnej z dwoma długimi ścianami drewnianych trybun z łuszczącą się zimozieloną farbą. Uczniowie na dalekim końcu tych trybun grali w piłkę nożną w ramach lekcji wychowania fizycznego. Katie miała na sobie czarny T-shirt z chihuahua parującym w nabijanej ćwiekami obroży i granatowe dżinsy, które przylegały jej do nóg. Z wielką pasją używała tuszu do rzęs i eyelinera, i pomyślałam, że chyba widziałam skraj tatuażu w miejscu, gdzie kołnierzyk T-shirtu dotykał jej lewej łopatki. Ale wydała mi się jednocześnie trochę zagubiona i to dało mi trochę pocieszenia: była potrzebująca i przerażona, a ja wiedziałam, że ostatecznie przyjdzie do niej anioł.

- Dużo kuratorów się tobą opiekuje? - spytałam.

- Owszem. I dwóch różnych doradców, chociaż chyba najwięcej czasu spędzam z kuratorką o nazwisku Josie Morrison. Ale to jest OK. Kumam to. Wiem, dlaczego wszyscy się tak martwią. I wiem, że pani to kuma.

- Dziękuję.

- Ginny pożyczyła mi pani książki.

- Czytałaś je?

- Aha.

- No to miło mi. Bardzo mi to pochlebia - powiedziałam, i rzeczywiście tak było.

- Ginny myślała, że mi pomogą.

- A pomogły?

- Odrobinę. Ginny powiedziała, że jej pomogły.

- Przyjaciółce twojej mamy jest ciężko?

- Tak. Owszem. Nie widuję się z nią jakoś strasznie często. Ale myślę, że ona ciągle trochę świruje. Słyszałam, jak rozmawiali o tym rodzice Tiny.

- Ciężko stracić przyjaciółkę, zwłaszcza w taki gwałtowny sposób. Nie ma porównania do utraty rodziców. Ale to też straszne. Zmienia życie.

Chyba zastanawiała się nad tym chwilę.

- Niektóre z tych historii o aniołach - powiedziała - są naprawdę niezwykłe.

- Często tak jest w przypadku historii o aniołach.

- Ale pani, jakby to powiedzieć, pani nie wierzy w te historie, prawda?

- To zależy. W niektóre wierzę. Ale owszem, inne mają znaczenie bardziej



alegoryczne. Jak przypowieść. Dlatego je włączam do książek. Ale mogę powiedzieć ci jedno: nie mam ani odrobiny wątpliwości, że anioły są prawdziwe. Równie prawdziwe jak ty i ja, i twoja przyjaciółka Tina. Równie prawdziwe jak Lula - dodałam, odnosząc się do springerki, którą Haywardowie wzięli ze schroniska.

Moje wyznanie wiary wyraźnie wprawilo ją w zakłopotanie i nie była pewna, jak zareagować.

- Więc na jak długo pani tu przyjechała? - spytała, co jak sędzę, postrzegala jako nieszkodliwe pytanie. W ten sposób zmieniala temat.

- Do Haverill? Tylko na dzisiejsze popołudnie. Moze na troche dluzej do Vermontu. Nie wiem. Naprawde nie mam sprecyzowanych planow.

- Przyjechała pani spotkać się ze Stephenem?

- Nie.

- Ale spotka się pani, prawda?

- Nie, pewnie nie.

- He? Myślałam jakby, że jesteście, no wie pani, parą.

- Przez pewien czas byliśmy przyjaciółmi - powiedziałam - ale on chyba otoczył się murem przeciwko aniołom. - Spojrzałam na nią, ale ona starannie unikała kontaktu wzrokowego. Zdałam sobie sprawę, że w trakcie spaceru łatwiej jej się rozmawia, niż gdybyśmy siedziały naprzeciwko siebie przy którymś ze stolików w stołówce.

- Ale znała go pani, zanim moi rodzice umarli, prawda?

- Nie. Poznałam go we wtorek po tym, jak to się stało. Przeczytałam o tym w gazetach i widziałam materiał w wiadomościach. Wydało mi się, że jego aura jest w takiej smutnej ruinie, że poszłam się z nim spotkać. Poszłam się spotkać z tobą.

- Po tym, jak to się stało - powtórzyła moje słowa, kiwając głową. - Ach.

Nietrudno było sobie wyobrazić historie, które zapewne ta młoda kobieta słyszała - albo, w niektórych wypadkach, podsłuchała. Serce mi pękło na myśl, czego się dowiedziała z plotek na temat swojej matki i Stephena.

- A więc to jakby z mojego powodu jest pani tu teraz? - ciągnęła.

- No pewnie tak. Nie przeszkadza ci to?

Wzruszyła ramionami i splotła je na piersi. Słońce nagle błysnęło w kolczyku w jej nosie. Migotał przez ułamek sekundy.

- Pewnie tak. Ma pani jakieś mieszkanie w Vermoncie czy coś?

- To zabawne. Myślałam, że to ja będę ci zadawać te wszystkie pytania. Ale wygląda na to, że jest odwrotnie.

- Ach, przepraszam - powiedziała, a jej głos podniósł się ociupineczkę, i po raz pierwszy chyba odwróciła się do mnie twarzą. Wyglądała na trochę spłoszoną.

- Nie, w porządku - uśmiechnęłam się. Dotarliśmy już na tyle blisko ćwiczących, że słyszałyśmy nauczyciela z jego gwizdkiem i reprimendy albo krzyki zachęty. - Myślę, że tak też jest w porządku. A odpowiadając na twoje pytanie, nie, nie mam mieszkania w Vermoncie. Mieszkam w Nowym Jorku.

- Tak, chyba o tym wiedziałam. Z pani drugiej książki.

- Naprawdę przygotowałaś się do zajęć.

- Nie za bardzo - odparła. Wysoki chłopak z imponującą grzywą blond włosów krzyknął coś, co niedokładnie usłyszałam. Skrzywiła się do niego, co sugerowało, że jest zdegustowana, i potem pokazała mu palec, ale rozpoznałam, że to miał być żart. - Przepraszam panią - powiedziała do mnie zmieszana. - To było niezręczne.

- W porządku.

- Skoro już i tak zadaję więcej pytań, niż powinnam, mogę zapytać o coś jeszcze?

- Ależ oczywiście. Możesz mi zadawać tyle pytań, ile chcesz.

- Jak długo...

- Śmiało.

- Jak długo trwa, zanim człowiek dojdzie do siebie po czymś takim?

Nie zdziwiłam się, że zadała mi akurat to pytanie, bo już przy naszym pierwszym spotkaniu stwierdziłam, że Katie Hayward jest bardzo otwarta. I tak jednak byłam pod wrażeniem.

- Tak do końca to pewnie nigdy nie dojdiesz do siebie - odparłam. - I nie sędzę, żebyś chciała. To zostanie w tobie na zawsze. Na pewno tak jest w moim wypadku. Ale koniec końców zatrze się to do kategorii jednego z wielu doświadczeń, które cię kształtują. Może być najbardziej bolesne. Najbardziej przerażające. Ale nie zostaniesz na wieki zraniona czy przerażona. Widzisz, ja jakoś nie unikałam związków z tego względu, że życie moich rodziców zakończyło się tak, a nie inaczej. Zapewniam cię, nie dlatego jestem samotna. Nie myślę też nieustannie o tym, jak umarli - o tym, co ojciec zrobił mojej matce, a potem sobie.

- Śni się to pani? Ja ostatnio sypiam nie najlepiej, i to nie dlatego, że tęsknię za swoim domem. Ale kiedy śpię, mam takie totalnie pokręcone sny. Nie żeby zaraz koszmary. Ale takie rzeczy, które mnie naprawdę przerażają, jak nie wiem co. Czasami nie mogę po tym z powrotem zasnąć.

- Na przykład?

- No na przykład widzę to, co Ginny widziała, kiedy tam poszła rano.

- Ciała twoich rodziców?

- Tak.

- Ja sobie wyobrażałam ciało mojej matki po tym, jak ojciec ją zastrzelił. I ciało ojca, jak się powiesił. Jeszcze do dziś staram się unikać tych wszystkich programów policyjnych w telewizji. Oni zawsze tam pokazują ciała, a moja wyobraźnia przy każdej takiej okazji pracuje na najwyższych obrotach. Kiedy czasami skaczę po kanałach, zatrzymuję się na Telezakupach, bo wydaje mi się, że na każdym innym kanale są same ciała.

- Wiem, że to, co widzę w swoich snach, nie jest do końca normalne. Albo jest krwawsze, niż pewnie było naprawdę, no wie pani, krew jest po prostu wszędzie. Albo moja mama jest ubrana. Ale ona była w koszuli nocnej, prawda?

- Tak mi powiedziano. Nie było mnie tam.

- A koszulę i dzinsy ma całe we krwi taty. Naprawdę całe. Ale tak nie mogło być, zgadza się? Bo mówili, że tata był na kanapie, a mama po drugiej stronie pokoju.

- Nie wydaje mi się, żeby na twojej mamie była jakakolwiek krew - powiedziałam, mając nadzieję, że to uspokoi jej umysł.

- Mówili pani, którą koszulę nocną miała na sobie?

- Nie, przykro mi.

- Ginny z kolei nie pamięta. A kiedy spytałam Stephena...

- A kiedy spytałaś Stephena? - spytałam, chociaż nie chodziło mi o to, żeby jej przerwać. Byłam zdumiona: chociaż prowadzono przeciwko niemu śledztwo o morderstwo i pisano o tym w gazetach, on wciąż jest jej powiernikiem. Uderzyło mnie, że nawet teraz mówi o nim tak swobodnie. - W lipcu, w sierpniu, czy teraz?

- Wczoraj - odparła, a kiedy na nią zerknęłam, nie wydawała się zbyt zaniepokojona natarczywością mojego pytania. Odgarnęła z twarzy ciemne włosy. - Wczoraj po południu spotkałam się z nim w Bennington. Tina mnie zawiozła.

- I spytałaś go o koszulę nocną.

- Tak, a on odparł, że też nie pamięta. Ale ta, którą opisał, nie pasuje do żadnej koszuli mamy. Mówił, że była to letnia koszula nocna w kratkę. A ona miała same koszule w kwiatki czy coś w tym rodzaju. Albo jednobarwne. Jedną miała czerwoną. Jedną zieloną. Ale kraciasta? Miała zimową flanelową koszulę nocną w kratkę, ale nie ma mowy, żeby w niej spała w lipcu. To znaczy gdzieś tak w kwietniu pewnie schowała ją z zimowymi ubraniami i swetrami do tych pudeł, które wsadzała na dno szafy. Czy to możliwe, żeby miała kraciastą letnią koszulę nocną, a ja bym o tym nie wiedziała?

To było możliwe. Ale możliwe też, że Stephen znał kraciastą flanelową koszulę Alice

z ich romansu zimą; mogła ją nosić wtedy, kiedy sypiali ze sobą, a teraz, po miesiącach, pomieszały mu się obrazy we wspomnieniach. Było też możliwe, że naprawdę nie pamiętał, jaką koszulę nocną Alice miała na sobie, i wczoraj opisał dziewczynie jedyną, którą sobie przypomniał.

- Tak - odparłam po prostu. - To możliwe.

- Ale wcale pani tak nie uważa. Słyszę to w pani głosie.

- O czym jeszcze rozmawiałaś ze Stephenem? - spytałam.

- Chciał wiedzieć, czy jestem na niego zła. Wiedział, że słyszałam o tym, że sypiał z moją mamą, i chciał przeprosić.

- To miło z jego strony - powiedziałam, ale coś mnie gryzło. Czułam się zdecydowanie mało anielska i miałam nadzieję, że odrobina wielkoduszności pozwoli mi przejaśnić myśli. - I jak? Jesteś na niego zła?

- Nie. Naprawdę już nie widzę problemu. Z początku nie wierzyłam, że oni ze sobą sypiali. Sam taki pomysł wydawał mi się upiorny. Ale teraz zdaję sobie sprawę, że oni mieli romans, a mnie to nie rusza. No wie pani, moi rodzice byli w separacji, więc ona i Stephen się zeszli. Wie pani, mój tata był...

- Tak?

- Był dla mamy podły. Wiem, że pani o tym wie. On ją bił.

- Słyszałaś ich awantury?

- A pani słyszała swoich rodziców?

- Tak.

- A więc wie pani, jakie to beznadziejne. - Zmarszczyła nos, jakby wahała coś nieprzyjemnego. - Więc jakie to miało znaczenie, czy między mamą a Stephenem coś było? To nikomu nie zaszkodziło. To tak jak z wami. Komu to szkodzi, że między wami coś jest? - Zastanawiałam się chwilę, czy ją poprawić, czy jej przypomnieć, że nie jest, tylko było. Ale powstrzymałam ten odruch, a ona ciągnęła: - Kiedy tata wrócił, wydawało się, że jest o wiele lepiej. W każdym razie przez jakiś czas. Przez pierwsze tygodnie czerwca zachowywali się jak nowożeńcy. I może więc związek mamy... ze Stephenem... mógł poprawić stosunki między nią a tatą. Ostatecznie nie poprawił. Ale może mógł.

- Myślisz, że twój ojciec wiedział, że mama miała romans ze Stephenem?

Odwróciła się i wpatrywała się we mnie z takim skupieniem, że wydawało się, że cały świat ucichł. Nagle uczniowie na boisku do nogi w oddali byli obrazem telewizyjnym z wyciszonym głosem. Zupełnie jakby nie było ptaków ani powiewu, kiedy tak obchodziłyśmy teren szkoły.

- Myślę, że dowiedział się tej nocy, kiedy zginęli - powiedziała ostrożnie. - Dużo nad tym rozmyślałam przez ostatnie kilka dni, i o tych wszystkich rzeczach w Internecie i rozmowie, którą miałam z Ginny. Na pewno tata nie wiedział, kiedy wrócił w maju do domu. Nie sądzę, żeby wiedział na początku lata. Myślę, że jakoś się dowiedział, kiedy ja byłam na koncercie w Albany.

- W tamtą niedzielą noc.

- Właśnie. No. Wie pani, ona tamtego dnia została ochrzczona, a tata nie poszedł na uroczystość. Wiem, że była na niego trochę za to zła. Trochę rozczarowana. I może więc tamtego wieczoru rozmawiali o chrzcie i ona mówiła o Stephenie i to jakoś wyszło.

Rozważałam, czy wyznanie o romansie może tak jakoś wyjść. I o ile wydawało mi się to mało prawdopodobne, uważałam, że domysły Katie są słuszne: możliwe, że jeśli Alice była zła na George'a, że nie poszedł na uroczystość, która dla niej chyba dużo znaczyła - na rytuał odprawiany przez jej byłego kochanka - to kiedy ostatnia w ich życiu awantura przybrała na sile, wyznała mu, że miała romans z pastorem. Może powiedziała George'owi, że kochała tamtego mężczyznę. Ale dlaczego on nie pognął do Stephena, jeśli tak to wyglądało? Dlaczego nie chwycił broni i nie poszedł do kościoła albo na plebanię po uduszeniu żony?

- Ale dopóki się nie dowiedział, o ile w ogóle się dowiedział - powiedziałam ostrożnie - fakt, że twoja mama i Stephen się odnaleźli, poprawił stosunki między twoją mamą a tatą. W każdym razie na jakiś czas. To właśnie sugerowałaś, tak?

Kiwnęła głową.

- Na jakiś czas. Może dlatego, że ona była trochę bardziej pewna siebie. Ale to nie trwało długo. Nie wiem. W lipcu znowu się awanturowali. No, tata się awanturował.

- Co czujesz do Stephena?

- Teraz?

- Tak, teraz.

- To dla mnie pokręcone. No wie pani, jak by się pani czuła, gdyby się pani dowiedziała po tym, jak pani tata zabił mamę, że ona miała romans z proboszczem? Mogłaby się pani strasznie na niego wkurzyć. Mogłaby sobie pani pomyśleć, że halo, czy dlatego właśnie moja mama nie żyje? Ale potem może by pani tak nie myślała. Może by pani tylko myślała o tym, ile szczęścia on dał pani mamie. Wie pani, może tata i tak by zabił mamę, i pomyślałaby pani, że no cóż, przynajmniej pastor dał jej chwilę szczęścia.

- Ale zakładasz, że pastor dał jej chwilę szczęścia. Że nie złamał jej serca.

- A pani złamał? - Już prawie dotarliśmy z powrotem do wejścia do szkoły. Odniosłam wrażenie, że Katie zadała to pytanie szybko, bo gdybyśmy się znalazły w budynku

pośród tych wszystkich uczniów i nauczycieli, nie ośmieliłaby się. I tak jednak się zatrzymałam. Ostrożnie objęłam ją ramieniem, zastanawiając się, jak zareaguje na mój dotyk. Ale jej mięśnie się nie napięły i pozwoliła, żeby jej drobne ciało oparło się na mnie przez chwilę.

- Uważaj na siebie - powiedziałam tylko.

- Ale w jakim sensie? Mam uważać na Stephena?

- Po prostu uważaj. Proszę. Obiecuj, że będziesz miała serce otwarte na anioły i zawsze będziesz na siebie uważać. - Potem podałam jej numer mojej komórki i powiedziałam, żeby dzwoniła do mnie, ilekroć będzie chciała.

PO KILKU GODZINACH stwierdziłam, że mam mdłości. Właśnie wyszłam z gabinetu patologa w Vermontie i przez długą chwilę siedziałam w samochodzie na szpitalnym parkingu. W środku było parno, bo wóz długo stał na słońcu z zamkniętymi oknami, więc otworzyłam je wszystkie i wcisnęłam mocno guzik odsuwający szyberdach. Nie w tym rzecz, że w kostnicy zobaczyłam coś specjalnie wstrząsającego - na półkach w chłodni leżały ciała starszych osób, które zmarły z przyczyn naturalnych tego dnia na szpitalnych oddziałach nad moją głową, a ich twarze wyglądały na wręcz błogie. Wyglądali, jakby spali głęboko i wygodnie na plecach pod niebieskimi szpitalnymi kocami. Raczej chodziło o to, że teraz mogłam sobie dokładnie wyobrazić, jak przeprowadzono sekcję zwłok moich rodziców. Niemal widziałam, jak lekarz medycyny sądowej w naszym zakątku Nowego Jorku umieścił każde z ich ciał na pochyłym stole stalowym - pochyłym ze względu na odpływ płynów - i drobiazgowo opisał na głos stan fizyczny każdego z moich rodziców. Nie wiedziałam, kto był pierwszy, ale nagle wyobraziłam sobie ciało mojej matki na stole, bo widziałam ją nagą w wannie, kiedy dotrzymywałam jej towarzystwa, gdy się kąpała, i w przebieralni w klubie. Jej twarz w moich myślach była nietknięta, ale wiedziałam, że w rzeczywistości wielka jej część została całkowicie zniszczona przez kulę. A potem zobaczyłam coś, co patolog vermoncki określił mianem cięcia sekcyjnego: cięcie w kształcie litery Y, rozciągające się od ramion przez mostek do kości łonowej. Cięcie, powiedział mi patolog, było głębokie - trzeba się przedrzeć przez powłoki brzuszne. Potem wszystkie te trzy wielkie płaty skóry się odciąga.

- Ten z klatki piersiowej - spytałam - odciąga się na twarz?

- Zgadza się - odrzekł spokojnie. - Skąd pani to wie?

Wzruszyłam ramionami.

- Z kursu w college'u. Naprawdę wiem niewiele.

Potem odcięte zostały żebra mojej matki i płat piersiowy się otwierał, tak że lekarz

mógł zbadać organy wewnętrzne pod spodem. Odcięto ich połączenia z ciałem i każdy ostrożnie analizowano i ważono. Jelita odsączono w zlewie, żeby zbadać resztki pokarmowe i odchody. Odnotowywano treść żołądkową. Zabezpieczano wycinki z większości organów i potem, w wypadku mojej matki, organy umieszczano z powrotem w zwłokach.

Pomyślałam o nazwach narzędzi, które wspomniał: piła. Skalpel. Dłuto.

- A mózg? - zastanowiłam się, bo nagle zdałam sobie sprawę, że rana od kuli mogła wpłynąć na sekcję mózgu. - Jak sposób śmierci mojej matki wpłynął na badanie mózgu?

- Cóż - zaczął patolog, najwyraźniej dobierając słowa z troską, by zminimalizować moje zażenowanie - to zależy od ustaleń pomiędzy patologiem a pani dorosłymi krewnymi: ciotką i wujem, może, albo pani dziadkami. Świeży mózg trudno zbadać, tak więc czasami umieszcza się go na dwa tygodnie w formalinie. Zależy, czego chcieli się dowiedzieć funkcjonariusze prowadzący śledztwo.

- Dwa tygodnie?

- Albo mniej.

- A więc możliwe, że moja matka została pochowana bez mózgu?

- Możliwe. Ale raczej mało prawdopodobne. Z tego co mi pani powiedziała o okolicznościach śmierci matki, zginęła ona od kuli. I pani ojciec zostawił przyznanie się do winy.

- Pewnego rodzaju - westchnęłam. Przez chwilę zastanawiałam się, po co w ogóle zadawano sobie trud przeprowadzenia autopsji ciał moich rodziców, skoro było boleśnie oczywiste, co się stało: ojciec zastrzelił matkę, a potem sam się powiesił.

Ale nagle zaświtało mi i przypomniałam sobie, podnosząc wzrok znad kierownicy na stare gotyckie budynki w kampusie uniwersyteckim sąsiadującym ze szpitalem i kostnicą: dla przypadkowego obserwatora było też raczej oczywiste, co się stało w lipcu w salonie Haywardów. Ale w rzeczywistości George Hayward nie zastrzelił się sam i to się stało jasne dopiero po tym, jak lekarz sądowy, z którym właśnie się spotkałam, przeprowadził sekcję jego ciała. Tak więc było równie ważne, aby ciała moich rodziców również zostały poddane autopsji.

- Jakiego koloru koszulę nocną miała na sobie Alice w chwili śmierci? - spytałam lekarza, wychodząc. - Pytam tak z ciekawości.

- To raczej była taka męska koszula nocna - odparł. - Sięgała ledwie do połowy uda.

- Była w kratę?

- Nie. Na pewno była jednolicie czerwona.

W CIĄGU TYGODNI PO powrocie do Nowego Jorku, po krótkiej wizycie w Vermoncie cały czas myślałam o Stephenie Drew. Nie tęskniłam za nim, jeśli chodzi o ścisłość. W końcu nasz związek choć był poważny, był też krótki. Ale zastanawiałam się nad tym, jak to moje zamiary, miłe po prostu, sprowadziły mnie na manowce. Początkowo miałam tylko nadzieję, że zapewnię mu poradę i pocieszenie. Chciałam zaoferować mu swoje doświadczenie i podzielić się dostępem do aniołów. Tymczasem błędnie odczytałam wszystko w tym człowieku i straciłam z oczu światło i skrzydła, które prowadziły mnie od tamtego wieczoru, kiedy omal nie odebrałam sobie życia. Tamtej jesieni upadły kapłan nie wydawał mi się nieodwracalnie stracony. Ale postrzegałam go jako zagrożenie dla ciszy i opanowania, które pomagają mi obcować z aniołami. I wiedziałam, że jeśli nasze drogi jeszcze się kiedyś skrzyżują, będzie mi wyjątkowo trudno mu zaufać.

Niemniej jednak często o nim myślałam. Jakże miało być inaczej? Skoro odwiedziła mnie w domu policja stanowa Vermontu.

Dzień po dniu stwierdzałam, że mam w głowie dwa światy. Jeden znam dobrze, drugi zbudowałam całkowicie ze swojej wyobraźni. Pierwszy obejmował wszystkie te dni i noce, które spędziłam ze Stephenem w Haverill, na Manhattanie i w Statler. Zamykałam drzwi i cała cyklorama naszych wspólnych przeżyć rozpościerała się przede mną. Znowu czułam ciepło jego ciała obok mnie i zapach jego skóry na szyi. Widziałam jego oczy i to, jak słuchał, kiedy mówiłam, że swoimi długimi, pięknymi palcami ułożonymi w wieżyczkę, niemal nieporuszenie. Przypominałam sobie historie, którymi się ze mną dzielił, i dźwięk jego głosu - kojącego jak ciepła kąpiel - i jak wierzyłam we wszystko, co mi mówił.

Drugi świat był dla mnie o wiele bardziej abstrakcyjny i zwykle trochę niepewny i płynny, ponieważ skonstruowałam go wyłącznie z rzeczy, które ludzie mi powiedzieli albo które wytworzyłam w wyobraźni. I ten świat był ostatnim dniem - ostatnimi godzinami - Alice i George'a Haywardów. Zaczynał się od chrztu w niedzielny poranek, z obrazami z fotografii cyfrowych, które zrobiła Ginny O'Brien i pokazała mi je na pogrzebie Alice. Ze stawem, opuszczonym, kiedy Stephen i ja go minęliśmy samochodem.

Nie, to się zaczęło jeszcze wcześniej. Wyobrażałam sobie, jak Alice ubiera się rano. Jak w swoim pokoju wybiera kostium kąpielowy o ósmej piętnaście albo trzydzieści. Może wpatruje się w swoje odbicie w długim lustrze, które wisiało po wewnętrznej stronie drzwi białej szafy w małżeńskiej sypialni. Z jej strony nie byłaby to próżność: w końcu miała nosić kostium przed całą kongregacją i musiała być pewna, że dzieło George'a zostanie dobrze ukryte. W tamtej chwili zostało jej jakieś dwanaście godzin życia.

Widziałam dokładnie jej wynurzenie z wód stawu. Jest mniej więcej jedenasta



trzydzieści. Pozostało jej dziewięć godzin. Widziałam, jak nakłada sobie sałatki makaronowej na papierowy talerzyk na potlaczu (a sałatka makaronowa była domysłem nieopartym na niczym, ponieważ nikt mi nie powiedział ani słowa o tym, co Alice jadła na tym poczęstunku). Jak zajmuje się ogrodem wczesnym popołudniem, w warzywniku na tyłach domu może piele grządki marchewki i zbiera strąki groszku i fasoli. Jak pędzi do sklepu tuż przed jego zamknięciem o piątej, żeby kupić przezroczysty pojemnik sałatki coleslaw: jej ostatni zakup na tym padole. Teraz już ma ledwie trzy godziny. Może trzy godziny i parę minut. Mniej, niż zajmuje mi podróż samochodem do siostry w Statler. Mniej, niż zajmowało mojej matce upieczenie indyka, kiedy byłam dzieckiem. I wreszcie nadchodzi jej ostatnia rozmowa telefoniczna z Ginny. Z silną, siostrzaną, opiekuńczą Ginny O'Brien (teraz smutną, przerażoną i wciąż zdruzgotaną Ginny O'Brien). Oto jej ostatnia na tym świecie rozmowa z kimkolwiek innym niż mężczyzna, który ją zabije. Miała już tylko minuty, chociaż ile dokładnie - nigdy się nie dowiemy. Lekarz sądowy w Vermoncie powiedział mi, że nie dało się określić dokładnie godziny śmierci. Ale było oczywiste, że czas, który jej pozostał, należało liczyć w minutach, nie w godzinach.

Obraz, do którego wciąż wracałam, wyglądał tak: Alice Hayward sama w swojej sypialni o ósmej trzydzieści rano, przygląda się swoim kształtom, nogom i piersiom w kostiumie kąpielowym. Dwanaście godzin. Pół dnia. Już miała wychodzić. Zastanawiałam się, co by zrobiła inaczej, gdyby wiedziała, że za kilkanaście godzin nie będzie żyła? Gdyby zasady były takie, że nie ma odwołania od jej nieuniknionego losu - nie mogła wyjechać, nie mogła znaleźć się gdzieś indziej w tamten niedzielny wieczór - ale rozumiałaby, że to jej ostatnie godziny na ziemi, jakie rozmowy by zainicjowała? Jakie przeżycia miałyby dla niej znaczenie? Jakiej rady udzieliłaby piętnastoletniej Katie?

Ale oczywiście nie wiedziała, co się na nią czai. Stephen przekonywał mnie, że wiedziała - że było dla niej jasne, że umrze, i że on z kolei powinien był coś zrobić. Powiedział, że mogła nie wiedzieć, że to się zdarzy w tamten niedzielny wieczór, ale była pewna, że wkrótce zginie z rąk męża. I rzeczywiście zginęła z jego rąk.

Niemniej jednak podawałam w wątpliwość, czy Alice rzeczywiście wiedziała, że jej śmierć nadchodzi. Awanturowała się z George'em. Walczyła. Nie poszła spokojnie do aniołów. I zgodnie z relacją Ginny, w tej ostatniej rozmowie telefonicznej nic nie sugerowało, że Alice była albo przerażona, albo przygnębiona. Żartowała nawet na temat George'a. Zinfantylizowała go przez telefon. I oczywiście Alice miała Katie. Wiedziałam, że gdybym ja miała dziecko, byłby to dla mnie wystarczający powód do życia. Codziennie jacyś rodzice popełniają samobójstwo, ale nic, czego się dowiedziałam albo co usłyszałam o Alice, nie

sugerowało, że była przygnębiona.

W rezultacie zaczęłam się zastanawiać, czy długie rozpaczliwe frazy Stephena o winie i nienawiści do samego siebie nie były tylko grą. Już. To była cała wskazówka, powiedział, to jedno słowo. Jej reakcja na chrzest. Coraz bardziej wydawało mi się prawdopodobne, że Stephen wymyślił to wszystko: słowo jako przepowiednię. Słowo jako wiadomość. Och, może i czuł się winny, i rzeczywiście trochę miał powody, bo Alice nie żyła. Ale nie zabił swojej byłej kochanki. Jeśli Stephen Drew naprawdę miał wyrzuty sumienia, to dlatego, że zostawił Alice jej losowi, kończąc ich romans, a potem po paru miesiącach zamordował jej męża.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

KIEDY ZADZWONIŁA MOJA komórka, byłam w domu, zwijałam matę do jogi. Na dworze padał deszcz, ale taki ciepły, babioletni deszcz; okna wychodzące na Greene Street zostawiłam otwarte. Skończyłam już codzienną porcję ćwiczeń jogi i byłam zadowolona, na tyle na ile mogłam w tych tygodniach: nie tak pogodna, jak zwykle, ale dzięki modlitwie i medytacji byłam pewna, że ostatecznie z mojej aury zniknie toksyczność, która powoduje, że widzę świat przez osłabiający smog. Czułam, że mój anioł jest ze mną i pilnuje, bym przetrwała tę dziwną jesień, tak jak dałam sobie radę z o wiele gorszymi kryzysami - duchowymi i fizycznymi - w swoim życiu.

- Cześć, Heather, to ja - powiedział cichy głos i od razu wiedziałam, że to Katie Hayward. Siadłam na leżance, żeby się skoncentrować. Spytałam, gdzie jest i jak jej się powodzi. W jej głosie usłyszałam lęk i od razu się zmartwiłam. Dzwoniła z pokoju, który teraz był sypialnią jej i Tiny w domu Cousinów, a lęk, który usłyszałam, wzbudził w niej, jak się okazało, kolejny sen, który miała ostatniej nocy i o którym myślała cały dzień w szkole. Sen - a ściślej mówiąc, koszmar - rozgrywał się w wieczór śmierci jej rodziców.

- Lula była w domu, a ciała mamy i taty leżały w salonie - mówiła Katie.

- Lula była w domu? W środku? - spytałam. Pamiętałam, że ktoś mi mówił, że pies znajdował się na zewnątrz, kiedy Ginny O'Brien przybyła w poniedziałkowy rano.

- Tak. I...

- Tak?

- Piła krew z głowy taty. Chłptała ją. Jakby podgryzała dziurę, przez którą wszedł pocisk. To obrzydliwe, prawda? Czuję się chora, gdy takie rzeczy przychodzą mi do głowy.

- Nie, wcale nie jesteś chora. Ale pamiętaj: Luli nie było w salonie. To był tylko sen. Lula pewnie całą noc spędziła na dworze. Rodzice ją wypuścili, zanim... zaczęli się kłócić.

- Ale właśnie w tym rzecz! Oni nie wypuszczali Luli! To był pies ze schroniska, zawsze miała lekkiego szmergla. Jak jakaś wariatka. Albo więc prowadziliśmy ją na smyczy,

albo wypuszczaliśmy, kiedy mogliśmy jej pilnować. Wie pani, musieliśmy na nią cały czas patrzeć. Nigdy nie robiliśmy czegoś takiego, żeby otwierać drzwi i po prostu ją wypuszczać. Nigdy. I jeszcze powiem, że tu u Tiny ona ani trochę się nie zmieniła. Nie ma mowy, żeby otworzyć drzwi i niech pies się załatwia. Myślę, że to jakiś cud, że ona siedziała na werandzie, kiedy Ginny następnego dnia dotarła do mojego domu.

Czy Katie zdawała sobie sprawę z konsekwencji swoich słów? Myślałam, że tak, co wyjaśniało płaczliwość w jej głosie. Nie byłam jednak pewna, więc przycisnęłam ją trochę mocniej.

- Twój ojciec pił, może on...

- On jej nie wypuścił. Nieważne, jak bardzo był pijany, nie wypuściłby jej. No wie pani, no dlaczego miałby to robić?

- Może twoja mama próbowała wyjść. I wtedy też wyszła Lula. Może po prostu wybiegła przez drzwi.

- Nie. To właśnie mnie w tym śnie zdziwiło. Choć ten sen był taki koszmarny, to dużo mi wyjaśnił. Wcześniej o tym nie pomyślałam: tamtej nocy ktoś inny wypuścił Lulę, albo celowo, albo przez pomyłkę. No, czasami, jeśli coś ją totalnie przeraziło, wyrywała po prostu przez drzwi. Ale musiałyby być naprawdę oszalała. Totalnie przerażona.

Sugestia, i żadna z nas nie mówiła nic przez chwilę, brzmiała tak, że ktokolwiek zabił jej ojca - zakładając, że on nie zabił się sam - wypuścił psa.

- Czy Lula kiedykolwiek przestraszyła się twojego ojca? - spytałam.

- W życiu. Traktował Lulę o wiele lepiej niż mamę.

- Ale pewnie bała się obcych?

- Bała się mężczyzn, oprócz taty, który ją jakoś do siebie przekonał. Ale inni faceci przerażali ją śmiertelnie. Nawet Stephen.

- Dlaczego mówisz, że nawet?

- Oj, no bo on jest kapłanem. Wie pani, niesie pokój, te rzeczy.

- Myślisz, że Stephen był w waszym domu tamtej nocy? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Sprzedają dom, wie pani. Pieniądze pójdą na mój college.

Powtórzyłam pytanie:

- Myślisz, że Stephen był w waszym domu w niedzielę w nocy?

- Tak.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo Lula była na dworze.

- Musi być w tym coś więcej.

Wypuściła powietrze tak głośno, że słyszałam to wyraźnie nawet przez telefon.

- Pamięta pani, jak zadzwoniła do mnie po wizycie u koronera? - spytała po chwili. - Powiedziała pani, że on mówił, że mama miała na sobie czerwoną koszulę nocną.

- Tak?

- Widzi pani, ja nie wiem, czy to w ogóle tak było. Ale ciągle o tym dużo myślę. Kiedy mama wyrzuciła tatę zeszłej zimy, on nie wziął ze sobą pistoletu. Narobił wokół tego dużo szumu. Moja mama nawet nie chciała go dotykać, ale on się uparł, żeby go trzymała, bo miała być jedynym rodzicem w domu pilnującym mnie. A nasz dom stoi tak trochę na pustkowiu. Dwie samotne kobiety i takie tam. Zostawił jej więc pistolet i kule i pojechał nad jezioro. A mama wsadziła pistolet do jednego z tych wielkich plastikowych pudeł, w których trzymała ubrania na zmianę. Na zimę wsadzała tam letnie ubrania, a na lato zimowe. I o ile wiem, w lipcu pistolet wciąż znajdował się w jednym z pojemników, mimo że miejsce letnich ubrań zajęły zimowe. Trzymała pistolet tam, gdzie był. Rozumie pani?

- Mów dalej - odparłam po prostu.

- Cóż, oto w czym rzecz: nie sądzę, żeby Stephen widział kiedykolwiek moją mamę w jej kraciastej koszuli nocnej. Zimowej. No bo wie pani, jeśli oni ze sobą sypiali, to w ciągu dnia, kiedy byłam w szkole, bo na pewno nie robili tego wieczorem, kiedy byłam w domu. A ona by na pewno nie chodziła w koszuli nocnej o powiedzmy jedenastej w południe albo kiedy wracała z nim z banku. Miałaby na sobie ubrania. Normalne ubrania albo służbowe. Ale ubrania. Poza tym ta koszula nocna jest taka trochę niechlujna. Ma cudaczne rozdarcia i plamy po kawie. Mama naprawdę ją lubiła. Ale na pewno w życiu by nie pozwoliła, żeby widział ją w niej ktokolwiek oprócz taty albo mnie. Zwłaszcza...

- Zwłaszcza?

- Jestem dziewicą, powiem dla jasności, jestem dziewicą. Ale nie jestem totalnie zielona. I wiem, że jeśli ktoś idzie do łóżka z facetem pierwsze kilka razy, to chce wyglądać jak najbardziej odłotowo, nawet jeśli jest... hm... w średnim wieku. I znam moją mamę. Nie ma mowy, żeby kiedykolwiek pozwoliła Stephenowi, żeby ją zobaczył w tej kraciastej flanelowej koszuli.

- Sugerujesz więc, że Stephen zobaczył tę koszulę dopiero wtedy, kiedy sięgnął po pistolet?

- Nie wiem, co sugeruję - odparła, a mówiła głosem coraz bardziej ożywionym, coraz bardziej niecierpliwym. - Ale po prostu nie mam pojęcia, skąd Stephen mógłby dowiedzieć się o tej koszuli, jeśli nie w ten sposób.

- Orientujesz się, czy on wiedział, że pistolet jest w jednym z tych pojemników? Czy mama kiedykolwiek ci mówiła, że powiedziała mu, że trzyma pistolet właśnie tam?

- Mówi pani jak śledczy.

- Przepraszam. Ale trochę kręci mi się w głowie. Mówiłaś to policji?

- Nie pytali mnie o pistolet. Ani o Lulę. I dopiero kiedy Lula mi się przyśniła, przyszło mi do głowy to wszystko z tą koszulą. Widzi pani, w tym śnie mama miała na sobie tę śmieszna kraciatą koszulę. I pod wpływem tego obrazu cała reszta zrobiła się bardzo, bardzo jasna.

- Powiem ci trzy rzeczy. Przede wszystkim, dorośli są dziwni i czasami bardzo szybko się do siebie przyzwyczajają. Twoja mama i Stephen mieli romans zimą. Więc nie wykluczyłabym całkowicie pomysłu, że twoja mama nosiła przy nim w którymś momencie tę niechlujną kraciatą koszulę. Potem, pośród tego wszystkiego, czego Stephen teraz doświadcza, pomyliły mu się koszule, kiedy z tobą rozmawiał. Ale po drugie: może rzeczywiście na coś wpadłaś i powinnaś podzielić się swoimi domysłami z policją. Ja bym do nich zadzwoniła - i jeśli zechcesz, zrobię to bez problemu. Ale i tak potem będą chcieli rozmawiać z tobą, możesz więc równie dobrze sama do nich zadzwonić. Zadzwoni do tego stanowego policjanta, który nas przesłuchiwał, albo do zastępcy prokuratora stanowego. Ona ma chyba na imię Catherine. Zdobę dla ciebie numery do nich obojga albo Josie to zrobi. Kuratorka. Niech oni sami zdecydują, czy coś w tym jest.

- A po trzecie? Mówiła pani, że powie mi trzy rzeczy.

- Nie mów nikomu innemu tego, co mi powiedziałaś.

- Nawet Tinie czy Ginny?

- Nawet Tinie czy Ginny - odparłam. A potem, ponieważ nie chciałam nic zostawiać przypadkowi, jeśli chodzi o bezpieczeństwo Katie Hayward, dodałam: - Ani Stephenowi. Pod żadnym pozorem nie mów Stephenowi tego, co właśnie mi powiedziałaś.

- Och, oczywiście, to ostatnia osoba, której bym to powiedziała.

TEJ JESIENI ZACZEŁAM czytać vermonckie gazety on-line. Zaglądałam do nich codziennie, żeby sprawdzić, czy są jakieś niusy o Stephenie albo jakieś przytoczenia wypowiedzi jego adwokata Aarona Lamba\* - to nazwisko chwilami wydawało mi się odpowiednie, a chwilami ironiczne. Chciałam sprawdzić, czy rewelacje Katie na temat pistoletu i koszuli nocnej pojawią się w gazetach, ale się nie pojawiły. Moja przyjaciółka, nowojorska prawniczka,

---

\* *Lamb* (ang.) - owca, owieczka, także synonim osoby łatwowernej i potulnej (przyp. tłum.).

powiedziała, że dopóki sprawa nie trafi do sądu, nie przeczytam o nich. Ale że to nie oznacza, że informacji nie wykorzystano w śledztwie przeciwko Stephenowi Drew albo że śledczy nie próbują (jej słowa) przycisnąć teraz już oficjalnie byłego pastora. Ale dodała, że z tego wszystkiego, co jej powiedziałam, obstawia, że o ile nie powiążą go z pistoletem, to sformułowanie aktu oskarżenia jest mało prawdopodobne.

- Ale to jest takie oczywiste, że on to zrobił - powiedziałam jej pewnego wieczoru nad kieliszkiem wina w barze na South Street Seaport zaraz po weekendzie Columbus Day. Na dworze buty biznesmenów i biznesmerek stukotały po bruku, a oni sami jak jeden mąż rozmawiali przez zestawy słuchawkowe swoich palmtopów.

- No, może to oczywiste dla ciebie - poprawiła mnie. - Ale mnie się zdaje, że o ile on sam się nie przyzna, wywinie się z tego.

Zastanawiałam się, czy zadzwonić do policjanta stanowego z Vermontu, tego który mnie przesłuchiwał, i czasami przyłapywałam się na zabawie jego wizytówką, którą z powodów nie do końca dla mnie jasnych ciągle trzymałam w torebce. Zastanawiałam się, czy nie złożyć kolejnych, drugich, zeznań, ale co jeszcze tak naprawdę mogłam powiedzieć? Stephen nie przyznał się do winy przede mną i nie powiedział mi nic, co mogłabym dodać. Mogłam się upewnić, że Katie podzieliła się swoimi pomysłami ze śledczymi, ale w sumie nie miałam cienia wątpliwości, że tak. Wiedzieli już o pistolecie, koszuli nocnej i psie.

Stephen próbował pogodzić się ze mną tej jesieni, ale tylko raz bardzo się starał. Dzwonił dwukrotnie i zostawił wiadomości, i raz e-maila z pytaniem, czy jest jakaś szansa, żebyśmy porozmawiali. Wiadomości nie były nieszczerze, ale nie były też żarliwe. Raczej trochę chłodne i trochę potulne. Tylko raz podjął wysiłek, w którym dostrzegłam opalizację unoszącą się jak aureola pośród aury, ale to szybko uleciało. To zdarzenie dotyczyło odręcznie napisanego liściku, który mi przysłał na żółtym prawniczym papierze. W każdym wersie zmieścił tyle maleńkich i równych literek, że zastanawiałam się, czy zrobił sobie konkurs, ile słów zmieści na stronie. Na początek powtórzył po raz kolejny, że powinnam przynajmniej jeszcze raz się z nim zobaczyć. Twarzą w twarz. Aby sprawdzić, jak się czujemy w swojej obecności, zobaczyć, czy pozostał cień ognia, który kiedyś czuliśmy. Wyprowadził się już z plebanii i wynajmował mieszkanie w Bennington, pozostanie tam, zanim zdecyduje, co dalej w życiu robić. Nigdy nie przyjechał po prostu i nie powiedział, że jest pewien, że nigdy nie zostanie skazany za morderstwo, ale wydawało mi się, że tak właśnie się zachowuje. Myślę, że przeniósł się do Bennington, a nie gdzie indziej, żeby obnosić się ze swoją wolnością przed tą samą instytucją, która chciała go aresztować. Niemniej jednak jasne było, że nie zamierzał się tam osiedlić na stałe. Powiedział, że

wynajem jest krótkoterminowy, bo rozważa przeniesienie się na Manhattan, gdzie poszuka nowej pracy. Napisał, że może zostanie pracownikiem socjalnym i w razie konieczności wróci do szkoły, żeby zrobić dyplom w tej dziedzinie. Twierdził, że chce pracować z bezdomnymi. Widział siebie, jak zakasuje rękawy i wykonuje taką dokładnie pracę, którą powinien był wykonywać, kiedy prowadził parafię. Upierał się, że to nie pokuta. Zarazem miał mnóstwo informacji i z początku wydawało mi się to dość schematyczne. Nagle jednak dotarłam do akapitu, w którym dostrzegłam, że jego opanowanie się chwieje: „Jeśli dociągnę do osiemdziesiątki, to ciekawe, kto się ze mną obejrzy na ślady stóp, które zostawiłem na plaży. Przypuszczam, że sam będę się w nie wpatrywał i że będzie tych śladów tylko jeden komplet. To nie jest kolejna prośba, żebyś mnie wysłuchała (z tym już skończyłem), ani prośba spowita w najprzejrzystszy woal, żebyś przemyślała ponownie swoje odejście. Ja po prostu uznaję, że mam chyba skłonność do otaczania się murem przed innymi i że ta skłonność może koniec końców obrócić się przeciwko mnie”. Może wykazałabym więcej współczucia, gdyby napisał „obawiam się” zamiast „mam chyba”. Ale nie napisał. Stephen Drew naprawdę nie znał strachu i jeśli kiedykolwiek przejawiał jakąkolwiek wrażliwość, to maskował ją już w chwili, gdy zrozumiał, co zrobił.

Nigdy nie odpowiedziałam na jego telefony ani listy, aż wreszcie przestały przychodzić. Jak wszystkie rzeczy śmiertelne, po prostu zniknęły.

TO AMANDA POWIEDZIAŁA mi najbardziej stanowczo, że jestem śmieszna, jeśli chodzi o Stephena. Przyjechała do Nowego Jorku spotkać się z właścicielem galerii kupującym ptaki Normana, i podobnie jak podczas wszystkich swoich wizyt w mieście, nocowała na leżance w moim łofcie. Wieczorem, paląc papierosa i popijając napój dietetyczny rozwodniony topiącym się lodem, powiedziała:

- Za dużo wzięłaś z kłótni naszych rodziców. Za dużo myślisz o awanturach, które ta dziewczyna musiała widzieć przez lata w Vermoncie. Szukasz pretekstu, żeby się nie związać.

Miała na sobie luźną sukienkę do pół uda i granatowy sweter. Ale widziałam po jej kolanach, że odrobinę przybrała na wadze. Nie dużo, ale zawsze coś. Zdecydowanie była w lepszej fazie niż w sierpniu. Jakoś się dowiedziała, że dzwoniłam i do jej terapeuty, i do dietetyka, ale nie była na mnie zła. Jej włosy odzyskały trochę naturalnego blasku.

- Sypiał z Alice Hayward i nie powiedział mi o tym - przypominałam jej.

- I co? Pomyśl o tych wszystkich aniołach i demonach, z którymi ty sypiałaś.

- I zabił człowieka.



- Zabił człowieka, który całe lata znęcał się nad żoną i wreszcie udusił ją gołymi rękoma. Niezbyt wielka strata dla ludzkości.

- Nigdy nie czułabym się przy nim bezpiecznie.

- Za dużo czasu spędzasz, przeżywając na nowo nasze dzieciństwo.

- Zabawne. Powiedziałam Katie Hayward coś wręcz przeciwnego. Powiedziałam jej, że nie.

- A ostatnio przeżywasz nie tylko nasze. Jej również.

- Jej? Katie?

- Tak, tej sieroty. Dziecka.

Zastanowiłam się nad tym.

- W zasadzie wydaje mi się, że najwięcej myślę o Alice.

- Może. Ale znam cię. Zafiksowałaś się na Haywardach i zafiksowałaś się na Laurentach. Pomyśl o nas. O tobie i o mnie i... nie wiem... o tamtej nocy. O tamtej nocy, kiedy się kuliłyśmy za kanapą w salonie.

Napiłam się wina. Oto wspomnienie, którego nigdy się nie pozbędę, choćbym nie wiadomo jak się starała. Byłam wtedy w trzeciej klasie, więc Amanda w piątej. Był weekend, pewnie sobotnia noc. Nasi rodzice pojechali do kogoś z wizytą i ojciec właśnie wrócił po odwiezieniu niani. Oboje byli bardzo pijani, i nad opiekunką musiał tej nocy czuwać anioł, bo nie wyobrażam sobie, jak inaczej przeżyłaby sześć kilometrów jazdy do domu. Mama ucałowała nas obie niedbale, kiedy zameldowała się w naszych sypialniach, przypadkowo budząc nas obie swoją niezdarnością, a potem niepewnym krokiem zeszła po schodach na dół. Nie zamierzałyśmy z Amandą wychodzić z łóżek po powrocie rodziców, ale usłyszałyśmy cichy łoskot i poszłyśmy sprawdzić, o co chodzi. Zobaczyłyśmy, że matka już wstała po upadku. Stała w kuchni pomiędzy zlewem a zmywarką, opierając się o blat w kolorze skamieliny. W ręku trzymała szklankę do soku, częściowo napełnioną szkoocką. Była w swoim świecie i nie zdawała sobie sprawy, że na nią patrzymy. Kiedy usłyszałyśmy, że ojciec wjeżdża na podjazd, zatrzymuje się z piskiem opon i roztrzaskuje jeden z drewnianych paneli drzwi garażowych zderzakiem samochodu, instynkt kazał mi pędem wracać na górę, do siebie, ale Amanda chwyciła mnie za nadgarstek i zaciągnęła do salonu.

Ich awantura tego wieczoru dotyczyła picia matki. W każdym razie to właśnie na poziomie najbardziej oczywistym spowodowało atak ojca. Niewątpliwie był też na siebie wściekły, że zniszczył drzwi garażowe. Oczekiwałam, że matka mu się odszczeka, zauważając, że sam nie jest abstynentem, ale ona tylko wywlokła jakąś kobietę z jego biura, z którą, jak sugerowała, miał romans. Oczywiście nie mam wątpliwości, że posłużyła się

słownictwem o wiele bardziej soczystym i barwnym, niż przytaczam. Wystarczająco wyjątkowym i barwnym, żeby on powiedział, że robi z gęby rynsztok i że trudno mu uwierzyć, że kiedykolwiek ją pocałował, czy też (i Amanda obstawała, że nie zmyśliłyśmy tego, że nasz ojciec naprawdę tak powiedział) wsadził w jej usta swojego członka, i tu znowu - nie użył tak beznamiętnego słowa jak „członek”.

Z początku podsłuchiwałyśmy awanturę rodziców, siedząc na oparciu kanapy, ale kiedy usłyszałyśmy plask dłoni uderzającej w jego policzek, a potem pomruk, kiedy pięścią uderzył ją mocno w (dowiemy się później) brzuch, skoczyłyśmy za oparcie i schowałyśmy się pod stolikiem stojącym przy kanapie. Chwilę później nasi rodzice przenieśli się z kuchni do salonu. W dorosłym życiu wiele razy analizowałyśmy z Amandą to, co się stało później, próbując pojąć, co usłyszałyśmy albo wydawało nam się, że słyszymy, w świetle zdobytej wiedzy o pogmatwanym i niepokojącym świecie przemocy i seksualności dorosłych. Czy tamtej nocy na poduszkach kanapy nasz ojciec odbył z matką stosunek analny wbrew jej woli? Czy kiedy bardzo starał się ją skrzywdzić, ona go spytała, czy robił to też swojej dziewczynie? Czy on odparł, kiedy kanapa zepchnęła stolik pod ścianę i prawie krzyknęłam, gdy jedna z drewnianych nóg oddarła pasek skóry z mojego małego palca, że kompletnie nie nadaje się na matkę i dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby przez te wszystkie lata rznął ją tylko w ten sposób?

- Wiesz - mówiła teraz Amanda - ci policjanci stanowi zachowywali się, jakby podejrzewali Normana i mnie.

- Was? Dlaczego?

- No, nie mamy najlepszej prezencji, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Myślałam, że sprawdzają tylko wersję Stephen'a i moją.

Zakrztusiła się i wzięła łyżeczek napoju. Zauważyłam, jak ostrożnie go smakuje, i uznałam, że ma taki zwyczaj od picia napojów, które mogą rzeczywiście zawierać kalorie. Opróżniłam drugi kieliszek wina, a ona ledwie napoczęła swój pierwszy napój.

- No sprawdzali. Ale kiedy się natykasz na gościa z pełną kartoteką, który jest równie mało uspołeczniony jak mój Norman, i kobietę z moimi - tu przerwała, ostrożnie dobierając słowa - problemami, myślisz, że są zdolni do wszystkiego. Do wszystkiego złego, oczywiście.

Jak już ojciec skończył z matką, uderzył ją po raz ostatni w tyłek, a dźwięk tego uderzenia aż odbił się echem. Później pomyślałam, że jego też musiała zabołec ręka. Amanda i ja nie poszłyśmy na górę, póki matka nie popłynęła chybotliwym krokiem do łazienki (do damskiej toalety, w jej języku), żeby się doprowadzić do porządku. Poruszałyśmy się szybko, ale bezszelestnie, ponieważ rozumiałyśmy, że żaden rodzic nigdy nie może się dowiedzieć, że

byłyśmy świadkami tej sceny. Następnego ranka na dywaniku przed kanapą znajdowała się krwawa plamka Roschacha - może liść, może dębowy - a pokrowiec z jednej poduchy trafił do prania.

- Wiedziałam, że uważają, że ja jestem w to wplątana - powiedziałam. - Ale wy? To jakiś absurd.

Wzruszyła ramionami.

- Może. Ale wyobrażam sobie, jak patrzą na ciebie czy na mnie. Spójrzmy prawdzie w oczy: obie jesteśmy niezłe pogruchotane.

Miała na myśli skrzywdzenie? Możliwe. Ale wiedziała, że ja nie uważam siebie za bardziej pogruchotaną niż większość śmiertelników. Wiedziała, że czerpię pociechę z bliskości aniołów. Kiedy milczałam, niepewna, jak zareagować, moja starsza siostra ciągnęła:

- Poważnie, Heather, tylko dlatego, że małżeństwo naszych rodziców było katastrofą pod każdym możliwym względem, nie powinnaś zakładać, że wszystkie związki takie są. Moja rada? Mniej czasu spędzaj z cherubinami i serafinami. Więcej z prawdziwymi ludźmi.

- To ty mieszkasz w lesie z najcichszym człowiekiem na świecie - przypomniałam jej.

- I jestem chodzącą katastrofą. Dla nikogo nie jestem wzorem do naśladowania, a na pewno nie dla ciebie. Ale dopóki po raz kolejny nie uciekłaś przed związkiem, który zapewne byłby do znudzenia normalny, może nawet zdrowy, zakładałam, że radzisz sobie o wiele lepiej niż ja.

W moim związku ze Stephenem Drew nigdy nie było nic normalnego ani zdrowego, ale tego wieczoru ani myślałam spierać się z Amandą. Pamiętałam tamten wtorek pod koniec lipca, kiedy go poznałam: początkowo myślałam, że poszłam się spotkać z pastorem w małym wiejskim kościółku, ponieważ po lekturze artykułu w gazecie wydawał mi się tak zagubiony i zakładałam, że moja historia może mu pomóc. Pomóc jego parafianom. Dopiero później przyznam przed sobą, że moja motywacja była nieco inna - albo przynajmniej bardziej skomplikowana. Tamtego popołudnia w pewien sposób ściągnął mnie do Haverill nieubłagany ciężar wspomnień. Moje własne niezgłębione blizny. Choćbyśmy nie wiadomo jak się starali, na zawsze zostaniemy tymi małymi zranionymi istotami, którymi byliśmy, kiedy mieliśmy pięć, sześć, siedem lat. Kiedy chodziliśmy do szkoły podstawowej i chowaliśmy się za kanapą. Dlatego właśnie potrzebujemy aniołów.

I coś jeszcze wykluczało wszelki związek ze Stephenem: ten drobny szczegół, że był zdolny do morderstwa. Rozumiałam uzasadnienie i pojmo wałam wściekłość, która musiała go ogarnąć, kiedy zobaczył to, co zobaczył - że jego była kochanka leży martwa na podłodze w koszuli nocnej. Nie byłam z kamienia. Ale wiedziałam też, że już nigdy nie chcę mieć z nim

nic wspólnego.

**CZEŚĆ IV**

**KATIE HAYWARD**

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

AWANTURY SĄ STRASZNE, ale milczenie może być jeszcze gorsze. Nikt tak nie umiał milczeć jak mama i tata. Zwłaszcza mama. Jak wyciszony telewizor plazmowy. Ona w taki właśnie sposób się awanturowała, a tatę to doprowadzało do szału. Bo problem polegał na tym, że kiedy on już ją uderzył, cały był skruszony i smutny i chciał jej to wynagrodzić. Śniadanie do łóżka, siedział z nią na kanapie i oglądał wszystko, co chciała - nawet powtórki *Seksu w wielkim mieście* (którego szczerze nie cierpiał), jeśli akurat leciały. I wtedy właśnie mama siedziała za kierownicą. Oczywiście, to także znaczyło, że awantura mogła się ciągnąć całymi dniami. Tata uderzał mamę, mama milkła, a tata przechodził od skruchy do wściekłości. Niezbyt obiecujący cykl, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Cóż, mieli znajomych. Tata miał swoich kumpli w ochotniczej straży pożarnej i ludzi, którzy pracowali w jego sklepach i jego restauracji. Myślę, że pewnie był całkiem dobrym szefem. Mama też miała kumpele. Niektórzy ludzie mówili, że tata zabrał mamie przyjaciółki i niewątpliwie absolutnie sobie nie życzył, żeby się zadawała z pewnymi kobietami. To prawda. Ale nie zakazał jej widywania się ze wszystkimi. Mama wciąż miała swoje wapniaczki w Kole Kobiet i Ginny O'Brien - która także należała do Koła Kobiet, ale do wapniaczki brakowało jej kilku pokoleń. A Ginny zrobiłaby dla mamy wszystko. Wszystko. I pewnie miała też koleżanki w banku. Ale rzecz w tym: nawet gdyby moja mama miała zatręsenie kumpelek, za żadne skarby nie chciałyby, żeby wiedziały, że jej małżeństwo jest kompletną porażką, a ona, jakby nie było, totalną ofiarą. Totalnym nieudacznikiem - bo nie była nieudacznikiem, w każdym razie moim zdaniem. To było naprawdę oczywiste, kiedy odwiedzałam ją w banku w sobotnie poranki, co robiłam dość często, dopóki byłam w gimnazjum, ponieważ bank znajdował się w pobliżu sklepów i w ten sposób miałam okazję wyrwać się z Haverill. Widziałam ją z kasjerkami i facetem o nazwisku Frank Albertson, który zajmował się tam kredytami dla firm. Była totalnie profesjonalna. Zupełnie inna niż w domu. Szkoda, że nie wiedziała, jaka jest dobra.

Czasami myślę, że mama znosiła mnóstwo najgorszych okropności taty, bo bała się, że gdyby się kiedykolwiek porobiło zupełnie potwornie - zbyt brutalnie - obie wyładowałybyśmy w schronisku. Kilka razy niewiele brakowało. Czasami mama rozmawiała o pójściu do Ginny, ale nigdy nie poszłyśmy, bo ona się bała wciągać rodzinę przyjaciółki w nasz koszmar. Myślę, że obawiała się, co ludzie pomyślą, gdy wszystko wyjdzie na jaw. Na przykład jak by to świadczyło o niej jako matce i żonie, że znosiła tak długo takie gównno? I pewnie wyobrażała sobie, że gdybyśmy spędziły choćby jedną noc z Ginny albo choćby jedną noc w schronisku, nie byłoby już powrotu. Oznaczałoby to koniec małżeństwa. I jak o tym myślę, wiem, to dziwne, ale wydaje mi się, że nie była na to gotowa. Naprawdę. Nie wiem, co mamie napędzało większego stracha: lęk, że upadła tak nisko, że będzie musiała mieszkać z dzieckiem w schronisku dla maltretowanych kobiet, czy myśl, że we własnym domu musi się mieć na baczności i nikt się o tym nie dowie.

KURATORZY I TERAPEUCI, WSZYSCY jak jeden mąż chcieli wiedzieć, czy tata kiedykolwiek mnie uderzył. Odpowiem krótko: tak. Ale to skomplikowane. No bo żadne dziecko nie zasługuje na bicie, ale bystre nie tarabani się w środek takiego gówna, w które ja wlałam. Kiedy twoja mama i tata są w samym środku walki w klatce pod napięciem, ty trzymasz się z daleka, jeśli chcesz zachować zęby (to hiperbola, bo po pierwsze: w życiu nie widziałam prawdziwej walki w klatce, tylko nagrania z nich na YouTube, a po drugie: mam wszystkie zęby. Ojciec nigdy nie walnął mnie w usta). Dwukrotnie popełniłam ten błąd, że uznałam, że sama uratuję mamę, i w obu wypadkach zostałam pacnięta jak jedna z tych wielkich, powoli lecących much plujek, które mieliśmy na strychu. Gwoli sprawiedliwości, za pierwszym razem tata mnie walnął przez pomyłkę. Nie chciał tego zrobić. Miał taki swój specjalny nastrój, a ja nawet nie pamiętam już, co go rozwścieczyło, a mama płakała żałośnie. Byli u siebie w sypialni i słyszałam ich przez ściany, i byłam w kropce, i totalnie wściekła na niego. Może nawet wściekła na nich oboje, że w kółko powtarzają to samo, w kółko, w kółko, w kółko. Tak więc weszłam nawrzeszczyć na tatę. A byłam, wielkie mi halo, trzynastolatką i chyba zamierzałam mu powiedzieć, żeby wydorósł. Scena, na którą wkroczyłam, była naprawdę pojechana, ponieważ było po kolacji i on, jakby, się golił. Wiedziałam, że się martwi, że sklep z zabawkami zarabia za mało - nawet ja wiedziałam, że sklep, który sprzedaje głównie marionetki i drewniane zabawki w dobie, kiedy wszyscy pragną PlayStation albo Wii, to naprawdę kiepski pomysł - co oznaczało, że jest trochę zestresowany. Niemniej jednak nie miałam pojęcia, dlaczego się goli. Był także mocno narąbany. Dziwię się, że w ogóle rozpoznawał, który koniec maszynki należy przystawić do skóry. W każdym

razie weszłam z całą tą determinacją i moje wycucie czasu okazało się po prostu doskonale. Absolutnie doskonale. Brał zamach, żeby grzmotnąć mamę, która właśnie klęczała i błagała o diabli wiedzą co, a ja weszłam prosto na jego kłykcie, kiedy nimi machnął do tyłu, i przyjechałam je prosto na ucho. I powiem wam, że uszy są niewąsko unerwione. Pewnie komórki słuchowe nie. Ale ucho zewnętrzne? Wierzcie mi, boli jak diabli, a moje uszy dzwoniły godzinami. Zatoczyłam się na framugę i nagle, nie jestem pewna jak, skończyłam na podłodze, połową w sypialni, połową w łazience. Tata nawet z początku nie zdawał sobie sprawy, w co wałnął. Myślę, że uznał moją głowę za na przykład drzwi. Ale mama wiedziała i po prostu rzuciła się na niego, skoczyła na nogi jak pocisk, co oczywiście spowodowało, że rzucił ją na ziemię obok mnie. I wtedy tata spojrzał na mnie wzrokiem w rodzaju „O, a co ty tu robisz?”.

Drugim razem uderzył mnie celowo. Wydarzyło się to rok później i zaczęło do nas docierać, jak bardzo się nienawidzimy. Ja nienawidziłam go za to, co robił mamie, a on nienawidził mnie za to, że wiem, że jest żalonym, podłym dupkiem. I o to właśnie chodzi - wiedziałam, że jest żalony. Nie obchodzi mnie, jakie dobre miał sklepy czy restaurację. Moja mama nie była oferantką: on tak. Tak więc pewnie mną pogardzał. Ale, gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że tylko ten jeden raz uderzył mnie naumyślnie. Tak jak tamtego wieczoru, kiedy niechcący trafił mnie w łazience, jeszcze nie uderzył mamy. Ale wiedziałam, do czego to zmierza. Był piątek rano, a bank eksperymentował z dowolnym ubiorem w piątki, więc urzędnicy nie musieli wyglądać tak oficjalnie jak zwykle. Mama miała na sobie czarne dzinsy. Ładne dzinsy, zupełnie niemamowe. Były obcisłe i wyglądała w nich bardzo ładnie i bardzo młodo. Tata nie wiedział, że mama je ma. W każdym razie wyszedł wcześniej, żeby zagrać tego ranka w golfa, więc mama wymyśliła, że może je włożyć do pracy. Niestety, tata zapomniał butów do golfa, wrócił więc po nie i zobaczył, co mama ma na sobie. Jego głos przybrał ten upiorny, sarkastyczny ton „jestem twoim ojcem”. W takich chwilach niemal wydawało się, że mówi jak Brytyjczyk. I to zawsze był sygnał. Rozgrzewka. Wiadomo było, co się stanie. Mama i ja byłyśmy w kuchni, kiedy wrócił, ja jadłam Pop-Tart albo coś przy blacie i sprawdzałam, czy wepchnęłam do torby każdy segregator potrzebny mi tego dnia w szkole (w torbie zawsze miałam totalny bajzel). Mama natychmiast upuściła szminkę, którą trzymała w palcach, do torebki, kiedy on zaczął się ku niej nachylać. Jego buty do golfa miały takie metalowe ćwieki w podeszwach, a on chwycił jeden za czubek i trzymał go jak nóż. Kazał jej iść na górę do sypialni i włożyć ubrania, które nie będą kompromitowały jej, jego ani jego córki.

Tak więc powiedziałam, że dzinsy mamy na pewno mnie nie kompromitują.



Powiedziałam, że mi się podobają i moim zdaniem wygląda świetnie. Odwrócił się do mnie i syknął coś, że to nie jest moja sprawa i mam się zbierać do szkoły. Wzruszyłam ramionami i podtrzymałam torbę oburącz (i naprawdę musiałam to zrobić oburącz, ponieważ zawsze ważyła jakby tyle co skrzynka piwa, której ciężar, tak swoją drogą, znałam, ponieważ pomagałam mamie przy zakupach. Jak już tata zabił mamę, przez kilka miesięcy jarałam dużo trawy, ale nigdy nie piłam piwa. Zbyt tuczące. I za bardzo przypominało mi tatę). Powiedziałam mu, że jestem gotowa do szkoły. On zaś powiedział, że w takim wypadku powinnam iść. A mama też powiedziała, że powinnam iść, praktycznie wręcz błagała mnie, żebym wyszła z domu. Ale ja nie chciałam jej tak zostawiać. Zostawiać jej jemu. Powiedziałam więc tacie, że dzinsy mamy są fajne i żeby odpuścił. Powiedziałam, że się spóźni na pole i przypadnie mu rezerwacja. Mama jakby bełkotała coś o tym, jak to już idzie na górę się przebrać, już, i pędem obchodziła tatę tak, że była między kuchnią a schodami, i krzyknęła do mnie głosem, który był dziwnie radosny, zważywszy na to, co się działo, że nie chcę chyba się spóźnić na autobus. A ja pomyślałam, że pieprzyć autobus, to zaszło za daleko. I prawdę mówiąc, może nawet powiedziałam to na głos. Nie pamiętam dokładnie. Pamiętam tylko to, że ojciec spiorunował mnie wzrokiem i zmrużył oczy: wyglądał jak traszka. I nagle, ni stąd, ni zowąd, wbił mi w brzuch czubek buta golfowego. Nie bolało tak mocno i nie straciłam tchu, ale upuściłam torbę i zwinęłam się jak sprężyna. Mama krzyknęła, żeby przestał, ale nie musiała się martwić. On był absolutnie wstrząśnięty tym, co zrobił. Ogłuszyło go. Potem pokręcił głową z obrzydzeniem i powiedział, że jestem taką samą zdzirą jak mama i wyszedł z domu z butami golfowymi.

To był jedyny raz, kiedy mnie uderzył. I doprowadził do najdłuższej zimnej wojny, jaką moi rodzice kiedykolwiek prowadzili. Więcej czasu niż zwykle zajęła mu mobilizacja całego tego słodzenia i przepraszania, może dlatego, że nie miał szansy tamtego ranka dać upustu całej złości, która zawsze tliła się mu w duszy. No i tym razem musiał przeprosić również mnie. I zrobił to. Wylądowałam z nowym iPodem i stową na iTunes. Wydaje mi się, że minęło kilka miesięcy, zanim znowu uderzył mamę. Na pewno nie przed jesienią, tak mi się wydaje. Ale kiedy znowu zaczął, sprawy szybko się nakręciły, przez święta. Jestem zdumiona, że mama dopiero w lutym zebrała się na odwagę i zdobyła zakaz zbliżania się i wykopała go z domu. Nie w tym rzecz, że dopiero wtedy on stał się taki nie do wytrzymania i tak niesamowicie straszny. Rzecz w tym, że wtedy mama miała w życiu Stephena Drew.

MOJA MAMA W CZARNYCH dzinsach? Też mi kompromitacja.

Rzeczy, które wszyscy widzieli w mojej sypialni w tamten okropny poniedziałek w

lipcu, kiedy poszli po jakieś ubrania i tym podobne, żebym nie musiała wracać do domu? No to właśnie była kompromitacja. Tam w chaosie na moim łóżku i na podłodze leżało, lekko licząc, całe zoo pełne pluszowych zwierzaków. Króliczek, Elmo, biały miś. Kłapouchy do płakania na głos. Trzy lalki. Oczywiście nie bawię się już lalkami i to chyba odkąd skończyłam dziewięć lat. Ale nigdy się nie zebrałam, żeby je popakować do pudeł i zanieść na strych. Kiedyś mama zaproponowała, że zrobi to za mnie, a innym razem powiedziała, że jeśli zechcę, sprzedamy je na eBayu. Ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że Samantha, Addy i Kirsten pleśnią na strychu albo trafiają do jakiejś innej rodziny. Tak więc były tam wszystkie w moim pokoju, kiedy Stephen i Ginny, i wszyscy inni wpadli tam i zaczęli dotykać moich majtek, staników i kosmetyków. Owszem, widzieli trolle i zmywalne makijaże w jednej z moich szuflad, a w drugiej stringi i chłopięce szorty. Dla nich to może dziwaczne. Dla mnie krępujące. I owszem, to rzeczywiście było swego rodzaju pogwałcenie. W niedzielę nie przeszło mi przez głowę, że następnego dnia nie wrócę do domu.

Widzieli też biżuterię, którą mama dała mi w piątek. Kolczyki z rubinami i diamentami i perłowy naszyjnik jej babci. Wtedy nie zastanawiałam się zbyt nad tym. No, pewnie, ruszyło mnie. To najwyraźniej miała być jedna z ważnych chwil w relacji między matką a córką. W poniedziałek, gdyby nie zginęła, poszłybyśmy umieścić biżuterię w skrytce bankowej w jej banku, bo te klejnoty ponad wszelką wątpliwość cholernie nie pasowały do mojej szkatułki z kółkami za dziesięć dolarów.

Oczywiście dorośli nie przynieśli mi z pokoju połowy rzeczy, których naprawdę potrzebowałam. Świetnie im poszło w kwestii rzeczy niezbędnych: przywieźli mi na przykład wszystkie granatowe dzinsy, które posiadam, i jakieś siedemnaście par majtek. Znaleźli mój aparat na zęby (no cudownie). Do pudełka po butach nawkładali płyt CD (z których większość już wcześniej wgrałam na iPod). To w kwestii zachcianek pojawiły się pewne braki. Koszulki? Ani jednej ulubionej. I o wiele za dużo koszulek z długim rękawem, niż potrzebowałabym nawet w styczniu, z krótkim natomiast o wiele za mało. Do tego dwa swetry, których nigdy nie nosiłam (i nie zamierzałam nosić ani w lipcu, ani w sierpniu). I żadnego DVD moich ulubionych programów, które oglądałam latem na laptopie przed snem. I tylko z połowa rzeczy, których używam do oczyszczania cery, jak również absolutnie niewłaściwy podkład.

Ale Tina była niesamowita. Podobnie jak Ginny i mama Tiny, Carole. Tina podzieliła się ze mną wszystkimi swoimi rzeczami (i słowo „wszystkimi” nie jest ani trochę na wyrost), a Ginny i Carole cały czas wszystko mi wyczarowywały. Zupełnie jakby czytały w moich myślach. Jestem pewna, że Tina mówiła im, czego potrzebuję, ale i tak to było absolutnie

niesamowite. Ginny chciała być superbohaterem i rozwiązać wszystkie moje problemy. Myślę, że nie miała żalu, że wolałam mieszkać ze swoją przyjaciółką Tiną, ale widziałam też, że trochę jest rozczarowana, że nie wprowadziłam się do jej rodziny (czasami Tina uważała, że Ginny ma coś z dekletem w ostatnich miesiącach, ale przypominałam jej, że ta kobieta właśnie straciła najlepszą przyjaciółkę).

Niemniej jednak było to niewiarygodnie miłe ze strony Cousinów, że wzięli do siebie mnie oraz Lulę. No bo przecież nie musieli brać psa. A jednak wzięli. Nie byliśmy sobie z Lula jakoś nadzwyczajnie bliskie, ale mocno się zbliżyliśmy po śmierci mamy i taty. Wydawało się, że ona mnie potrzebuje o wiele bardziej, a ja pewnie potrzebowałam jej. Dawniej (i tak właśnie zaczęłam opisywać w myślach swoje życie sprzed niedzielnej nocy) sypiała w pokoju rodziców. Teraz spała w pokoju moim i Tiny, ze mną.

Z początku miałam naprawdę poczucie winy, że Tina nie ma już pokoju wyłącznie dla siebie. Ale ona powiedziała, że mam się tym nie przejmować. Powinnam na to patrzeć, jakbyśmy byli w college'u albo w internacie i mieszkały w jednym pokoju. Ojciec Tiny był inżynierem, ale hobbystycznie zajmował się stolarstwem i w swojej piwnicy miał warsztat, który wyglądał naprawdę poważnie. W sierpniu całkowicie przerobił szafę Tiny, dokładając mnóstwo półek i przepierzeń, i zbudował kącik z jeszcze większą liczbą półek nad jej biurkiem. Wniósł jej stolik nocny i zastąpił toaletkę węższą, a potem przywiózł ze starego domu moje łóżko i materac i zdołał wszystko wpasować do sypialni. Było ciasno, ale OK. Obie nauczyłyśmy się zasypiać z kimś jeszcze w pokoju. Z początku jej młodsze rodzeństwo, brat i siostra - Eddie był w trzeciej klasie, a Emily właśnie zaczynała gimnazjum - traktowało mnie, jakbym umierała na jakąś straszną chorobę, która mogła być zakaźna: byli dla mnie bardzo mili, ale trzymali się z daleka. Odzywali się do mnie jak najrzadziej. Dopiero kilka dni przed Halloween, kiedy pomogłam im wymyślić kostiumy i pokazałam Emily, że zdoła udawać syrenę, jeśli założy wrotki zamiast normalnych tenisówek (tak właśnie zrobili pływani ryb, kiedy wystawiali *Małą syrenkę* na Broadwayu), zaczęli postrzegać mnie jak kogoś, kto będzie częścią ich życia co najmniej przez następne dwa lata, a może i na zawsze.

Czy czułam się, jakbym się narzucała tej rodzinie? Bez dwóch zdań. Niemal się wycofałam z castingu do szkolnego przedstawienia, bo musieliby mnie dodatkowo wozić o dziwnych godzinach, ale oni nalegali, żebym nie rezygnowała. Więc nie zrezygnowałam. Staralam się jak najwięcej uczestniczyć w pracach domowych, czyli robiłam dokładnie odwrotnie niż w czasach, kiedy mieszkałam w domu. Myślę, że mój nowy zwyczaj w rodzaju ustawiania talerzy w zmywarce i ścielenia łóżka rano czasami doprowadzał Tinę do szału. Żartowała sobie ze mnie, że stawiam ją w złym świetle, ale wiedziałam, że w tych żartach

kryje się ziarno prawdziwych wyrzutów.

Ale Tina także wiedziała od szóstej klasy, co się dzieje w moim domu. Myślę, że wtedy właśnie zaczęłam mówić jej o tym, jakim totalnym kretynem jest mój tata i jakim jest dupkiem w stosunku do mamy. Myślę, że bardzo się cieszyła, że wyniosłam się z tego domu.

I jeszcze jedna dziwna sprawa: jestem pewna, że rodzice Tiny się kłócili. Tina mi powiedziała, że się kłóca. Ale ja nigdy tego nie widziałam. Ani razu. Podobnie jak ja uważałam, że muszę się przy nich zachowywać wzorowo, tak oni uważali, że muszą się przy mnie zachowywać wzorowo. Powiedziałam to Stephenowi w pewnym momencie we wrześniu, a on uraczył mnie pełnym zażenowania uśmiechem i wzruszył ramionami. Powiedział, że z tej strasznej niedzieli wyniknęła jedna dobra rzecz: wszyscy bardzo się staraliśmy być lepszymi ludźmi. Być dobrzy, być miłsi dla innych.

PRAWDĘ MÓWIĄC, TO Tina wpadła na pomysł, żebym sobie zrobiła tatuaż. I ona też, chociaż jej znajduje się tak blisko kości biodrowej, że widuje go tylko jej chłopak. Jest też dość mały. Przedstawia takie fantastyczne zwierzę, pół konia, pół smoka. Trochę ponad rok temu umarł jej koń. Była to piękna Appaloosa o imieniu Maggie. Weterynarz musiał ją uspić. A ponieważ Tina za kilka lat miała wyjechać do college'u, a jej rodzeństwo nie jeździło konno, rodzina nie kupiła nowego zwierzaka. Ale Tina tęskniła za Maggie, kiedy więc zdecydowałyśmy się na tatuaże, było naturalne, że jej przybrał postać niesamowicie wyglądającego konia, który prawdopodobnie miał być nieśmiertelny.

Poszliśmy do salonu w centrum Rutland, gdzie większość tatuaży robiła sobie Josie, moja kuratorka. To naprawdę nie było nic takiego. Chwila bólu o wiele mniejszego niż u Tiny, chociaż mój był o wiele większy. Koleś nie był ani trochę tak upiorny, jak się spodziewałam. Nie był w moim typie, ponieważ miał ogoloną głowę i tatuaże na całych ramionach i karku (i diabli wiedzą gdzie jeszcze), ale był bardzo miły. I miał świeży oddech. Musiał się żywić gumą miętową.

Największa różnica pomiędzy tatuażem Tiny i moim to ta, że ja chciałam taki, który by ludzie widzieli. Chciałam się z nim obnosić. Więc zrobiłam go sobie na ramieniu. Lewym. Zostało kilka dni sierpnia i wiedziałam, że nawet w Vermoncie jeszcze co najmniej przez miesiąc będę mogła nosić koszulki na ramiączkach. Mój tatuaż przedstawiał wielką, rozwiniętą różową różę i na moją prośbę artysta dodał łodyżkę, która ciągnęła się parę cali przez moje plecy, i kilka zielonych liści. Połączył dwa wzory.

Wybrałam kwiat, bo moja mama uwielbiała róże. Mieliśmy nawet w domu kilka krzaków dzikiej róży. Kwiaty kwitły naprawdę krótko, ale były śliczne. Kiedy mama umarła,

właśnie zaczęły opadać płatki.

W każdym razie mój tatuaż był jakby sprawdzianem, tak sobie myślę. Ile naprawdę ludzie dają mi luzu? Odpowiedź: od groma. Mogłam sobie wytatuować parę robiącą to na pieska (naprawdę ludzie sobie robią takie tatuaże), a wszyscy dorośli dokoła tylko by mnie obejmowali i mówili, że to bardzo eleganckie i jakież to mam szalenie dobry gust.

POGRZEB MOJEJ MAMY był zupełnie inny niż pogrzeb taty. Na pogrzeb mamy przyszły tłumy. Ludzie kłębili się na chórze i na dole, w świetlicy, gdzie jeden z członków zarządu ustawił wideo. Nie miałam pojęcia, ilu ludzi obchodzi moja mama albo ja - przyszło mnóstwo dzieciaków, z których część chyba postrzegала mnie jako totalnego głupka - i byłam naprawdę wzruszona. W pogrzebie taty, który odbył się kilka dni później w Buffalo, uczestniczyłam tylko ja, moi dziadkowie oraz ciotki i wujkowie z jego strony. Z jakichś powodów nie było nikogo z moich kuzynów. Było tak mało ludzi, że skorzystaliśmy z ciemnej kaplicy obok głównej świątyni, a i tak wszystko, co mówił kapłan, odbijało się echem jak w jaskini. Było bardzo upiornie. O ile pamiętam, kapłan mówił o wybaczeniu i zrozumieniu, ale myślę, że większość z nas była po prostu zbyt zawstydzona, żeby się bardzo przejmować. Bo wstydziliśmy się - w każdym razie ja się wstydziłam. Po prostu nie mogłam się doczekać, żeby wrócić do Vermontu. Stephen i ja rozmawialiśmy dużo trzy dni po śmierci moich rodziców, i jestem niemal pewna, że jako pierwsza w Haverill wiedziałam, że on wyjedzie, kiedy tylko będzie miał za sobą nabożeństwo mamy.

Muszę przyznać, że wiosną i latem, po tym jak on i mama przestali się spotykać po kryjomu, chwilami byłam na niego strasznie wkurzona. Z początku mówiłam ludziom, że nie wiedziałam o ich romansie. Ale wiedziałam. Nawet teraz nie jestem całkiem pewna, kto to zakończył. No bo tak - mama nigdy w zasadzie się przede mną nie przyznała, że w ogóle coś między nimi było, a Stephen przyznał tylko oględnie, kiedy spytałam go wprost po śmierci moich rodziców. Ale wiedziałam, co się dzieje. Wiedziałam, jak szczęśliwa z nim była mama. Czułam się jak w bajce, bo tata mieszkał wtedy nad jeziorem, a mama była szczęśliwa. Wyobrażałam sobie, że rodzice się rozwodzą, a mama wychodzi za Stephena i nikt już z niej nie robi worka treningowego. Nie zastanawiałam się zbyt intensywnie nad Stephenem Drew w roli mojego ojczyma, ponieważ chodziłam już do dziesiątej klasy i byłam o wiele za duża na wzruszanie się tematem nowej rodziny. Wtedy już odliczałam dni do chwili, gdy opuszczę Haverill na zawsze. Ale chciałam, żeby mama była szczęśliwa.

Niemniej jednak nie zdziwiłam się, kiedy zdałam sobie sprawę, że Stephen też zamierza się wynieść. Wiedziałam od razu, że będzie mocno odczuwał utratę mojej mamy. W

tych miesiącach pomiędzy ich zerwaniem a dniem, kiedy tata ją zabił, w ogóle nie przyszłoby mu do głowy, że ta strata tak go dotknie.

**Heather Laurent, *Anioły i aury*, s. 118**

Moja przyjaciółka Cynthia nauczyła mnie kiedyś mówić: „Wcześniej się myliłam. Teraz jestem mądrzejsza”. Są to dwa bardzo krótkie zdania, ale niewielu spośród nas łączy je swobodnie. A przecież tyle czasu w życiu poświęcamy na zdobywanie mądrości: gromadzimy wiedzę, pobieramy lekcje, które są nam dawane każdego dnia naszego ziemskiego żywota. Niemal wszystkie kultury oprócz narcyzmu nowoczesnej Ameryki z obsesją na punkcie młodości szanują starszych z tego właśnie powodu: z wiekiem przychodzi przenikliwość. Z doświadczeniem przychodzi zrozumienie przenikliwości.

A jednak jakże często anioły są portretowane jako stworzenia młode. Nie mówię o pyzatyach cherubinach, które pojawiają się pod koniec listopada jak krokusy w marcu. Ale mam na myśli anioły Botticellego. Albo da Vinci. Wspomnijcie na chwilę anioły w dowolnej ilustrowanej Biblii. Anioły w sztuce, bez względu na to, czy płci żeńskiej, czy męskiej, są pełne życia, energii i żaru. Są piękne, jeśli są kobietami, przystojne, jeśli mężczyznami. Czasami graniczą z obojnactwem. Zawsze jednak są charyzmatyczne.

Prawda jest taka, oczywiście, że anioły nie mają wieku. Są wieczne. Trwałe. Dwukrotnie spotkałam osoby, które były pewne, że ich anioły są w starszym wieku. Ale nie słabe, zwracam uwagę. Jednak w obu tych wypadkach oblicze anioła było pomarszczone, oczy mętne, palce już nieco sęcate. I w obu wypadkach osoby, które mi opowiedziały swoją historię, były dziadkami.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ZWYKLE MÓWIŁAM POLICJI wszystko, co mogłam, ale czasami mówiłam im to, co chcieli usłyszeć. W ten sposób było po prostu łatwiej. I czasami bez pytania dorzucałam to, co Stephen mi sugerował. Nie denerwowałam się tym, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że oni myślą, że to Stephen zabił tatę (może nawet mamę i tatę), a wtedy nagle zaczęłam długo i mocno się zastanawiać za każdym razem, kiedy otwierałam usta i - co było dla mnie jeszcze bardziej kłopotliwe - za każdym razem, kiedy mówiłam coś, co mówić poradził mi Stephen. Tina się dziwiła, że w obecności policjantów stanowych się nie bałam. Mówiła - po tym, jak ona z nimi rozmawiała ten jeden raz - że nie sądziła, że da radę tak z nimi rozmawiać jak ja. Ale przypomniałam jej, że wszyscy, w tym policja, bardzo, bardzo się o mnie martwią. Byłam niczym vermonckie dziecko z plakatu akcji przeciwdziałania przemocy w rodzinie. Mogłam zapewne robić albo mówić wszystko, co chciałam. Nie chodziło tylko o tatuaż. Wracalam do domu dowolnie późno, a Cousinowie tylko się uśmiechali i pytali, czy wszystko w porządku i czy czegoś potrzebuję. Urywałam się z lekcji, a nauczyciele pytali, czy mogą coś dla mnie zrobić. Mogłabym sprzedawać crack pięciolatkom, a ludzie by mówili „Och, pomyśl, co się stało z jej rodzicami. Biedne dziecko”. Mogłabym szlachtować kocięta w piwnicy Cousinów, a ludzie tylko by mnie klepali po głowie i pytali, czy wolałabym innego psychoterapeutę albo kuratora. Członkowie Klubu Sierot mają swoje przywileje.

Nie polecam tego jednak. Prawdopodobnie nie byłam ani trochę tak wyluzowana, jak teraz pozuję. Któregoś dnia miałam napad niekontrolowanego płaczu w dziewczęcej łazience w szkole, i niestety znalazła mnie nauczycielka. A potem przez parę dni jakoś łatwiej mi było w ogóle się nie odzywać.

Josie Morrison w kółko mnie pytała, jak bardzo tęsknię za mamą, ale tylko raz - czy tęsknię za tatą. Nie robiłam złudzeń co do tego, że w ogóle za nim nie tęsknię i tyle.

Ale z moją mamą była zupełnie inna sprawa. Nagle miałam te wszystkie niby-mamy w swoim życiu, wszystkie te kobiety, które chciały mi matkować jak szalone. Carole Cousino



i Ginny O'Brien na przystawkę, a potem Josie, która czasami była supermodną młodą mamą, a czasami wkurwiającą starszą siostrą. W roli starszej siostry była lepsza, ponieważ niewiele mam w Vermoncie ma dredy czy tatuaże. Poza tym nauczycielki w szkole i moja doradczyni, pani Degraff. Tamtej jesieni dostałam sporo najlepszych ocen w swoim życiu, mimo że moja praca była zasadniczo do dupy, a frekwencja jasno wykazywała, że chodziłam na lekcje, kiedy mi się chciało. Ale żadna z tych kobiet nie mogła choćby zacząć wypełniać pustki. Kochałam swoją mamę. Bardzo ją kochałam. Zimą pod nieobecność taty niewiarygodnie zżyłyśmy się ze sobą. Ona się zmieniła. Zmieniła się atmosfera w domu. Czasami przychodziła Tina i ni mniej, ni więcej, tylko piekłyśmy z mamą: robiłyśmy takie rzeczy jak kokosowe babeczki i ananasowe ciasto odwrócone, i brownies z gotowej mieszanki. Nagle mama i ja nie chodziłyśmy już po domu jak przerażone, ciche koty, czekając, aż tata stanie się okropny z jakiegoś idiotycznego powodu. Nie spędzałam już tak dużo czasu ze słuchawkami iPoda w uszach. Mama kupiła mi stację dokującą i głośniki do niego i puszczałyśmy na maksa muzykę, jak nam się chciało. Była jakby absolutnie wyzwolona.

Panował taki spokój, że pozwoliłam chłopakowi, który się mną interesował, żeby mnie odebrał w którąś sobotę i został na kilka godzin, zanim poszliśmy na imprezę do miasteczka. Był starszy. Prowadził. Tata w życiu by mi nie pozwolił umówić się ze starszym chłopakiem. W życiu mi nie pozwolił nawet iść z nikim na imprezę. Ale Alan był fajny, całkowicie nieszkodliwy. Był już w college'u i po prostu świetnie się bawiliśmy - co, jak teraz o tym myślę, jest właśnie powodem, dla którego tata by mi nigdy nie pozwolił zbliżyć się do niego i dlatego nie przeszłoby mi przez głowę zaprosić Alana w zasięg stu jardów od naszego domu, gdyby tata w nim przebywał.

A mama i ja mogłyśmy rozmawiać o Alanie. Mogłyśmy rozmawiać o Brendanie, innym chłopaku, którego trochę lubiłam, chociaż tylko spędzaliśmy razem czas jako przyjaciele. (Tego lata i jesieni po śmierci mamy i taty Brendan i ja trochę się zbliżyliśmy, ale myślę, że to głównie dlatego, że on był wyjątkowym palantem. Nie sypialiśmy ze sobą ani nic z tych rzeczy).

Interesujące, ale dwaj mężczyźni, o których nie rozmawiałyśmy z mamą za dużo, kiedy taty nie było, to tata i Stephen. Raz ją spytałam, dlaczego tata często jest taki wściekły, a ona powiedziała, że pochodzi ze wścieklej rodziny. Wiedziałam, co ma na myśli: znam dziadka. Znam wujków - wszystkich tych braci. Powiedziała też, że ma duże ciśnienie w pracy i czasami pije za dużo, i to są najważniejsze powody ich problemów. Ale widziałam, że robi uniki. Cierpiała i naprawdę sobie z tym nie radziła.

Nie marzyłam, że się rozwiedzie z tatą, ale przez jakiś czas w lutym i marcu naprawdę

działy się takie niezwykłe, niewyobrażalne rzeczy. Tata wiedział, jaka jestem na niego wkurzona, więc przez jakiś czas trzymał się z daleka. Ale na koniec lutego dostałam od niego sms-a. To był żart o czymś - coś, co widział w telewizji, a pomyślał, że mnie ubawi. I było coś tak żalnego w moim tacie samotnym nocą nad jeziorem, oglądającym główną telewizję, że odpisałam. I w następnym tygodniu wysłał mi mejla. Krótkiego, ale z linkiem do filmiku na YouTube, od którego jego zdaniem powinnam była paść ze śmiechu. Potem, jeszcze tydzień później, wysłał mi długiego mejla, pierwszego z wielu, a chodziło w nim tylko o to, jak mu jest przykro, że jest takim nędznym mężem, bo to oznaczało, że zawsze był nędznym ojcem. Ale powiedział, że postanowił być lepszy i że zastanowi się nad psychoterapią. Zawsze pisał i pisał, jak to kocha mamę i mnie. Nie wiedziałam do końca, co mam z tymi mejlami zrobić i czy pokazać je mamie. Zastanawiałam się nawet, czy ich nie skasować po prostu. Prowadziłyśmy z mamą zwyczajne życie bez taty i nietrudno było wyobrazić sobie, że znika na zawsze. Że chcę, żeby zniknął na zawsze. Niekoniecznie z mojego życia, bo to nie miało się zdarzyć. Już nalegał, żebyśmy co tydzień czy dwa jedli lunch w Manchesterze, gdzie miał sklepy i restaurację. (Zaczęliśmy to robić pod koniec marca i trwało to aż do jego powrotu do domu w maju). Ale na zawsze z domu - o takie zniknięcie mi chodzi. I bałam się, że jeśli pokażę te mejle mamie, to może zniszczyć to cokolwiek, co ją łączyło ze Stephenem.

W końcu tata podjął za mnie decyzję o pokazaniu mejli mamie. Do niej chyba też pisał. Albo może do niej dzwonił. Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że pewnego wieczoru w kwietniu, kiedy jadłyśmy kolację, mama powiedziała, że słyszała, że tata pisze do mnie jakieś bardzo słodkie mejle i ona się zastanawia, czy mogłaby kilka z nich przeczytać. Wtedy to już byłam przyparta do muru: naprawdę nie mogłam powiedzieć nie. Tak więc przeczytała kilka, zanim w ogóle sprzątnęłyśmy ze stołu i załadowałyśmy zmywarę, i czasami się zastanawiam, czy to aby nie był koniec jej związku ze Stephenem.

I oczywiście dzisiaj szczerze żałuję, że ich nie skasowałam.

GDYBY MOJA MAMA była na Facebooku albo MySpace, na pewno umieściłaby na swoim profilu taki filmik: oni na weselu w jakimś pięknym zajeździe, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Bennington, a ja miałam jakieś trzy lata. Jest sylwester. Mnie nie ma na filmiku, bo to bardzo taneczne wesele, więc jestem w domu z opiekunką. Ale uwielbiam sukienkę, którą mama ma na sobie. Wzór w czarno-białą zebra bez rękawów. Mama włożyła na nią rozpinany sweter, bardziej z tego powodu, że zdaniem ojca sukienka odsłaniała za dużo pleców, niż dlatego, że w sali balowej było zimno. Najprawdopodobniej przed wyjściem na imprezę mama

pocałowała mnie, mówiąc: „Do zobaczenia w przyszłym roku”, a ja rozpląnęłam się jak lody w lipcu. Mówimy niemal o ataku paniki, w każdym razie tak mama mi opowiadała. Problem polegał na tym, że jeszcze nie ogarniałam idei sylwestra. Kiedy mama mi to wyjaśniła, uspokoiłam się, ale pojmuję, że przez kilka minut było nieźle chropowato.

W każdym razie są w tym zajeździe, w którym wszystkie stoliki zepchnięto w wielkim pomieszczeniu pod ściany, żeby ludzie mogli tańczyć, i ciągle wiszą tam takie drobnutkie białe lampki bożonarodzeniowe pod sufitem i parapetami, i nad szklanymi drzwiami. Panuje tam spory tłok i wszyscy tańczą - nawet barmani, chłopak i taka dziewczyna w muszkach za długim stołem z rzędami butelek i szklanek. Ta dwójka wygląda, jakby bawiła się równie dobrze jak ludzie na parkiecie. Większość gości ma chyba dwadzieścia, trzydzieści lat, ale przy niektórych stołach siedzą też dziadkowie, ciotki i wujkowie. Ktokolwiek trzyma kamerę, musi wiedzieć, że należy ona do mamy i taty, ponieważ bardziej skupia się na nich niż na kimkolwiek innym w pomieszczeniu. A oni się naprawdę ruszają. Wyglądają trochę debilnie, ale pewnie to słodkie, że są tacy pochłonięci imprezą i sobą nawzajem. Nagle DJ, gdziekolwiek jest, mówi, że zagra coś wolnego dla wszystkich kochanków na sali. Moja mama opiera się o tatę, a kamera przyłapuje ich, jak patrzą sobie w oczy, jakby kochali się najbardziej na świecie. Jej palce spoczywają na jego karku, a kiedy wreszcie odrywają od siebie wzrok, ona opiera głowę na jego piersi, zamyka oczy i na jej twarzy pojawia się uśmiech, który sprawia, że wygląda, jakby miała najspokojniejszy i najpiękniejszy sen w życiu. Moment absolutnie filmowy.

W każdym razie na Facebooku to byłaby klasyka. Ten filmik przypominałby, że kiedyś, dawno temu, małżeństwo moich rodziców nie było tą katastrofą, w którą wkrótce się zamieni i którą na zawsze będzie w oczach większości ludzi na świecie.

OCZYWIŚCIE MYŚLĘ DUŻO o tym, co musiało się dzieć w moim domu w tamtą niedzielą noc, kiedy ja byłam z Tiną w Albany na koncercie Frayów. Wtedy w sierpniu i we wrześniu wszyscy dokoła zdawali się preparować całe sceny, a mówili jedno: że miałam piekielnie dużo szczęścia, że zespół miał ten niedzielny występ, bo tylko dlatego jeszcze żyję. Panuje powszechna jednomysłność, że gdybym była w domu, zostałabym zabita. Nigdy nie wiadomo, ale myślę też, że możliwe, że gdybym tam była, następnego ranka wszyscy troje byśmy żyli. Może moja mama zatrzymałaby dla siebie to coś, co powiedziała, a co ojca doprowadziło do szalu. Może mama i ja wyniosłybyśmy się stamtąd w diabły, zanim tata wybuchłby jak piec. I może, tak po prostu, tata nie byłby w stanie zabić mamy, gdybym ja była w domu.

Ale wszyscy, którzy ze mną rozmawiali, mieli inne pojęcie o tym, jak awantura mogłaby się potoczyć, i wszyscy opierali się na wspomnieniach awantur własnych rodziców - albo, tak sobie myślę, na własnych awanturach z małżonkami, partnerami czy kimkolwiek. W tym rzecz. Wszyscy mamy wspomnienia awantur z kimś, kogo powinniśmy kochać, a ja w bardzo młodym wieku zrozumiałam, że to, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami, inni mogą sobie tylko wyobrazić.

Niemniej jednak próbowałam poskładać w całość tamten niedzielny wieczór z tego, co wiedziałam o ich kłótniach (a niestety wiedziałam dużo), co Ginny mi powiedziała i co śledczy zdołali odtworzyć w późniejszych tygodniach. Ze Stephenem rozmawialiśmy o tym kilka razy, zanim stało się dla mnie jasne, że to ostatnia osoba na świecie, z którą powinnam o tym rozmawiać.

Ale gdybym miała ukrytą kamerę, oto co pewnie bym zobaczyła w moim domu w tamtą niedzielą noc: zobaczyłabym moją mamę w progu, kiedy ja odjeżdżałam z Tiną czerwonym subaru kombi jej rodziców. Tina miała prawo jazdy od jakichś trzech miesięcy, i chociaż prowadziła jak dziewięćdziesięciolatka - nie żartuję, zawsze jechała pięć kilometrów na godzinę wolniej, niż nakazywało ograniczenie prędkości, i chyba jako jedyna spośród moich znajomych nie wysyłała sms-ów przy wyprzedzaniu kombajnów - mama się martwi. Martwiła się przez pierwszą połowę lata za każdym razem, kiedy wsiadałam z Tiną do samochodu. Nie ma pojęcia, że chociaż ja mam tylko warunkowe prawo jazdy, pozwalające mi na prowadzenie samochodu wyłącznie kiedy siedzi obok mnie mama albo tata, to ciągle jeżdżę tym subaru wokół Haverill. Nie ma się czym chwalić, wiem. Ale z drugiej strony nie jest to do końca idiotyczne, bo patrol policji stanowej nigdy się tam nie pojawiają. Tak więc dużo jeżdżę tym kombiakiem i podobnie jak Tina jestem bardzo ostrożnym kierowcą.

W każdym razie mama stoi w progu i wciąż ma w ramionach wielką niebieską miskę z groszkiem, który zebrała w ogrodzie. Swoim ogrodzie. Tata i ja mamy z nim naprawdę niewiele (czytaj: nic) wspólnego. Jeszcze nie wyłuskała tego groszku. Taka Ciocia Emilia\*, tylko jeszcze młoda i piękna. Przypominam, że moja mama w chwili śmierci miała dopiero trzydzieści osiem lat. Wiem, że nastolatkowi wydaje się to wiekiem zaawansowanym, ale nie jest. Nie jest i już.

Więc mama macha na pożegnanie i mam nadzieję, że ja też macham. Ale nie mam pewności. Tymczasem tata sprząta garaż. Porządkuje. Nie mam zupełnie pojęcia dlaczego, ale to właśnie robi późnym niedzielnym popołudniem. Nie wychodzi krzyknąć mi „do widzenia”

---

\* Postać z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* (przyp. tłum.).

czy pomachać. Ale kiedy po raz ostatni go tam widziałam, pił piwo. To co najmniej jego druga butelka, a może i trzecia, i przeszła mi przez głowę myśl, że to problem. Kiedy wrócił w maju, z początku nie pił wcale. Ale na pikniku z okazji urodzin jednego z jego kierowników pod koniec czerwca znowu zaczął i od tego czasu pił coraz więcej. Mama powiedziała, że to dlatego, że interes trochę zwolnił i mamy recesję. Kiedy znowu się polepszy, on się poprawi. Ale kiedy pije, staje się totalnym dupkiem. W tamtym miesiącu w sumie ponad trzy tygodnie chodziłyśmy z mamą na paluszkach po domu, żeby go bardziej nie wkurzyć, niż wkurzamy go samym swoim istnieniem. Coś w mamy chrzcie tego ranka go wpieniło i nie bardzo wiedziałam co. Po południu o mały włos spytałam mamę, czy chodzi po prostu o to, że w chrzcie uczestniczy Stephen, ale teoretycznie nie wiedziałam o Stephenie, więc musiałam przyjąć, że tata też nie wie.

Kiedy dojechałyśmy z Tiną do końca podjazdu, pomyślałam: tata krząta się po garażu, bo mama nigdy tam nie zachodzi, chyba że zimą po samochód. Tam mógł przesiadywać i totalnie unikać mamy i mnie. Co, skoro w tej dokładnie chwili pił, było dobre dla mamy. W piątkowy wieczór, kiedy poszłam na imprezę w Pownal, coś się wydarzyło. Nie znam szczegółów, ale nawet według co prawda bardzo niskich standardów przyzwoitości uznawanych przez tatę nie mogło to być ładne. Jak mocno uderzył mamę? Nie wiem, bo nie było mnie w domu, a niemal zawsze uderza ją w miejsca, których nikt nie może zobaczyć. Ale od piątkowego wieczoru dom sprawiał wrażenie wyjątkowo przygnębiające nawet w żalosalnej Skali Szczęścia Haywardów. Myślę, że zbił ją bardzo mocno, niewątpliwie po plecach.

Po moim odjeździe mama siada, żeby wyluskać groszek do tej miski. Pewnie siada w pobliżu miejsca, w którym ją widziałam, machając na pożegnanie, na dworze, w słońcu, które wciąż zalewało ciepłym zachodnią stronę trawnika. W końcu wstanie, wróci do środka i dokończy dla nich kolację. Nie nakryje do stołu w kuchni, bo pewnie dzisiaj będą jedli na ganku. Jest ciepły letni wieczór, a moi rodzice zawsze lubili jeść na świeżym powietrzu na tej werandzie. Nie było tam stołu, ponieważ na werandę składały się naprawdę tylko stopnie i podest, więc zjedzą dzisiaj z talerzami na kolanach, napoje stawiając przed sobą na deskach. W wypadku mojej mamy będzie to mrożona herbata, w wypadku taty - kolejne piwo.

Przy posiłku pewnie nie mówią za dużo, bo zanim klapną na tych stopniach, mama jest trochę przerażona, a tata już nieźle nakrecony. Mówienie do niego w takiej chwili to jak drażnienie się z głodnym lwem. Po co to robić? Po co tam iść? Problem w tym, że mogli mieć taki piękny wieczór. Jutro poniedziałek, ona ma wolne, a dziecko jest na koncercie i spędza noc u przyjaciółki. Pewnie większość rodziców zrobiłaby sobie nagą niedzielę.

Ale nie moi. Nie w ten wieczór.

W pewnym momencie, kiedy on żuje kęs kurczaka, jego język wydłubuje kawałek mięsa z dziąseł w ten ohydny sposób, który kojarzy mi się z kretem ryjącym tuż pod trawą, tata odwraca się do mamy i mówi coś niemilego o posiłku. Może to jest coś tak zwykłego, że jej warzywa nie smakują ani trochę lepiej niż te, które można kupić w supermarkecie, ale przy całym tym kompoście, gnoju i nawozach, których używa, te z ogrodu są de facto droższe. W niektóre wieczory w tym miesiącu taką właśnie ma śpiewkę. Może mówi coś o jej szortach: są za krótkie. Workowate. Niemodne. Kurewskie. Mój tata miał coś na punkcie szortów i mamy nóg - które były naprawdę bardzo seksowne jak na nogi mamy. Ale najpewniej to chrzest wyciągnął, zamierzając za jego pomocą zranić ją i wywołać kłótnię. Niewykluczone, że mówi, że nie może uwierzyć, że ona paraduje jak jakaś ulicznica w kostiumie kąpielowym przed całą bandą nawiedzonych.

Tak właśnie mówił o ludziach chodzących do kościoła: nawiedzeni.

Mówi, że wszystkim musiało się to podobać: Alice Hayward jako dziwka namoczona w stawie. No, tata nie był głupkiem. Musiał w pewnym stopniu zdawać sobie sprawę, że staje się śmieszny. Więc dlaczego mówił takie rzeczy? Więc mama będzie się z nim spierać.

To był kostium do pływania, przypomina mu, a nie jakieś bikini. A i tak miałam na wierzchu T-shirt.

Ach, jak cudownie, mówi, a jego głos przybiera ten dziwny, protekcyjny, jednostajny ton wysoko urodzonej osoby. Ale tak z ręką na sercu naprawdę uważasz, że to coś zmienia? Myślisz, że wolę, żeby moja żona paradowała po mieście jako miss mokrego podkoszulka?

I moja mama będzie wiedziała, co się święci i że nie może wygrać w tym sporze. Więc się wycofuje. Ale kiedy tata się taki robi, można się wycofać tylko do pewnego momentu, kiedy nagle plecy są na ścianie i nie ma już gdzie iść. A mamę już bolało to coś, co on jej zrobił w piątek, kiedy mnie nie było. Niemniej jednak staje wobec takiego problemu: jeśli nie zgodzi się z tatą, on może ją uderzyć za to, że ona mu się sprzeciwia, ale jeśli się z nim zgodzi, to przyzna się, że na chrzest ubrała się jak dziwka, a on dzięki temu będzie miał pretekst, żeby jej przyłożyć.

Co mama mówi? W myślach widzę, jak kręci głową, zdając sobie sprawę, że powinna się wynieść już przed laty. Albo że powinna pójść do sądu, kiedy miała to zrobić, tydzień czy coś po tym, jak zdobyła zakaz zbliżania się w lutym. Albo powinna była wziąć kwiaty, które zaczęły się pojawiać niemal codziennie w maju, i wrzucić je do kompostownika. Albo za żadne skarby nie powinna była pozwolić mu na powrót do domu, kiedy ją nakłaniał do zgody

zaraz po Dniu Matki. Ale postąpiła inaczej i teraz czeka ją drugie bicie w ciągu trzech dni. Tak więc wstaje z talerzem i wycofuje się do środka. Widywałam już, jak to robiła: bierze swój talerz, mówi „przepraszam” i odchodzi od stołu. Albo mówi „przepraszam” i odchodzi od stołu, ale nie bierze swojego talerza. Pozytywna strona tej strategii - wycofanie się bez słowa - polega na tym, że nie mówi niczego, co on może wykorzystać jako uzasadnienie swojego gniewu. Negatywna? Poniżała go w ten sposób (a kiedy to robiła przy mnie, poniżała go jednocześnie w obecności jego córki).

Ale mama często tak to rozgrywała i czasami to skutkowało. Żadnych awantur wieczorem, a następnego ranka święty spokój i tata przeproszał za to, że był takim dupkiem. Domyślałam się, że taki właśnie efekt mama chciała osiągnąć w niedzielny wieczór. Zostawia go samego na stopniach wejściowych i kończy kolację w środku. W kuchni, może czytając gazetę. Lula siedzi obok niej i macha ogonem, czekając, aż mama poda jej kilka kawałków kurczaka albo odetnie jakiś kawałek i wrzuci jej do miski. Obrazek dla kogoś, kto nie wie, co się dzieje? Zupełnie jakby mama mieszkała sama z psem. Różnica polega na maleńkim szczególe, że ona jest śmiertelnie przerażona, boi się, że jej mąż wejdzie i zleje ją pasem.

Sądząc na podstawie talerzy, które później znaleziono w zlewie, i na podstawie tego, ile kolacji zostało zjedzone i odstawione - w pewnym momencie podsłuchałam, jak ktoś mówi, że miski z sałatką coleslaw i groszkiem zostały zamknięte pokrywkami - strategia przez chwilę przynosiła skutki. Widzę, jak tata siedzi na schodkach, dusząc się. Pijąc. Może na chwilę wraca do garażu i pije jeszcze więcej.

Ale w pewnym momencie wchodzi do środka, pada na kanapę w salonie i włącza telewizor. Ogląda wiadomości? Może. Czasami je włączał. Ale teraz jest już tak pijany, że tak naprawdę niczego nie ogląda. I dość szybko pada. Zasypia i nie wydaje żadnego dźwięku. To jest najcholerniejsze: on chyba nigdy nie chrapał. Mama kiedyś mi powiedziała, że pamięta, że chrapał tylko raz - kiedy przed laty miał zapalenie zatok. (Niechrapanie jest także jego powodem do dumy. Wręcz słyszałam, jak kiedyś chełpił się przed ludźmi na pikniku ochotniczej straży pożarnej z okazji Dnia Ojca, że nigdy nie chrapie. Tak to mówił, jakby chodziło o sukcesy w jakiejś dyscyplinie sportowej). Mama dzwoni do Ginny - z tego powodu mnóstwo ludzi mówiło mi, że Ginny rozmawiała z mamą jako ostatnia. (Raz zastanawiałam się, czy aby nie zwrócić im uwagi, że się mylą: ostatnią osobą, z którą mama rozmawiała, był oczywiście tata, kiedy błagała go albo krzyczała do niego, aż nie mogła już oddychać, żeby jej nie zabijał). Mama zagląda do salonu, widzi, że tata jest ciągle nieprzytomny, i przebiera się w koszulę nocną. Czerwoną.

A potem, niedługo po tym, jak mama mówi Ginny dobranoc i przygotowuje się do

snu, tata się budzi. Niektórzy mówią, że tata zabił mamę tamtego wieczoru, bo ona zasunęła mu bombę, że odchodzi. Klótnia, którą toczyli na werandzie, odżywa, ale w którymś momencie przyjmuje nowy kurs i kończy się tym, że mama powiadamia go, że to koniec ich małżeństwa i ona się wynosi. Dosłownie. Odchodzi od niego. Opuszcza lokal. Pewnie nie powiedziała mu, że ma się wynosić w środku nocy, bo niby jak miał to zrobić? Był pijany. Może mamy nie obchodziło, czy on zabije swoją żalowaną osobę, wjeżdżając w klon z prędkością sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu mil na godzinę, ale nie chciałyby, żeby przy tym zabił jakąś niewinną osobę. Naprawdę bała się samochodów jak szalona. Tak więc mówi mu, że wychodzi. Do widzenia. Ubierze się, spakuje torbę i spada.

I może ludzie mają rację i to jest właśnie to, co powiedziała, co spowodowało, że klótnia stała się jądrowa.

Ale może nie. Albo może nie od razu. Myślę, że potrzebowałyby czegoś jeszcze, zanim by to powiedziała. Kiedy próbuję zasnąć wieczorami, widzę, że to rozwija się następująco. Widzę, jak mój tata bardzo się stara zdenerwować mamę, i nawet jeśli nie wie, że ona sypiała ze Stephenem, wie, że przez jakiś czas byli całkiem blisko. Tak więc mówi coś o Stephenie i udaje mu się, choćby przypadkiem, uderzyć we właściwy nerw we właściwym zębie - zwłaszcza że, może, to Stephen zakończył romans. Zawsze się zastanawiałam, czy może ona przyjęła tatę z powrotem tylko dlatego, że Stephen z nią zerwał. Te wszystkie kwiaty przysłane przez tatę? Zadziałały tylko dlatego, że Stephena nie było pod ręką. Myślę też, że właśnie dlatego Stephen ma poczucie winy po śmierci mamy. Chrzesz? Tak, właśnie. Powiedział, że czuje się odpowiedzialny, bo przeoczył wszystkie sygnały mówiące o tym, że ona była gotowa na śmierć, ale to jest totalnie śmieszne. Androny jakież. Raczej Stephen poczuł się jak gnida, bo powiedział mamie na początku maja, że nie chce, żeby ich związek wyszedł na jaw albo że nie chce go kontynuować. Cokolwiek. I tak ona pozwala wrócić mężowi po przeżyciu zawodu miłosnego, on ją zabija kilka miesięcy później, a Stephen koniec końców czuje się straszliwie. I słusznie.

W każdym razie mój tata bierze piwo z lodówki i mówi coś głupiego o orientacji seksualnej Stephena. Jedno z bardziej żalowanych uprzedzeń mojego taty? Homofobia, bez dwóch zdań. Słyszałam już, jak żartował sobie na temat tego, dlaczego Stephen nie jest żonaty. I może tamtego wieczoru mama miała na tyle dość tego obłędu, więc mówi tacie, że wie z własnego doświadczenia, że Stephen jest hetero. Zdecydowanie. Pamiętajcie, mnie nie było w domu, więc seksualne salwy mogły być bardziej pikantne i dosadniejsze niż zwykle.

Efekt? Tata po raz pierwszy musi się skonfrontować z wiadomością, że mama była z kimś innym niż on, i że jest to - czyż to nie ironia? - przywódca tych tak zwanych



nawiedzonych, których tata postrzega jako takich totalnych frajerów. Co więcej, z tego co on wie, mama była ze Stephenem jakiś czas. Może nie tylko wtedy, kiedy tata mieszkał nad jeziorem. Może zanim on się wyprowadził. Może nawet kiedy mieszkał tutaj, w małym starym Haverill. Dochodzi dwudziesta. Ten jego profesorski, staromodny ton jest solidnie podlany poważnym gniewem: ostatnia zbrodnia mamy to nie po prostu włożenie bluzki, która odsłania zbyt dużo, albo nieodebranie prania z pralni chemicznej. Ona wrzuciła mu w spodnie wielki granat.

Co takiego? Słyszę w głowie, jak wrzeszczy, a ona powtarza to coś, co powiedziała o Stephenie i o niej za pierwszym razem i że ze sobą sypiali. Albo że byli kochankami. Naprawdę nie umiem wybrać sposobu sformułowania bomby, bo chociaż dobrze znam moją mamę, o niektórych rzeczach po prostu nigdy nie rozmawialiśmy. W końcu nigdy mi nie powiedziała, że ma romans ze Stephenem. Ale jestem pewna, że nadchodzi taki moment, że mój tata nie może uwierzyć w to, co słyszy, i każe jej powtórzyć.

A mama powtarza.

A kiedy się coś powtarza, to się coś dodaje. Tego nas nauczył doradca od gazetki szkolnej, pan Fisher. I widzę, jak mama zaczyna zdawać sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu zraniła tatę naprawdę mocno, walnęła go w splot słoneczny, tak więc zaczyna przesadzać. Mówi mu, co Stephen jej dał, a czego nie dało jej małżeństwo z tatą. Mówi o tym, jak inteligentny i wykształcony jest Stephen (niewiarygodnie ostry sztylet dla taty, bo on nie poszedł do college'u). Albo jaki jest czuły. Jaki delikatny. Ale cały czas koncentruje się na fakcie, że byli kochankami, bo wie, że to go naprawdę wkurza.

Niemniej jednak ona nie ma skłonności samobójczych. Naprawdę w to wierzę. Naprawdę nie sądzę, żeby choć przez myśl jej przemknęło, że tata ją zabije. Uderzy? Pewnie. Walnie kilka razy? Jeszcze jak. Ale jestem granitowo pewna, że nie wyobrażała sobie, że on podnosi ręce i ją dusi. Stephen jest bardzo bystry, ale w tym punkcie się myli.

Najpierw, oczywiście, tata pewnie jej przywała. Ten jeden jedyny raz uderza ją w twarz. Otwartą dłonią, wierzchem dłoni, pięścią. Nie wiem. Nikt mi nie powiedział, co lekarz sądowy mówił o stanie ich ciał, i nie wiem nawet, czy da się jednoznacznie stwierdzić, czy siniak pochodzi od uderzenia kłykciami czy dłonią. Nigdy nie pytałam. Heather powie mi później, że ona też nie pytała: nikogo nie spytała, co się stało, kiedy jej tata zabił jej mamę. I powiedziała mi, że żałuje tego. Ale ja i tak nie spytałam. No bo jak bym miała spytać?

Więc tata uderza mamę. Czy ona mu oddaje? Nie ma mowy. Mama nigdy mu nie oddawała. Poza tym właśnie ją poraziło. Albo upadła na podłogę. Albo w coś walnęła (tak się często zdarzało). Widzę ją na podłodze w salonie, tata stoi nad nią. A kiedy ona łapie oddech

albo odzyskuje kontrolę, znowu mówi coś o Stephenie. Jak mawia mój dziadek - tata taty - jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. I tata tak właśnie sobie myśli: „Uderzyłem ją w głowę i świat się nie zawalił. A moja żona spała z facetem, którego nawet nie lubię. Może nawet teraz z nim sypia”. Więc bije ją dalej. Wali ją w nos.

I wtedy - wtedy - mama mówi mu, że odchodzi. To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że musiała ojca doprowadzić do tego punktu. Musiała mu poważnie zależeć za skórę. Nawet mój tata potrzebuje odrobiny motywacji, żeby chwycić rękoma szyję mamy i ścisnąć ją tak, żeby zabić. Widzę, jak mama trzyma się za nos (bo tam ją uderzył, nie dlatego, że coś śmierdzi) i ściera krew, która cieknie jej powoli po ustach i wokół nich. Prostuje się na maksa (a i tak jest ciągle niższa od taty) i oznajmia, że uderzył ją po raz ostatni. Tym razem nie będzie ustępowania, kiedy nadejdzie czas stawienia się w sądzie.

Wtedy właśnie ją zabija. Całkiem traci kontrolę. Trzyma ręce na jej szyi i potrząsa nią, może nie zdając sobie sprawy, że to jest to - że przekroczył granicę rozsądku - ale potrząsa nią i wciska kciuki w jej przelyk. Próbowałam zrozumieć, jak to było. Pewnego razu nawet poprosiłam Tinę, żeby ścisnęła mnie za szyję, aż powiedziałam „Dość, kumam” (była przerażona jak cholera, ale rozumiała, co chcę wiedzieć, więc zrobiła to). Musiało boleć jak diabli. Udręka. Ale tu znowu to wyrażenie: jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Jeśli ktoś zaczął zabijać swoją żonę, jak może przestać?

Tak więc mój tata nie przestał, chociaż mama na pewno próbowała go do tego zmusić. Chociaż nigdy nie spytałam, jestem pewna, że musiała się bronić, choćby dlatego, że to tak strasznie bolało. Musiała go odpychać albo odrywać jego palce od swojej szyi. Na pewno próbowała uderzyć go albo podrapać na tyle mocno, żeby ją puścił, choćby na sekundę.

I nagle, zanim zrozumiał, co się stało, była martwa. I o to właśnie chodzi w tym, jak ją zabił: w jednej chwili trzymał żywą, a w następnej martwą. W jednej chwili walczyła, a w następnej nie. Walczy. Nie walczy. Oddycha. Nie oddycha.

I wtedy właśnie, moim zdaniem, tata wypił resztę piwa, jakie znalazł w domu. Był pijany, kiedy ją zabił, ale daleko mu było do stanu, w którym sam zginął.

A JEDNAK LEDWIE DWA miesiące z niewielkim okładem przed tym koszmarem mama pozwoliła mu wrócić. Pozwoliła mu znowu z nami zamieszkać. Myślałam, że to szaleństwo już wtedy i powiedziałam jej, że moim zdaniem to bardzo zły pomysł. Ale to zabawne, jak pamięć działa i jak czasami wierzymy po prostu we wszystko, co chcemy. I przypuszczam, że moja mama chciała wierzyć, że wszystko się zmieni.

Naprawdę nie byłam wcale zaskoczona, kiedy pewnego majowego wieczoru

poprosiła, żebym usiadła, i powiedziała, że tata wraca do domu. Było mnóstwo oznak - dowód rzeczowy A: te wszystkie kwiaty. I tata stawał się coraz bardziej gburowaty przez telefon, mówiąc mi, że jest przekonany, że wkrótce nasza rodzina znowu będzie razem i ile to dla niego znaczy, ponieważ za kilka lat wyjadę do college'u i jemu niewiele czasu ze mną zostało (w tym punkcie niewątpliwie miał rację). Mówił też od tygodni, że na pewno dalej będzie w życiu popełniał błędy, ponieważ nie jest doskonały, ale jest pewien, że najgorsze za nim (dobra, tu się mylił). I rzeczywiście sprawiał wrażenie, że mu lepiej. Że jest szczęśliwszy. Powiedział, że nie pije.

Ale ze strony mamy też były sygnały. Największy, że gdzieś pod koniec wiosny coś się stało pomiędzy nią a Stephenem. Nie wiem dokładnie, kiedy zaczęli się spotykać, ale myślę, że przed Bożym Narodzeniem, kiedy tata jeszcze mieszkał w domu. I tamtej zimy widać było, jak mama się otwiera jak jedna z jej róż. Była mniej nerwowa, bardziej pewna siebie. O wiele więcej się śmiała. Nagle wszystko mogło być zabawne. Moje wielkie zmartwienie na początek? Że tata się domyśli, że coś jest na rzeczy i że dojdzie do awantury w rodzaju tej, do jakiej doszło w końcu w lipcu (to znaczy nie sądziłam, że on ją kiedykolwiek zabije. Ale myślałam, że będzie źle przez wielkie Ż). Ale na początku maja ona znowu zaczęła się wycofywać. Nasze obiady stały się milczące. Sugerowała, żebyśmy jadły kolację w salonie, oglądając nagrania moich ulubionych programów, a wiedziałam, że tak właśnie robi, kiedy nie chce rozmawiać - kiedy nie daje rady. Od lat sama przygotowywałam sobie lunch do szkoły, ale kiedy była szczęśliwa zimą i wiosną, nalegała, żeby mi pomagać: dorzucała jabłko albo mandarynkę, zaskakiwała mnie moimi ulubionymi ciasteczkami. To też się zmieniło. Mogła być cały czas w kuchni, kiedy robiłam sobie lunch, ale siadała przy stole, popijając kawę, nie do końca jak zombie, bo czasami się bawiła krzyżówką, ale i nie do końca obecna. Była już ubrana do pracy, ponieważ na ogół odwoziła mnie do szkoły po drodze do banku. I zmieniło się także to, co wkładała do pracy. Zimą zaczęła się ubierać z trochę większym luzem, zwłaszcza po wyprowadzce taty. W poniedziałek, kiedy nie musiała pracować, dzinsy były odrobinę bardziej obcisłe, a przez resztę tygodnia odrobinę bardziej obcisłe były spódniczki. Koniec z tymi spodniami rodem z posiedzeń kongresu. Czasami nawet pozwalała, żeby jej bluzki odsłaniały trochę dekoltu, skraj biustonosza. Po wyprowadzce taty, w lutym chyba, wymieniła całą garderobę. Niestety, te ubrania poszły w ślad za jej śmiechem, kiedy nadeszło lato.

Spytałam ją o to raz, ale była bardzo tajemnicza. Tego się nauczyłam o kobietach w rodzaju mojej mamy: Nikt na całym świecie nie dorasta im do pięt, jeśli chodzi o ukrywanie tajemnic. Chcesz znaleźć dobrego szpiega? Wybierz maltretowaną kobietę. Są rzeczy, których

ona nie powie nikomu. I naprawdę potrafi przyjąć cios.

W każdym razie pewnego wieczoru mama poprosiła, żebym usiadła, i od razu wiedziałam, co się dzieje. Był maj, więc dni robiły się długie, i pamiętam, że w pojemnikach na karmę było mnóstwo ptaków. Mama miała trzy takie pojemniki i wszystkie po drugiej stronie domu niż warzywnik, bo kochała ptaki, ale kochała też swój ogródek i nie chciała karmić swoimi nasionkami rudzików ani sójek. I właśnie zasadziła większość ogrodu i rozłożyła takie dziwaczne przezroczyste foliowe namioty nad sadzonkami pomidorów i papryki. Te namioty zawsze wyglądały jak wyjęte z filmu science fiction albo z gry komputerowej: wicie, jak ludzka kolonia hoduje coś na odległej planecie. Siedziałyśmy na schodkach (tych samych schodkach, na których w moich wyobrażeniach zjedli swój ostatni posiłek), jedna z nas od czasu do czasu drapała Lulę za uszami. Mama jakiś czas trochę krążyła opłotkami, pytając o szkołę i o czym rozmawiałam z tatą ostatnio, kiedy dzwonił albo na lunchu. Potem weszła na nutę, jak to skomplikowane są związki dorosłych ludzi, co dla mnie było absolutnie doskonałym momentem, żeby wspomnieć Stephena. Ale nie wspomniałam i tego już zawsze będę żałować, i z tym muszę żyć, bo nigdy już się nie dowiem, co ona naprawdę miała na myśli. W każdym razie, udawałam zaskoczoną, kiedy powiedziała, że tata wraca do domu, bo wyobrażałam sobie, że ona ode mnie tego zaskoczenia oczekuje. Potem powiedziałam jej, że naprawdę nie uważam, żeby to był dobry plan, i przypomniałam jej kilka z najgorszych awantur, do których doszło przed jego wyprowadzką. Ale ona powiedziała, że teraz to się zmieni, bo tata będzie inny. Powiedziała, że to był dla niego naprawdę dzwonek alarmowy i że wyciągnął naukę ze swoich błędów - co jakby pasowało do tego, co mówił mi tata, chociaż on dodał też, że nadal będzie ich całe mnóstwo popełniał (tak, cały mój tata, całe życie się uczył).

Ale wtedy coś mnie uderzyło i teraz myślę o jednym: mama nie wydawała się ani trochę szczęśliwa z tego powodu, że tata wracał do domu mieszkać z nami. Wydawała się pogodzona z tym pomysłem. Zupełnie jakby to był tylko uciążliwy obowiązek, który nad nią wisiał. Coś, co obie po prostu musimy znieść.

**Heather Laurent, *Uświęcona chwila*, s. 301**

Żeby nie było niejasności: chociaż moja wiara w niebo jest niewzruszona, chociaż jestem pewna, że pośród nas żyją anioły, wszelki koniec budzi we mnie smutek równie wielki jak w was. Płacę na pogrzebach przyjaciół, których utraciłam, oplakuję kochanków, z którymi jednak nie będę miała przyjemności ani przywileju zbudowania życia. Rozpaczam nad rodzicami, którzy przeżyli swoje dzieci, i zawsze będę rozpaczać nad dziećmi, które patrzą, jak ich rodzice przemocą niszczą uniesienie nocy.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

KIEDY MYŚLĘ O TAMTEJ wiosnie, jako pierwsze przychodzi mi do głowy, jak łatwe to wszystko się zrobiło. Od zawsze w domu było tyle napięcia, że nie zdawałam sobie sprawy, jak proste może być życie, jeśli nie czekasz nieustannie, aż wybuchnie bojler w piwnicy. I wiem, że mama czuła tak samo - pewnie nawet o ton silniej niż ja. W Wielkanoc była taka potężna późnowiosenna burza śnieżna, ale i tak brnęliśmy z mamą na wzgórze w kurtkach i śniegowcach na mszę rezurekcyjną. Oczywiście nie spodziewaliśmy się, że zobaczymy, jak słońce wschodzi nad górami od wschodu. Nikt się nie spodziewał, a przyszła nas tam z siedemdziesiątką. (Tak na marginesie, to była pierwsza msza poranna od trzech, czterech lat, na którą poszłam. Zwykle śpię sobie dłużej i zwlekam się z łóżka na zwyczajną mszę o dziewiątej czterdzieści pięć. I na tę mszę rezurekcyjną poszłam wyłącznie ze względu na mamę). Stephen był bardzo zabawny, chociaż w wichurze słychać było tylko co drugie słowo. Ale o jakiejś szóstej piętnaście wiatr zaczął cichnąć i wszyscy zobaczyliśmy, że niebo przejaśnia się na wschodzie. Wkrótce dookoła pływało tylko kilka dużych płatków śniegu, a potem wszystkie zniknęły. Błękitu nieba nie doczekaliśmy się tego poranka, ale wszyscy widzieliśmy tę wielką okrągłą żarówkę za cienkim kloszem chmur. I tak właśnie dla mnie wyglądała nieobecność taty. Wielka burza, do której się przyzwyczaiałam, zniknęła, i chociaż może nie było jakoś całkowicie słonecznie, widziałam światło - i wiedziałam, że przy odrobinie szczęścia nawet ta ostatnia zasłona chmur zniknie, jeśli dam jej więcej czasu. I wyobrażam sobie, że to było jeszcze lepsze dla mamy, bo nikt się nad nią nie znęcał i miała to coś fajnego ze Stephenem.

Niestety, od tamtej chwili nie minęło wiele czasu, a jej romans ze Stephenem z jakiegoś powodu zaczął dobiegać końca. A potem, niedługo później, zaczęły przychodzić kwiaty od taty. Zupełnie jakby wiedział, że teraz jest idealny moment, żeby wcisnąć czubek buta z powrotem w drzwi.

Zabawne, ale mam wspomnienie z dzieciństwa: mama czyta mi w mieszkaniu, w

którym mieszkaliśmy, kiedy byłam mała, w Bennington, i to wspomnienie łączę w myślach z tą wiosną. Mama czyta mi *Blueberries for Sal*, książeczkę, którą wciąż mam, nawiasem mówiąc, a ja zwijam się w jej ramionach w tym wielkim fotelu bujanym, w którym, jak mi mówiła, lubiła mnie niuniać, kiedy byłam maleńka. Mam chyba ze cztery lata. Fotel wraz z nami przeprowadził się do Haverill. I w jedno niedzielne popołudnie tamtej wiosny, kiedy taty nie było, widziałam, jak mama siedzi w nim i czyta powieść. Obwoluta jest tak samo granatowo-żółta jak okładka *Blueberries for Sal*, a popołudniowe słońce wpływa przez okno dokładnie w taki sam sposób, jak tamtego dnia przed laty, kiedy siedziałam zwinięta na jej kolanach w Bennington. I tak samo jak tamtego dnia, kiedy miałam cztery latka, czułam się całkowicie spokojna i absolutnie bezpieczna. Tak właśnie odczuwam tamtą wiosnę, kiedy taty nie było. I tamto uczucie, jak sądzę, tata odebrał mi pewnie na większość życia.

POMIĘDZY PIERWSZYMI DNAMI lutego a drugą połową maja ani razu nie widziałam rodziców razem. W niedzielny wieczór po Dniu Świstaka mieli potężną awanturę. (Kiedy tak teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że niedzielny wieczór niemal gwarantował awanturę. Może, tak jak ja, tata uważał niedzielne wieczory za totalnie przygnębiające. No wiecie, jest koniec weekendu i każdy stoi wobec perspektywy szkoły czy pracy przez następne pięć dni. I chociaż moja mama w poniedziałki miała wolne, możliwe, że czuła to samo przygnębienie końca weekendu jak reszta świata). Prawie trzy i pół miesiąca dzieliło awanturę, po której mama zdobyła tymczasowy zakaz zbliżania się, a dniem, kiedy wróciłam ze szkoły i zastałam tatę przy stole kuchennym. Cały ten czas mieszkałam z mamą, ale od końca marca widywałam znowu tatę, albo w Manchesterze, albo raz w naszym domku nad jeziorem.

Nie jestem pewna, dlaczego tata wszczął tamtą awanturę w lutym. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, dlaczego wszczynął większość awantur. Nigdy nie miał dobrego powodu. Zwykle był pijany, ale nie wtedy w niedzielę. To znaczy owszem, pił. Tyle to wiem. Ale nie był tak pijany, żeby nie mógł prowadzić. W końcu wsiadł do samochodu i odjechał samodzielnie, kiedy mama kazała mu się wynosić. Najpierw powiedział, że nie ma mowy, żeby opuścił dom. Przypomniłam mamie, że jej zarobki w banku na pewno nie wystarczą na spłatę hipoteki domu czy domku ani na raty za samochód. (Muszę przyznać, że do tego dnia nawet nie wiedziałam, że płacimy raty za samochód. Wiedziałam o kredycie na dom. Ale nie przyszło mi do głowy, że możemy nie posiadać bezpośrednio taty bmw ani mamy hondy accord). Ale ona się nie dała. Zakasała rękaw swetra i golfu, żeby przytrzymać worek z lodem przy łokciu. Tata, z powodów, które niewątpliwie nie mają sensu i na pewno są już zresztą nieważne, zepchnął ją ze schodów. Widziałam, jak to robi. I, co gorsza, on widział, że ja to

widzę. Chyba wszyscy pomyśleliśmy, że złamał jej rękę. Nie złamał, ale pomimo lodu ręka jej spuchła i wyglądała jak ramię Popeye'a. Miała też siniaka na biodrze, który był tak czarno-granatowy, że przypominał wygaszacz ekranu z przestrzenią kosmiczną.

Myślę, że tata był rozdarty, kiedy mama kazała mu się wynosić. Czy ma się wynieść, tak jak domaga się żona? Czy też ma ją zabrać do szpitala? Mama powie mi później tego wieczoru, że on bardzo się przejmuje swoją reputacją. Nie wyglądałby dobrze, gdyby się dowiedziano, że złamał swojej żonie rękę, spychając ją ze schodów. Ale moja mama także uważała, że i o niej nie świadczyłoby to najlepiej. Pojedzie do szpitala rankiem nazajutrz, na wszelki wypadek. Ale nie sądzę, żeby pojechała, gdyby w poniedziałek nie miała wolnego. Niemniej jednak zrobiła sobie prześwietlenie ręki i pleców. Żadnych złamań. Ale ktoś w szpitalu musiał coś jej powiedzieć, ponieważ w drodze powrotnej do Haverill zajeżdżała do sądu i zdobyła coś o nazwie „zakaz zbliżania się” - dokumenty miano doręczyć tacie, zanim wróci do domu.

Tata, przypuszczam, myślał, że wychodzi tylko na noc. Musiało być więc niemałym skandalem, kiedy w jego niewielkich biurach nad sklepem z zabawkami pojawiła się policja. Nie wiem, co powiedział swojej sekretarce albo księgowej, czy komukolwiek innemu, kto mógł być obecny, na temat powodów, dla których pojawiło się dwóch policjantów. Ale na pewno coś wymyślił. Na trzeźwo potrafił się szybko pozbierać. I, jak już mówiłam, dużo ludzi myślało, że on odszedł od mamy, a nie odwrotnie. W oczach wielu ludzi on był całkiem niezłą partią.

Po wielu miesiącach Josie wyjaśniła mi, że policja pewnie powiedziała mamie, że mogą go aresztować, jeśli ona chce. Ale tego nie chciała. Chciała tylko, żeby się wyniósł. Chciała trochę spokoju. I może po prostu chciała być ze Stephenem.

W każdym razie nie poszła do sądu, kiedy jeszcze mogła.

TAK SAMO JAK pamiętam, że czasami tata nie był totalnym dupkiem dla mamy, mam też wspomnienia, jak próbuje być całkiem dobrym tatą dla mnie (czasami nawet mu się to udawało). Kiedy byłam młodsza, uwielbiałam odwiedzać go w jego sklepach albo w tej jego restauracji. Wydawał się niewiarygodnie ważny, więc i ja czułam się ważna. Jego pracownicy traktowali mnie jak księżniczkę. Zwykle wykonywał dużo roboty papierkowej dla restauracji przy stoliku nieopodal drzwi kuchennych, bo kiedy było spokojnie, mógł dokończyć robotę, a kiedy robił się szalony ruch (bo czasami się robił), oglądał całą salę i nabierał rozeznanie, co się sprawdza w restauracji, a co nie. Widział, jak obsługa porusza się między stolikami. (I, ale tylko może, wiedział, że oni wiedzą, że on patrzy, i podobało mu się to. No bo skoro lubił



kontrolować mamę, dlaczego nie miałyby lubić kontrolowania własnych pracowników?). Pamiętam, że kilka razy odrabiałam tam lekcje, kiedy byłam w piątej klasie, i dzięki temu matematyka i geografia robiły się o wiele bardziej zabawne. Praca nie była ciężka, a zjadałam tony chlebka kukurydzianego i brudnego ryżu. A co więcej, przy tych okazjach wydawało się, że tata jest w dobrym nastroju, a to zawsze dobrze wróżyło dla mamy i dawało nadzieję na spokojny wieczór w domu, kiedy już tam dojedziemy.

Tata nigdy nie pił w pracy, w każdym razie nie wtedy, kiedy go odwiedzałam. Nawet jako dziecko dostrzegałam powiązanie pomiędzy piwem a biciem. To niczego nie tłumaczy, oczywiście, ale mama zwykle upierała się, że tata ją kocha i że wszystko byłoby lepiej, gdyby nie alkohol. Osobiście w to nie wierzę. Wiem, że czasami był dla niej straszliwy na trzeźwo. Może byłby gorszy, gdyby wypił kilka piw, ale zawsze była szansa, że byłby gnojem bez względu na to, czy pił, czy nie.

MOGLAM BYĆ TROCHĘ dzika tej jesieni, ale pod koniec września dałam się zwabić z powrotem do kościelnej Grupy Młodzieżowej. Podobał mi się ten starszy gość, który był tymczasowym pastorem, i podobała mi się młoda kobieta, którą parafia sprowadziła jako specjalnego pastora dla młodzieży. Czasami myślę, że sprowadzili ją specjalnie dla mnie. Też miała kolczyk w nosie i uważała, że mój tatuaż jest piękny. Miała na imię Julie. Nie miała być długo, bo wkrótce przenosiła się do o wiele większego kościoła w Burlington. Ale miała ledwie jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, i dużo rozmawialiśmy. Szczególnie dobrze pamiętam третią niedzielę października. Przekonała mnie, żebym po południu pomogła pilnować małych dzieci, które wycinały dynie. Byłyśmy we dwie i jeszcze Tina i kilku diakonów na tym wielkim polu w pobliżu centrum miasteczka. Kilkoro rodziców zostało, ale większość podrzuciła dzieciaki i odjechała. I o ile dużo dzieci było w piątej czy szóstej klasie i pomagało młodszym braciom i siostrzyczkom, wiele dzieciaków sięgało mi do pasa i nie powinno brać do ręki noży, które miały długość ich przedramienia. I musiało tam być tych dzieciaków z osiemdziesięcioro.

Pan Humphrey z naszej parafii dostarczył dynie i on był jednym z dorosłych, którzy zostali. Był trochę starszy niż moi rodzice, a zarabiał na życie, prowadząc z żoną piękny pensjonat. Tam chyba w kółko odbywały się jakieś wesela. Mieli takie rzeczy jak zagon dyń i pole truskawkowe i krzaki jagód, ale zasadniczo chodziło o to, żeby goście czuli, że zatrzymują się w czynnym gospodarstwie.

W każdym razie plan był taki, że każde dziecko wytnie dynię, a potem pan Humphrey miał stanąć na wozie z sianem i ponazywać je. Robił to co roku i był naprawdę bardzo

zabawny. Czasami nazywał latarnie dyniowe nazwami, które w pojęciu pięciolatków były komiczne: Wielgałkoch, jeśli miał wielkie oczy, albo Nochal, jeśli najbardziej rzucał się w oczy nos. A czasami nazywał dynię po kimś, kto często się tej jesieni pojawiał w wiadomościach, tak więc w latach wyborów było mu łatwiej niż kiedy indziej. No bo nie był Jonem Stewartem, ale dawał radę. I wszystkie dzieci pękały ze śmiechu z czegokolwiek, bo były zatankowane ciasteczkami i brownies, które upiekło Koło Kobiet, i tym, co tam miały dostać w nagrodę za dolarowy kupon w sklepie ogólnospożywczym w Haverill.

Jeśli policzyć rodziców, którzy się tam pałętali, i pana Humphreya, który na ogół lustrował widownię jak gwiazda rocka, zebrałoby się ich z dziesięcioro, plus ci młodzi - na te osiemdziesiąt dzieciaków z podstawówki. To niezły wskaźnik, jeśli dziesięcioro dorosłych to nauczyciele, którzy wiedzą, co robią, a młodzi ludzie nie są tacy młodzi. Ale nie powala już, jeśli dwie z opiekunek to nastolatki jak Tina i ja, a dwóch diakonów wiekowo plasuje się pomiędzy siedemdziesiątym piątym rokiem życia a zgonem.

I nagle, oczywiście, jedna z tych dwóch nastolatek straci rozum. To będę ja. Przez jakieś dwadzieścia pięć minut Julie i jedna z nielicznych mam, które zostały na miejscu, musiały zajmować się mną na uboczu i patrzeć, jak siedzę w skoszonej trawie i szlocham, popijając cydr z papierowego kubka. W jednej chwili wyłam jak przedszkolak zostawiony w gimbusie, a w drugiej nie mogłam oddychać. Zupełnie jakbym zapomniała, jak to robić. A szlochanie bez oddychania nie jest takie łatwe. W pewnym momencie, powiedziała mi później Tina, wydawałam ryk niczym osioł.

Co mnie wytrąciło z równowagi? Nóż do krojenia mięsa, którego używała dziewczynka o imieniu Alicia. Alicia miała bodajże pięć lat. A nóż miał brązowy drewniany uchwyt z nitami i taki długi rząd owalnych nacięć wzdłuż ostrza. Owale nie zmniejszały się w miarę, jak ostrze było węższe, po prostu zajmowały coraz większą jego część. I przez kilka sekund patrzyłam, jak walczy, żeby przebić się nożem przez grubą skórę swojej dyni, obracając go czasami, a czasami dżgając. (Widzicie, co mam na myśli, że katastrofa po prostu się cały czas czaiła? To cud, że żadne z dzieci nie wylupiło sobie oka ani nie odcięło małego paluszka). Podnosiła swoje małe ramię w górę i opuszczała, raz za razem, ale nie była zbyt silna, tak więc czubek ani razu nie przebił dyni. Odbijał się tylko od twardej okrywy, jakby to była superdynia.

I wtedy właśnie zobaczyłam ten dziwny obraz, a w rzeczywistości - jak zrozumiałam później - dziwne wspomnienie. Kiedy miałam pięć lat, zrobiłam coś w tym rodzaju nożem, który wyglądał dokładnie tak jak ten, którego używała Alicia. Miał takie same nity na ręczce i takie same okrągłe wycięcia wzdłuż ostrza. We wspomnieniu siedziałam na kafelkowanej

podłodze naszego mieszkania w Bennington, które to mieszkanie pamiętam na różne sposoby tylko dzięki zdjęciom w albumie i kilku starym filmom wideo, które mama przeniosła na dysk. I próbowałam coś przebić nożem. Piłkę do kosza. Próbowałam przebić piłkę do kosza taty. Kiedy mieszkaliśmy w Bennington, tata był młodszy, dość często grał z paczką przyjaciół na szkolnym boisku z obręczami niedaleko naszego mieszkania. No i to wspomnienie: ja próbowałam tym nożem zniszczyć taty piłkę, bo poprzedniego wieczoru widziałam, jak grozi mojej mamie. A nóż, którego używał, był dokładnie taki sam jak ten, który trzymała teraz Alicia. Było ciemno, a ja usłyszałam zamieszanie w kuchni. Wyszłam z sypialni i zastałam mamę w koszuli nocnej przyciśniętą do szafki ze szczotkami, odkurzaczem i rzeczami do sprzątania (z których wszystkie miały nalepki naklejone przez mamę z czymś w rodzaju „pan Faj”, tak żeby nie zaczęła żłopać płynu do kibla), a tata jedną ręką trzymał ją za szyję i praktycznie podnosił ją z podłogi. W drugiej ręce miał nóż i przystawiał go do jej policzka. Mówił tak cicho, że nie rozumiałam ani słowa, ale po tonie umiałam rozpoznać, że to coś cholernie groźnego. Dzisiaj myślę, że raczej nie groził jej śmiercią. Kiedy się zastanawiam, gdzie trzymał czubek noża, zgaduję, że groził tylko, że ją oszpeci. Zostawi na tej ładnej buzi bliznę na zawsze.

Musiałam coś powiedzieć, bo mama zobaczyła mnie kątem oka - naprawdę nie była w stanie obrócić głowy - i musiała jakoś zdołać wymamrotać coś do taty. Bo on odwrócił się i zobaczył mnie. A kiedy mnie zobaczył, spojrzął na nóż w swojej dłoni, jakby nie wiedział, co to jest ani skąd się tam wziął. Puścił mamę i rzucił nóż na stół kuchenny, a potem zmierzwił mi włosy, kiedy mijał mnie w drodze do sypialni. Kręcił głową, ale nad czym, nie mam pojęcia. Tymczasem mama osunęła się na podłogę, plecami wciąż przyklejona do szafki, i płakała tak rozpaczliwie, że przez chwilę nie była w stanie dopełznąć do mnie po podłodze. Tak więc ja podeszłam do niej.

I właśnie następnego dnia podjęłam próbę zniszczenia taty piłki do kosza. Nie powiodło mi się z gumą lepiej niż Alicii ze skórą dyni, ale mama znalazła mnie, zanim zdołałam przeciąć sobie tętnicę albo odciąć nogę. I tamtego wieczoru tata zabrał mamę na jakąś szykowną kolację, a do mnie przysła opiekunka. I niedługo później zaczęli budować dom w Haverill.

Tamtego popołudnia na wykrawaniu dyń to wszystko się połączyło w mojej głowie: wspomnienie taty przerażającego mamę, mnie znęcającej się nad piłką do kosza, i całej tej drogi, która poprowadziła nas z Bennington do Haverill i do ich śmierci w salonie. Myślę, że to dlatego straciłam kontrolę nad sobą w tamto popołudnie. No bo miałam mnóstwo innych powodów, żeby ją stracić tamtej jesieni. Ale przypisuję swoje małe załamanie na cięciu dyń

temu wspomnieniu. W końcu Tina, Julie i tamta mama jakoś mnie uspokoiły, a ja wróciłam do wycinania. Ale jestem pewna, że nikt nie podał mi noża i pomagałam, głównie łyżeczkując wnętrzności dyń dla dzieciaków, bo żaden siedmio- czy ośmiolatek nie lubi wyciągać tego zimnego mączystego paskudztwa.

CZASAMI SIĘ ZASTANAWIAŁAM, czy Stephen zobaczył w Heather coś, czego nie widział w mojej mamie. Kiedy staram się być obiektywna, obstawiam, że Heather jest trochę ładniejsza, ale moja mama z kolei tak się nie garbiła. Nie żartuję. I o ile moja mama może znosiła ze strony taty więcej, niż powinna, przynajmniej nie widziała aniołów na parkingach, tak jak większość ludzi widzi mewy. I zawsze staram się pamiętać, że Stephen nie rzucił mojej mamy dla Heather. Gdybym miała zgadywać, on i mama zerwali na początku maja. Stephen poznał Heather dopiero pod koniec lipca. Dwa dni po śmierci moich rodziców.

Ale moja relacja z Heather, chociaż luźna, była także dziwacznie skomplikowana. Z jednej strony, naprawdę nic nie mogę poradzić, ale widzę w niej konkurentkę mojej mamy do uczuć Stephena, chociaż mamy już nie ma. Co ona miała, czego nie miała moja mama? Tak więc w ten sposób odmawiałam jej lojalności. Ale poza tym ona rozumiała więcej z tego, czego doświadczyłam, niż jakikolwiek kurator albo terapeuta z tej armii, która się przewinęła przez moje życie. Wiedziała, jak to jest nagle stać się sierotą (a ja jestem sierotą) i czuć cały czas, jakby się nadużywało czyjejs uprzejmości. A tak właśnie się czuję: jeśli jesteś dzieckiem bez rodziców, choćby nastolatkiem, zawsze musisz zdawać się na uprzejmość innych ludzi. Czujesz się zobowiązana wobec wszystkich. Znałam Cousinów od wieków, ale przecież nie byłam ich dzieckiem. Ale oto mieszkalam pod ich dachem, jadłam ich jedzenie i używałam ich łazienek. Mogłabym mieszkać z dziadkami w New Hampshire (z oczywistych powodów rodzice mojego taty nigdy nie wchodzili, moim zdaniem, w rachubę), ale mieszkalam w jednym miasteczku od szóstego roku życia i niemal od dziesięciu lat miałam przyjaciół z jednej grupy dzieciaków. Czy jakiegokolwiek dziecko chce się przeprowadzać, jeśli zostały mu tylko dwie klasy liceum? Nie, oczywiście, że nie. No więc zdecydowałam się na rolę utrapienia.

Heather wiedziała też, jak to jest widzieć własną mamę maltretowaną przez tatę i nie móc nic z tym zrobić. Czasami rozmawiałyśmy o wszystkich awanturach, które widziałyśmy. Wyglądało na to, że jej tata mówił mniej więcej te same rzeczy, co mój, a jej mama ukrywała się czasami w tym samym żalonym świecie wyparcia. Kto wie? Może damscy bokserzy są naprawdę wyspecjalizowani. Są tyranami, ale bardzo twórczymi.

I oczywiście Heather była sławna. Nie sławna dla mnie, w każdym razie na początku.

Ale szybko przyswoiłam, że wie o niej mnóstwo dorosłych. Ginny na przykład uważała, że ona jest totalnie oszałamiająca. A na YouTube znalazłam chyba z piętnaście filmików z nią. Pojawiła się w mnóstwie talk-showów i chyba świetnie się czuła na takiej wygodnej kanapie z pięknymi hostessami. I uwielbiałam czytać, co ludzie piszą o jej książkach w księgarniach internetowych. Niektórzy czytelnicy uważali, że jest świetna, a niektórzy, że pilnie potrzebuje leczenia. W każdym razie skłamałabym, gdybym powiedziała, że jej sława na mnie nie działała. Działała. Uważałam, że jest bardzo, bardzo cool.

Ale ciągle się napominałam, że to za mało pojawiać się w talkshowach i mieć mnóstwo klipów na YouTube. To za mało sprzedawać tony książek.

I nawet po przeczytaniu obu jej książek - a przeczytałam je uważnie - ciągle nie wierzyłam w anioły. Widziałam siniaki mojej mamy i nie ma mowy, żebym mogła uleczyć te ślady skrzydłami aniołów.

Czasami się zastanawiałam, czy oni się jeszcze zejdą ze Stephenem. Jakoś tego nie widziałam, ale Tina owszem. Kiedy o tym rozmawialiśmy, powiedziała, że jestem jak ta stara piosenka Aerosmith, *Jaded*. Myliła się (i myliła się co do piosenki, bo moim zdaniem ona jest bardziej o dziewczynie rozpuszczonej niż o dziewczynie totalnie cynicznej), ale rozumiałam, o co jej chodzi. Uważała, że Stephen i Heather byli dobrą parą, bo jakby się równoważyli. Może. Ale to by znaczyło, że Heather musiałaby poradzić sobie z myślą, że Stephen zabił mojego tatę, a z miliona powodów to było absolutnie wykluczone. A Stephen? Nie wiem. Ale myślę, że on jest stworzony do życia w pojedynkę.

W każdym razie koniec końców pozostałam najbardziej lojalna wobec mamy, jeśli chodzi o to całe dziwactwo ze Stephenem. Nawet jeśli wedle żadnych standardów mama nie była najmodniejsza, jak Heather Laurent, i tak była kobietą, która mnie wychowała i czytała mi, i do chwili gdy tata ją zabił, zamierzała być przy mnie zawsze, bez względu na wszystko.

KIEDY POSZŁAM NA plebanię w tamtą niedzielą noc, Stephen kazał mi wracać natychmiast do domu Tiny i powiedział, że on poradzi sobie z koszmarem w moim salonie. Przykazał, że mam nikomu nic nie mówić, nawet Tinie. Później oczywiście powiedziałam Tinie. Powiedziałam jej całe mnóstwo. Nie wszystko. Ale prawie wszystko. Stephen zaproponował, że mnie podwiezie do Tiny, ale odparłam, że pojechałam do mojego domu, a potem do niego samochodem Cousinów. „Czy ty nie masz piętnastu lat?” - spytał. Odparłam, że owszem, ale potem on musiał zdać sobie sprawę, że prowadzenie bez uprawnień jest najmniejszym z moich problemów tej nocy i jakby wzruszył ramionami. Myślę, że on też był w szoku.

Gwoli sprawiedliwości, kiedy jechałam z naszego domu do domu Stephena,

pomyślałam, że pójdziemy na policję albo zadzwonimy po pomoc, albo zrobimy jakieś takie rzeczy, które widziałam w telewizji. Wydawał mi się właściwą osobą, ponieważ chociaż niezbyt intensywnie udzielałam się w Grupie Młodzieżowej przez ostatnie półtora roku, on był pastorem i wiedziałam, że mnie lubi. I wiedziałam, że lubił moją mamę. Cóż, nie jestem pewna, czy poszłabym do niego, gdybym wiedziała, że pojedzie do mojego domu i, jak to ujął, posprząta. No bo myślałam, że we dwójkę zadzwonimy pod jakieś 911. Wystarczająco straszliwe było dla mnie to, że zobaczyłam moją mamę zabitą w taki sposób. Naprawdę nie chciałam, żeby Stephen, który może kochał ją przez jakiś czas, też ją taką oglądał.

Problem w tym, że poszłam do domu po koncercie tylko po swój laptop. Chciałyśmy z Tiną być on-line w tym samym czasie, a to oznaczało, że potrzebujemy dwóch komputerów. Chciałyśmy wejść na Facebooka i chciałyśmy kupić nowe piosenki na iPod, i znaleźć jakieś koncerty wideo na YouTube, tak więc powiedziałam, że pojedę po swojego laptopa. Zajęłoby to dziesięć minut. A Tina nawet nie zaproponowała, że mnie podwiezie. Nie musiała, bo do domu miałam z milę. Rzuciła mi tylko kluczyki wyjęte z torebki.

W każdym razie po spotkaniu ze Stephenem zrobiłam, co mi kazał. Wróciłam do Tiny.

Plan, o ile można mówić o planie, zakładał, że Stephen zrobi tak, żeby to wyglądało, że tata zabił się sam. Przypomni mi, że tata właśnie zabił mamę. I że był strasznym człowiekiem. Stephen nie spodziewał się, że komukolwiek przyjdzie do głowy, że to on zamordował mojego tatę. Nie sądzę, żeby w ogóle przemknęło nam przez myśl, że to się stanie. To miało wyglądać jak samobójstwo. Ilekroć widziałam go później tej jesieni, mówiłam mu, że martwię się, że pójdzie do więzienia. Za każdym razem przypominał mi o czymś ważnym: nikt nie znajdzie żadnego dowodu, że on zabił mojego tatę. Mogą tak uważać, ale nie mogą tego udowodnić. Zapewniał mnie, że jeśli teraz o mnie dba, wypełnia elementarny obowiązek wobec mojej mamy. Myślę, że to był bardzo ważny powód, dla którego pozostawał w Bennington przez jakiś czas. Chciał być tam, dopóki ten cały bajzel się nie uspokoi.

I robienie czegoś dla mojej mamy było dla niego jakby cholernie ważne. Ilekroć rozmawialiśmy tamtej jesieni, kojarzył mi się z wujkiem albo z ojcem chrzestnym, który czuje się odpowiedzialny za moją mamę. Chodzi mi o to, że był już z Heather (a potem już zerwał z Heather), więc nie można powiedzieć, że usychał z tęsknoty za dawną miłością. Ale czuł, że jakoś się przyłożył do tego, że mama nie żyje.

Mieszkał już w Bennington, kiedy mu powiedziałam, że chyba policja myśli, że ja mam z tym coś wspólnego. Zachichotał cicho i odparł, że nie sądzi, żeby to było prawdopodobne: powiedział, że on jest głównym podejrzanym i że mam po prostu czytać

gazety. Ale wyznałam mu, że martwię się z powodu niektórych rzeczy, o które mnie pytali, a wtedy on powiedział, że mam śmiało obciążać jego. Czemu nie? - spytał. Już i tak uważają, że on to zrobił, ale jego adwokat zapewnił go, że nigdy nie zdołają tego udowodnić. Więc, powiedział, trzeba trochę podsycić ogień. I dodał, że on też podsyci. Ja miałam zadzwonić do Heather, ale zanim to zrobiłam, ona się nagle pojawiła pewnego popołudnia w mojej szkole, a ja byłam jak nakręcona zabawka. Pozwoliłam, żeby mi się wszystko wymknęło, tak jak Stephen sugerował, i zobaczyłam od razu, że on ma absolutną rację. Dała mi swój numer komórki i trochę później zadzwoniłam do niej i nabrałam całkowitej pewności, że ona - że wszyscy - są przekonani, że Stephen zabił mojego tatę.

Ale miał także rację, że nigdy nie zdołają go o to morderstwo oskarżyć.

Oczywiście, od tamtej chwili ja też musiałam się trzymać z dala od Stephena. Jak powiedziałam, był ostatnią osobą, z którą powinnam była rozmawiać. W końcu im częściej z nim rozmawiałam, tym bardziej prawdopodobne było, że ktoś wykoncypuje, że jesteśmy - i tu jedno z tych wielkich określeń z telewizyjnych programów o gliniarzach, które ciągle oglądałam - w znowie. Gdyby mnie zobaczono ze Stephenem, podejrzanym numer jeden w sprawie śmierci mojego taty, komuś mogłoby przyjść do głowy, że to ja pociągnęłam za spust.

To naprawdę ironia, że czytaliśmy *Braci Karamazow* na kursie angielskiego, który miałam tamtej jesieni. Nagle wszędzie się zrobiło pełno ojcobójstwa. Pewnego dnia czułam się tak winna, że nie mogłam wstać z łóżka, i Tina przypomniała mi, co tata zrobił mamie. Nikt, powiedziała, nie powinien oglądać swojej mamy tak, jak ja widziałam swoją tamtej nocy w lipcu. Ale problem też w tym, że z początku pomyślałam, że ona zemdlała. No bo wszędzie cuchnęło piwem. Myślałam, że oboje z tatą po prostu śpią. Ale potem zobaczyłam ślady na szyi mamy i wiedziałam, co się stało. (Uważam, że to interesujące, że nie pamiętam już jej twarzy z chwili, gdy ją znalazłam. Naprawdę. Z tego co czytałam w Internecie o śmierci przez uduszenie, wynika, że w pewnym momencie swojego życia przypomnę sobie jej oczy i to nie będzie ładne - ani obraz, który najdzie mnie w nocy, ani moja reakcja. Kiedy sięgam wstecz pamięcią, nie widzę jej oczu, ale coś mi mówi, że były otwarte. W każdym razie teraz przynajmniej oszczędzona mi jest wiedza, czy tata rzeczywiście uderzył ją w twarz albo walnął pięścią w nos, zanim ją zabił). I wtedy właśnie poszłam na górę i zdecydowałam, że zamiast laptopa wezmę pistolet.

Nigdy nie wróciłam po laptopa, znalazł się więc on wśród rzeczy, które Ginny i Stephen przywieźli mi następnego dnia. Kiedy wyszłam, Lula biegała nerwowo między kuchnią a salonem. To Stephen wypuścił ją na dwór, kiedy wrócił i - jeśli mam być absolutnie

szczera - jestem wręcz pewna, że wykopał ją na dwór, bo zlizywała krew, która była wszędzie. Nie pamiętam dokładnie jego słów, i wyraźnie żałował jak cholera tego, że zaczął mówić. Próbował mi wyjaśnić, dlaczego Lula wylądowała na dworze.

Pewnego dnia, wiem, Stephen pożałuje tej całej straszliwej nocy. Powinien być zwyczajnym pastorem i zadzwonić po policję, ale pewnie się bał, że pójdę do więzienia. (Raz powiedział, że fakt, że mój tata był takim psycholem, mógłby obniżyć wyrok, ale nie powinnam się oszukiwać: to nie byłoby przestępstwo osoby młodocianej). Gdyby sam był tatą, to właśnie by zrobił, i może za dziesięć lat obojgu byłoby nam lepiej.

W każdym razie jeśli dożyję bardzo późnego wieku, wiem, że będę żałować nieprzebranych ilości rzeczy. Nie żartuję. Ale coś nie sędzę, żeby pośród tych powodów do żałowania znalazł się fakt, że strzeliłam tacie w łeb.



# PODZIĘKOWANIA

PO RAZ KOLEJNY JESTEM zobowiązany wielu pierwszym czytelnikom, z których żaden nie jest autentycznym aniołem, ale z których wszyscy byli niewiarygodnie pomocni. A pośród nich znajduje się pastor David Wood, jeden z moich najbliższych przyjaciół i kapłan świątyni, w której modliłem się przez większość dorosłego życia. Jest wśród nich także Lauren Bowerman, asystentka prokuratora stanowego stanu Vermont. Już po raz trzeci Lauren uprzejmie powiedziała mi, co jest prawdopodobne w mojej książce, a co jest absolutnie żalosne.

Doktor Steven Shapiro, szef lekarzy sądowych stanu Vermont, pomógł mi zrozumieć, co się stało po śmierci z fikcyjnymi George'em i Alice Haywardami. Siri Rooney, adwokat ofiar na hrabstwo Lamoille z biura prokuratora stanowego, podzieliła się ze mną potwornościami, które zapewne znoszą takie maltretowane kobiety jak Alice, a także zapoznała mnie z dostępnymi jej źródłami. Bridget Butler nauczyła mnie o ptakach. Spośród książek, które były szczególnie wartościowe, wymienię wspomnienia doktor Louis Cataldie z czasów, kiedy była głównym koronerem w Baton Rouge, pt. *Coroner's Journal: Forensics and the Art of Stalking Death*.

Pośród pierwszych czytelników znaleźli się również moi przyjaciele i agenci, z których wielu pełni jedną i drugą rolę, w tym Stephen Kiernan, Jane Gelfman i Dean Schramm; mój wydawca od piętnastu lat i jeden z moich najbliższych przyjaciół Shaye Areheart; moja oblubienica już od ćwierć wieku Victoria Blewer; i po raz pierwszy moja pełna oryginalnych myśli nastoletnia córka Grace Experience.

Jestem też wdzięczny Cathy Gleason z Gelfman Schneider, Arlynn Greenbaum z Authors Unlimited; i całej entuzjastycznej ekipie w Crown Publishing Group, w której skład wchodzi: Andy Augusto, Party Berg, Cindy Berman, Sarah Breivogel, Whitney Cookman, Jill Flaxman, Jenny Frost, Kate Kennedy, Christine Kopprasch, Jacqui Lebow, Matthew Martin, Donna Passannante, Philip Patrick, Annsley Rosner, Jay Sones, Katie Wainwright,

Kira Walton i Campbell Wharton. Naprawdę wymiatają.

Dziękuję wam wszystkim za mądrość, radę i szczerłość.